

MARJORIE

M. LIU

Wołanie z mroku

Przekład

Małgorzata Stefaniuk

A(mb)er

*Choć moja dusza może spoczywać w mrokach,
odrodzę się w boskim świetle.
Bo kochając gwiazdy całym sercem,
przystałem drzeć przed nocą.*

Sarah Williams

The Old Astronomer to his Pupil

(Stary astronom do swojego ucznia)

Rozdział 1

Zombie miały przykry zwyczaj strzelania do mnie, celując w głowę. Większość wiedziała, że to daremne, ale i tak zawsze znalazł się ktoś, kto sądził, że mu się poszczęści.

Był poniedziałkowy poranek. Prawie świtało. Wokół latarni ulicznych z przepalonymi żarówkami leżały odłamki potłuczonego szkła; mury opuszczonych magazynów rzucały cień na chodniki. Martwe miasto, martwa godzina. Seattle było ponurym miejscem, nawet za dnia i w pełnym słońcu. Jakby wybuchła tu kiedyś bomba atomowa, a grzyb po wybuchu nigdy się nie rozwiął.

Było też cicho. Żadnych odgłosów oprócz rzęzących oddechów i cichego skowytu; stukot moich kowbojek o betonowy chodnik oraz zgrzyt ostrzonych pazurów; i dudnienie pociągów towarowych wtaczających się na stację kolejową położoną za portem mieszające się z pomrukami wibrującymi lekko w moich uszach; dziecięca symfonia nadchodzącej burzy. Dobra muzyka. Dająca mi poczucie bezpieczeństwa.

Odsunęłam z oczu mokre włosy.

- Zee. Trzymaj go mocniej.

On to Archie Limbaud. Wychudzony, żylasty mężczyzna, z czupryną krótko przyciętych kasztanowych włosów przylepionych do wilgotnej skóry i nakrapianych dużymi łuskami łupieżu. Facet był po czterdziestce i śmierdział jak łazienka nastolatka: brudna i zalatująca fekaliami.

I był zombie. Nie z rodzaju tych rzeźników, co jedzą mózgi. Zwykły człowiek opętany przez demona, który

zamieszkał w jego ciele. Praktycznie trup, jeśli chcecie znać moje zdanie.

Nie miałam ochoty go dotykać. Leżał rozciągnięty na opustoszałym parkingu, pod żelaznym ogrodzeniem. Zawartość jego portfela wałała się na ziemi przede mną. Więcej prezerwatyw niż banknotów, jedna karta kredytowa i nieważne już prawo jazdy. Minutę wcześniej była tam też broń - pistolet kaliber 40 milimetrów, wycelowany w moją głowę - ale to już przeszłość. Został pożarty.

Nienawidziłam broni. Nienawidziłam zombie. Jeśli połączyć to z tym, co wiedziałam o opętanym mężczyźnie leżącym u moich stóp, nie mogłam się zdecydować, czy mam płakać, wrzeszczeć, czy kopnąć tę gnidę w jaja.

Ściągnęłam rękawiczki, wcisnęłam je do tylnej kieszeni i wyciągnęłam dłonie. Mała ręka podała mi nóż sprężynowy. Piękna rzecz z trzonkiem z macicy perłowej i srebrnymi akcentami. Ostrze jak żyłotka,

nadal lepkie od krwi. Z wygrawerowanymi inicjałami „A.L”. Pomachałam nim przed czerwoną twarzą Archiego, a aura nad jego głową zamigotała gwałtownie.

- To ci dopiero noc - mruknęłam cicho. - Znalazłam ciało.

Archie nic na to nie odpowiedział. Możliwe, że z powodu aluminiowego kija bejsbolowego przy swoim gardle. Ukradzionego pewnie Seattle Mariners, gdybym miała zgadywać. Z miejsca, w którym kucalam, widziałam mury stadionu Safeco Field - Zee i reszta chłopców przechodzili etap fascynacji bejsbolem. Na tapecie był teraz Babe Ruth, a Bill Russell poszedł w odstawkę. Niestety. Ale przynajmniej moi chłopcy nadal mieli obsesję na punkcie Bon Jovi. Gdyby i z tego zrezygnowali, załamałabym się. Za wiele zmian naraz.

Zee, Raw i Aaz przygważdżali Archiego do chodnika. Małe demony, małe ogary. Deszcz mżył. Mokra skóra demonów, o barwie postrebrzanej sadzy, lśniła jak tafla wody.

Sterczące, ostre jak żyłki pasma włosów oblepiały kanciaste głowy, a srebrzyste żyły pulsowały rytmicznie i na tyle głośno, że gdybym przytknęła do nich ucho, usłyszałabym dźwięk podobny do szarpania strun gitary basowej.

Czerwone oczy błyszcząły jak rubiny. Stuknęłam Aaza w tył głowy nożem sprężynowym. Jego włosy przecięły stal, jakby to było masło. Raw złapał kawałki ostrza, zanim opadły na ziemię, i wepchnął je sobie do ust, głośno przeżuując.

- Uważajcie na tchawicę - ostrzegłam Aaza. - Nie chcę, żeby żywiciel doznał krzywdy.

Aaz posłał zombie pocałunek i odsunął kij od posiniaczonej szyi. Archie zaczął kasłać, próbując poruszyć nogami. Nie miał szans. Raw siedział mu na kostkach, a Zee przyciskał jego nadgarstki do chodnika. Wprawdzie nie miażdżąc kości, ale był blisko. Moi chłopcy są silni.

- Błagam - wycharczał Archie. - Chcę się nawrócić.

- Kłamca - sapnął Zee, zanim zdążyłam warknąć do zombie, żeby poszedł się pieprzyć. Mały demon pochylił się niżej nad facetem, żeby liznąć powietrze nad jego czołem. -Rzeźnik kłamie, Maxine. Nadal czuje głód.

- To morderca. - Mocniej zacisnęłam dłoń na pozostałościach po nożu sprężynowym, bo przed oczami przemknęła mi młoda twarz, zakrwawiona i pocięta, i gołe, smukłe, opalone nogi, rozwarte szeroko. Porozrywana lalka. Porozrywana w kilku miejscach. Nie chciałam tego pamiętać. -Ona była jeszcze dzieckiem.

- prostytutką - poprawił mnie Archie. - Już była ofiarą. Dek i Mai, ściśnięci na moim ramieniu, wyrzeli zza

włosów i syknęli na zombie. W przeciwieństwie do reszty byli zbudowani jak węże. Mieli dwie szczałkowe kończyny, które nadawały się tylko do tego, żeby mogli chwytać się moich uszu. Głowy jak u hien. Ostre uśmiechy. Ogień w oddechu. Archie spojrział na nich i zadrżał.

Przecięłam ręką wzburzoną aurę i położyłam dłoń na spoconym czole faceta. Wzdrygnął się, cofając głowę, ale chłopcy trzymali mocno, i w ostatniej chwili, zanim go dotknęłam, szeroko otworzył oczy. Gapił się na delikatny pancerz otaczający cały mój palec serdeczny prawej ręki; smukłą pochwę z ręki z miękkim łączeniem w okolicy stawu, żeby palec mógł się zginać. Pierścień był jak druga skóra, czasami o nim zapominałam.

- Ofiarą - mruknęłam. - W takim razie kim ty jesteś?

- Jednym z miliona - wyszeptał Archie, trzęsąc się na całym ciele; wytrzeszczał na mnie płonące nienawiścią oczy' - Nie zabijesz nas wszystkich. Kiedy mury więzienia się rozpadną...

- Będiesz szczurzą padliną dla reszty demonów - przerwałam mu, nadal myśląc o dziewczynie, którą znalazłam w zaułku zaledwie kilka przecznic od tego miejsca, wezwana do jej nadal jeszcze ciepłego ciała przez Zee i resztę. Zerwali mnie z łóżka, żebym wyśledziła zabójcę. - Twój gatunek zostanie wymordowany, tak jak ludzie. Dla innych jesteś niczym. Nawet wasza Królowa tak mówi.

- Tropicielko... - zaczął, ale nie pozwoliłam mu skończyć.

Dobrze wiedziałam, co chce powiedzieć. Słyszałam to tysiące razy, od chwili gdy moja matka została zabita, i tysiące razy przed jej śmiercią.

Umrę. Nie dożyję starości. Świat się skończy.

Wszystko to prawda. Ale co mi tam. Od głosu zombie rozbolała mnie głowa. Bijący od niego kwaśny odór, gorący i szczypiący, sprawiał, że zbierało mi się na wymioty. Byłam zmęczona i zziębnięta aż po samą duszę. I jeszcze ta dziewczyna, która straciła życie bez żadnego powodu... umarła w bólach - tylko dlatego, że pasożyt zamieszkujący ciało tego człowieka chciał się nasycić jej cierpieniem. Nawet nie znałam jej imienia. Nie miała żadnych dokumentów, niczego. Stracona na zawsze.

I nie tylko ona. Świat jest duży. Zbyt wielu na nim drapieżców: ludzi, zombie i innych. I ja jedna. Koczownicza, wędrowiec od urodzenia. Osiadłam w tym mieście dłużej niż w jakimkolwiek innym. Opuszczałam poprzednie miejsca, żeby zachować choć pozór normalnego życia. Jasne. Normalnego.

Jeszcze mocniej przycisnęłam dłoń do czoła Archiego i cicho wysyczałam słowa; pradawne, wibrujące, od których przeszły mnie ciarki i ręce zapłonęły. Archie spał się i zaczął rządzić; jego aura nabrzmiewała, próbując mi uciec.

Bez szans. Demon był młody. Łatwy do egzorcyzmowania. Wyciągałam go, patrząc, jak widmowe, poskręcane ciało przeciska się przez otwarte usta żywiciela, niczym chmura trującego dymu. Archie opadł z sił, wtedy Raw i Aaz puścili jego nogi. Dek i Mai ześliznęli mi się po ramionach, żeby być bliżej

dłoni, drapiąc mnie drobnymi pazurami. A przy tym miękkimi, wysokimi głosikami nucili pod nosem *Social Disease Bon Jovi*.

Kiedy przezroczyście ciało pasożyta już opuściło ciało człowieka, uniosłam rękę - wrzeszcząca ciemność nadal przelewała mi się między palcami. Poczulałam też nagłe klucie na skórze, jakbym wsadziła dłoń w rękawiczkę z lodowato zimnych pokrzyw. Zee dał krok nad nieruchomym Archiem, a reszta chłopców wyciągnęła do mnie ostre jak żyłki szpony.

Oddałam im demona. Nie patrzyłam, jak go zjadają.

Uklękałam obok Archiego i sprawdziłam tętno. Było mocne i równomierne. Powieki mu zadrzały, ale leżał nieprzytomny. Szybko się od niego odsunęłam, wycierając spocone dłonie w dzinsy. Nie miałam pojęcia, jakim był człowiekiem, zanim został opętany, ale domyślałam się, że nie należał do najszcześniejszych. Demony nie wchodzi w pewnych siebie, zdrowych ludzi. Zbyt wiele zachodu. Brak rys, które można by wykorzystać.

Ale ten facet, Archie Limbaud, obudzi się jako morderca i nie będzie wiedział, że popełnił zbrodnię. Demony nie zostawiały żadnych wspomnień w ludzkich umysłach. Tylko chaos i zrujnowane życie. Znajomi i rodzina już nigdy nie będą patrzeć na ciebie tak samo.

- Maxine - sapnął Zee, ocierając usta wierzchem chropowatej dłoni. - Słońce wschodzi.

Wiedziałam. Czulałam słońce gdzieś nad czarną powłoką nieba i deszczu, wolno wypełzające na zasłonięty chmurami horyzont. Zostały mi najwyżej minuty.

- Budka telefoniczna - powiedziałam do Zee. Strzelił pazurami w stronę Rawa i Aaza grasujących po ocienionych obrzeżach parkingu. Znikali i wyłaniali się z cienia. Obaj, zwinni jak wilki, susami podbiegli do Zee i zaczęli coś do niego szeptać. Zee słuchał ich z przechyloną głową, potem wskazał kierunek.

Bez słowa odeszłam od Archiego. Nie spieszyłam się. Nie oglądałam za siebie. Trzonek noża wsunęłam we włosy, przysłuchiwałam się metalicznym zgrzytom. Mel pogryzł i połknął resztki narzędzia zbrodni. Mogłam je zostawić. Jako dowód.

Ale chciałam, żeby ten człowiek dostał drugą szansę. Chciałam, żeby się obudził, zdezorientowany i z amnezją, lecz bez ciężaru zbrodni. Nikt na coś takiego nie zasługuje -choć jakaś częśćka mnie uważała, że jego ręce są splamione krwią. Tak samo jak moje. Nie mogłam przestać wycierać ich w mokre dzinsy. Czulałam, jakby smród Archiego Lim-bauda wżarł mi się w ciało.

Wczesny poranek nadal był cichy; szara mgła łagodziła wygląd ulic i budynków, poszarpane, ostre kanty. Wdychałam wilgotne powietrze zadowolona, że mokre, poskręcane w loki kosmyki włosów oblepiają moje rozgrzane policzki. Chłopcy biegli w cieniu, zupełnie niewidoczni poza krótkimi chwilami, gdy w ciemnościach jarzyły się ich czerwone oczy. Cały czas myślałam o martwej

dziewczynie. I o matce. Ostrzegała mnie, zanim zginęła. Mówiła, że tak będzie. Ofiary, ciągle i wszędzie. A ja zawsze nie dość szybka. Zawsze spóźniona.

Budkę telefoniczną znalazłam dwie przecznice dalej. Zdemolowany relikwiarz pokryty graffiti. Wykręciłam 911 i zostawiłam krótką wiadomość - zamordowana, nastolatka, niedaleko stadionu Safeco Field - i się rozłączyłam. Wytarłam odciski palców ze słuchawki. Nie pomyślałam, żeby wcześniej włożyć rękawiczki. Nadal byłam w szoku. Chciałam wrócić do martwej dziewczyny, czekać przy jej ciele -jakby to coś zmieniło. Jakby mogło złagodzić ból i samotność jej śmierci.

Szłam jednak przed siebie, na zachód, w stronę Chinatown. Nikogo nie wiedziałam. Błyskały tylko światła przy odległym skrzyżowaniu. Dudnienie pociągów wydawało się głośniejsze, a powietrze ostrzejsze i nagle jakieś takie naelektryzowane. Jak gdyby wszyscy mieszkańcy miasta w jednej chwili otworzyli oczy, wybudzeni ze snu przenikliwym wyciem alarmu. Dek i Mai zaczęli nucić mi do ucha *Miłego dnia* Bon Jovi.

- Wam też życzę miłego dnia - rzuciłam chrapliwie, sięgając do włosów, żeby podrapać chłopców po plecach. - Do zobaczenia wieczorem.

Zatrzymałam się w cieniu, z dala od ulicy, a reszta chłopców wyłoniła się z mroku. Podbiegli do mnie, tulili się do moich nóg i ocierali policzkami o kolana. Lubili być pieszczeni. Wsunęłam palce pod ich ciepłe pyszczki, ciesząc się pomrukami zadowolenia małych demonów. Ich skóra parowała w deszczu.

Zee zerknął i pociągnął mnie za rękę, żebym uklękła. Potem bardzo delikatnie ujął moją twarz między pazury i spojrzał mi w oczy z pełnym smutku współczuciem. Aż mnie zapiekło w gardle.

- Maxine - szepnął ochryple. - Słodka Maxine. Niech twoje serce się nie martwi.

Zostały nam sekundy, nie więcej. Pocałowałam koniuszki swoich palców, po czym przytknęłam je do kościstego czoła Zee. Znowu pomyślałam o matce, z nagłym ukłuciem bólu w piersi. Ona też tak żegnała się z chłopcami przez wszystkie lata, kiedy do niej należeli. Dziś nie mogłam przestać jej wspominać.

- Dobrych snów. Śpijcie...

Nie skończyłam. Dostałam postrzał w głowę.

Tak po prostu. W prawą skroń. Bez większego hałasu. Siła pocisku wstrząsnęła moim ciałem. Umysł z przerażającą jasnością wzmagął odczucia, kiedy kula wwiercała się w czaszkę - rozdzierający napór małego, okrągłego przedmiotu, miażdżącego moje życie. Czułam to. Naprawdę to czułam. Moja głowa za sekundę wybuchnie jak arbuz. Nie było czasu na strach.

Ale w tej samej chwili - w ułamku sekundy między życiem a śmiercią - gdzieś za chmurami słońce dotknęło horyzontu...

...i chłopcy zniknęli na mojej skórze.

Kula odbiła się rykoszetem; odrzut rzucił mnie na ziemię jak szmacianą lalkę. Opadłam na ręce i kolana i tak zostałam, zdumiona i znieruchomiała. Nadal czułam strzał -wrażenie tak silne, że nie byłabym zaskoczona, gdyby się okazało, że kula nadal wwierca mi się w kość.

Dotknęłam głowy, tylko dla pewności. Wymacałam włosy i nienaruszoną skórę. Ani kropli krwi. Moje prawe ramię drżało, a tępy, pulsujący ból rozprzestrzenił się od zatok, przez skronie, aż do podstawy czaszki. Serce waliło tak mocno, że ledwo oddychałam. Widziałam jedynie chodnik i swoje dłonie.

Zmienione dłonie. Jeszcze przed chwilą były jasne i gładkie. Teraz każdy milimetr pokrywały tatuaże: obsydia-nowe, poskręcane cienie, łuski i srebrne mięśnie połyskujące delikatnymi żyłkami organicznego metalu. Paznokcie mieniły się jak czarne perły, tak ostre, że mogłabym wy-drapać dziurę w litej skale. Z nadgarstków wpatrywały się we mnie czerwone oczy. Raw i Aaz. Przymknęłam powieki, próbując wyrównać oddech, i poczułam pięć równoczesnych pociągnięć na skórze. Demony zamieszkujące moje ciało. Umysły i serca, i sny związane z moim życiem aż do momentu, gdy umrę.

Moi przyjaciele, moja rodzina. Moi niebezpieczni chłopcy.

Gdzieś w oddali usłyszałam zawroźnienie syren. Policja zjawiała się na wezwanie. Musiałam się podnieść. Spróbowałam i upadłam. Zazgrzytałam zębami i wbiłam paznokcie w beton. Znow spróbowałam.

Tym razem się udało. Zaczęłam iść. Potykałam się, ale nie upadałam. W głowie mi huczało. Zgięłam się wpół, nadal idąc - bałam się zatrzymać. Cały czas się krztusiłam. Miałam wrażenie, że żołądek zaraz wystrzeli mi przez gardło. A jednak ból głowy nagle osłabł.

Drżącą dłonią dotknęłam prawej skroni. Cieszyłam się, że skóra jest gładka, nienaruszona. I natychmiast się zdziwiłam, że żyję.

Strzelano do mnie już wcześniej. Często. Na okrągło. Nigdy nic nie czułam. Kule odbijały się ode mnie. Za dnia mogłaby we mnie uderzyć nawet bomba, a ja bym to przeżyła - bez jednego zadrapania. Co innego nocą, kiedy chłopcy odrywają się od mojego ciała, ale nigdy nie wątpiłam w ich zdolność utrzymywania mnie przy życiu.

Jednak nikt - nikt - nie wpadł do tej pory na pomysł ani też nie miał aż tyle odwagi, żeby spróbować zabić mnie w momencie, gdy noc przechodzi w dzień, w chwili mojej transformacji ze śmiertelnika w istotę nieśmiertelną.

Niemal doskonale wycucie czasu. Odrobinę wcześniej, a chłopcy dopadliby strzelca, zanim zdążyłby nacisnąć na spust. Odrobinę później, a byłabym niezniszczalna. I dokładnie to się wydarzyło. Uratował mnie ułamek sekundy.

Cholernie mało brakowało. Rozejrzałam się po mrocznej okolicy, ale niczego nie zobaczyłam poza magazynami, ciemnymi oknami i od północy blaskiem centrum Seattle -zamrożone światła miasta podobne do znieruchomiałych robaczków świętojańskich. Nic, co wzbudzałoby niepokój.

Żadnego strzelca wymachującego flagą. Ale czułam, że jestem obserwowana. Ktoś czaił się gdzieś tam w ciemności. W oddali, inaczej chłopcy wyczuliby jego obecność na długo przed atakiem.

Zombie, pomyślałam. To musiał być zombie. Nie znałam nikogo innego, kto chciałby mnie skrzywdzić.

- Omal nie umarłaś - powiedziałam na głos, pragnąc usłyszeć te słowa, usłyszeć samą siebie, jakbym potrzebowała jakiegoś dowodu na to, że żyję.

Maxine Kiss. Niemal zabita, dokładnie jak matka - kulą w głowę.

Do niej też strzelali zombie. Ale to było co innego. Na nią przyszedł czas.

Rozdział 2

Do schroniska wracałam pół godziny. Ale spacer dobrze mi zrobił, bo gdy stanęłam przed wahadłowymi drzwiami kuchni przytułku, przestałam się już trząść i ustały te napady słabości w kolanach i rękach. Jednak nadal czułam, jak kula wdiera się w moją czaszkę. No i nie mogłam pozbyć się całkowitego przekonania, że ktokolwiek do mnie strzelał, doskonale wie, gdzie mieszkam. A więc wie też, na kim mi zależy.

Najlepiej, żeby już zapadła noc.

Niebo pojaśniało, odsłaniając płachtę chmur. Nadal było ponuro. Mocniej padało. Mimo to byłam zupełnie sucha. Chłopcom nawet podczas snu dopisywał apetyt. Łykali, co się da, wodę ściekającą z moich ubrań i włosów też wchłaniali natychmiast. Miałam nadzieję, że nikt nie będzie się zbytnio zastanawiał, jakim cudem jestem sucha, podczas gdy każdy, kto wchodzi do schroniska, wygląda, jakby przez tydzień moczo go w beczce z marynowanymi śledziami.

Na tym właśnie polega kłopot z tajemnicami. Zawsze możesz na czymś się potknąć. Zwłaszcza jeśli zbyt długo przebywasz w tym samym miejscu.

Schronisko ciągnęło się od przecznicy do przecznicy; było to skupisko odnowionych magazynów, tworzących centrum dla bezdomnych. Zapewniało im dach nad głową, posiłek i kilka innych usług. Utrzymywało się z dotacji firmowych i prywatnych, ale nie aż tak znaczących, aby nazwać pokoje czyimś nazwiskiem lub rozdawać złote gwiazdy. Większość rachunków opłacał jeden człowiek, Grant Cooperon - co zresztą bardzo mu odpowiadało, bo niezależność nie ma ceny.

W powietrzu unosiły się skrzeczące mewy. Na tyłach stało mnóstwo ciężarówek, białych, bez żadnych napisów. W nocy schronisko wysyłało je w miasto, żeby z miejscowych piekarni i sklepów spożywczych pozbierały jedzenie, które w przeciwnym razie wylądowałoby na śmietniku. Zobaczyłam kosze z pączkami i pieczywem. Ktoś wwoził na wózku do kuchni kilka skrzyń pomarańczy. Jedna z nowych wolontariuszek, dziewczyna z blond dreadami sterczącymi spod jutowej czapki, szła przede mną, uginając się pod ciężarem piętujących się w jej rękach pojemników z mlekiem.

Zabrałam od niej dwa z nich, krótko skinęłam głową w odpowiedzi na pełen zaskoczenia okrzyk wdzięczności i szłam dalej. Rękawiczki znów zakrywały mi dłonie. Golf zasłaniał górną część ciała. Nie miałam zbyt dużo ubrań i, poza nielicznymi wyjątkami, nigdy nie pokazywałam swoich tatuaży. Wzbudzały ciekawość, a to mogło przysporzyć problemów. Zresztą chłopcy znikali z mojego ciała o zmierzchu i nigdy nie spali dwa razy w tym samym miejscu.

Czułam ich na sobie - pod włosami, między palcami u nóg, w okolicach intymnych. Jedyne twarzy nie chronili regularnie - ich jedyne ustępstwo na rzecz mojej próżności - choć kawałek małego tatuowanego ciała wił się tuż pod uchem i lekko wychodził na szczękę. Błysk ciemnej łuski, srebrzyste migotanie ogonka Deka. Wystawał tylko na tyle, żeby zakryć moją jedyną bliznę.

W kuchni wrzało. Na poplamionych żółtych ścianach wisiały dziwaczne zegary w kształcie kotów i kalendarze wokół białej ścieralnej tablicy z grafikami na dany dzień, którą ktoś regularnie dekorował rysunkami róż. Tłuszcz skwierczał, przesączaając powietrze zapachem bekonu i smażonych jajek. Trzeszczało radio; spiker niskim głosem i lekko ironicznym tonem przekazywał prognozę pogody: deszcz, deszcz i jeszcze więcej deszczu, z przerwami nocą - być może - i okazją do popatrzenia na księżyc. Wszędzie wokół mnie ludzie, w większości kobiety, yuppie i hipisi. W tłoku. Objęli się jedni o drugich - zderzenie perel z jutą, kaszmiru z flanelą, mokasynów z kłapkami. Atmosfera nieskrępowania i swobody mimo wszystko wydawała się pretensjonalna. Seattle ma to do siebie.

Przez chwilę stałam, wchłaniając w siebie ten widok, słuchając śmiechów i okrzyków, brzęku naczyń, pisku gumowych podeszew na terakocie. Odgłosy pracy, ludzi zajętych swoimi zadaniami. Lubiłam to. Było domowo. Orzeźwiająco normalnie. Za dnia nie odczuwałam temperatury, ale dźwięki dobrego życia rozgrzewały mnie od środka w sposób, w jaki słońce nigdy nie dałoby rady.

Właśnie o to walczysz, powiedziałam sobie w duchu. O te wszystkie piękne chwile w życiu.

Odstawiłam pojemniki z mlekiem na ladę ze stali nierdzewnej, obok toreb z zamrożonymi borówkami, zostawionymi tu, żeby odmarzły. W zasięgu ręki leżały muffinki, sięgnęłam więc po jedną i ugryzłam kawałek. Bananowa z orzechami. Bardzo smaczna. Nagle poczułam się okropnie głodna. Miałam sporo ciała do wykarmienia i, biorąc pod uwagę to, jak zaczął się ten dzień, możliwe, że następną okazją, żeby coś przegryźć, nie trafi mi się szybko. A kiedy spadał mi poziom cukru we krwi, stawałam się nieprzyjemna. Cholernie nieprzyjemna.

- Spóźniłaś się - usłyszałam cichy głos z prawej strony. To nie był wyrzut, tylko stwierdzenie.
- Pięć minut - odparłam, opierając się o ladę. Czubkiem zniszczonego, brudnego kowbojskiego buta trąciłam równie brudną tenisówkę. - Przepraszam.
- Nie ma sprawy. Wiedziałem, że przyjdiesz. - Ten sam rzeczowy ton. Pełen zaufania. Rzadki komplement, zaskakujący.

Moje serce wykonało małą śmieszoną woltę. Matka nie byłaby z tego zadowolona.

Stojący przed mną chłopak miał nie więcej niż piętnaście lat. Byron. Bez nazwiska. Może nawet i imię nie było prawdziwe. Zagadka, pod wieloma względami. Chudy jak patyk, z ciemnymi, nastroszonymi włosami wokół bladej, drobnej twarzy. Twardy, słodki dzieciak w taki cichy sposób, którego ludzie nie doceniają. Żadnego puszenia się, przymi-lania - po prostu siła charakteru wykuta z czystej inteligencji. Żył na ulicy, był wykorzystywany, a teraz w końcu próbował przyzwyczać się, że ma dach nad głową. Regularne posiłki. Papier toaletowy. Zamek w drzwiach.

Dżinsy i luźna koszula z długimi rękawami, postrzępionymi przy mankietach otaczających chude nadgarstki. Na wierzch zarzucił poplamiony biały fartuch z rysunkami wielkich czerwonych ust, jakby jakaś olbrzymka z mocno umalowanymi wargami porządnie go wycalowała. Byron nienawidził tego fartucha, jak nienawidziłby go każdy szanujący się nastolatek. Rzecz w tym, że reszta obsługi kuchni uwielbiała, kiedy go wkładał, więc chłopak, zaskakująco uprzejmy - lub słusznie przerażony perspektywą, że musiałby się sprzeciwić armii kobiet - nie protestował.

Trzymał zwiniętą gazetę, którą po chwili rozłożył na ladzie. Nie zauważyłam niczego ciekawego, poza jednym krótkim tekstem z nagłówkiem: *Potwór czy oszust? Widziany w Paryżu.*

Pochyliłam się nad gazetą, zbyt wyczulona na dziwaczne informacje, żeby ot tak je zlekceważyć. Ale w artykule pisali tylko - z całkowitym niedowierzaniem - że jakaś kobieta twierdziła, iż została ugryziona przez zarośniętego mężczyznę o bardzo długich i spiczastych zębach, który potem gorąco ją przeproszał i uciekł, zanosząc się płaczem. Nie nazwałabym tego oznaką demonicznej działalności.

Uniosłam brwi.

- Wspominałam ci już, żebyś unikał zarośniętych nieznajomych?

- A konkretnie, co oznacza zarośnięty? - spytał Byron z lekkim, rzadkim u niego uśmiechem.

Sama też niemal się uśmiechnęłam.

- No więc jak, skończyłeś to, co miałeś zrobić? - zmieniłam temat i znów nadgryzłam muffinkę.

Patrząc na Byrona, starałam się nie myśleć o zabitej dziewczynie. Była w jego wieku. To on mógł leżeć martwy w jakiejś ciemnej uliczce. Zaczynałam żałować, że wypuściłam z rąk Archiego Limbauda, bo choć zabiłam demona odpowiedzialnego za śmierć dziewczyny, to jakoś mimo wszystko nie wydawało mi się to wystarczające.

Nigdy nie obwiniaj żywicieli, szeptała pamięć mojej matki. Nawet za ich słabość, przez którą demony mają do nich dostęp. Wszyscy jesteśmy słabi, kochanie. Tylko każdy na swój sposób.

Byron zmarszczył czoło.

- Matkę czy Schopenhauera?

Nabrałam głęboko powietrza i podałam mu muffinkę.

- Jedno i drugie.

Obgryzionym brudnym paznokciem dotknął papierowej osłony na ciastku.

- To, czego nie wiedziałem z algebry, zostawiłem na biurku Granta. I przeczytałem fragmenty, które mi zakreśliłaś.

- I?

- I nie jestem na studiach - obruszył się, mimo że brzmiał jak ktoś starszy i dojrzały od większości studentów, u których jeszcze tak niedawno zebrał o pieniądze. - Niemieccy filozofowie gadają jakieś głupoty.

- Spryciarz - mruknęłam. Wiedziałam, że dokręcę mu śrubę, ale wiedziałam, że to zniesie. -

Opowiedz, co przeczytałeś.

Potał nos.

- Takie tam. Że rzeczywistość to iluzja. Że chodzi o pragnienie, instynkt.

- Dobrze. - Zgniotłam opakowanie od muffinki i wrzuciłam do kosza. - Zastanów się nad tym i napisz rozprawkę, czy się z tym zgadzasz i dlaczego. Na jutro.

Byron zamarł z ciastkiem przy ustach.

- Wczoraj zadałaś mi lekcje z historii. I jeszcze więcej z matmy.

Potargałam go po włosach.

- No i?

Każdy inny dzieciak odpowiedziałby jakąś złośliwością, przewróciłby oczyma albo w jakikolwiek inny sposób wyraziłby sprzeciw, ale Byron nie był jak większość nastolatków. Przyglądał się mi z poważnym namysłem, aż twarz mu się postarzała - od chłopca do mężczyzny i do mądrego starca - choć tak naprawdę to stare były przede wszystkim jego oczy, jakby duszę obciążały tysiące lat istnienia.

Nadszedł ten moment, pomyślałam, wpatrzona w te oczy. Teraz zapyta, dlaczego tak się nim przejmuję.

Ale nie zapytał. Nadgryzł muffinkę i powoli skinął głową.

- Na jutro - powiedział, nadal przeżuając ciastko, i spojrzał za mnie.

Obejrzałam się przez ramię. Dziewczyna z dredami, która wcześniej niosła mleko, stała pogrążona w rozmowie z jedną ze starszych wolontariuszek w szortach i rozdeptanych sandałach. Ubierała się tak zawsze, bez względu na pogodę.

Kobiety gapily się na mnie. Młodsza wzdrygnęła się z wyraźnym poczuciem winy, gdy zauważyła, że na nią patrzę, ale druga - chyba o imieniu Doreen - nie odwróciła wzroku, tylko nadal mi się przyglądała z ponurym wyrazem twarzy.

- Niech no zgadnę - zwróciłam się do Byrona. - Coś przeszkrobałam.

- Ona uważa, że jesteś niebezpieczna - odparł bez ogródek. - Tak mi powiedziała. Ostrzegła, żebym trzymał się od ciebie z daleka.

Zacisnęłam zęby i umyślnie uśmiechnęłam się do tamtej kobiety.

- I oczywiście posłuchałeś.

Posłałam naprawdę paskudny uśmiech. Doreen w końcu spuściła głowę i zajęła się rozpakowywaniem kartonów z płatkami śniadaniowymi.

- Ona o niczym nie wie - dodał Byron. - Poza tym, że sypiasz z Grantem. I że ją przerażasz.

- To też ci powiedziała?

- Nie. Ale przy tobie wiele osób czuje się niepewnie. Spojrzałam na niego ostro.

- Ty też?

- Ja czuję się bezpiecznie - zapewnił bez wahania i w końcu w jego głosie pojawił się cień buntu.

Podbródek lekko się unioś, w oczach zamigotał błysk.

Serce mi się ścisnęło i znów pomyślałam o matce. To niebezpieczne, powiedziałyby. Wystawiasz siebie i innych na niebezpieczeństwo. Nasz ród nie został stworzony po to, aby zapuszczać korzenie. Ani żeby się zaprzyjaźniać. Ani kochać.

Ale ja nie byłam swoją matką. Byłam frajerką. Idiotką. Kierowałam się wolną wolą - czy to mi wychodziło na dobre, czy na złe.

- To dobrze. - Tylko na tyle mogłam się zdobyć. - Trzymaj się blisko schroniska przez następnych kilka dni. Jeśli będziesz chciał gdzieś iść, najpierw zgłoś się do mnie. Albo odszukaj Granta. Ale nie chodź nigdzie sam. Zrozumiałeś?

Byron zmarszczył czoło.

- Nie. Dlaczego?

Bo dziś ktoś do mnie strzelał i może wiedzieć, że jesteś moim czułym punktem, pomyślałam, ale powiedziałam jedynie:

- Dewianci.

- Dewianci - powtórzył, patrząc na mnie przenikliwie. - Jasne.

Poklepałam go po ramieniu i odwróciłam się, żeby jeszcze raz spojrzeć na Doreen. I na resztę ludzi w kuchni. Pozwoliłam im patrzeć na mnie ukradkowo, kątem oka. Przez pół roku nie odpowiadałam na osobiste pytania - tak jak Grant - więc plotki i domysły stały się moją mitologią i tajemnicą: kobieta żyjąca z facetem, który zarządza przytułkiem. Cicha, niebezpieczna. Od czasu do czasu używa przemocy. Zdarza się, że ci, co przychodzą do schroniska, źle się zachowują. Wtedy pomagam. I choć nigdy nie zostawałam w jednym miejscu na tyle długo, żeby zyskać sobie reputację, teraz ją miałam.

Byłam za ochronę. Miałam mocny prawy prosty. Sokoli wzrok. Kobieta zredukowana do określeń, wszystkie dobrze dobrane i dopasowane - tak jak tylko półprawdy mogą być dopasowane.

Znów zerknęłam na Doreen i uderzyła we mnie fala osamotnienia tak silna, że zapragnęłam uciec - do dawnej samotności. Łatwiej mi się żyło w pojedynkę niż teraz. Nie potrafiłam radzić sobie z plotkami i złymi opiniami. I nigdy nie przypuszczałam, że znajdę się w sytuacji, w której się okaże, że będę się tym przejmowała.

I nadal się nie przejmowałam. Nie mogłam. Nie powinnam.

Odszukałam wzrokiem Byrona. Stał już po drugiej stronie kuchni z innymi z obsługi. Nakładał placki ziemniaczane, tak jak dwie starsze wolontariuszki po jego bokach. Głowę miał schyloną - podnosił ją tylko, gdy podawał tace kobietom. Na mężczyzn nie patrzył. Unikał mężczyzn. Poza Grantem.

Chłopcy poruszyli się na mojej skórze: śniło się im coś złego, czuli jakiś niepokój. Nagle, dość ostre szarpnięcie między piersiami popchnęło mnie do przodu, w stronę kolejki po jedzenie. Ale nie do Byrona. Chodziło o coś innego. Ruszyłam przed siebie, wymijając stoły i wolontariuszy. Zajrzałam z kuchni do stołówki. Niewiele zobaczyłam. Głównie sam środek pomieszczenia za podwójnymi wahadłowymi drzwiami.

Ale to wystarczyło, bo chwilę później do stołówki wszedł jakiś facet.

Nie zombie. Ale i tak całe ciało zaczęło mnie mrowić - dosłownie - a chłopcy, chociaż spali, wpadli w furję. Gwałtownie ruchy ich wytatuowanych ciał odczuwałam tak, jakbym miała bąbelki we krwi, które pękały tuż pod powierzchnią skóry. Potarłam ramiona, żeby ich uspokoić, ale oni nadal się wściekali. Chcieli zabić przybysza.

Nie wyglądał przeciętnie. Wysoki, patykowaty, z pociągłą, śmiertelnie bladą twarzą, nie licząc dwóch czerwonych plam wysoko na policzkach. Czoło lśniło mu od potu, chociaż na zewnątrz było tylko pięć stopni. Poruszał się tak sztywno, że skojarzył mi się z gwoździem. Ksiądz. Czarne spodnie, czarna koszula, mały biały skrawek koloratki wystający spod rozpiętej czarnej wiatrówki.

Nie powinno to mieć żadnego znaczenia, a jednak miało. Niecałą godzinę wcześniej ktoś chciał mnie zamordować, a teraz w przytułku pojawia się ksiądz, którego moi chłopcy najchętniej by zabili. Nie

podobał mi się ten zbieg okoliczności - nawet jeśli moje podejrzania były bez sensu. Poklepałam Byrona po ramieniu.

- Idź, sprowadź tu Granta, dobrze?

Spojrzał na mnie oczyma ciemnymi jak węgiel i starymi. Bardzo starymi.

- Z powodu tego księdza? Potrafił mnie zaskoczyć.

- Bystrzak z ciebie. Nawet nie mrugnął.

- Nie podoba mi się - stwierdził.

Uśmiechanie się nigdy nie przychodziło mi naturalnie, mimo to teraz moje usta lekko zadrżały.

- Nie tylko bystrzak, ale wręcz geniusz. Idź po Granta. Schylił głowę, szturchnął wolontariuszkę stojącą obok

i oddał jej łyżkę do nakładania jedzenia, zanim opuścił swoje stanowisko. Odwiesił fartuch na haczyk przy drzwiach kuchni i wyszedł. Szybki, skuteczny. Dobry w niezadawaniu pytań.

Znowu spojrzałam w stronę księdza. Zdążył już wejść w głąb stołówki i teraz odwracał się powoli, przeszukując wzrokiem tłum. Przyglądali mu się zombie. Trzech zagubionych między ludźmi. Z ciemnymi, niemrawymi aurami nad głowami. Dwóch mężczyzn i jedna kobieta w burchach, postrzępionych płaszczach i wełnianych czapkach. Zimowe ubrania na chłodną zimę w Seattle.

Zawsze mnie to zdumiewało, że ludzie mogą być aż tak ślepi na otaczające ich zagrożenia. Siedzieli obok zombie, ramię w ramię, umilając sobie czas rozmową, i nic.

Ale ja wiedziałam. Gapiłam się prosto na nich. Tylko jeden spojrzał mi w oczy. Krótko. Wystraszony. Błady. Nogi mu drżały pod stołem. Nie odwróciłam wzroku. Podobał mi się jego lęk. Smakował jak ciepła krew, a chłopcy nigdy nie tracili ochoty na tłuste demony: karłowatych złodziei; twórców zombie, pasożyty. Podstępni najeźdźcy. Dryfowali na peryferiach umysłu człowieka, wypatrywali słabości, gorących żniw.

Demony powodowały cierpienie. Karmiły się cierpieniem, bo to nic innego jak kolejna forma energii: ciemna emanacja. Demony szeptały do ucha duszy, zamieniając babcię w morderczynię, nieśmiałyh nastolatków w gwałcicieli, ludzi pokroju Archiego Limbauda w sadystów. Wszyscy oni, zombie. Ludzkie skorupy zamieszkałe przez kreatury żywiące się różnymi rodzajami bólu, nieustannie rozrastającą się rozpaczą.

Z dużą wprawą zabiłam pasożyty. Musiałam. Nikt inny by się tym nie zajął. Mało kto wiedział o ich istnieniu. Byłam ostatnią ze Strażniczek, z rodu stworzonego, by walczyć z armią demonów. Najgorsze z nich zostały zamknięte za Zastoną: w wielopoziomowym Więzieniu, unoszącym się w czasie i przestrzeni. Jego mury niedługo mogły się rozpaść.

Kiedy do tego dojdzie, świat się skończy. Dziesięć tysięcy lat spokoju rozbije się na miliony cząstek.

Ale nie tutaj, w tym przytułku dla bezdomnych, sanktuarium dla demonów. Ponieważ złożyłam obietnicę.

Wyszłam z kuchni bocznymi drzwiami prowadzącymi bezpośrednio do stołówki. Ksiądz stał do mnie plecami. Idąc w jego kierunku, wsłuchiwałam się w miękki pomruk rozmów, przez który przebijały się z interkomu dźwięki *South Pacific*. Jeden z wolontariuszy był w Nowym Jorku na wznowieniu tego musicalu w Lincoln Center i od tej pory muzyka i *South Pacific* stały się jego obsesją. Szłam w żwawy rytm piosenki Mitzi Gaynor - śpiewała o tym, że zmyje sobie mężczyzn z głowy, i nawet z nią sympatyzowałam. Przynajmniej jeśli chodzi o księdza.

Odwrócił się, kiedy do niego dotarłam. Bliskość nie poprawiła moich przeczuc co do niego. Był ode mnie wyższy i, o ile to możliwe, chudszy. Ciemne ubranie, blada, niemal przezroczysta twarz zroszona potem i kasztanowe, suche włosy tylko uwydatniały kościstą budowę ciała. Poliki miał zaczerwienione i to wyglądało tak, jakby nabrał na palce róży i mocno wtarł go sobie w skórę.

Przechylił głowę, a na jego ustach pojawił się lekki nieśmiały uśmiech. Łypnął na mnie oczami nabiegłymi krwią.

- Witam - powiedział z włoskim akcentem. Nerwowy tik na twarzy i szybkie trzepotanie powiek. Ale głos spokojny.

Gość patrzył na mnie tak, jakbyśmy się znali, co mnie wprawiło w zakłopotanie, a nawet przyprawiło o mdłości, jak gdyby ten tik to była kołysząca się łódź.

- Czym mogę służyć? - Staralam się zachować spokój, chociaż Zee miotał się między moimi piersiami. Dek i Mai ciągnęli skórę pod włosami. Drgali jak wąsy przy rybim pyszczku. A Raw i Aaz parzyli mnie w ręce, wrząc ze wzburzenia. Coś było nie tak. Działo się coś bardzo złego.

Mężczyzna nie odpowiedział od razu. Wytrzymał moje spojrzenie bez mrugnięcia powieką, jakby nie był księdzem, tylko jakimś duchowym naukowcem, który rozkłada moją duszę na części, tnąc z delikatną, śmiertelną precyzją. Szybka, zimna analiza i tak jak w przypadku głosu ostro kontrastująca z kroplami potu na czole i niepokojem czającym się w całej postawie. To tylko maska, pomyślałam. Albo symptom.

- Szukam kogoś - wyjaśnił z dziwnie śmiertelną powagą. - Właściciela tego miejsca.

Wcale się nie dziwiłam. Ale chciałam skłamać, zachować się złośliwie. Popęłniłam jednak okropny błąd, że posłałam po Granta. Czuałam to w trzewiach, jakbym miała tam niestrawny posiłek zmieniający się w żółć.

Za późno. Usłyszałam charakterystyczny stukot. Najpierw słaby, potem głośniejszy, przypominający bicie serca. Znajomy jak bicie serc chłopców pulsujących gorąco na mojej skórze.

Grant pchnął wahadłowe drzwi i, opierając się ciężko na swojej dębowej lasce, wszedł do stołówki. I nagle jakbym znalazła się w saloonie na Dzikim Zachodzie - rozmowy ucichły, krzesła zaskrzypiały, gdy mężczyźni i kobiety odwrócili się w stronę drzwi. Odczułam siłę tego masowego spojrzenia - przypominało żywą broń - i ogarnął mnie ten sam niepokój, który się pojawia za każdym razem, gdy staję oko w oko ze śmiercią. Powinnam się już do tego przyzwyczaić. Grant tak właśnie działał na ludzi.

Również na demony. Spojrzałam na trzech zombie i dostrzegłam uwielbienie w ich oczach, oddanie, jakiego mogłabym się spodziewać u parafian modlących się do krzyża. Nawet ich aury się uspokajały w obecności Granta. Krwiożercze natury łagodniały.

Nienaturalne. Budzące lęk. Ja walczyłam z demonami. Uśmiercałam je, bo uczono mnie, że są groźne - i takie były. Zabijałam bez wyrzutów sumienia, ponieważ uważałam, że one same go nie posiadają; beznadziejne istoty, mniej znaczące niż pchła czy kleszcz. Nadal w to wierzyłam. Nawet po lak długim czasie nie umiałam połączyć Archiech Limbaudów lego świata z tymi kreaturami, które jednak przychodziły do przytułku z własnej woli, żeby się zmienić w coś... lepszego. Grant wszystko komplikował.

Był wysoki, z muskularnymi, szerokimi ramionami, prężącymi się pod miękką flanelową koszulą wyblakłą do koloru jasnej zieleni. Niedawno przycięte, ale nadal zmierzwiłone włosy świetnie kontrastowały z wyrazistymi rysami Iwarzy i zmarszczkami w kącikach oczu i ust.

Pierś przecinał mu pasek od futerału na flet, którego wypolerowana końcówka wystawała zza pleców; nowy instrument, własnoręcznie wyrzeźbiony przez Granta. Wydawał żaloszny, gardłowy dźwięk. Takiej muzyki wolałabym słuchać w jakiejś kapliczce w lesie, z dala od miasta, za to w pobliżu morza. Muzyka świtu. Srebrzysta, miękka jak mgła unosząca się nad morskimi falami. Te dźwięki były częścią duszy i ciała Granta, i jego oczu; pierwotnych, nieziemskich, przenikliwych jak u wilka.

Piękny mężczyzna. Mój mężczyzna.

Grant zauważył najpierw mnie. Zawsze dostrzegał najpierw mnie, nieważne gdzie, nieważne jak gęsty otaczał mnie tłum - a ja miałam wrażenie, jakby ktoś dotykał moich odsłoniętych nerwów: ktoś mnie dostrzegał, znał. Znał naprawdę, bez sekretów. To zbyt nowe odczucie, żebym odbierała je naturalnie. Całe życie byłam cieniem. I sądziłam, że umrę jako cień. Nikt nie będzie mnie pamiętał oprócz chłopców i, jeśli dopisałoby mi szczęście, córki.

Ksiądz na widok Granta nabrał głęboko powietrza. Głośno, dramatycznie. Nawet się przestraszyłam, że zaraz zemdleje, ale jego twarz nie zdradzała żadnych oznak słabości. Miał mocno zaciśniętą szczękę, usta wąskie i pobladłe, a plamy na policzkach z czerwonych zrobiły się różowawe - teraz przypominały dwie gojące się pręgi.

Z oczu Granta zniknęło całe ciepło, jakby wstępowała w niego śmierć, a przybysz ksiądz był wycelowaną w niego bronią, żmiją, grudą szlamu. Paskudną i zdraziecką. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby Grant na kogoś tak patrzył, i wołałabym, żeby to nie stało się jego nawykiem. Był delikatny. Delikatny i niebezpieczny.

Ksiądz stał przed nim nieruchomo jak skała. Mierzyli się spojrzeniami. Ludzie przy stolikach, którzy wrócili do jedzenia, znów podnieśli głowy. Przez wahadłowe drzwi do stołówki zajrzał Byron i zaraz zniknął. Podeszłam bliżej do Granta i zerknęłam na faceta w koloratce. Dostrzegłam zimny, przeszywający uśmiech.

- Ojcie Cooperon - odezwał się cierpkim głosem. - *Un pezzo che non ci si vede.*

Spojrzenie Granta pozostało niezmienione.

- Nie żałuję, Antony.

Uśmiech księdza przybladł, w oczach pojawiły się mroczne cienie.

- Ach tak.

Dotknęłam ramienia Granta.

- Powinniśmy przenieść się z tą rozmową gdzie indziej. Grant złapał mnie za rękę. Mimo rękawiczki dotarło do

mnie przyjemne ciepło jego dłoni. Kiedy chłopcy spali, moja skóra niczego nie czuła - nawet powiewu wiatru, kropel deszczu czy promieni słonecznych - ale ciepło Granta przenikało przez tatuaże. Chłopcy go lubili.

Wzrok księdza zsunął się na nasze połączone dłonie. Klecha sprawiał wrażenie nieszczęśliwego. Może zdegustowanego. Albo zazdrosnego. Z doświadczenia wiedziałam, że te emocje niewiele się między sobą różnią.

Grant nie odwrócił się do niego plecami. Odsunął się na bok, ruchem brody wskazał drzwi. Knykcie palców u ręki obejmującej główkę laski były białe. Druga dłoń mocno zaciskała się na mojej. Ucisnęłam ją raz, nie odrywając oczu od księdza, który przeszedł obok nas ze zwieszonymi, przygarbionymi ramionami. Pachniał drożdżami i woskiem.

Grant ruszył za nim, ale go zatrzymałam.

- Co się dzieje, do cholery? - spytałam szeptem, wspinając się na palce.

- Nie mam pojęcia - odszepnął i mocno przytulił mnie do siebie. - Ale to jest człowiek, który próbował przekonać Kościół o tym, że powinienem zostać zgładzony.

Rozdział 3

Szliśmy do biura Granta zatłoczonym korytarzem. Na ścianach wisiały tablice ogłoszeniowe między oprawionymi w ramki plakatami: *Charade* obok ogłoszeń o wolnych miejscach pracy, *Poszukiwacze zaginionej Arki* tuż przy najnowszych zawiadomieniach o zajęciach w szkole wieczorowej i tanich pokojach do wynajęcia. Rozpoznałam twarze kilku osób wczytujących się w pomięte karteczki przy-czepione pinezkami do tablicy. Byli to głównie mężczyźni w ciuchach mniej lub bardziej wygodnych, mniej lub bardziej czystych - i bez cienia demonicznej aury nad głowami.

Wszyscy się rozstępowali, żeby przepuścić utykającego Granta. Przyglądałam się twarzom, poszukując na nich wyrazu niechęci, oznak strachu. Niczego takiego nie spostrzegłam. Widziałam tylko szacunek i pewną czujność. A także uznanie. Grant poruszał się między mieszkańcami przytułku ze swobodną pewnością siebie, mrużąc powitania, klepiąc ludzi po ramionach. Rozsiewał po drodze okruchy łaski - sprowadzał blask i ożywienie do matowych, zmęczonych oczu. A w moich chłopcach swoim melodyjnym głosem wywoływał lekkie drżenie.

Były ojciec Cooperon. Czyniący cuda.

Szłam obok duchownego. Zdawało się, że nie zauważa ludzi wokół ani zaciekawionych spojrzeń. Był skupiony na Grancie. I na mnie. Zee i reszta chłopców kotłowali się we śnie, rozpalając moją skórę do czerwoności. Jeszcze dziesięć godzin do zmierzchu, a oni już wyrwali się na łowy.

- A pani nazywa się... - Ksiądz zerknął na mnie.

- Annie. - Podałam imię, którego używałam w schronisku przez ostatnich sześć miesięcy.

Uwielbiałam film *Speed*, a poza tym imię Annie brzmiało radośnie i niegroźnie. Zupełne przeciwieństwo mnie.

Moje prawdziwe nazwisko i imię znało tylko kilka osób, w tym dwóch policjantów - prawdopodobnie wprowadzili już te dane do komputera albo do jakichś paskudnych akt. Mało mnie to obchodziło, chociaż nadal trzymałam się pseudonimu. Stare nawyki trudno zmienić.

- Annie - powtórzył ksiądz takim tonem, jakby nie do końca mi wierzył. Jego policzek znowu zadrgał. - Możesz mi mówić ojciec Cribari.

Zabrzmiało to lodowato i kojarzyło się cyrkowymi kłownami, którzy zonglują nożami i mają namalowane sztuczne łyzy. Omal nie powiedziałam tego na głos. Powstrzymałam się, ale twarz na pewno mnie zdradziła. Nie byłam dobrą aktorką. Cribari lekko się skrzywił, a jego oczy wypełniły się ciemną,

pełną rozbawienia pogardą, niepokojąco przenikliwą. Wytarł spocone czoło wierzchem bladej kościstej dłoni.

- Grant, gdzieś ty znalazł tę dziewczynę? - zapytał. Grant zwolnił kroku i obejrzał się przez ramię. Spojrzał

najpierw na mnie, potem przeniósł wzrok na księdza.

- Ona cię nie interesuje, Antony.

- Mnie nie - zgodził się ojciec Cribari. - Ale widzę, że ciebie bardzo.

Klecha najwyraźniej był poirytowany, miał napięty głos, mimo że niby żartował. Rywalizacja. Między eks-księdzem a tym, który nadal służył Kościołowi. Paradoksalna i nawet zabawna sytuacja. Choć Grant nawet w najmniejszym stopniu tak tego nie odbierał. W jego oczach płonęła wściekłość. Dłoń odruchowo sięgnęła do wiszącego na plecach fletu.

Zatrzymał się tak niespodziewanie, że prawie na niego wpadliśmy. Pochylił się do ojca Cribari.

- Spróbuj ją w coś wplątać, Antony... - powiedział opanowanym głosem.

- ...a zakończysz to, co kiedyś zaczęliśmy - wtrącił ksiądz równie spokojnie. - Tak, wiem. Ale nie po to tutaj przyszedłem.

- Jesteś tylko posłańcem. - W cichym głosie Granta pojawiła się jakaś przerażająca nuta, aż ciarki przebiegły mi po plecach.

Uważaj, pomyślałam. Uważaj na granice, których nie wolno ci przekroczyć.

Ale Grant tylko złapał mnie za rękę, przyciągnął blisko i, utykając, znów ruszył przed siebie. Wtuliłam się w jego ramię, a on objął mnie w pasie. Ojciec Cribari z ociąganiem poszedł za nami.

- A już chciałam z nim uciekać - szepnęłam. Na usta Granta wypłynął ponury uśmiech.

- Spróbuj, ale ja i tak cię ściągnę z powrotem. Dotarliśmy do biura na początku długiego korytarza.

Każdą ścianę pokrywały malowane kwiaty, trzmielce i syrenki: dzieło dzieci z przedszkola.

Znajdowało się po drugiej stronie głównego skrzydła, z dala od krążących po przytułku dorosłych. Słyszałam śmiechy - wysokie, słodkie, nieskrępowane - a w tle nosowe głosy postaci z kreskówek, i bardziej współczesnych, innych niż za moich czasów. *Tom i Jerry* już wyszli z mody.

Przy drzwiach biura stała stara kobieta przypominająca stracha na wróble. Siwe włosy sterczały jej na głowie, jakby miała perukę pożyczoną od Einsteina. Chude ciało zakrywała workowata, pomięta sukienka w różowe pudle. Na ramionach stare blizny po igłach. W rękach puszka z ciasteczkami domowej roboty. To natychmiast wzbudziło we mnie czujność. Znałam tę starą kobietę. Lubiła używać do swoich wypieków specjalnych dodatków. Bardzo nielegalnych, liściastych.

- Mary - odezwał się miękkim, ale też stanowczym głosem Grant. - Przykro mi, ale musimy przełożyć nasze spotkanie.

Ale kobieta go nie słuchała. Była zapatrzona w ojca Cribariego. Spoglądała na przybysza jak na coś ohydny. Dala krok przed siebie i nagle znalazła się między księdzem a Grantem. Zrobiła to tak szybko, że zanim się zorientowałam, już stała przed Cribarim. Obnażając zęby, uniosła górną wargę i zaglądała mu w oczy. Nie warczała, tylko jakby obwąchiwała powietrze.

- Zużyty człowiek - wycedziła. - Zrobiłeś ze swojej duszy dziwkę.

Ojciec Cribari cofnął się, jakby dostał w twarz. Grant chwycił Mary za ramię. Zdążyła jednak jeszcze dziko się uśmiechnąć i głośno roześmiać.

- Wściekle psy Gabriela cię zabiją! - krzyknęła i przeniosła wzrok ze mnie na księdza. - To pewne jak cholera.

Świątobliwy zaczął się krztusić. Grant szybko otworzył drzwi do biura i posłał mi wymowne spojrzenie - wepchnęłam Cribariego do środka, usuwając go z widoku Mary. Za sobą usłyszałam ciche słowa wypowiedane łagodnym głosem, a potem Grant, ciężko utykając, wszedł do biura i zamknął za sobą drzwi. Policzki miał lekko zaczerwienione, ale oczy spokojne.

- To nie jest szpital psychiatryczny - warknął ojciec Cribari, szarpiąc rękaw wiatrówki. - Są odpowiednie miejsca dla takich ludzi jak...

- Nie ma miejsca dla takich jak Mary - przerwał mu cicho Grant. - Przynajmniej nie na tym świecie. I to była szczerza prawda.

Klecha wyraźnie chciał kontynuować spór, ale tylko znów szarpnął rękawem kurtki. Usta zacisnął tak mocno, że jego wargi zniknęły i wyglądał jak wąż.

Grant nie usiadł, tylko oparł się biodrem o blat biurka. Nadal jednak podpierał się laską, a knykcie zaciśniętych na niej palców pozostawały trupio białe. Biuro było nieduże i skromnie urządzone. Bez śladów osobowości właściciela. Po prostu białe ściany, biurko. Dwa miękkie fotele. Jedna lampa. Notes i długopisy, a także pomięte kartki z algebraicznymi równaniami. Gruba otwarta koperta, z której wysypywała się zawartość.

I nasze zdjęcie w ramce. Lubiałam je - siedzimy na kawałku drewna wyrzuconego przez wodę, a za naszymi plecami widać morze i słońce przedzierające się przez srebrzyste chmury. To była chyba jedyna moja fotografia, przynajmniej z okresu dorosłości.

Stałam pod ścianą przy drzwiach biura, wpatrzona w tył głowy ojca Cribariego. Ręce skrzyżowałam na piersi i delikatnie gładziłam dłońmi ramiona, żeby uspokoić szarpiących się na nich dziko Zee i resztę chłopców.

- Doszło do pewnego incydentu - zaczął Cribari bez zbędnych wstępów. Nadal wydawał się spokojny pomimo nerwowego tiku policzka i kropel potu ściekających po karku, tuż nad kołnierzem wiatrówki.

Grant milczał. Ja też. Po co mówić - milczenie potrafi złamać człowieka szybciej niż pytania. Poza tym Cribari nie zjawiał się w przytułku po to, żeby sterczeć w biurze i się pocić.

Mimo to zajęło mu chwilę, zanim znów się odezwał. Był zeszywniały, blady jak marmur owity cieniami. Zimny. Męczyłam się, stojąc tak beczynnie. Wolę działać. Zombie. Demony. Egzorcyzmy. Widzę problem i go rozwiązuję. Żadnej zwłoki, chyba że trzeba poczekać na odpowiedni moment. A odpowiednie momenty szybko się trafiają, jeśli tylko jesteś otwarty na różne opcje, na możliwości.

- Morderstwa - rzucił krótko ksiądz.

Nie więcej. Związała deklaracja. Morderstwa. Żadnych wyjaśnień. Grant zacisnął zęby.

- A ofiary to kto?

- Trzy siostry zakonne. Zamordowane w niedużych odstępach czasu. Torturowane, zanim zabójca poderżnął im gardła.

Twarz Granta niczego nie wyrażała. Odchylił się w tył, spoglądając w powietrze nad głową Cribariego. Studiował jego aurę.

Ja również widziałam aury, ale wyłącznie te demonów. I choć pragnęłam dostrzegać to co Grant, wątpiłam, czy umiałabym nieść tę odpowiedzialność z takim samym wdziękiem jak on.

Tuż po urodzeniu zdiagnozowano u niego pewien syndrom, zaburzenie pracy mózgu objawiające się synestezją. Każdy dźwięk, jaki docierał do jego uszu, każde skrzypnięcie, zgrzytnięcie przekładało się w jego umyśle na kolory. Grant widział dźwięki.

I inne rzeczy. Energię. Aury. Odbicie dusz oprawione kolorami, które coś znaczyły, tworzyły język, i tylko on potrafił to rozszyfrować. Nikt nie mógł się przed nim ukryć. Maski na nic się nie zdawały. Patrzył na kogoś i wyciągał z niego osobistą prawdę - nieważne: nikczemną czy przepelnioną dobrocią. Ludzie niezbyt byli z tego powodu zadowoleni. Dusze to rzecz intymna. Nietykalna - nawet dusze demonów. Żaden człowiek, lub inna istota, nie powinien móc wprowadzać do nich zmian.

Ale żaden inny człowiek, żadna inna istota nie była taka jak Grant. Do tej pory nie poznałam nikogo, kto posiadałby zdolność przemiany najgłębszej natury żyjących istot... tylko za pomocą śpiewu i muzyki.

- Masz swoich szpiegów - zauważył Grant.

- Och... - mruknął ksiądz, szeroko się uśmiechając. - Cóż, zabójca był twoim przyjacielem.

Patrzyłam na Granta, gdy Cribari wypowiadał to zdanie. I zobaczyłam w jego oczach drobny strach, chociaż ciało pozostało nieruchome, jakby nie żył.

- Miałem wielu przyjaciół w Kościele - odparł niby ze spokojem.

Ale ja zbyt dobrze go znałam. I żołądek ścisnął mi się z przerażenia. Dziwne doznanie. Obce mi i obrzydliwe, choć przecież nieraz ogarniała mnie groza. Kiedy jeszcze żyła matka i po jej śmierci. Panika pojawiała się, gdy byliśmy tylko ja i chłopcy przeciw całemu światu. Ale to banał.

Matka była niezniszczalna, potężniejsza niż samo życie, a mnie po prostu trudno zabić. Nawet ostatnie bliższe spotkanie z kulą nie liczyło się w ogólnym rozrachunku.

To uczucie teraz wydawało się inne. Bałam się, ale nie o siebie. O Granta. Koszmar. Gorszy niż sobie wyobrażałam przez te wszystkie lata spędzone w samotności.

- Ojciec Ross - powiedział ksiądz. - Pytał o ciebie. Grant w końcu opuścił wzrok, ale nadal mocno zaciskał

palce na główce laski.

- Gdzie on jest?

- W Szanghaju. - Ksiądz otarł czoło spodem rękawa. - Nie mogliśmy go do ciebie sprowadzić. Zapewne jeszcze przez jakiś czas trudno go będzie ruszyć. Został wysłany jako członek specjalnej misji Watykanu do Chin, gdzie miał się zająć relacjami między naszymi braćmi i siostrami, ale coś się tam wydarzyło. On... się zmienił.

- Stał się mordercą - dodał miękko Grant, nadal patrząc w podłogę. - Tylko że to niemożliwe. Bo Ross był dobrym człowiekiem. Wiem to.

Czasami zastanawiałam się, jak wygląda dobroć w oczach Granta. Co to znaczy: mieć dobrą aurę lub łagodnego ducha. Grant twierdził, że widzi to wszystko we mnie - kłamca - ale wierzyłam mu, gdy mówił to samo o innych. Jeśli ojciec Ross był dobry, kiedy Grant go znał, to nie mogło być inaczej.

Ojciec Cribari zrobił krok do tyłu. Nie cofnęłam się, nawet wtedy gdy jego plecy prawie się o mnie otarły. Zee zaczął się skręcać na mojej skórze, rzucając się we śnie w stronę klechy. Staralam się nie zwracać na to uwagi. Nie myśleć, jak to by wyglądało, gdyby Zee nie spał. I naprawdę rzucił się na duchownego. Domyślałam się, że w miejscu kręgosłupa zostałyby tylko wielka ziejąca dziura. Sprytne chłopaki.

- Prosił, żeby cię sprowadzić. Twierdził, że będziesz wiedział, co robić - oświadczył klecha.

Grant podniósł wzrok.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, rozmawialiśmy już na temat moich możliwości dziesięć lat temu. Sugerowałeś wtedy, że lepiej by się stało, gdybym zginął.

- Ale nie zginąłeś, prawda? - Ksiądz znowu się cofnął.

Tym razem już się o mnie otarł. Ręce nadal miałam skrzyżowane na piersi. Przez ubranie czułam twarde mięśnie Cribariego. Budową przypominał bicz. Zapach drożdży i wosku stał się silniejszy, a ja, choć nigdy wcześniej nie myślałam o włosach w nosie, poczułam, że każdy z nich zaczyna mnie drażnić.

Cribari się nie odsunął. Obejrzał się tylko przez ramię i popatrzył mi w oczy. Bez słów. Odpowiedziałam mu równie stanowczym spojrzeniem. I nie pociałam się. Mogłam tak stać całą wieczność. Lub przynajmniej do zachodu słońca.

- Rozumiem, że miałbym pojechać do Szanghaju, tak? - upewnił się Grant.

Ksiądz ani się nie poruszył, ani nie odwrócił wzroku. Nadal się we mnie wpatrywał.

- Tak. Przez znajomego w ambasadzie chińskiej bez trudu załatwimy ci wizę, ale będziesz musiał lecieć zwykłymi liniami jako turysta. Nie chcemy, żeby cała ta sytuacja ściągnęła na nas czyjąś uwagę. Musi pozostać tajemnicą.

- Tajemnicą - mruknęłam, zanim Grant zdążył odpowiedzieć. - Mówi ksiądz przy mnie zadziwiająco dużo jak na kogoś, kto pragnie zachować tajemnicę.

- A dlaczego by nie? - spytał ze zdziwieniem i posłał mi uśmiech, choć w tym grymasie kryła się jakaś niepewność. - Matko Ciemności.

Zamrugalam. Szybko się odsunął. Oczy mu błyszczały. Skóra świeciła potem.

- Wynocha stąd - wycedził Grant.

Cribari wyjął z kieszeni białą wizytówkę i położył ją na biurku.

- Musisz mi dać odpowiedź w ciągu godziny. Odwrócił się do drzwi, a ja tym razem usunęłam mu się z drogi. Nie widziałam powodu, żebym tego nie zrobić. Nie miałam pojęcia, co to znaczy „Matka Ciemności”, lecz ten ksiądz najwyraźniej coś o mnie wiedział. A chłopcy nienawidzili faceta z całego serca i to już wystarczyło, żeby go osądzić i wydać na niego wyrok.

Ale to nie był odpowiedni moment, odpowiednia chwila na prawdę.

Cribari przeszedł obok, nie patrząc na mnie, otworzył drzwi i opuścił gabinet. Na korytarzu zatrzymał się na sekundę. Rozejrzał się czujnie, pewnie w obawie, że spotka tę starą wariatkę. Miałam nadzieję, że Mary go znajdzie i na-faszeruje swoimi nielegalnymi ciasteczkami.

Przez chwilę wsłuchiwałam się w odgłos oddalających się kroków, potem zamknęłam drzwi. Na klucz. Ale nie odwróciłam się w stronę Granta. Wpatrzona w mosiężną klamkę, myślałam gorączkowo. Miałam gówno, a nie sekrety.

- Maxine - odezwał się Grant. Wyczuwałam zagrożenie.

- Kto to był?

- Długie ramię. - Biurko zaskrzypiało, więc obejrzałam się za siebie. Grant z ciężkim westchnieniem usiadł na twardym blacie. Laskę oparł obok i zaczął masować chorą nogę. - W innym życiu mógł być inkwizytorem.

- I chyba nadal odgrywa tę rolę. On chce twojej śmierci.

- Już próbował mnie zgładzić, bo uważa, że jestem sługą szatana.
- Cóż... - Uśmiechnęłam się słabo. - To raczej szatan służy tobie.

Grant też się uśmiechnął, ale jakoś tak smutno i ze znużeniem.

- Muszę tam polecieć. Nieważne, kto prosi.
- Ross - powiedziała cicho. - Przyjaciel?
- Najlepszy - potwierdził Grant, choć bez radości w głosie. - Jemu jedynemu wyjawilem prawdę.

Wypowiadałem się z mojego... daru.

To mnie zaskoczyło. Dokładnie pamiętałam noc, w którą poznałam Granta, i to co mi wtedy o sobie powiedział. O tym, jak został usunięty z Kościoła. Mówił, że zdradził go przyjaciel. Ktoś, komu się zwierzył. Ale ten człowiek wystraszył się mocy Granta.

- Posłuchaj... - zaczęłam, ale potem pokręciłam głową.
- Muszę lecieć - powtórzył. - Przeszłość się nie liczy. Ojciec Ross nie był osobą zdolną popełnić morderstwo, a już z pewnością nikogo by nie torturował. Jeśli dopuścił się czegoś takiego...

Nie skończył i nie musiał. Kiedy dobry człowiek nagle staje się zły, dzieje się tak z kilku powodów. Jednym z nich jest opętanie. Demony. Zombie. Możliwe, że taka kreatura teraz wzywa Granta do siebie.

Przysiadłam obok niego na blacie.

- Wiesz, że to pułapka?
- Antony nie kłamał w sprawie ojca Rossa, choć miał ciemną aurę. Nie demonicznie ciemną, ale prawie. Pełną konfliktów. Niepokoju. Ciemniała jeszcze bardziej, kiedy się do niego zbliżałaś. Ty go przerażałaś.

W wielu ludziach budziłam strach, ale wiadomość, że wywołałam grozę także w ojcu Cribarim, jakoś bardzo mnie nie uradowała, choć tego bym się spodziewała.

- Co znaczy „Matka Ciemności”?
- Nie jestem pewien, ale Cribari z pewnością za dużo wie. - Popatrzył na mnie twardo. - Czy to, że cię poznał, może sprowadzić na ciebie jakieś zagrożenia, Maxine?
- Nie - zapewniłam i tak właśnie uważałam. - I zamierzam spotkać się z nim raz jeszcze.

Uśmiechnął się ponuro.

- Tylko zostaw coś dla mnie.
- Popsujesz całą zabawę. - Poklepałam go w biodro. Śpiący chłopcy delikatnie przewrócili się na bok; to było tak, jakby moją skórę owiała miękka bryza. - Chiny. Szanghaj. Nieważne, co Cribari powiedział o twoim przyjacielu, bo i tak wydaje się, że zadaje sobie ogromnie dużo trudu, żeby cię stąd wyciągnąć.

- Wierzysz, że to tylko zbieg okoliczności?

- To zależy, czego on naprawdę chce. I jak dużo wie o nas. - Obcy wścibiający nosy w nasze sekrety. Ludzie, którzy znają nasze tajemnice. Nienawidziłam tego. - Jakoś damy sobie z tym radę - oświadczyłam na koniec, wyciągając mały palec u ręki.

Grant uśmiechnął się i chwycił mój palec swoim. Potrząsnęliśmy nimi z powagą pięciolatek, a potem przez chwilę się mocowaliśmy.

- Jesteś moją bohaterką - mruknął miękko. - Moją Amazonką.

- Flecista z Hameln - szepnęłam w odpowiedzi. - Mój najlepszy, ukochany mężczyzna.

Nie uśmiechnął się.

- Co wydarzyło się rano?

Poczułam ukłucie bólu. Pomyślałam o martwej dziewczynie. O Archiem.

- Nic szczególnego. To co zawsze. Spóźniłam się.

- Ktoś cię zranił. Potarłam skroń.

- Nie warto o tym mówić. Zmarszczka na czole Granta się pogłębiła.

- Miałem na myśli twoje serce.

- Znalazłam demona - wyjaśniłam. Nie chciałam rozmawiać o postrzale, który prawie mnie zabił. - No i się nim zajęłam.

- Maxine - powiedział szorstko Grant i ciepłymi palcami ostrożnie dotknął mojego czoła.

Zaczął oglądać mi głowę, rozsuwając włosy w okolicy prawej skroni. Na pewno zauważył przy tym błysk srebrnych tatuaży. Nie pytałam nawet, skąd nagle wie, co się stało. Może mój głos mu to zdradził. Może kula uderzyła nie tylko w skroń.

- Strzelano do ciebie - oznajmił łagodnie.

- Poznajesz to po aurze?

- Tak, widać w niej zagłębienie. Jakby twój duch nadal cierpiał z powodu strachu. - Zajrzał mi w oczy. - Ale ty przecież nigdy nie bałaś się broni.

- Tym razem było niebezpiecznie - wyznałam; nie potrafiłam skłamać. - I myślę, że ciebie też narażam na niebezpieczeństwo.

Zacisnął szczękę.

- Widziałaś, kto to zrobił?

- Nie. Celował z daleka. Tuż przed świtem. Dzisiaj w nocy wyślę Zee i resztę chłopców na zwiady. - Szturchnęłam Granta w bok. - Typowa akcja.

- Nie, nieprawda. - Przyciągnął mnie do siebie tak mocno, że prawie wylądowałam na jego kolanach. Chciałam być jeszcze bliżej.

Odwróciłam się i usiadłam okrakiem na jego nogach, uważając, żeby nie urazić tej chorej. Ogarnęła nas fala gorąca. Bawiłam się skrawkiem kołnierzyka, nie mogąc oderwać wzroku od szyi Granta, od ostrej linii jego nieogolonego podbródka. Pachniał cymentem i słońcem i był ciepły jak nagrzwany kamień. Moje dłonie w rękawiczkach wydawały się bardzo małe na tle jego opalonej skóry.

- Wiesz, że zanim cię poznałam, dawałam sobie radę -szepnęłam. - I to całkiem nieźle.

- Wiem. - Musnął moje usta swoimi ustami. - Ale czasami mnie przerażasz.

Sama siebie przerażałam. Zerknęłam przez ramię Granta na pękatą kopertę i znów poczułam niepokój.

- Czy to akta?

Z lekkim wahaniem sięgnął za siebie.

- Przyszły z samego rana. Nie przeczytałem ich jeszcze... dokładanie.

- Ale już przejrzałeś? Spojrzał na mnie z ironią.

- To przecież od ciebie się nauczyłem, że zagłębienie w tajemnice matki jest niebezpieczne.

- Och, proszę cię - mruknęłam. - Chyba przesadzasz. Grant westchnął, wysypał całą zawartość koperty na

biurko. Wyleciało z niej grube opakowanie ze złotym naszyjnikiem, który prześliznął się kilka centymetrów po porysowanym blacie. Nie znałam się na biżuterii - nosiłam tylko pierścienie i to też nie z własnego wyboru. Mimo to leżący przede mną naszyjnik przyciągał wzrok. Metal mienił się jak aksamit przetykany światłem słonecznym. Czyste, miękkie złoto, takie, które można przegryźć lub z łatwością zgiąć.

Na grubym łańcuszku był wisior. Zwój linii przypominający różę.

- Matka była całym moim światem - wyznał cicho Grant, dotykając naszyjnika. - Zmarła, kiedy jeszcze chodziłem do liceum. Na raka. Ojciec i ja wpadliśmy w rozpacz. Zwłaszcza ojciec. Nie chciał o niej mówić. A przecież sama wiesz, jak to jest. Za życia bliskiej osoby w nic nie wnikasza, po prostu uznajesz wszystko za oczywiste, a potem... potem, gdy ona odchodzi, pojawiają się pytania, zaczynają wypływać na wierzch. Bez końca.

- Tak. Wiem.

Grant odsunął naszyjnik i wsadził palce pod kopertę.

- Po śmierci matki nic z tym nie zrobiłem. I pewnie nadal bym tego nie tknął, gdyby nie...

- To, co się wydarzyło. Co wszystko zmieniło - dokończyłam, a on spojrzał na mnie przeciągle, z bólem.

- To, co się wydarzyło - podjął z ciężkim westchnieniem - kiedy ta... rzecz... nazwała mnie tym... imieniem.

Usta Światła, pomyślałam i odniosłam wrażenie, że pancerz na moim palcu lekko zadrżał; jakby załomotało jakieś małe serce. Zacisnęłam dłoń w pięść, a skórę rozpałił żar.

Nie wierzyłam w nadprzyrodzone siły. Uważałam, że to bajki. Żyłam rzeczywistością, liczyły się fakty. A jednym z nich było to, że ten świat zamieszkują nie tylko demony, ule też inne istoty, zdolne przejąć ludzkie ciało.

Awatary. Czująca energia w cielesnej formie. Prastare istoty, które walczyły z demonami, zbudowały dla nich więzienie - stworzyły mój ród, Strażniczki - a potem przyniosły się gdzieś indziej, gdzie wspomnienia wojen nie są aż tak męczące.

Jednak nie wszystkie odeszły. Niektóre zostały tu z wyboru. A niektóre... już niezupełnie z własnej woli.

W każdym razie awatary rozpoznały coś w Grancie, coś, na co miały nazwę i co jednego z nich przeraziło. Lub też zaszokowało... w sumie na jedno wychodzi. Ja w porównaniu z tym czułam się jak łagodny kociak. Jakbym nic nie znaczyła. Jak gdybym tylko udawała, że znam się na sztuce zabijania.

Ale to ja zabiłam tamtego awatara. Zniszczyłam jego lub ją - a wraz z nim część siebie - samym dotykiem. Nie miałam wyboru. Nie było czasu pytać o Granta. A drugi osobnik, znający całą prawdę o moim mężczyźnie, zniknął jak duch i nie pojawiał się już od trzech miesięcy.

Mój dziadek. Jack Meddle.

- A więc co z tymi aktami? - przypomniałam.

- Detektyw, którego wynająłem, okazał się bardzo skrupulatny.

- I?

- I... - patrzył mi w oczy - moja matka nie istniała przed ślubem z ojcem. Przynajmniej oficjalnie. W żadnych dokumentach nie ma o niej najmniejszej wzmianki, Maxine.

Zawahałam się.

- Mogła pochodzić z innego kraju. I na przykład nielegalnie przyjechać do Stanów. To nie takie trudne.

- Zgadza się. - W końcu spojrzał na mnie. - Ale detektyw odnalazł starych sąsiadów, jakieś dane ze szpitala. Zgodnie z tym, co odkrył, już byłem wtedy na świecie. Zanim matka wyszła za mąż. Miałem przynajmniej rok.

Też mi skandal, pomyślałam. Jednak jakaś nuta w głosie Granta kazała mi zachować ostrożność. Siedziałam mu na kolanach i czułam, że jest spięty jak ślepiec chodzący po polu minowym. I dlatego chciałam złapać go za rękę i mocno ją ucisnąć. Ale tylko czekałam.

- Rodzice mówili mi co innego - odezwał się w końcu.

- Och... - mruknęłam, myśląc o wszystkich kłamstwach, jakie usłyszałam od swojej matki. - Więc?

- Więc nic - odburknął szorstko. Sięgnął po naszyjnik, który zamigotał w jego dłoni złotą miękką poświatą. - Tylko że rok to długo, Maxine. A jeszcze dodaj do tego dziewięć miesięcy.

Wreszcie zrozumiałam.

- Twoim biologicznym ojcem mógł być ktoś inny niż ten, kto cię wychował.

Grant wydawał się okropnie przygnębiony.

- To i tak niczego by nie zmieniło. Niczego.

Właśnie że by zmieniło. Nie w kwestii miłości, ale tożsamości. Pochodzenie to ważna sprawa. Dobrze wiedzieć, czyja krew płynie w twoich żyłach. To pomaga stać twardo na ziemi, kiedy nie masz nic, nikogo, z kim możesz się związać.

Ja nie znałam swojego ojca.

Grant podniósł naszyjnik i wbił wzrok w wisiołek.

- Sądziłem, że ją z tym pochowano. Ale po śmierci ojca znalazłem to w jego dokumentach.

Ja też przyjrzałam się złocistym splotom. Wisiołek był dwa razy mniejszy od płyty kompaktowej i niemal tak samo płaski, z naturalnym otworem u góry, przez który przechodził łańcuszek. Żadnego początku, żadnego końca, tylko pogmatwane pętle. Im dłużej się na nie patrzyło, tym sprawiały wrażenie coraz bardziej zawiłych; jakby warstwy były zatopione w kolejnych warstwach. Aż mi się w głowie zakręciło od patrzenia na niego. Musiałam odwrócić wzrok i zamrugać. Grant zamknął na nim palce.

- Nigdy wcześniej go nie widziałam - wymamrotałam, nadal czując lekkie mdłości.

- Bo wyjmuję ten naszyjnik tak często, jak ty sięgasz po pistolety matki. Ale te akta sprawiły, że zapragnąłem go dotknąć.

Pochyliłam się i położyłam czoło na ciepłym muskularnym ramieniu Granta. Czekałam, aż wiercenie w żołądku ustanie.

- No więc, co teraz?

- Nie wiem. - Wsunął palce w moje włosy. - Ojciec... był normalny. Pod każdym względem.

Agresywny, bezwzględny. Nie taki... jak ja. Odziedziczyłem charakter po matce. Oprócz... - Machnął nad głowę ręką, w której nadal trzymał naszyjnik. - Nawet jeśli widziała to samo co ja, jeśli potrafiła to samo, nigdy się z tym nie zdradziła, mimo że opowiadałem jej o...

- Myślałeś, że tylko ty jesteś taki.
- Ale okazuje się, że to nieprawda. Zwłaszcza jeśli to, co robię, określa mnie jako...

- Usta Światła - mruknełam. Przyciągnął mnie bliżej.

- Nieludzką istotę - szepnął mi do ucha. Przymknełam oczy.

- Skąd ja to znam? Witaj w klubie, kolego. Odłożył naszyjnik na biurko.

- Muszę się dowiedzieć, kim jestem. Potrzebuję więcej informacji. Do tej pory działałem instynktownie, bo myślałem, że nie ma drugiej takiej osoby jak ja. Ale boję się, że pewnego dnia się potknę. Zrobię coś, czego nie powinienem. Zagalopuję się z czymś umysłem. Dokonam zbyt dużej zmiany w czyjejś duszy. Może przez przypadek. Może nie. Jeśli istnieje ktoś, kto mógłby mnie nauczyć...
- zamilkł, a jego ciałem wstrząsnął gwałtowny dreszcz. - To jest we mnie, Maxine. Prawdopodobieństwo, że stanę się tym, czego nienawidzę. Nie chcę... krzywdzić ludzi. Nie chcę

być człowiekiem, który usprawiedliwia czymś to, że wyrządza krzywdę. Nie chcę wierzyć w swoje racje bez cienia wątpliwości.

Ja też tego nie chciałam, chociaż ufałam, że Grantowi to nie grozi. Chłopcy go lubią. To wiele znaczy. Poza tym gdyby popełnił błąd, świat chyba się nie skończył. Przynajmniej takie miałam wrażenie. Ale nie mogłam mu tego powiedzieć. Nie zamierzałam go przytłoczyć swoim bezdusznym realizmem. Współczułam mu z powodu jego obaw, zwłaszcza że był dobrym człowiekiem. Oddanym, nikogo nie krzywdził. No ale kiedy ktoś potrafi wpływać na ludzi tylko samym głosem, integralność duszy faktycznie może być...

Cóż.

Przesunęłam rękę do uda Granta.

- Jak noga?

Popatrzył na mnie ponuro.

- Nie zmieniaj tematu. Nie skończyliśmy jeszcze rozmowy o kuli.

- No co? Odbiła się ode mnie i uderzyła w mur - wyjaśniłam ze swobodą, jakiej nie czułam. - A o nogę pytałam szczerze.

- No więc szczerze: boli. Zmiażdżone kości nigdy dobrze się nie zrastają. - Pochylił się i musnął ustami mój policzek. - Potrzebuję poduszki elektrycznej, kotku. I leżaka na północnej krawędzi Wielkiego Kanionu.

- Ale wiesz, że tam pewnie pada śnieg.

- I ciebie bez niczego poza tatuażami.

- Bo patrzeć na demony na moich piersiach tak cię kręci?

- I nikogo - wydyszał, całując mnie w ucho - nikogo w odległości setek kilometrów.

Odwrociłam głowę i pocałowałam go w usta. I spłynęło na mnie ciepło, które doszło aż do stóp. Pod swetrem poczułam też dłonie Granta; oddech uwiązał mi w gardle. Odchyliłam głowę i wygięłam się tak, by być bliżej mojego mężczyzny. Wiedziałam, że te odczucia zawdzięczam wyłącznie lasce Zee i reszty chłopców. Czasami to było krępujące, ale człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja. No prawie do wszystkiego.

Chciałam, żeby Grant zapomniał o problemach. Sama pragnęłam o nich zapomnieć. Wolałam myśleć o czymś przyjemnym, nie o kulach, zombie i martwych dziewczynach. Chciałam czuć się wolna, ciepła i jak człowiek.

Musnęłam ustami podbródek Granta, po czym sięgnęłam do suwaka przy jego dzinsach.

Rozdział 4

Nie mogłam lecieć samolotem, przynajmniej to było jasne. W grę nie wchodziły ani zwykłe linie, ani nawet prawdopodobnie prywatne. Samoloty to niebezpieczne terytorium. Krótkie loty, jak sądzę, jeszcze by uszły - ale długie, międzykontynentalne, kiedy przekracza się strefy czasowe, kiedy słońce wschodzi i zachodzi, gdy jesteś w powietrzu, mogłyby skończyć się tragicznie. Chłopcy budzą się o zachodzie słońca. Odrywają się od mojej skóry, głodni i gotowi do walki. To proste jak drut. Nieważne gdzie to się dzieje ani jak bardzo może być niestosowne.

Poza tym nie miałam czasu załatwiać dokumentów potrzebnych do wyrobienia chińskiej wizy. Szybkie rozeznanie za pomocą Google pozbawiło mnie bez złudzeń. Miałam paszport, ale nie wizę. Grantowi się poszczęściło, jeśli w ogóle w tym przypadku można mówić o szczęściu. Ojciec Cribari przycisnął swojego znajomego w ambasadzie Chin i Grant miał dostać wizę w ciągu kilku godzin, choć zwykle zajmuje to kilka dni. Jego lot do Szanghaju zaplanowano na późny poranek. Co oznaczało, że zostało mi naprawdę mało czasu, żeby znaleźć jakieś rozwiązanie.

Ale widziałam, do kogo się zwrócić. Musiałam tylko odnaleźć tę osobę.

Najpierw jednak kula. Po głowie chodziło mi kilka pytań. Potrzebowałam odpowiedzi na nie lub co najmniej potwierdzenia. I to mnie wyгнаło na kręte korytarze przytułku w poszukiwaniu zombie.

Znalazłam Rexa w piwnicy. Przed laty w halach magazynowych, które później przerobiono na schronisko, mieściła Nie fabryka mebli. Większość maszyn usunięto, ale na niższych poziomach - dostępnych tylko dla nielicznych - nadal stały tajemnicze, skomplikowane urządzenia. Ich przeznaczenie na pewno nie mogło być aż tak niesamowite, jak sobie wyobrażałam - czyli że jakiś genialny wynalazca zamieszkał w tym betonowym grobowcu i w przypiływie szalonego natchnienia zaczął tworzyć maszyny, które miały przemienić świat w jeszcze dziwniejsze miejsce, niż już jest.

Piwnice śmierdziały przegniłym betonem i benzyną. Moje kowbojki głośno stukwały o posadzkę, rywalizując z echem radosnego głosu Dicka van Dyke'a; dźwięki z musicalu *Mary Poppins* wesołym rytmem odbijały się od stalowych rur i żelaznych kół zębatach. Szłam za muzyką. Zaprowadziła mnie do pomieszczenia znacznie oddalonego od schodów. Za przymkniętymi metalowymi drzwiami, spod których sączyło się światło, poruszały się jakieś cienie.

Zajrzałam do środka. Pierwsze, co zobaczyłam, to kilka ciągów półek z drewnianymi skrzynkami, a w nich ziemia i równe rzędkie zielonych roślinek. Z sufitu zwieszały się łańcuchy i sznury z zawieszonymi na nich sodowymi lampami. W przejściach leżały bardzo ładne szmaciane chodniczki - zrobione ręcznie - i piętrzyło się kilka stosów kartonów przewiązanych kolorową włóczką i kawałkami ubrań.

Usłyszałam mamrotanie przebijające się przez głos Dicka van Dyke'a. Cały zestaw przekleństw. Pchnęłam lekko drzwi i zobaczyłam ciemną aurę - wirowała nad pochyloną głową zakrytą wełnianą czapką, spod której wystawały kasztanowe włosy. Opalone ramiona, pas z narzędziami na wąskich biodrach.

Zombie przyglądał się Mary, całkowicie nieświadomej jego obecności. Śpiewała do muzyki rozchodzącej się po pomieszczeniu i, stojąc na palcach, pieczołowicie podlewała marihuanę. Siwe włosy miała zaczesane do tyłu, związane w kok. Ramiona odsłonięte. Bez śladu tłuszczu, same żyły i kości. Błądą skórę pokrywały stare ślady po igłach. Wiele lat temu Grant znalazł Mary w jakiejś uliczce, ledwo żywą od przedawkowania. Opiekował się nią, aż wyzdrowiała. Kobieta nigdy nie odeszła. Nie byłam pewna, czy w ogóle mogłaby to zrobić.

- O rany - mruknął Rex. - Ile tu tego gówna.

- Racja - rzuciłam, ogarniając wzrokiem nielegalną uprawę. - Niesamowite, jak się pleni.

Rex odwrócił się i posłał mi nienawistne spojrzenie, chociaż jego aura zdradzała strach - rozchodził się we wszystkich kierunkach, docierając do najciemniejszych zakątków jego duszy. To najstarszy zombie, jaki zjawiał się u Granta, żeby się nawrócić - to znaczy najstarszy jako pasożyt. I chociaż nie wierzyłam, że jakikolwiek zombie może z własnej woli pragnąć zmiany, byłam przekonana, że ten akurat jest całkowicie oddany Grantowi. I to na razie wystarczyło, żebym pozwoliła mu żyć.

- Dopiero co odkryłem to miejsce - wyjaśnił, jakby się bał, że to jego zaczę obwiniać. Że wreszcie wypełnię od dawna zapowiadaną groźbę i poddam go egzorcyzmom, a potem nakarmię jego wijącym się ciałem swoich chłopców.

- W zeszłym tygodniu uprawa znajdowała się w południowej części piwnicy - odpowiedziałam spokojnie, przyglądając się Mary, która teraz podśpiewywała do melancholijnej melodii *Feed the Birds*. - Wiesz może, skąd ona bierze ten cały sprzęt?

- Cholera - warknął zombie. - Skądkolwiek. Kilka tych roślinek wystarczy, żeby opłacić całą armię małych pomocników.

- Nikt inny tu nie przychodzi. Na pewno.

- Nieważne. - Potarł brodę, a jego aura trochę przygasła: może dlatego, że doszedł do wniosku, że jeszcze pożyje. - Jeśli policja się o tym dowie, Grant dostanie po tyłku. Wszyscy dostaniemy.

- Nikt nie będzie się go czepiał - zapewniłam, ale wiedziałam, że nie o to chodzi. Grant uwielbiał Mary. Uratował jej życie. Załamałby się, gdyby wylądowała w więzieniu za rozprowadzanie narkotyków. Kłopot w tym, że Mary i marihuana byli jak syjamskie bliźnięta: gdzie jedno, tam i drugie, bez względu na okoliczności. Ta kobieta kochała swoje zielsko.

Mary nadal nie zwracała na mnie uwagi. Pomyślałam o problemach, jakie mieliśmy z usunięciem jej poprzedniej uprawy, i westchnęłam.

- Ktoś próbował mnie dziś rano zastrzelić. Rex wybuchnął śmiechem.

- Cudownie. Poczulaś się bliżej matki?

Walnęłam go, a on, łapiąc się za twarz, opadł na kolano.

- No, no, te migreny naprawdę dają ci się we znaki - powiedziałam trującą słodkim głosem.

- Dziwka.

- Nie podskakuj mi, koleś - syknęłam. - Chcę wiedzieć, czy to sprawka demonów.

- Nie mam pojęcia. - Podniósł się, choć nadal przyciskał dłoń do policzka. - Ale wątpię. Te sprytniejsze opuściły miasto, a nikt inny nie odważyłby się na taki numer. Żaden z nas nie uszedłby z tego z... - zamilkł, wlepiając we mnie oczy. - Komuś się upiekło, co?

- Tylko mu się wydaje - burknęłam, nadal wkurzona złośliwą uwagą na temat matki. - Więc jeśli to nie jeden z was, to kto?

W oczach Rexa pojawił się paskudny błysk.

- Nic dużego nie wymknęło się z więzienia. Nie ostatnio. A coś na tyle potężnego, żeby pokonać Zastonę, nie użyłoby kul, żeby cię zabić.

Sama się tego domyślałam. Czulałabym zresztą, gdyby coś większego niż pasożyt przedarło się przez szczelinę w więziennych murach.

- A zanim się urodziłam? Może już coś tu było?
- Zdarzały się ucieczki z zewnętrznych kręgów. Ale to wieki temu. Poza tym już mówiłem, strzelanie nie jest w ich stylu. Zbyt ludzkie.

Demony nie kłamią. A nawet jeśli Rex mówiłby nieprawdę, poznałabym to po zaciemnieniu jego aury, ta jednak pozostała niezmieniona.

Pomyślałam o Cribarim, choć przypuszczenie, że ściga mnie człowiek, było bardziej denerwujące, niż gdyby chodziło o demona.

- Słyszałeś, żeby którąś z moich poprzedniczek nazywano Matką Ciemności?
- Nie, ale wy, suki, nic innego nie robicie, tylko się rozmnażacie i zabijacie. To już wystarczająco ciemne.

- Pyskaty pasożyt. Założę się, że nie lubiłbyś tego ciała tak bardzo, gdyby mu brakowało języka. Aura nad głową Rexa zapłonęła, mimo że jego twarz zachowała kamienny wyraz.

- Wymyśl coś innego. Nie krzywdzisz żywicieli. Przynajmniej nie bez powodu. I nie zabijesz mnie, ponieważ złamałabyś słowo dane Grantowi. Nie będziesz nawet próbowała mnie egzorcyzmować, bo po prostu znajdę sobie nowe ciało do zamieszkania. Przegrywasz na wszystkich frontach, Tropicielko.

- Jeszcze się przekonamy. - Spojrzałam nad ramieniem zombie. Mary przestała wreszcie podlewać zielsko i teraz gapiała się na mnie przeszywającym, przenikliwym wzrokiem - szaleńczym, nieziemskim, ale też chwilami całkiem normalnym; pomieszany umysł robił dziwne rzeczy. Dała krok w moją stronę i wyciągnęła rękę.

Na dłoni miała atramentowy rysunek - przedstawił dokładnie taki sam wisiołek, jaki widziałam u Granta niecałą godzinę temu; naszyjnik jego matki z zachodzącymi na siebie zwojami. Oczy mi się zamglily. Ciężko przełknęłam ślinę, czując zawirowanie w żołądku, jakbym jechała kolejką górską po dużym obiedzie.

- Żelazne serca stają się mordercami - powiedziała Mary, ale zdawało się, że ten głos dociera do mnie z bardzo daleka. - Ci, co żywią się grzechem, zostaną wypędzeni i spaleni.

Chłopcy zadrżeli. A ja poczułam na plecach lodowaty powiew.

- Mary... - szepnąłem.

Pokręciła głową, zwinęła dłonie w pięści i przycisnęła je do serca.

- Zagubiliśmy się w Labiryncie - wymamrotała, przymykając oczy. - Jesteśmy straceni.

Demony nie pochodzą z tego świata. Tak jak komety. Demony tutaj przybyły. Podobnie jak awatary. I ludzie, chociaż w to akurat nie bardzo chciałam wierzyć.

Tak czy inaczej droga na Ziemię nie była podróżą kosmiczną, choć prowadziła przez przestrzeń. Bardzo szczególną przestrzeń.

Przez Labirynt.

Nadal tego nie rozumiałam. Nie do końca. Nie umiałam zmusić się, żeby to sobie wyobrazić. Inne światy, przejścia do alternatywnych rzeczywistości. Gęszcz autostrad zmierzających w różne wymiary, połączonych neutralną strefą - skrzyżowaniem między tutaj i tam. To miejsce prawdopodobieństw samo w sobie stanowiące odrębny świat. A przynajmniej tak mi powiedziano. Podróżowałam tylko przez nieduży fragment: przez więzienie, do którego wtrącano dusze na wieczne zapomnienie. Wpadłam do Ziemi Jałowej. Zwiedziłam ciemną stronę Labiryntu.

Zapomniałam tam o sobie. Zapomniałam wszystko. Pochowana żywcem. Nic oprócz bijącego serca w niekończącej się ciemności.

Zdaniem Jacka byłam jedyną osobą, która się stamtąd wyrwała. I choć na logikę zdawałam sobie sprawę, że Labirynt jest czymś więcej niż ta ciemna, bezdenna otchłań, nie umiałam nie łączyć jednego z drugim. Bo nawet jeśli wpadnie się do dobrej części Labiryntu, tam też można się zagubić na zawsze. Wędrując z jednego świata do innego i jeszcze innego; obca na wieczność w obcej ziemi. Zagubiona w gęszczu.

Tak jak Mary. Ona też się zagubiła. Gdzie indziej, z dala od tego świata. I tylko ona wiedziała, jak i dlaczego do tego doszło. Tylko ona знаła miejsce swojego pochodzenia. Mnie jednak wystarczyło, że była tutaj. Grant nazywał ją Alicją, która wpadła do króliczej nory. Wydawała się jedną z bajkowych postaci, co to odkrywają ukryte wzgórza i magiczne kamienie albo zapadają w sen i budzą się po setkach lat. W Labiryntcie czas płynął inaczej. Tam wszystko było inne. I nie tylko ludzie przechodzili przez bramy Labiryntu.

Demony przemykały się tamtędy z jednego świata do drugiego; w Labiryntcie zabierały ludzkie życie. Podążały za tropem ciał. Do chwili gdy dziesięć tysięcy lat temu dotarły na Ziemię - i gdy ta planeta stała się miejscem ostatecznego starcia między demonami, awatarami i ludźmi. I znów do tego dojdzie, jeśli Zasłona całkiem się otworzy. Wszyscy byliśmy obcymi, nasze korzenie i krew pochodziły ze światów, o których nawet nie śniłam.

Zamierzałam wypytać Mary o rysunek na jej dłoni, ale dałam sobie spokój, kiedy się ode mnie odwróciła. Stąpała na palcach jak jakaś podstarzała balerina, śpiewając piosenkę *A Spoonful of Sugar* z musicalu *Mary Poppins*. Zostawiłam tam Rexa, żeby zajął się Mary i marihuaną. Moja matka pewnie przewracała się w grobie. Tropicielka, która współpracuje z zombie, ufa zombie, oddaje mu pod opiekę człowieka. Bardzo się oddaliłam od wszystkiego, czego mnie nauczono. Nie wiedziałam już, kim jestem.

Miałam teraz przyjaciół. Ukochanego mężczyznę. Nie mieszkałam już w samochodzie ani w hotelach rozsianych po Ameryce Północnej i Południowej. Zapuszczałam korzenie, dzień po dniu, nie przejmując się tym, że popełniam błąd.

Wiedziałam, że źle robię, bo jeśli jestem tutaj, w tym mieście, gdzie indziej nie ma nikogo. Nie przenoszę się /, miejsca na miejsce, żeby zapobiegać złu, zabijać demony i walczyć z przestępcami - jednoosobowa, żeńska Drużyna A. Nieważne, że przemierzanie tych dwóch kontynentów w szalonym pędzie jak kurczak z odciętą głową było - patrząc z perspektywy czasu - najmniej produktywnym sposobem ratowania świata przed zbliżającą się zagładą. Nieważne, że działałam w pojedynkę i że wszystko, co mogłam zdziałać, aby ulżyć olbrzymowi w cierpieniu, to podrapać go po dużym palcu u nogi. Nieważne, bo przynajmniej coś robiłam. Ratowałam czyjeś życie. Zmieniałam je na lepsze. Niewielka nagroda pocieszenia za to, że wiedziałam, że zawsze będę sama. I że umrę młodo, zamordowana. Na oczach swojego dziecka.

Nie miałam złudzeń. Nie miałam wyjścia. Pewnego dnia urodzę córkę. A chłopcy kiedyś opuszczą mnie dla niej - tak jak porzucili moją matkę. Gdy to się stanie, zginę. Możliwe że od postrzału w głowę, jak matka.

I nie mogłam nawet marzyć, że pozostanę bezdzietna. Moja krew należała do Zee i reszty chłopców. Moje ciało, ich nieśmiertelność - ich jedyny łącznik z tym światem. Ja umieram, oni też. Gdybym nie miała dziecka, umarliby ze mną. A do tego nigdy nie dopuszczają. Przetrwali wieki, dłużej niż potrafiłam sobie wyobrazić, i część swojej egzystencji spędzili na skórze moich poprzedniczek - łącznie z matką i babką: osobą o stalowym spojrzeniu, zamordowaną sześć lat przed moimi narodzinami.

Jedyne pocieszenie, że chłopcy będą o mnie pamiętali -w swoich snach o kobietach, które zmarły, zostały pochowane w ziemi i tam rozpadły się w proch. Tyle że to wcale nie łagodziło smutku. Nie sprawiało, że przestawałam tęsknić za matką. Nawet teraz, gdy miałam Granta.

Ani też nie ułatwiało mi wyboru. Nadal tropiłam demony, tutaj w Seattle. Dawałam z siebie wszystko, żeby ratować ludzi. A mimo to niedobrze się czułam z tym, że nie jestem w drodze. Jakbym popełniała grzech. Zbrodnię. Zawsze towarzyszył mi głos matki mówiącej, że postępuję bardzo źle, pozostając dłużej niż noc w jednym mieście. Rusz się, no rusz się. Albo zgódź się na coraz większy ból.

A przecież i tak cierpiałam, nie wiedząc, co zrobić z walącymi się murami Więzienia. Jak temu zapobiec, jak uratować świat. Nie miałam żadnego planu. Żadnych odpowiedzi.

A potrzebowałam ich. Natychmiast. I nie chodziło tylko
o Zasłonę.

Gdy wyszłam po schodach z piwnicy na parter, w korytarzu natknęłam się na Byrona. Drzwi do klatki schodowej były zamykane na klucz z zewnątrz. Mary nie miała tego klucza, ale i tak jakoś dostawała się do piwnicy, chociaż prawie co miesiąc zmienialiśmy zamek. Sprytna szalona kobieta.

Byron stał oparty o ścianę. Zimne ponure spojrzenie i zaciśnięte usta. Odniosłam wrażenie, że dość długo na mnie czekał.

- Jakiś dewiant chce się z tobą zobaczyć - poinformował.
- Więc mi go przedstaw - odparłam po chwili wahania.

Poprowadził mnie wijącymi się korytarzami do poczekalni przytułku - kiedyś głównego lobby firmy produkującej meble. Dawna elegancja kryła się w szczegółach: mozaika na podłodze z drogich kafelków, boazeria z ciemnego drewna, witrażowe okna po bokach dębowych drzwi. Poczekalnia była podzielona na dwie strefy z dwoma przyśrubowanymi do podłoża biurkami. Na obu piętrzyły się dokumenty. Przy jednym obsługiwano tych, co chcieli zamieszkać w przytułku; drugie należało do działu pomocy - i tu zainteresowane osoby mogły zebrać informacje o wolnych miejscach pracy, tanim zakwaterowaniu lub możliwościach zdobycia wykształcenia.

Dział przyjęć do przytułku zaczynał pracę dopiero około trzeciej po południu, ale przy biurku informacyjnym ustawiała się już spora kolejka. Dostrzegłam zombie, którego widziałam wcześniej w stołówce. Nie zauważył mnie. Jednak mnie na jego widok błysnęła przed oczami twarz Archiego Limbauda i jego ofiary. Zamordowanej dziewczyny, jeszcze dziecka. Z trudem przełykając ślinę, oderwałam wzrok od zombie. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek siłą nakłonił swojego żywiciela do popełnienia morderstwa.

Byron nie musiał wskazywać mi dewianta. Dostrzegłam go od razu. Siedział sam na drewnianej ławeczce; jadł hot doga i orzeszki ziemne. Miał na sobie jasny garnitur i pogniecioną niebieską koszulę wybrzuszoną się na wielkim kałdunie. Na jego poluzowanym pasiastym krawacie z jedwabiu widniały plamy z keczupu. Na czubku głowy świeciła łysina. Okulary w metalowych oprawkach upačkane. Broda też brudna. Facet wręcz pożerał hot doga. Gryzł go z taką siłą, jakby to była stalowa rurka. Wokół ust lepiły się zmiażdżone orzeszki, pewnie dlatego że brał kolejne kęsy, zanim jeszcze zdążył przełknąć poprzednią partię jedzenia.

- No więc... - zwróciłam się do Byrona. - Jakoś nie wyobrażam sobie, że sam z własnej woli zacząłeś rozmawiać z tym gościem.

- Płatałem się po poczekalni i usłyszałem, jak pyta o kobietę zarządzającą schroniskiem. No to powiedziałem, że po ciebie pójde.

- Pomyślałeś o mnie?

Wzruszył ramionami i zmierzył nieznajomego zimnym twardym spojrzeniem, pasującym bardziej do zmęczonego walką weterana wojennego niż do nastolatka.

- Spotykałem już takich jak on.

- To na szczęście przeszłość - mruknęłam ponuro, wyminęłam Byrona i ruszyłam przez poczekalnię.

Dewiant, nie dewiant, facet był obrzydliwy - nie tylko z powodu uświnionej twarzy. Biło od niego jakieś nieokreślone zło, a widok jego rozdętego ciała sprawił, że zaczęłam sobie wyobrażać karaluchy, setki robali wiercących się pod napiętą skórą. Gapił się na moje stopy, kiedy podchodziłam, a później ogarnął wzrokiem całą sylwetkę. Małe niebieskie oczka za brudnymi szklarni okularów zmieniły się w szparki.

- Och... - wybelkotał, przygryzając hot doga i wsypując do ust garść orzeszków. - Oto i moja pani - dodał zadziwiająco uprzejmym tonem.

Przechyliłam głowę, żeby spojrzeć mu prosto w oczy.

- Podobno mnie pan szukał.

- Przez całą wieczność - odparł, wycierając usta krawatem. - A ta zamieniła się w obecną chwilę. Niesamowite, prawda?

Zee zaczął się burzyć między moimi piersiami. Wiercił się nerwowo we śnie. Zawahałam się.

- Kim pan jest?

- Możesz mi mówić Mister King. A nawet Mister Earl King. - Dźwignął się z ławki, rozsypując przy tym trochę orzeszków. W kąciku ust miał keczup. Wyciągnął do mnie dłoń: zatłuszczoną, lepką i czerwoną. Bił od niego zapach cebuli.

Nie uściśnęłam mu ręki, na co on odpowiedział szerszym uśmiechem, choć usta nadal miał zaciśnięte. Po chwili oczekiwania opuścił dłoń i wetknął ją do kieszeni. Pomyślałam, że sięgnął po broń, ale wyciągnął stamtąd owiniętą w woskowy papier paczuszkę. Szybkim ruchem rozdarł opakowanie. Zobaczyłam małe pudełeczko z pizzą. Wyglądała na zimną, co jednak nie przeszkadzało nieznanemu wbić zębów w rozmiękle ciasto. Wyciekający bokami keczup rozlał mu się na ustach jak krew.

Mister King przymknął oczy, westchnął i zaczął przeżuwać odgryziony kawałek. Stałam przed nim, wpatrując się w jego twarz. Czekałam. Czekałam, aż coś pęknie. Facet wcale nie wyglądał na osobę kruchą, ale po prostu przypominał wiązkę lasek dynamitu wetkniętą w dziurę w tamie. Z podpalonym lontem.

- Cóż - odezwał się w końcu, z pełnymi ustami. - Było mi bardzo miło.

I potem, ot tak, odwrócił się na pięcie i odszedł w stronę wyjścia. Jego ciało się trzęsło, jakby każdy fragment wyrywał się w innym kierunku, jak gdyby rzeczywiście pod jego skórą zamieszkiwały te insekty i teraz próbowały się uwolnić. Poszłam za nim.

Dogoniłam gościa dopiero na zewnątrz. Nie złapałam go za ramię, tylko schodziłam obok niego.

- Po co pan tu przyszedł? - zagadnęłam.

Spojrzał na mnie kątem oka, po czym wepchnął do ust resztki pizzy. Żuł i mówił jednoznacznie. Bardzo nieprzyjemny widok, wręcz obleśny.

- Po prostu chciałem sprawdzić, co słyhać. Upewnić się, że choć światy się zmieniają, inne rzeczy pozostają takie same. Jak ty.

Znów wytarł usta krawatem, po czym zatrzymał się, żeby spojrzeć mi prosto w twarz. Był dość niski i musiał unieść głowę. Zakołysał się przy tym na piętach. Przyjęłam jego spojrzenie ze spokojem. Nawet nie mrugnąłam -jakbym uważała, że gdybym to zrobiła, ujawniłabym jakąś swoją beznadziejną słabość. Wpatrywałam się więc w faceta z wymuszonym spokojem, bo serce waliło mi jak oszalałe. Zee zadrzał; reszta chłopców również. Chcieli się obudzić. Przetaczała się przez nich nienawiść.

Pomyślałam nagle: Nie dotykaj mnie, obrzydliwy mały człowieczku.

Mężczyzna wysunął język i się oblizał. Na wygłodniałe, świńskie oczka opadły powieki. Powoli i sennie. Odór cebuli skojarzył mi się niespodziewanie z zapachem krwi i wyobraziłam sobie, że plamy wokół ust Mister Kinga nie są od keczupu.

Wyciągnął z kieszeni spodni laseczkę czerwonej lukrecji i wpakował ją sobie w całości do ust. I znowu bez słowa odwrócił się, żeby odejść. Usłyszałam tylko chrupnięcie, gdy zęby miażdżyły cukierek.

Zostałam na miejscu, odprowadzając go wzrokiem. Potem jednak poszłam jego śladem. Tym razem trzymałam się od niego w odległości kilku kroków. W pewnej chwili rozdzielił nas kontener na śmieci. Tylko na sekundę, ale kiedy skręciłam za róg, przekonałam się, że Mister King zniknął. Po prostu wyparował. Ulica była zupełnie pusta. Tylko dwa zaparkowane samochody i ogrodzenie z drutu, tak zniszczone, że kolejna burza z pewnością powali je na ziemię.

Zajrzałam do kontenera, ale nie znalazłam tam Kinga. Zniknął. Rozpłynął się, zostawiając po sobie tylko smród cebuli.

Stałam nieruchomo, zastanawiając się nad tym, co się wydarzyło. Po minucie dołączył do mnie Byron. Nic nie mówiłam.

- Chyba niczego ode mnie nie chciał - skłamałam w końcu.
- Tacy zawsze czegoś chcą - odparł chłopak. - Tylko czasami potrzebują więcej czasu, żeby to z siebie wydusić. To zależy, ile ich zdaniem będą musieli zapłacić. - Zerknął na mnie zaczerwienionymi oczyma.
- Lub jak bardzo w ich przekonaniu będziesz się opierała, żeby nie oddać tego, czego pragną.
- Byron...
- Ale czasami - ciągnął szeptem - właśnie walka ich kręci.

Rozdział 5

Mieszkałam nad przytułkiem z Grantem. Na poddaszu z oddzielnym wejściem, do którego prowadziły długie schody - zbyt strome jak dla kogoś, kto ledwo chodzi bez laski. Grant twierdził, że to dobre ćwiczenie. Możliwe.

Gdy dotarłam na górę, zobaczyłam, że drzwi mieszkania są otwarte. Przez olbrzymie okna do środka wpadało światło słoneczne, rozgrzewając promieniami podłogę. Weszłam i natychmiast poczułam się skąpana w ciepłe, nasączona światłem jak wyschnięty liść herbaty cudowną wodą. Jakbym się rozszerzała, rosła, rozprzestrzeniała wokół zapachy - czułam się coraz bardziej i bardziej sobą. Ściany były zasłonięte półkami na książki, obrazami i maskami. W rogu stał wielki fortepian, a obok gitara. I stół z niedokończonymi fletami. I jeszcze moje rzeczy: skrzynia matki, jej skórzany płaszcz przewieszony przez ramę łóżka.

Kochałam to miejsce. Tutaj czułam się tak bezpieczna jak kiedyś u boku matki. A potem, po jej śmierci, już prawie zapomniałam, jak to jest. Mnie nie można zranić. Ani zabić. Ale to wcale nie znaczy, że się nie boję. Owszem, w głębi serca, w głębi duszy odczuwam lęk. Ale nie w tym mieszkaniu.

Z pokoju gościnnego dolatywały mnie dźwięki fletu, wysokie i słodkie. *Peer Gynt*, pomyślałam. Wiele lat temu matka zabrała mnie na koncert Jamesa Galwaya - i choć nie mogłam powiedzieć, że Grant techniką dorównywał tamtemu artyście, to jednak jego wykonanie brzmiało tak czysto

i szczerze, że każda nuta wydobywająca się z jego fletu ciągnęła mnie do niego, łagodząc rany w sercu.

Jednak moc Granta na mnie nie działała. Na chłopców też nie. A nikt poza nami nie był w stanie mu się oprzeć. Demony mogą posiąść ciało człowieka, zawładnąć nim, ale nie potrafią oddziaływać na ludzką duszę ani na świadomość. Te znajdowały się poza ich zasięgiem, głęboko ukryte. Granta natomiast nic nie ograniczało. Chciał zmieniać barwy duszy i tworzyć z nich coś nowego.

I to robił, systematycznie, po kawałku. Uzdrawiał złamane serca, łątał szczeliny w umyśle. Dokonywał małych i wielkich cudów, po których ludzie czuli się lepiej, pewniej, napełnieni nadzieją.

Matka, babka - wszystkie poprzedniczki z mojego rodu -zabiłyby go za te zdolności. Za to, do czego mógł zmusić demony... i ludzi. Jego siła była przerażająca. Napawała grozą.

Ale nie bardziej niż moja.

Grantowi towarzyszyła Mary. Przycupnęła na brzegu łóżka z zamkniętymi oczami, wyprostowana, z nogami skrzyżowanymi w kostkach jak skromna dziewczynka. Dłonie trzymała złożone na udach. Nie widziałam ich. Grant siedział naprzeciwko, niedaleko drzwi, przyciskając do ust złoty flet Muramatsu.

Skinął głową, gdy mnie zauważył, a chwilę później muzyka ucichła. Mary nie poruszyła się, a ja musiałam uważniej jej się przyjrzeć, żeby się przekonać, że oddycha.

Grant wsunął flet do pokrowca zawieszzonego na plecach, jakby odkładał miecz - z czcią i stosowną powagą. Złapałam go za rękę i pociągnęłam, żeby wstał z krzesła. Był blady i miał podkrążone oczy. Nieraz widziałam na jego twarzy takie chorobliwe zmęczenie. Twierdził, że używa swojego daru bez żadnego wysiłku, ale ja odnosiłam wrażenie, że to nieprawda.

Wziął laskę i pokuśtykał za mną do drugiego pokoju. Mary nadal siedziała w bezruchu, jak w transie. Zamknęłam za nami drzwi.

- Pokazała ci rękę? - spytałam. Potarł kark.
- Szukałem cię w piwnicy. Mary strasznie się zdenerwowała.
- Czy ona widziała wcześniej naszyjnik twojej matki?
- Nie. - Przez usta Granta przemknął ponury uśmiech. - Śmieszne, jak to się wszystko łączy. Rzeczywiście, strasznie śmieszne. Wręcz pękałam ze śmiechu.
- Wyjaśniała ci coś?
- Wspomniała o Labiryncie. - Kulejąc, przeszedł do sypialni.

Przez uchylone drzwi spostrzegłam leżącą na łóżku małą podręczną walizkę. Ruszyłam za Grantem. Widziałam, że knykcie jego palców zaciśniętych na lasce bieleją. Stukot laski też był głośniejszy niż zazwyczaj.

- Rozpląkała się, więc przyprowadziłem ją na górę, żeby się uspokoiła i ze mną porozumiała. Jak dotąd nic z tego - mruknął. Stał przed łóżkiem i patrzył na walizkę, jakby obserwował żywego węża.
- Nadal możesz zmienić zdanie - powiedziałam.
- Muszę pojechać - odparł ciężkim głosem.
- Nie tylko ze względu na Rossa. Spojrzał na mnie.
- Opuściłem Kościół w zły sposób. Zmuszono mnie. Nie byłem na to gotowy. Wierzyłem w swoje powołanie. To jak być małżonkiem kogoś, kogo bardzo kochasz, i przekonać się pewnego rana, że ta osoba uważa cię za śmiecia, naj-obrzydliwszą kreaturę na świecie. To mnie zdruzgotało. Ale się pozbierałem. Jednak gdy znów zobaczyłem Cribariego, usłyszałem o Rossie...

Ściągnęłam rękawiczki i chwyciłam go za rękę.

- To cię nadal boli.
- Trochę - zgodził się z kwaśną miną, po czym odwrócił moją dłoń i zapatrzył się w migoczące żyłki organicznego metalu wijące się poprzez łuski i rozpląszczone pazury tatuaży. Czerwone oczy Reda, wlepione w Granta, zabłysły, czemu towarzyszył cichy pomruk zadowolenia. Grant pocałował mnie w rękę.

- Ja wcale nie żałuję, że cię wyrzucili - stwierdziłam cicho, mimo wszystko mu współczując. - No ale jestem egoistką.

Uśmiechnął się i delikatnie uściśnił moją dłoń, a mnie jak zawsze w takich momentach dziwne zapiekły oczy.

- Boję się zostawić cię samą, Maxine - powiedział. - Mam złe przeczucia.

- Mówiłam przecież, że jadę z tobą.

- Ciekawe jak.

- Chyba wiesz. Popatrzył na mnie przeciągle.

- Jesteś pewna, że to dobry pomysł?

- Grant... - zaczęłam spokojnie. - Ja nigdy niczego nie jestem pewna. Po prostu robię to, co muszę. Tak jak ty.

- Tak jak ja. - Pokiwał głową i dodał: - Potrzebujesz mnie. Musisz mieć kogoś, kto będzie cię chronił.

- Uwierz mi, jestem chroniona.

- Ha - mruknął. - Jesteś wystraszona. Od rana.

- Nieprawda.

Palce Granta zacisnęły się mocniej na mojej dłoni.

- Nie umiesz kłamać. Wyrwałam rękę.

- Nie patrz tak na mnie.

Znów mnie złapał, tym razem za włosy. Nie bolało, ale sposób, w jaki to zrobił, intensywność jego spojrzenia, były szokujące.

- Kocham cię. - Przyciągnął mnie do siebie tak blisko, że ledwie mogłam oddychać. - Łatwo cię kochać, Maxine, ale trudno z tobą być. Bo świat cię rani, a ja nie mogę temu zapobiec. Bo wiem... że nie mamy do dyspozycji pięćdziesięciu lat. Może nie mamy nawet dwudziestu, dziesięciu. Jednego roku.

Nachylił się nade mną, a ja utonęłam w jego zbolalym spojrzeniu; odzwierciedlało dokładnie to, co sama czułam, ale o czym nigdy nie mówiłam, czego nigdy nie odważyłam się wypowiedzieć na głos.

- Porzucisz mnie - szepnęła. - Z własnej woli lub dlatego, że zginiesz. I może... zostawisz kogoś po sobie. Kogo razem stworzymy. Ale ciebie już nie będzie. Nie rozumiesz, że...

Zakryłam mu usta dłonią, zanim zdążył dokończyć. Rozumiałam. Mnie też zostawiono.

- Mamy czas - zapewniłam. Zamknął oczy.

- Bardzo tego pragnę. Ale chcę czegoś jeszcze, Maxine. Chcę cię strzec. Pozwól mi sobie pomóc, bo ja ci nie pozwolę umrzeć. Kiedy chłopcy cię opuszczą, porzucą dla twojej córki, nie poddam się. Nie powiem „żegnaj”. Nigdy. Nie spotka cię to samo co resztę kobiet z twojego rodu. Chcę, żebyś umarła

jako stara kobieta, ze mną. W naszym łóżku. W moich ramionach. Twoje serce się zatrzyma, Maxine, ale dopiero wtedy, kiedy będziesz na to gotowa. A nie dlatego, że jakiś demon wpakuje ci kulkę w głowę.

Gapiałam się na niego zupełnie sparaliżowana. Nie miałam pojęcia, że płaczę. Dopiero kiedy zamrugałam, przekonałam się, że po policzkach płyną mi łzy. Podniosłam rękę, żeby je obetrzeć, ale Grant scałował każdą kroplę z mojej twarzy. Serce biło mi tak mocno i szybko, że z trudem łapałam oddech.

- Maxine - szepnął. - Nie płacz.

Nie umieraj. Nie przede mną, odpowiedziałam mu w duchu i głośno pociągnęłam nosem.

- Jedź. Ja do ciebie dołączę. Razem się tym zajmujemy. Zawahał się.

- Twierdziłaś, że to pułapka.

- Nadal tak uważam. Ale jedź tam albo zostań, tylko nie dlatego, że się o mnie martwisz. Bo potem będziesz żałował. A żal... może zamienić się w niechęć. - Zmusiłam się do uśmiechu. - Chcesz, żebym umarła jako stara i pomarszczona kobieta. Dożyjmy więc tych dni, ale tak, żebyś niczego nie żałował - dodałam, siłą się na swobodny ton.

Pokręcił głową. Policzki miał rozpalone, skórę na szyi w plamach. Oczy zaczerwienione. Odsunął włosy z mojej twarzy i położył dłoń na skroni w miejscu, gdzie trafiła kula. Nie wiem, czy dotknął mnie tam rozmyślnie, czy przypadkowo, ale ciepło jego palców przyniosło mi ulgę.

- Uparta dziewczyna - mruknął. - A jeśli coś się stanie?

- Niełatwo mnie zabić - odparłam sucho. - Ty natomiast masz zwykłe ciało. Szczerze mówiąc, to o ciebie bardziej się martwię niż o siebie.

- Muszę ci chyba przypomnieć, że jestem dużym chłopcem, który potrafi o siebie zadbać.

- Ależ oczywiście, że potrafisz.

Na ustach Granta wykwitł uśmiech rozbawienia.

- Powiedz to tak, jakbyś w to wierzyła.

- Wierzę w to - zapewniłam. - I wiem, że jeśli któryś z tych księżulków krzywo na ciebie spojrzy, tak mu dołożysz, że raz-dwa przeniesie się na łono Abrahama.

Wybuchnął stłumionym śmiechem.

- Tak jest, proszę pani.

Drzwi sypialni za nami zaskrzypiały. Weszła Mary, nadal z zamkniętymi oczami. Szła na palcach jak tancerka, a pudle na jej niekształtnej sukience wirowały wokół bladych, owłosionych, żyłastych nóg. Chyba jednak nas widziała spod opuszczonych powiek, bo kroczyła w naszą stronę bez cienia wahania i zatrzymała się zaledwie kilka kroków przed nami.

Wyciągnęła przed siebie ręce. Grant chwycił jedną z nich, a ja po chwili zastanowienia złapałam drugą. Dość niechętnie. I delikatnie. Nie byłam najlepszym uzdrowicielem. Nie posiadałam daru łagodzenia bólu. Ja niszczyłam. Polowałam na śmierć.

Mary wydała z siebie gardłowy pomruk, po czym z jej głębin wydobył się głos, niski i ciągnący się jak tłusta melasa.

- Grant - szepnęła. - Umrzesz. Zamarłam.

- Mary.

Ale stara kobieta nie powiedziała nic więcej. Wpatrywaliśmy się w nią, ja z uczuciem mdłości. Z przerażeniem. Przepowiednie zagłady nie były dla nas niczym nowym, ale przesłanie Mary zabrzmiało gorzej niż wszystko, co do tej pory słyszałam. Jakby w jej szaleństwie tkwiły ziarna prawdy, pobrzmiwały echa wydarzeń, który już się dokonały... tylko że jeszcze nie zdawałam sobie z tego sprawy.

- Cóż - mruknął Grant. - Ja mam dobre przeczucia.

Odwiozłam go na lotnisko. Śmierdziało tam oparami benzyny, zatęchłym powietrzem i rozpaczą - wszystko zamknięte w betonowym bunkrze. Prawie jak więzienie.

Zostałam do chwili, aż Grant przeszedł przez bramkę. Cribari już odleciał innym samolotem. Cieszyłam się, że ta kreatura nie będzie siedziała obok mojego mężczyzny, choć i tak nie czułam się komfortowo.

Kiedy opuściłam lotnisko, znowu zaczęło padać. Nad moją głową rozciągały się chmury, szare jak stare skarpetki. Nie zamknęłam szyby. W radiu grzmiała Tina Turner. Podkreślałam głośność, kiedy śpiewała o tym, że nie potrzebuje kolejnego bohatera. Mad Max, pomyślałam. Samotnik, człowiek z jedną jedyną misją - przetrwać. Pozostał gliną i nadal czynił dobro pomimo apokalipsy. Matka kazała mi oglądać takie filmy. Mówiła, że to wzór godny naśladowania. Nie mogłam się z nią nie zgodzić.

Nie pojechałam z powrotem do przytułku. Musiałam pomyśleć, ale w mieszkaniu była Mary. Postanowiłam zostać w samochodzie. Zresztą gdzie indziej mogłaby pójść. A mustang to miejsce dobre jak każde inne; zapewniał mi schronienie, mobilność, muzykę... więc chyba nawet lepszy niż cztery ściany. Mimo to przez chwilę poczułam się tak osamotniona jak kiedyś; stęskniona za czymś, czego nie umiałam nazwać. Pod pewnymi względami było mi łatwiej bez ludzi. Przyzwyczyłam się do tego po śmierci matki. Nie miałam żadnych oczekiwań.

Pomyślałam o Grancie: siedzi sam w poczekalni, leci pomóc człowiekowi, który go zdradził. Mocno zacisnęłam palce na kierownicy. Czułam, że Raw i Aaz próbują siłą oderwać się od moich rąk. Musiałam ściągnąć rękawiczki, bo miałam wrażenie, że zaraz się uduszę. Przez dłonie.

Tatuaże zamigotały w świetle ponurego poranka. Po dłoniach rozeszło się żarzące ciepło. Przypomniało mi o żelaznym pancerzu na moim serdecznym palcu. Ten metal miał właściwości kameleona; wcześniej, jeszcze przed świtem, jego powierzchnia była jasna jak lustro; srebrna, ostra, żywa. Teraz jednak pociemniało. Pokryły ją łuski i róże, co wyglądało jak ciała chłopców lub korytarze labiryntu. Zdawało się, że pancerz pochłania światło i stapia się z tatuażami, tak że trudno było odróżnić jedno od drugiego. Mogłabym nawet udawać, że pierścień nie istnieje. Otulał palec jak kokon, przenikając przez chłopców. Jakby metal zapuścił korzenie z jedwabiu i ognia w moich kościach.

Od czasu do czasu, w chwilach takich jak ta, zastanawiałam się, czy pancerz przypadkiem nie zmienił się w palec, skoro ewoluował bez mojej woli. Może przepoczwarzałam się w jakiegoś średniowiecznego cyborga. Próbowałam wszystkiego oprócz piły elektrycznej, żeby pozbyć się tego przeklętego pierścienia, ale bez skutku. Powiedziano mi, że zniknie w momencie mojej śmierci - i teraz już w to wierzyłam. Kolejna spuścizna. Kolejna tajemnica. Przedmiot, który spełnia życzenia właściciela, ale nie za darmo.

Wcześniej pancerz był o wiele mniejszy, wyglądał jak szeroka obrączka.

Przestało padać. Śliskimi ulicami dojechałam do śródmieścia Seattle i wylądowałam przy targu Pike Place. Nie do końca świadomie. Ciągnęło mnie do obszarów, gdzie Zastłona była cienka, a w okolicy targu - tkwiącego pomiędzy oceanem a lądem - wydawała się najcieńsza. Różne kreatury regularnie wymykały się z więzienia, choć tylko z pierwszego okręgu, zamieszkiwanego przez szczury i karaluchy świata demonów - tych twórców zombie, którzy wpełzli na szczyt łańcucha pokarmowego, korzystając z nieobecności ich silniejszych braci i siostr. Kiedy więzienie runie, gdy potężne istoty zamknięte w wyższych kręgach się uwolnią, te parszywe pasożyty będą cierpiały na równi z ludźmi. I wcale mi ich nie żal.

Zaparkowałam przy północnej stronie targu i wybrałam się na długi spacer. Wmieszałam się w tłum. Szukałam ciemnych aur, ale na brukowanych zatłoczonych uliczkach spotykałam tylko ludzi okutanych w ciepłe ciuchy. Mieli polary, dzinsy i te beznadziejne buty z wełnianymi skarpetkami. Parasolki, kaptury i czapki bejsbolowe chroniły ich przed padającym co chwilę deszczem. Twarze ponure i wymęczone, podobne do chmur nad głowami. Nikt nie wydawał się szczęśliwy. Ale w końcu to Seattle. Tutaj grymas niezadowolenia to niemal część garderoby.

Przypomniałam sobie Mister Kinga. Jego wilgotny głos i to, jak mówił, plując na wpeł przezutym żarciem. Pomyślałam też o Byronie.

Tacy zawsze czegoś chcą. Tylko niektórzy potrzebują więcej czasu, żeby to z siebie wydusić.

Strzelano do mnie i mało brakowało, a już bym nie żyła. Grant leciał prawdopodobnie prosto w zastawioną na niego pułapkę. A ksiądz, który go tam wysłał, dziwnie mnie nazwał. I jeszcze potem ten mały człowieczek o świńskich oczach -zjawił się w schronisku, żeby sprawdzić, jak się rzeczy mają.

To wszystko jedna układanka - czułam to. Dostałam pudełko pełne odciętych palców i nie wiedziałam, które dopasować do dłoni.

Znajdowałam się w południowej części targu, w pobliżu posągu wielkiej świni. Nie pamiętałam jej imienia, choć wiedziałam, że Zee i reszta chłopców zawsze chcieli pożreć to cholerne zwierzę. Dokoła mnie turyści i kilku miejscowych. Każdy zajęty własnymi sprawami. Samochody, sklepy, rozmowy. Przyglądałam się temu i nagle poczułam się jak jedyna normalna osoba w surrealistycznym świecie; jakby świat w coś się przemienił, chociaż ja byłam taka jak wcześniej: obca, niezmienna, zagubiona w czasie.

Obok mnie stał wysoki łysy facet w ciemnych okularach, z kolczykiem w uchu i w białej bluzie z napisem „MSU”. Na rękę trzymał małego chłopca, w drugiej dłoni ścisnął aparat fotograficzny. Kiedy zauważył, że na niego patrzę, pokazał na gigantyczną świnię. Rodzice sadzali na jej grzbiecie swoje pociechy.

- Mogłaby pani?

Zee zaczął się złowieszczo wiercić. Mało co, a nie zgodziłabym się. Ciekawe, co powiedziałby ten gość, gdyby wiedział o demonach śpiących na moim ciele. Ale dzieciak patrzył na mnie słodko niebieskimi oczkami. No i poza tym jestem idiotką. Wzięłam więc aparat i pstryknęłam im kilka zdjęć. Kolejny surrealistyczny moment - patrzenie przez obiektyw na uśmiechnięte twarze; na podskakującego malucha i jego ojca, który robi z palców uszy królika.

Zastanawiałam się, jak długo pożyją, kiedy więzienne mury się zawalą.

Oddałam aparat i pomachałam na pożegnanie chłopcu. Nadal dosiadał świnię, klepiąc jej głowę pulchną rączką i śmiejąc się radośnie. Musi istnieć jakiś sposób, żeby to zatrzymać. Musisz temu zapobiec. Musi być jakieś wyjście -myślałam gorączkowo.

Jakieś wyjście, jakiś sposób. Przez całe życie skupiałam się tylko na jednym. Wytropić demona. Zabić demona. Żadnej subtelności, skomplikowanej strategii. Sprawami cięższej wagi zajmowali się Zee i reszta chłopców.

Dłużej tak być nie mogło. Stawki wzrosły. Musiałam okazać się sprytniejsza, szybsza. Jeśli nie wezmę się w garść,

72 świat się skończy, podczas gdy ja będę spała w ciepłym łóżku, u boku ciepłego mężczyzny, udając, że jestem normalną dziewczyną z demonami na skórze. Matka by się za mnie wstydziła. Jej córka, wilczyca, zmienia się potulną kotkę.

Nie tylko wygodą cię hamuje, powiedziałam sobie w duchu. Obawiasz się alternatywy. Tego, kim się staniesz, kiedy zrobisz to, co musisz. Boisz się ciemności drzemiącej w głębi twojego serca. Bardziej niż końca świata boisz się samej siebie.

To prawda, choć nie chodziło o zwykły strach. Byłam przerażona.

W drodze powrotnej do samochodu kupiłam sobie w Star-bucksie kubek gorącej czekolady. Przysiadłam na chwilę na mokrej ławeczce ustawionej między drewnianymi beczkami, w których zasadzono ozdobne paprocie. W ogóle nie zwracałam uwagi na mżawkę spływającą z nieba niczym srebrna mgła. Chłopcy spijali wodę z dzinsów i swetra. A to, że na moją twarz kapią krople deszczu, nigdy mi nie przeszkadzało. Lubiłam to orzeźwiające uczucie. Deszcz nigdy się nie zmienia. Stanowi część świata. Ludzie nie mają nad nim władzy. Ja też nie. Jest nieśmiertelny i będzie istniał nawet dłużej niż chłopcy, bo ich życie całkowicie zależy od mojego rodu.

Pewnego dnia wrogom się poszczęści. Nieważne, czy zdarzy się to za mojego życia, czy później. Ciekawe, czy matka też przeżyła bliskie spotkania ze śmiercią. Mogłam o to zapytać chłopców, ale oni niewiele mówili o swoich poprzednich paniach. Wspomnienia sprawiały im ból.

Rozumiałam to. Myślałam o matce, kiedy kątem oka dostrzegłam bluzę z napisem „MSU”. Zajął mi chwilę, zanim ją rozpoznałam.

O chwilę za długo. Wokół mnie zebrały się cienie. Zostałam otoczona. Uniosły mnie czyjeś ręce. Zaczęłam się wyrывać i krzyczeć; w tle słyszałam ryk silnika samochodowego. Chłopcy szarpali się na skórze.

Za późno. Zawsze się spóźniałam.

Rozdział 6

Kiedyś w tanim motelu w Lubbock w Teksasie oglądałam w nocy wiadomości, w których radzili, co robić, jeśli ktoś zamknie cię w bagażniku.

Ludzie byli wtedy naprawdę wściekli. Z powodu tego, co się wydarzyło w miasteczku oddalonym jakieś pięćdziesiąt kilometrów od Lubbock. W pobliskim jeziorze znaleziono cztery samochody, a w każdym uwięzioną dziewczynę. Podobno, jak podawała prasa, dziewczyny żyły, kiedy auta tonęły.

W programie wypowiadał się ekspert od bezpieczeństwa - opasły, biały facet z siwymi włosami, płaskim nosem i podgardlem, które się trzęsło, gdy mówił. „Wybijcie tylne światła”, grzmiał. „Znajdźcie

dźwignię otwierającą bagażnik. A najważniejsze, pozostańcie czujni. Nie pozwólcie się złapać. Walczcie jak szaleni".

Dobra rada. Kłopot w tym, że strach ludzi paraliżuje. Tracą zdolność jasnego myślenia. Zachowują się nieprzewidywalnie. O czym sama powinnam pamiętać.

Bo gdybym pamiętała, nie myślałabym - cztery lata później - o tych zamordowanych dziewczynach, czując niedorzeczne, bezsensowne poirytowanie. Głównie na samą siebie. Kołysałam się i podskakiwałam w małej, ciemnej przestrzeni, z rękoma i nogami boleśnie skrępowanymi, z ustami zaklejonymi taśmą.

Nie wsadzono mnie do bagażnika. Tylko do skrzyni. A konkretnie do trumny, z której ktoś pozdzierał ozdoby i zostało samo drewno. Bez wyściółki w środku. Było mi gorąco, nos miałam zapchany. Dusiałam się.

Trumna ślizgała się po pozbawionym okien tyle bagażówki. Zdążyłam jeszcze zauważyć ten samochód kątem oka, zanim potraktowano mnie jak bochenek chleba wrzucany do pieca. Jestem silna - silniejsza niż większość mężczyzn - ale straciłam szansę na obronę w pierwszych dwóch sekundach ataku. Moja wina. Zapomniałam o własnej zasadzie: spodziewaj się niespodziewanego. Co gorsza, napastnicy okazali się profesjonalistami, a ja rzadko miewam z takimi do czynienia. Byli opanowani, szybcy i wiedzieli, kim jestem. Żadnych pistoletów, noży, ciosów w głowę. Żadnych prób pozbawienia mnie świadomości. Sama brutalna siła.

Zastanawiałam się nad tym, leżąc w trumnie. Myślałam o tych czterech dziewczynach z Teksasu i o tym, że tamtego dnia skończył się ich świat - tak jak się kończył każdego dnia innym ludziom i jak będzie się kończył, na różne sposoby, w przyszłości, kiedy zniknie Zasłona. Pamiętałam zombie, który zabił te nastolatki, i wyraz jego twarzy, gdy poddałam egzorcyzmom zamieszkującego w nim demona. Znów zrobiłam z niego człowieka.

Dwadzieścia cztery godziny później został aresztowany, a po błyskawicznym procesie skazany na śmierć za dokonanie morderstw, choć nie pamiętał, by je popełnił. Najszybsza egzekucja w historii Teksasu. Aż do ostatniego dnia życia ten człowiek twierdził, że jest niewinny. Że ktoś go zrobił.

Wiedziałam, co czuje.

Długo tkwiłam w tej trumnie. Czułam, jak dzień wolno mija. Jakbym ruch słońca miała zapisany w krwiobiegu.

Blisko zmierzchu bagażówka się zatrzymała. Nie słyszałam głosów, ale w oddali rozsunięły się jakieś drzwi. Trumna się zachwiała, potem gwałtownie uniosła i opadła, przechylając się na boki pod dziwnymi kątami. Podskakiwałam, obijałam się o ścianki, jakbym była w środku pracującej suszarki do ubrań. Żołądek podchodził mi do gardła.

Powinłam mieć urazy głowy od tych wstrząsów, ale chłopcy przy pierwszych drganiach przenieśli się na moją twarz. I nagle, jakby ktoś wepchnął mnie pod strumień gorącej wody; cała piątka strażników na moich policzkach, czole, oczach i ustach. Gotowych na wszystko. Wściekłych. Wyczekujących zmierzchu.

Trumna w końcu łupnęła ciężko na jakieś podłoże. Z takim impetem, że zęby mi zadzwoniły, a deski skrzyni zaskrzypiały. Wieko było zabite gwoździami, jakby porywacze poskapili pieprzonych pięciu dolarów na zakup zamka. Potem usłyszałam, że ktoś podważa wieko łomem.

Zorientowałam się, że jestem w jakimś pokoju bez światła. Na szczęście doskonale widzę w ciemności, więc od razu spostrzegłam otaczających mnie mężczyzn. Co najmniej czterech, ubranych zwyczajnie, tyle że mieli noktowizory. Biło od nich smrodem dymu papierosowego i potu. I żaden nie okazał zdziwienia, że teraz moją twarz pokrywają tatuaże. Zimny, obojętny profesjonalizm.

Znów przewrócili trumnę do góry dnem. Gdy z hukiem wypadłam na posadzkę, jak duch pojawił się przede mną facet w białej bluzie z napisem „MSU”. W nozdrza uderzył mnie zapach wilgotnego betonu. Woń piwnicy, jak bym znajdowała się w starym zapuszczonym domu, któremu przydałyby się dezynsekcja i dobry preparat na wilgoć.

Ktoś zaczął zdejmować mi rękawiczki. Zaciśnęłam dłonie w pięści, aby do tego nie dopuścić, a chwilę później poczułam nóż tnący skórę. Wykręciłam szyję, żeby zobaczyć, co się dzieje. Facet w białej bluzie siedział na mnie okrakiem z nożem sprężynowym w jednej dłoni i resztkami mojej rękawiczki w drugiej. Nie przypominał już zwariowanego tatuśka. Już bardziej żołnierza. O kamiennej twarzy, zwartego. Z tych, co golą sobie głowy, bo sądzą, że dzięki temu wyglądają na jeszcze gorszych skurczybyków. On jeden ze wszystkich mężczyzn w ciemnym pomieszczeniu nie miał na oczach noktowizora. Tylko te same okulary co wcześniej. Mimo to wydawało się, że doskonale mnie widzi.

Skończył rozcinać rękawiczki, po czym rzucił za siebie jakiś krótki ostry rozkaz. Reszta towarzystwa w milczeniu wycofała się do drzwi tuż za wiszącymi nisko, rzeźącymi rurami, tak jakby ktoś piętro wyżej korzystał z wody. Kiedy otworzyli drzwi, nie zobaczyłam żadnego światła. Jeszcze większa ciemność. Żadnych dźwięków, poza odgłosem spływającej wody, szurania stóp i ostrego oddechu.

Mężczyzna w bluzie zaczął, aż kumple wyjdą, po czym zdjął okulary i pstryknął przełącznik na ścianie. Rozbłysło jaskrawe, oślepiające światło. Oczy zaczęły mi łzawić. Facet przesunął się w bok i zniknął z widoku. Po krótkiej ciszy usłyszałam kilka charakterystycznych kliknięć. Aparat fotograficzny. Nieznajomy robił zdjęcia.

- Tak, ma pierścień. Przesyłam ci fotkę - mówił.

Leżałam na brzuchu, z rękoma związanymi z tyłu. Przeturlałam się na plecy, zasłaniając sobą pancierz na palcu. Napastnik westchnął. Chciałam na niego spojrzeć, ale znów zszedł mi z oczu. Był jak nicość, jak duch.

Raw i Aaz zabrali się do rozgrzewania moich rąk. W ciągu sekund rękawy swetra zaczęły się palić. Taśma też. Poczułam słaby gryzący swąd tłącego się plastiku. Szarpnęłam ramionami. Coś się oderwało.

- Tak - ciągnął facet w bluzie. - Wszystko przygotowałem. I jeszcze raz dziękuję. To dla mnie zaszczyt.

Odwróciłam głowę. Wreszcie mogłam dobrze się przyjrzeć nieznajomemu. Znów miał na nosie okulary. Zamknął klapkę komórki i wsunął telefon do kieszeni. Zauważył, że się na niego gapię i zrobił to samo - patrzył, jakby mnie oceniał. Niczym jakiś Anubis z miarką i piórem do zapisywania, ustalający ciężar mojego serca.

A potem oderwał ode mnie wzrok i ściągnął bluzę. Pod spodem nosił tylko kaburę na szelkach przewieszonych przez ramię i pistolet. Pierś zdobił pojedynczy tatuaż.

Labirynt. Ostatnio Grant ciągle karmił mnie informacjami o labiryntach wyszukanyymi w różnych książkach. Tatuaż na piersi nieznajomego przypominał fotografię labiryntu w katedrze w Chartres we Francji: cztery ćwiartki koła, jedenaście obwodów, w środku rozeta przypominająca ramiona krzyża. Czasami nazywa się to Drogą do Jerozolimy. Labirynt w Chartres służył za substytut prawdziwej pielgrzymki, w którą się wyruszało, aby dotrzeć do Boga, osiągnąć oświecenie.

Jednak odnosiłam wrażenie, że ten tatuaż na piersi oznacza coś innego. Kiedy facet się odwrócił, żeby odrzucić bluzę, zobaczyłam kolejny rysunek, tym razem na plecach: wielki, czarny krzyż. Może to z powodu krzywizny kręgosłupa lub poruszających się mięśni karku, ale piktogram wydawał mi się dziwnie powyginany i kręty. Aż mi zamigotało przed oczyma na jego widok, a serce boleśnie zadrżało.

Mężczyzna wyciągnął pistolet z kabury. Magnum kaliber 44, w stylu broni, jaką posługuje się Brudny Harry. Nic przyjemnego. Zmierch miał zapaść za kilka minut, ale gość już teraz przyłożył mi lufę do czoła i odblokował bezpiecznik. Pot spływał mu po piersi, ale uścisk palców na broni był pewny i silny. Facet nie zamierzał pudłować. Czekał tylko na właściwy moment.

Podobnie jak ja. Znów szarpnęłam rękoma i tym razem taśma puściła na dobre.

Nie zdążył zareagować. Przekręciłam się na bok, pistolet wystrzelił, kula musnęła moją skroń. To mnie nie powstrzymało, huknęłam faceta stopą w jądra. Upadł, uderzając głową o róg trumny. Nie umarł. Nawet nie stracił przytomności. Ale na jedną, drogocenną chwilę zamroczyło go, a to dało mi czas, żeby wbić paznokcie w taśmę przy kostkach i ją rozerwać.

Uwolniłam się, zanim przeciwnik oprzytomniał. Złapałam go za gardło i z całej siły przycisnęłam jego głowę do betonu; drugą ręką wyrwałam mu pistolet i walnęłam nim mocno o posadzkę. Broń roztrzaskała się na kawałki. Resztę rzuciłam w kąt.

Zerwałam taśmę z ust, potem ściągnęłam nieznajomemu okulary. Chciałam zobaczyć jego twarz, chciałam ją zapamiętać, zanim chłopcy się obudzą i zrobią, co do nich należy.

Ale przeżyłam szok.

To nie były oczy człowieka.

Nie miały białek. Rogówkę pokrywała atramentowa czerń. Ale to nie szkła kontaktowe. Prawdziwe oczy, nasycone ciemnym życiem. Facet zamrugął szybko jak jaszczurka. Cienka ochronna błona - przejrzysta jak lustro - na moment przesłoniła gałki oczne. Zobaczyłam w niej zniekształcone odbicie swoich tatuaży. Potem pokrywa zniknęła, znów odsłaniając niewiarygodne, olbrzymie obsydianowe oczy.

- Ja pierniczę - szepnęłam.

Nieznajomy posłał mi spojrzenie pełne przeszywającej pogardy. Lecz ja prawie tego nie zauważyłam. Wpatrywałam się w oczy. Wielkie nieba. Ani trochę nie przypominały ludzkich. Może miałam do czynienia z demonem, tylko że nie widziałam nawet skrawka ciemniej aury. Ten facet był czymś innym.

Ale wygląda na tyle ludzko, że zdołał mnie zwieść, rozważałam w duchu. Jest na tyle ludzki, że przed kimś się tłumaczy.

Komórka. Przeszukałam jego kieszenie, próbując nie zwracać uwagi na lodowate gadzie spojrzenie. Skóra mnie mrowiła, i to nie tylko z powodu chłopców.

- No więc - mruknęłam i, krzywiąc się, wepchnęłam rękę głębiej do przedniej kieszeni. - Kto chce mnie zabić?

Zacharczał. Za mocno przyciskałam jego szyję, ale nie zamierzałam poluzować nacisku. Udało mi się wymacać telefon i go wyciągnąć. Natychmiast wcisnęłam guzik ostatniej rozmowy. W rurach nad moją głową znów przetoczyła się woda; usłyszałam krzyk dziecka. Może tego chłopca z targu.

Odnalazłam numer i włączyłam wybieranie. Sygnał, potem kliknięcie.

- Witaj, Franco - odezwał się spokojny, męski głos. - Już po wszystkim?

Nie, cholera, jeszcze nie, chciałam krzyknąć, ale nie zrobiłam tego, tylko się rozłączyłam. Potem walnęłam telefonem o posadzkę, dobijając go pięścią. Beton się pokruszył. Karta SIM i inne części komórki też.

Nie rozpoznałam głosu po drugiej stronie, ale i tak wiedziałam, kto nasłał na mnie tę gnidę, która leżała teraz przede mną. Bez trudu się domyśliłam. Tatuaż z krzyżem wiele wyjaśniał.

- Cribari - wycedziłam. - Nasłał cię Antony Cribari. Franco drgnął. Co wystarczyło za odpowiedź. Cribari.

To ten księżulek odpowiadał za to, że rano ktoś do mnie strzelał. Dwie próby zabicia mnie. Dwie próby, do których nigdy nie powinno dojść. Żaden klecha, żaden człowiek nie powinien wiedzieć o moim istnieniu, nie wspominając o mojej słabości.

Fakt, że w sprawę wplątany był ksiądz, nie tłumaczył jednak, skąd te nieludzkie oczy. Zupełnie tego nie tłumaczył.

Potrząsnęłam Frankiem.

- Dlaczego?

Zacisnął usta i naprężył się jak struna, gdy usiłował mnie z siebie strząsnąć. Przytrzymałam go, potem złapałam za ucho i przyciągnęłam jego głowę do siebie. Stęknął z bólu, poczerwieniał na twarzy, zalał się potem.

- Ten świat nie należy już do ciebie - syknął, a srebrna pokrywa znów na chwilę objęła jego gałki. - Nie pozwól ci odebrać sobie duszy.

- Zachowaj ją - warknęłam. -1 gadaj, co wiesz. Skrzywił się i rąbnął mnie pięścią w żołądek. Nawet nie

drgnęłam. Zacisnął mi palce na gardle i dusił, ale równie dobrze mógłby próbować skrócić kalifornijską sekwoję w węzeł. Robił wszystko, żeby się uwolnić, ja jednak byłam cierpliwa. Wkrótce zmierzch. Miałam czas.

- Dlaczego? - powtórzyłam, kiedy ciężko dysząc, opadł na ziemię. - Czym ty jesteś?

Jego rozognione gorączką spojrzenie nie przestawało być wyzywające. Patrzył na mnie jak na największą grzesznicę wszech czasów, która po śmierci na pewno spłonie w piekle lub co najmniej przez całą wieczność będzie cierpieć okropne męki.

Splunął mi w twarz. Moja skóra zasyczała. W ślinie był kwas. Walnęłam go w gębę tak mocno, że rozciąłam mu usta. Za nami zaskrzypiały drzwi. Pomieszczenia zalała zadymiona smuga srebrnego światła. Obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam kumpli Franca wpatrzonych we mnie ze zdumieniem.

Franco wycharczał jakieś niezrozumiałe słowo i faceci rzucili się do mnie. Pierwszy napastnik dostał w kolano. Sprawę załatwił impet, choć siły mi też nie brakowało. Usłyszałam trzask i noga wygięła się w tył, a wrzask, jaki roz-szedł się wokół w chwili, gdy mężczyzna padał na ziemię, bardziej przypominał wycie zwierzęcia niż ludzki krzyk.

Franco zaczął pełznąć w tył, ale złapałam go za dzinsy, wykorzystując cały ciężar ciała, wymierzałam cios w krocze. Za-gruchotała pękająca kość. Franco, rżąc, wygiął tors w górę.

Czyjeś ręce złapały mnie za włosy. Ktoś kopnął mnie w twarz, w wytatuowany policzek. Nie bolało, ale poleciałam w bok, na trumnę. Ciężki but przygniótł mi gardło. Chwyciłam mięsistą kostkę. Napastnik zachwiał się i zaklął.

Wyczułam coś twardego pod nogawką jego spodni. Pochwę, nóż. Wyrwałam ukrytą broń, puszcżając nogę. Gość odskoczył, czujnie mi się przyglądając. Wszyscy czujnie mi się przyglądali.

Ja natomiast prawie ich nie widziałam. Stałam na chwiejnych nogach. Myślałam tylko o Cribarim. O tym, że Grant jest z nim sam na sam. Coś we mnie pękło. W głębi serca, pod żebrami zatrzepotała jakaś ciemna moc. Znajoma i zimna, budząca się ze snu; obca istota, oddzielna ode mnie, niezależna od chłopców.

Nie miałam dla niej nazwy. Nie wiedziałam, co to jest ani skąd się bierze. Ale kiedy się pojawiała, działy się złe rzeczy. We mnie. Wokół mnie.

Nie, zawołałam w duchu. Nie rób tego.

Potrzebujesz nas, szepnął syczący głos, a mężczyźni przede mną, otoczeni cieniem, stali się nagle jacyś mali; jak szczury ze świecącymi oczyma. Ten widok mnie rozbawił. Parsknęłam śmiechem. Twardym, ognistym, jakbym miała ostrza na języku albo śmierć. Zaczęłam walczyć ze sobą. Śmiech nie pasuje do takich sytuacji. Nie pasuje do przemocy.

Zaczęłam tonąć. Wystarczył tylko moment zawahania i to coś przelało się przeze mnie. Znałam to uczucie - przypominało nadchodzącą panikę lub atak furii. Tylko że chodziło o ciemność... która zmieniała się w euforię i rozprzestrzeniała się w moim sercu.

Tropicielko, szepnął syczący węzowy głos. Stanowimy jedność.

Zadrżałam, bo nie potrafiłam zapanować nad tą mocą. Zbliżał się zachód słońca. Podciągnęłam rękawy, odsłaniając migoczące tatuaże. Wysyłały w powietrze srebrzyste strzały światła; łuski, pazury, czerwone błyszczące oczy, mieniające się jak odpryski rubinów. I choć chłopcy jeszcze nie płonęli, byli już blisko, też falowali na mojej skórze. Dostrzegałam ich płynne kształty i wiedziałam, że napastnicy też to widzą. Przesunęłam nożem po ramieniu, żeby go naostrzyć. Nakarmiłam chłopców stałą. Iskry rozświetliły przyćmione powietrze. Banda przede mną wzdrygnęła się, a ja poczułam w gardle dławiący głód. Sprawiał, że moje serce rozwarło się jak chmura rozdarta płonąca błyskawicą.

- Powiedzcie - szepnęłam. - Dlaczego Cribari chce mnie zabić?

Początkowo milczeli, może nawet nie usłyszeli. Przeważeni gapili się na moje ramię i robili w powietrzu znak krzyża.

Franco zaczął kasłać. Spojrzałam w dół. Nadal leżał na ziemi. Z kącika ust wyciekała ślina. Ale nieludzkie oczy były otwarte. Wpatrzony w pancerz na palcu mojej prawej dłoni.

- Jesteś odrażająca - wymamrotał, a w piwnicy nagle powiało złowrogą mocą, zimną i zatęchłą. - Matko Ciemności. Ciemna Damo Labiryntu. Przysięgliśmy cię zniszczyć.

Podniosłam prawą rękę.

- A to?

- Relikwia, która do ciebie nie należy - wydyszał Franco, po czym wycharczał jakieś krótkie słowo, na którego dźwięk jego ludzie się poruszyli.

W przyćmionym świetle zabłysły lufy pistoletów. Czułam, że zbliża się zmierzch. Że jest już blisko...

Jeden z mężczyzn wystrzelił zbyt wcześnie. Od ogłuszającego huku aż zadrżała podłoga. Kula odbiła się od mojej piersi.

I pojawił się ten straszny głód.

Nie mogłam tego powstrzymać. Odśloniłam zęby w grymasie przypominającym uśmiech - miał posmak krwi i wypełnił mnie grozą, frenetyczną i przerażającą, jakby to ktoś inny się uśmiechał, rozciągając się pod moją skórą tak bardzo, że wyobraziłam sobie szwy pękające na stawach. Byłam jak szmaciana lalka. Wzrok mi się zamglił. Potem nagle oślepiłam. A ci mężczyźni... zaczęli przeraźliwie krzyżeć. Dlaczego? Straciłam wzrok, ale nie słuch.

Te wrzaski stały się całym moim światem. Ich dźwięk smakował jak wino na moim języku, przecinanym tonem każdego z głosów, które wznosiły się w powietrze w niezgodnym rytmie, kołysały ciało, jakbym wsłuchiwała się w brzdąkanie jakiejś makabrycznej gitary. Moje przerażenie nikło wobec euforii odczuwanej przez zamieszkującą we mnie istotę. Walczyłam z nią, zmagalam się z całych sił, jakby od tego zależało moje życie... bo wiedziałam, że umrę od tych wrzasków. Coś we mnie zginie, kiedy one ucichną. Błagam, wołałam w duchu. Błagam. Chłopcy przetaczali się na skórze. Piekiła mnie prawa dłoń. Oczy wypełniło światło. Nagle znów widziałam, ale nie swoich napastników. Zobaczyłam pancierz na palcu: promieniejący, jakby wypełniał go blask księżyca i pereł. Światło przenikało cienie wirujące wolno wokół mojego serca. Sprawilo, że pomyślałam o matce. „Uważaj na siebie, kochanie, uważaj”. I ot tak, jak gdyby jej wspomnienie było odtrutką, ta węzowata obecność rozciągająca się we mnie zaczęła się cofać. Ciemność zniknęła, choć jej nieobecność odczuwałam jak puste miejsce po zębie wyrwanym z dziąseł duszy - ziejąca, wrażliwa dziura. Nogi mi zadrżały. Przeszył mnie lodowaty dreszcz. Zaczynały się objawy szoku.

Nie poddałam się. Wbiłam stopy w ziemię, udając, że jestem z kamienia. Żadnych uśmiechów. Nigdy więcej. Zawsze się zastanawiałam, jakie to uczucie być opętanym... i teraz znów mogłam tego posmakować.

Ohydne doznanie. Byłam załamana, że tak łatwo się gubię. W samej sobie. Nic nie rozumiałam, nie miałam pojęcia, dlaczego coś podobnego mi się przydarza i co kryje się wewnątrz mnie. Zwinęłam dłoń w pięść, a pierścień przestał promieniować światłem. W końcu dostrzegłam swoich wrogów. Nadal żyli. Ledwo, ledwo.

Nie przypominałam sobie, żebym się do nich zbliżała. Nie pamiętałam, żebym któregoś dotknęła. A jednak stałam przed nimi i trzymałam ręce po łokcie zanurzone w płataninie ciał. Patrzyłam na to z

przeżeniem. Mężczyźni byli zbici w tak ciasną kupkę, tak zasupłani, że wydawało się, iż tworzą jeden organizm.

Ale nie byli jednym organizmem; dłonie i głowy drgały spazmatycznie. Silni faceci, ale z twarzami wykrzywionymi grymasem agonii okropnego strachu. Usta rozdzierał bezgłośny krzyk.

Zachwiałam się, wyszarpując rękę. Nadal w jednej ścisłałam nóż, ale ostrze, skierowane do wewnątrz, płasko przywierało do mojego przedramienia. Nie było na nim śladów krwi. Nikogo nie ugodziłam. Zamieniłam tych osiłków w bełkoczącą masę samym dotykiem.

Zebrało mi się na wymioty. Złapałam się za brzuch, potem za prawą rękę - tak mocno, jakbym usiłowała się od czegoś uwolnić. Może od samej siebie. Pancierz na palcu przykryty tatuażami był rozgrzany. Chłopcy wiercili się coraz bardziej. Nadciągał zmierzch. Zostały tylko sekundy.

- Dlaczego? - szepnęłam w stronę mężczyzn, ale oni w tym momencie chyba już na niczym nie potrafili się skupić, poza własnym oddechem i z pewnością nie potrafiliby odpowiedzieć na bezsensowne pytanie, na którym bezowocnie zafiksował się mój umysł.

- Bo jesteś, kim jesteś - odezwał się głęboki głos, gdzieś za moimi plecami. -1 dlatego że dzierzysz klucz do Labiryntu.

Zaczęłam się odwracać, ale czyjeś silne dłonie chwyciły mnie za ramiona i przyciągnęły do ciepłej piersi, pachnącej skórą i książkami, i człowiekiem, który kiedyś pracował na ranczu w Montanie; starym kowbojem, z twarzą zniszczoną kurzem i słońcem.

- Kochana dziewczynka - wymruczał mi do ucha Jack Meddle, mój dziadek. - Znalazłaś się w poważnych opałach.

A potem wyrwał mnie z tego świata w otchłań.

Rozdział 7

W ciemnościach przypominałam sobie, jakie to uczucie zagubić się.

Próbowałam o tym zapomnieć. Modliłam się, żeby nie nawiedzały mnie sny o Ziemi Jałowej, o tej niekończącej się nocy w lochach Labiryntu. I chociaż wiedziałam - wiedziałam - że to nie to samo, coś we

mnie umarło, gdy Jack wciągał mnie w otchłań. Pustą, gdzie nic nie widać, nie słysząc ani nie czuć. Istniałam w niej jedynie jako przedłużone bicie serca, zredukowana do dudnienia mięśnia i krwi. Walczyłam ze sobą, żeby nie zacząć krzyczeć.

A potem wszystko ustało, a ja wróciłam do świata, wyslizgując się z ciemności w srebrzyste cienie. Odnalazłam swoje ciało, oddech i głos, który uwiązał w gardle.

Upadłam kolanami na oproszoną śniegiem trawę, zbitą i wilgotną. Chrupnęła pode mną jak miękka papka z kości. Był środek nocy. Na niebie lśnił sierp księżycy. Wiele godzin przed czasem.

Słońce zaszło, słońce znikło. Chłopcy się obudzili.

To bolało. Moja skóra płonęła. Serce iskrzyło się ogniem. Jakbym przeciskała się naga przez kolczaste gardło, ociekające śliną ze żrącego kwasu. Nie miałam rękawiczek i dlatego, gdy schyliłam głowę, zobaczyłam, że moje pokryte tatuażami ręce zamieniają się w czarny dym, połyskujący refleksami czerwonych błyskawic - opływały ciało od palców u nóg do czubka głowy. Nie mogłam złapać oddechu. Nie mogłam wydobyć z siebie głosu.

Chłopcy wreszcie oderwali się ode mnie. Bez początku, bez końca. Tylko ciężar zebrał się na moich ramionach, śliskie gorąco buchnęło od wijących się ciał, które rozkwitały jak płatki kwiatu ociekające lawą. Zgrzytanie pazurów. Bębnienie szeptów. Kawałek po kawałku ból ustępował.

Z trudem hamowałam drżenie. Pamiętałam pierwszy raz, gdy chłopcy budzili się na mnie - noc po śmierci matki, po przejęciu spuścizny. Nic się nie zmieniło. Zawsze było tak samo.

- Maxine - szepnął Zee. - Słodka Maxine.

Miałam zbyt wyschnięte usta, żeby odpowiedzieć. Chłód szczypał moją skórę przez cienki sweter. Nie ubrałam się odpowiednio. Nie przewidziałam, że nagle wpadnę w otchłań i wyląduję w miejscu, gdzie panuje zima. Śnieg parzył mnie w dłonie. Powiew bryzy wydawał się smagnięciem łańcucha z lodu. Za dnia nie czułabym zimna, ale teraz nic nie chroniło skóry. Znów byłam człowiekiem. Do brzasku.

- Maxine - odezwał się znów Zee, chuchając mi gorącym oddechem w policzek.

Podniosłam wzrok, napotykając poważne spojrzenie oczu szkarłatnych jak rubiny, zatopionych w postrzępionej stali. To naskórek o barwie posrebrzanej sadzy, upstrzonej żyłami wypełnionymi ręką.

Pojawili się Raw i Aaz: bliźniaki, mali tropiciele. Z ich splątanych, ostrych jak żyłki włosów, z ich ciał unosiła się para. Minęła nie więcej niż minuta od chwili, gdy się przebudzili, a już wydawali się czymś mocno zmęczeni. Między pazurami Aaza zamigotał skrawek metalu. Para noży. Niedużych sztyletów wsuniętych do zwyczajnego futerału. Broń mojej matki. Zazwyczaj trzymałam je w dębowych skrzyniach stojących teraz w przytułku. Co za głupota, że nie nosiłam ich dotychczas przy sobie. Tyle że kiedy czułam je na swoim ciele, czasami miałam wrażenie, że dopuszczam się występku. Lub jakbym znów była dzieckiem, za mała, żeby trzymać ostre przedmioty. Raw prześliznął się po bracie, niosąc

kolejne przedmioty należące do mojej matki: zniszczony skórzany płaszcz i rękawiczki z miękkiej czarnej skóry wzmocnionej stalowymi wkładkami.

Widok rzeczy matki sprawił, że ścisły węzeł w moim sercu trochę się rozluźnił. Odrobinę. Potrzebowałam matki w tej chwili. Pragnęłam poczuć ją obok siebie. Cmoknęłam szybko Rawa i Aaza, a Zee przepychał się między nimi, żeby też załapać się na pieszczoty. Dek i Mai nucili klasyka Bon Jovi: *FU Be There for You*.

- Moi chłopcy - szepnęłam. - Moi wspaniali chłopcy. Zee, wbijając pazury w śnieg, spojrzał w dal ponad moim ramieniem.

- Pan Meddle.

Obejrzałam się, ale nigdzie nie dostrzegłam Jacka. Było ciemno, nie licząc poświaty księżyca, w której udało mi się zobaczyć szczątki popsutego, pochylonego diabelskiego młyna i zdezelowaną karuzelę bez koników, z potłuczonymi lustrami i połamanymi deskami porzucone zapadnięte namioty i żelazną klatkę z otwartym wejściem. Obok stała zniszczona skrzynia z wymalowaną na boku twarzą kłowna - uśmiechał się od ucha do ucha. Czułam się tak, jakbym znajdowała się w zwłokach cyrku.

- Znajdźcie go - wychrypiałam z bólem gardła. - Natychmiast.

Zee strzelił pazurami. Raw i Aaz zniknęli w ciemnościach, a Dek i Mai wyplątali się z moich włosów i zaczęli smakować powietrze językami. Wdzięczna za ciepło, jakie mi dawali swoimi ciałami, podrapałam ich po głowach. Zarzuciłam na siebie płaszcz matki, wzięłam noże i zaczęłam przedzierać się przez zaśnieżoną trawę. Zee biegł susami przede mną.

W pobliżu gnijących szczątków zniszczonego wozu z taboru cyrkowego - pozbawionego kół i części ścian, miejscami naszpikowanych dziurami po kulach - usłyszałam odgłos, jakby ktoś wymiotował. Zerwałam się do biegu.

Zobaczyłam Jacka na kolanach. Krew zadudniła mi w uszach i nabiegła do głowy. Ślizgając się, bez tchu dopadłam do Jacka. Raw i Aaz już przy nim byli. Przyglądali się z kryjówki pod wozem. Jakimś cudem zdążyli jeszcze skoczyć do innej części świata po torbę z popcornem i dwie czapki bejsbolowe. Wyglądali w nich zawadiacko. Dzieciaki.

- Stary Wilku... - Opadłam na ziemię, objęłam i przytuliłam Jacka, żeby podzielić się z nim swoim ciepłem; pragnęłam go trzymać w ramionach; upewnić się, że żyje. I że mnie nie opuścił. Pogłodziłam go po policzku i czole. - Jesteś strasznie rozpalony.

Wyraz jego twarzy mówił, że bym się odsunęła. Po chwili znów się zgiał i zaczął wymiotować.

- Nie przejmuj się mną - powiedział ochryple kilka sekund później. - Po prostu... nie jestem stworzony do... przycinania przestrzeni. Szczerze mówiąc, tak źle to znoszę, że wolę udawać, że taki sposób transportu w ogóle nie istnieje.

- Hm... - Pstryknęłam palcami na Zee, który, zanim zniknął w ciemnościach, posłał Rawowi i Aazowi niechętnie spojrzenie. - Nie miałam pojęcia, że potrafisz... no to, o czym wspomniałeś, cokolwiek to znaczy. Chociaż, skoro wiesz, że po tym chorujesz, powinieneś raczej przenieść nas do swojego mieszkania.

- To dopiero byłaby zła decyzja - stwierdził Jack osłabionym głosem, po czym upadł w śnieg, a ja razem z nim, nadal próbując ochronić go przed zimnem.

Złapał moją rękę i przytknął ją sobie do piersi. Na sekundę wtuliłam twarz w ramię Jacka, napawając się biciem jego serca wykradzonego człowiekowi.

- Szukają mnie, moja droga - wyznał cicho. - I obawiam się, że ciebie i Granta również.

Zee przyniósł ze sobą namiot. Chyba jeszcze niedawno używany, bo gdy wetknęłam głowę do środka, znalazłam śpiwory i damskie stringi. Obejrzałam się i pytająco popatrzyłam na małego demona. Wzruszył ramionami.

- Zostawiłem im samochód - charknął.

- Jakie to wspaniałomyślne z twojej strony. - Jack wczołgał się do namiotu, gdzie było tylko kilka stopni cieplej niż na zewnątrz. Ciężko wzdychając, opadł na śpiwór. Z pewnym zaciekawieniem, ale też wstrętem, popatrzył na stringi i odrzucił je na bok. - I jak to miło, że zostawiłeś nam tę procę. Dzięki niej upolujemy coś na obiad.

- Tak - powiedziałam oschle. - Pójdę i ustrzelę nią jelenia.

Jack przekręcił się na plecy. Ja leżałam na drugim śpiworze. Ból rozchodził mi się od podstawy czaszki aż do czubka głowy. Dek i Mai wpletli się w moje włosy i zaczęły wbijać swoje małe pazury w skórę. Mali masażyści. Jedna z moich poprzedniczek przez krótki okres pobierała nauki od mistrza akupunktury. Trzy tysiące lat później chłopcy nadal pamiętali niektóre zabiegi.

Raw i Aaz, ssąc pazurki i mrużąc przeciągle, wtoczyli się na mój brzuch. Bił od nich zapach popcornu. Urwisy. Poglądziłam ich gorące wydęte brzuszki. Przy wejściu do namiotu przykucnął Zee wpatrzony w zimną noc. Światło księżyca odbijało się od srebrnych łusek na jego spłaszczonym nosku.

Otwarcie zaczęłam przyglądać się Jackowi. Musiał mieć ponad osiemdziesiątkę, ale wyglądał młodziej. Szczupły i zwinny, ze srebrnymi włosami i pomarszczoną twarzą. Przystojny jak klasyczna gwiazda filmowa. Szanowany archeolog i podróżnik; poważny człowiek pełen tajemnic. Nie całkiem ludzkich.

Ubrany był w wojskowe spodnie i zniszczoną wojskową kurtkę, pod którą dostrzegłam jasnyniebieską dzinsową koszulę. Pasowała do koloru jego oczu. Pierś przecinał pasek poplamionej płóciennej torby. Wyglądała, jakby pochodziła z czasów rewolucji październikowej.

- Jak mnie odnalazłeś? - spytałam spokojnie. - I dlaczego właśnie teraz?

Oczy Jacka zamigotały mimo ciemności panującej w namiocie. Ludzkie oczy, kryjące niehumanitarną duszę.

- Och, namierzyłem cię z łatwością, moja droga. Wyczułem cię. Wyczułem... to. I przybyłem.

To. We mnie. Zamknęłam oczy, pochylając głowę, bo Dek i Mai właśnie masowali szczególnie wrażliwe miejsce.

- Potrzebowałam cię już wcześniej. Wiele miesięcy temu. Ale zniknąłeś bez słowa. Nawet chłopcy nie złapali twojego tropu. Ja... martwiłam się o ciebie.

Byłam przerażona. Załamana. Po raz pierwszy od śmierci matki miałam rodzinę - niewiarygodne, cudowne odkrycie - a potem Jack odszedł. Moją matkę zamordowano. Nie mogłam nie liczyć się z możliwością, że to samo spotkało dziadka.

I dlatego nawet teraz, kiedy leżał przede mną, nadal bałam się o niego.

- Miałem sprawę do załatwienia - wyjaśnił. - Koniecznie musiałem się nimi zająć, a przede wszystkim bałaganem, który zostawiła po sobie Ahsen podczas swojego ostatniego pobytu na wolności.

- Przecież bym ci pomogła.

Spojrzał z wahaniem na Zee. Mały demon obserwował go, połyskując czerwonymi oczyma.

- Wiem, ale chciałem to zrobić sam - odparł Jack.

Odetchnęłam głęboko. Z moich ust buchnęła biała para. Nagle znów zauważyłam, że jest zimno. Przemarzałam do szpiku kości. Zee przesunął ostrymi knykami po moim czole, zaglądając mi głęboko w oczy.

- Ciężkie sny, Maxine.

- Dziwne dni. - Delikatnie ucisnęłam jego małą rękę. - Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił. Odszukaj Granta, gdziekolwiek jest. Jeśli to będzie samolot, uważaj.

Zee skinął głową, drapiąc się po kościstym kręgosłupie.

- Słowa?

- Ostrzeż go przed Cribarim. Powiedz, żeby trzymał się od niego z daleka.

- Ostry człowiek. - Zee spojrzał na braci wpatrzonych w niego rubinowymi, błyszczącymi ślepkami. - Martwy człowiek.

- Jeszcze nie teraz - sprzeciwiłam się. - Najpierw Grant. Znajdź go.

- Tak jest - szepnął Zee i zniknął w ciemnościach.

Moje serce poszybowało za nim. Nie umiałam przewidzieć, co się stanie, kiedy Cribari się dowie, że nadal żyję - jednak cokolwiek wymyśli, nie będzie to nic dobrego.

Jack spróbował usiąść.

- Grant leci samolotem?

- Do Chin. To pułapka.
- Pozwoliłaś mu?
- Miałam plan - odpowiedziałam szorstko. - Naganiacz.

Nawet wypowiedzianie tego imienia przychodziło mi z trudem. Naganiacz. Człowiek zdradzony przez moje poprzedniczki pięć tysięcy lat temu. Teraz służył Oturu - demonowi, który ślubował wierność kobietom mojego rodu na całą wieczność. Obaj zniknęli dwa miesiące temu, zupełnie jak Jack. Tyle że Naganiacz potrafił przenikać przestrzeń. Tak jak chłopcy.

I mógł mnie ze sobą zabrać.

Właśnie na tym mi zależało. A Oturu już raz pojawił się przy mnie, ściągnięty moimi potrzebami. Miałam nadzieję, że znów przybędzie, sprowadzając ze sobą Naganiacza.

Teraz jednak, na dobre i na złe, miałam Jacka. Namiot był bardzo mały. Wystarczyło, że starszy pan wyciągnął rękę i już mógł mnie dotknąć. Pozwoliłam mu na to. Odsunął w tył moje włosy i musnął mnie ciepłymi palcami po policzku, przyglądając się bliźnie pod uchem.

- Kiepski plan - mrugnął.

Poczerwieniałam i odepchnęłam jego dłoń.

- Kto cię ściga?

- Ktoś mojego rodzaju. - Zacisnął palce, ale nadal patrzył ze współczuciem, zbijając mnie z tym z tropu. - Mamy tego samego prześladowcę, kochanie.

Tego samego myśliwego. Awatara. Franco. Jego oczy.

Kawałki łamigłówek zaczynały układać się w całość. Nowe możliwości. Z początku myślałam, że Franco jest przybyszem z Labiryntu. W końcu demony z innych światów nieraz pojawiały się na Ziemi; jak Mary i Bóg jeden wie, kto jeszcze.

Tyle że Franco mówił perfekcyjnie po angielsku, z lekkim południowym akcentem. Gdybym go usłyszała przez telefon, pomyślałabym, że ma zwyczajną pracę, lubi chodzić na mecze i pić piwo z kumplami w barze. Gdybym tylko nie te oczy, powiedziałabym, że jest człowiekiem. Bez dwóch zdań.

Franco pochodzi z Ziemi, stwierdziłam twardo w duchu. I jest człowiekiem.

Człowiek. Zanim nie został fizycznie odmieniony.

Widziałam już coś takiego. Kobiety i mężczyźni tak bardzo przemienionych, że nigdy nie wpadłabym na to, że kiedykolwiek byli ludźmi. Zrobiły im to awatary. One miały taką moc. Ich umysł przewycięzał materię. Ingerował w DNA.

Przypomniałam sobie swoje spotkanie z Ahsen; jej wykradzioną twarz, jej głos. Zabiłam ją. Zamieniała ludzi w potwory, odzierała z ciała, pozostawiając bulgoczące węzły żył i sterty kości. Wydzierała nosy, uszy i oczy - aż nie zostawało nic poza czaszką z zębami.

Pierwsza z łapowników, mówiła o sobie. Pierwsza z krętaczy i spiskowców. Pierwsza mistrzyni Boskiej Kreacji.

Nazywałam to genetyczną manipulacją. Dokonywaną samą myślą.

- Cholera - mruknęłam pod nosem. - A niech to szlag.

Zabiłaś jedną z nich. Sądziłaś, że się nie zorientują? Jack uniósł brwi, a ja popukałam się w oko.

- Jeden z mężczyzn, którzy mnie porwali, był... zmieniony. Tutaj. I jego ślina też.

- Och. - Jack milczał przez chwilę, zagubiony w myślach. - Czego jeszcze się dowiedziałaś?

- Że mój porywacz pracuje dla Kościoła. I że zamierzał mnie zabić - wyjaśniłam bez zająknięcia. -

Wiedział o mojej słabości. O tej chwili przejściowej tuż przed transformacją.

Jack bardzo ostro zareagował na te słowa. Z twarzy zniknęła maska normalności i nagle w jego oczach pojawiło się coś pradawnego i śmiertelnie przerażającego. Zaczęłam się trząść - z zimna, oczywiście. Ale sięgnęłam do włosów i dotknęłam ostrej kryzy przy szyi Deki. Żeby się uspokoić. Poczuc się bezpiecznie. Mai zamruczał.

A po chwili wszystko wróciło do normy. Jack znów był tylko starszym panem, bladym i wychudzonym. Zmęczonym. Głodnym. Zmarzniętym i zagubionym na pustkowiu. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że fizycznie musi bardzo cierpieć. Ciało miał wymizerowane. Spod kołnierzyka wystawały obojczyki.

- Stary Wilku - zagadnęłam.

Ale Jack milczał. Ponury i cichy; niebezpiecznie zadumany. Z cienia wychynął Zee. Kiedy tylko go zobaczyłam, wiedziałam, że misja się nie powiodła.

- Słońce ciągle świeci - wycharczał. - Nie iść na stronę Granta.

- A Cribari? - spytałam, nadal drżąc. Z trudem łapałam powietrze. - Możesz do niego dotrzeć?

Zee warknął i tak mocno walnął pięścią w podłogę namiotu, aż zrobił dziurę w zamrożonej ziemi.

- Próbowałam. Nieosiągalny. Nadal mieć słońce.

Raw i Aaz wtulili się we mnie jeszcze bardziej, ale jednocześnie przesunęli daszki czapek w bok i srebrzystymi oczyma wpatrywali się w swojego rozwścieżonego brata.

Dek i Mai owinięci wokół mojej szyi mruzcili *Wanted Dead or Alive* Bon Jovi. Podrapałam ich po głowach i spojrzałam na Jacka.

- Powiedz mi, co się dzieje.

- Byłem nieostrożny - zaczął z zaskakującą szczerością, w przeszłości mówił przecież wyłącznie zagadkami. - Nie zapomniałem, że Ahsen ma sprzymierzeńców na tym świecie, jednak nie pomyślałem, że jest na tyle silna, żeby niektórych z nich wypuścić na wolność.

- A ona to zrobiła.

- Wiele miesięcy temu. Pewnie zaraz po tym, jak sama się uwolniła.

- Sądziłam, że spośród istot twojego rodzaju tylko Ahsen była uwięziona za Zaslona.

- Bo to prawda - potwierdził Jack po dłuższym zastanowieniu. - Ale na Ziemi istnieją inne więzienia. Spojrzałam na niego ze zdumieniem.

- Ile?

Pocierając brodę, odwrócił wzrok. Cień okalający jego zarośnięty podbródek nagle zaczął przypominać podłużny siniak.

- Kilka. Dlatego zniknąłem. Przeczuwałem, że pękła jedna pieczęć. Ostatnie miesiące spędziłem na wzmacnianiu pozostałych.

- Czy na Ziemi są uwięzione awatary, czy demony?

- Jedni i drudzy - odparł starszy pan, nadal unikając mojego wzroku. - Ten świat nigdy nie miał się stać kolonią karną, moja droga. Bez względu na to, co sobie teraz wyobrażasz.

Nie wyobrażałam sobie dużo. Pomyślałam tylko: O rany, a potem, gdy uświadomiłam sobie, że Ziemia może być jednym wielkim więzieniem dla obcych istot, dodałam: Ja piernicę. Zerknęłam w dół na Zee i resztę chłopców. Raw i Aaz gapili się na Jacka, bezmyślnie dłubiąc przy tym w nosach i pożerając wielkie i parujące czarne bryły smarków, które rozplýwały się na czubkach ich pazurów. Nadal mieli przekrzywione czapki. Zee natomiast siedział zupełnie nieruchomo. Cichy i zamyślony. Niebezpieczny.

- Wiedziałeś o tym? - spytałam. Wzruszył ramionami.

- Nic złego nie przeszło. Bez znaczenia.

Czyli wiedział. Problem z chłopcami polegał na tym, że kiedy nie chcieli czegoś powiedzieć, po prostu tego nie mówili. Jeśli ich zdaniem wszystko było w porządku i nic mi nie groziło, nie rozglądali się za kłopotami. Poza tym, jeśli o coś nie pytałam, bo dajmy na to, nie wiedziałam, o co zapytać - to sami z siebie po prostu się nie odzywali. Uwielbiali zagadki. Ja musiałam być cierpliwa.

- Tylko jedna... pieczęć? - zwróciłam się do Jacka, niepewna, o co chodzi, ale miałam podejrzenie. - Jeden awatar na wolności?

Wpatrywał się w swoje bardzo ludzkie dłonie.

- Jeden wystarczy. Zwłaszcza ten. Protegowany Ahsen. Kolejny mistrz Boskiej Kreacji, choć widział w sobie bardziej artystę niż twórcę ciał. Tworzył... istoty... które nie powinny istnieć.

- Jakie?

- Z instynktem do zabijania - odparł krótko Jack, zerkając na Zee. - Słyszałaś o nich. Gorgona i harpie. Różnego rodzaju wampiry. Wilkołaki. Liczne zjawy. Więcej niż mogę policzyć lub spamiętać. Pomyśl o ciemnych mocach z legend, moja droga. To właśnie robota tego awatara.

Nagle rozboleła mnie głowa.

- Sądziłam...

- ...że to tylko mity? - przerwał mi dziadek łagodnym tonem. - Słodka dziewczynko. Jeśli coś można sobie wyobrazić, to znaczy, że istnieje prawdopodobieństwo, że to coś się urzeczywistni. Jesteśmy ulepieni z prawdopodobieństw.

No dobra, ja jednak nie miałam teraz czasu zgłębiać niewiarygodnej hipotezy, że po Ziemi płaczą się wampiry. Jezu

Chryste. Musiałam zająć się własnymi problemami. Pochyliłam się, żeby chwycić Jacka za nadgarstek. Ale moja dłoń zawisła w powietrzu.

- Ahsen go uwolniła, tak? Czyli ten awatar jest na wolności już od wielu miesięcy. Nie chcesz chyba powiedzieć, że dopiero teraz postanowił namieszać.

- Szykował sobie grunt. Wyrabiał kontakty.

Choćby z przedstawicielami Kościoła. Ciekawe, z kim jeszcze.

- Ale dlaczego wybrał sobie za cel ciebie? I mnie z Grantem?

- Bo to ja zamknąłem go w więzieniu. Dawno temu. To było... nieprzyjemne. I uważa, że znów mógłbym to zrobić. A ja rzeczywiście przez te wszystkie miesiące próbowałem go dorwać. - Jack zwiesił ramiona. - Tylko że za pierwszym razem miałem pomoc.

- Uwięziłeś też Ahsen. I innych?

Starszy pan nie odpowiedział, tylko przyglądał mi się w milczeniu. Staralam się nic sobie z tego nie robić. Już wcześniej mu się to zdarzało; chwilami po prostu gapił się na mnie, jak na jakiś rzadki i niezwykle interesujący okaz. Ale to mnie krępowało, podobnie jak przebywanie w jego towarzystwie; zbyt nowe doświadczenie, żebym dobrze się z tym czuła. Nigdy nie nazwałam go dziadkiem, przynajmniej nie w jego obecności. I raczej nadal bym się do niego tak nie zwróciła, nawet gdyby mnie ktoś do tego zmuszał. I to mimo że był mi bardzo bliski. Myślenie o nim jak o dziadku nie przychodziło mi lekko. A co dopiero, żebym się tak do niego zwracała.

- Stary Wilku - wydusiłam wreszcie. - Dlaczego mi się przypatrujesz?

- Bo jesteś podobna do Jeannie. Patrzą na ciebie i widzę ją.

Jednak nawet dźwięk imienia babci nie przywołał na moje usta uśmiechu ani nie złagodził poczucia bezbronności, jakie w tym momencie gościło w moim sercu.

- Czy ten awatar chce się na mnie zemścić za to, że zabiłam Ahsen?
- Możliwe. - Jack nadal uważnie mnie obserwował. - Chociaż podejrzewam, że bardziej interesuje go twój pierścień.

Podniosłam dłoń. Pancierz ściśle otulał mój palec, wypełniając każde zagłębienie w knykciach i paznokciu, jakby był co najwyżej metaliczną farbą. Przypomniałam sobie, jak promieniował w piwnicy, i zadrżałam od bolesnych wspomnień zalewających umysł.

- Mówisz, że to klucz do Labiryntu.

- Klucz do wielu rzeczy. Ale chyba już sama się o tym przekonałaś - odparł ciepło.

Odwrociłam od niego wzrok i spojrzałam na Rawa i Aaza - właśnie wysunęli ręce w ciemność, żeby wyciągnąć z niej pluszowego misia; nowiutkiego, jeszcze z metką. Dek ześliznął mi się z mojej szyi, złapał zębami puszyste ucho i zaczął wciągać pluszaka w górę, w stronę moich włosów. Wolałam nie patrzeć, jak dwa demony rozrywają nogi zabawki, podczas gdy dwa inne nadgryzają uszy i plastikowe oczy. Wypełnienie opadało mi na kolana niczym płatki śniegu.

- Będzie musiał mnie zabić, żeby zdjąć mi pierścień z palca - oświadczyłam. - Dlaczego nie chce sam wykonać brudnej roboty? Po co miesza do tego ludzi?

- Bo taki ma zwyczaj. - Głos Jacka odbijający się od ścianek namiotu brzmiał dostojnie i spokojnie. - To jego nawyk i zabawa.

- Zamordowałam już jednego z was, więc raczej powinien mnie unikać.

- Jeśli o tym wie, a całkiem możliwe, że nie wie. Nikt nigdy nie stworzył Strażniczki, która zdołałaby zabić awa-tara. - Starszy pan ostrożnie dotknął mojej dłoni. -1 lepiej, żeby nikt się nie dowiedział, że tobie się udało.

Nie podobało mi się to, co usłyszałam.

- A Grant? Dlaczego on?

Zee wepchnął się i wtulił pod moje ramię. Jack się zawahał.

- Bo jest tak samo niebezpieczny dla mojego rodzaju jak ty. Nawet bardziej, moja kochana. Dużo bardziej.

Usta Światła. W myślach usłyszałam głos Ahsen. Usta Światła.

Zamknęłam oczy i zacisnęłam dłonie w pięści.

- Jack...

- Musimy się zbierać - przerwał mi lekko poirytowanym tonem. Dość jasno dawał do zrozumienia, że nie chce odpowiadać na pytania o Granta.

Ale to się wkrótce zmieni, stwierdziłam w duchu. Patrzyłam, jak Jack gramoli się z kradzionego namiotu, i czułam, że serce podchodzi mi do gardła.

Rozdział 8

Była tam droga. Oświetlona blaskiem księżyca, ukryta w głębinach lasu, który otaczał wymarły cyrk. Wiła się jak zdeformowany kręgosłup. Prawie niewidoczna pod śniegiem. Wdychając zimowe powietrze, patrzyłam na nią i myślałam o baśniach. O wampirach i elfach. O wilkołakach. Ziejących ogniem smokach.

O demonach i duchach w ludzkich ciałach.

- Gdzie jesteśmy? - zapytałam, kiedy oddalaliśmy się od zwłok cyrku.

- We wschodniej części Europy. Najdalej, dokąd mogłem nas przenieść. Niedługo powinniśmy dotrzeć do pewnej wsi. - Jack pośliznął się na śniegu, więc złapałam go za ramię, żeby nie upadł. - To opustoszałe miejsce. Wydarzyły się tu złe rzeczy i cygańskie klany rzuciły klątwę na ten teren. Ludzie go unikają, bo pobyt tutaj oznacza śmierć.

Obejrzałam się przez ramię. Za nami wlekli się Aaz i Raw. Ich czerwone oczy pobłyskiwały leniwie w ciemnościach.

- Jakie złe rzeczy?

- Ludobójstwo. - Jack kopnął coś, co leżało w śniegu.

Spojrzałam w dół. Myślałam, że patrzę na jakiś wygładzony biały patyk, ale gdy uważniej się przyjrzałam konturom, dotarło do mnie, że się myliłam. To kość. Część nogi lub ręki. Zbyt mała jak na fragment ciała dorosłego człowieka.

Przed oczami zawirowały mi plamki światła. Musiałam głęboko odetchnąć. Zee przycisnął nos do kości i zasyczał.

Już chciałam zapytać, kiedy zamordowano tych ludzi, ale bałam się odpowiedzi. Sześć lat temu, dziesięć, dwadzieścia - nie miało znaczenia, czy już się urodziłam i odziedziczyłam chłopców. Ludzie umierali w najodleglejszych zakątkach świata, z dale ode mnie, a ja nie mogłam temu zapobiec, nawet gdybym chciała. Tak jak nie mogłam uratować kobiet, mężczyzn, dzieci ginących w tej właśnie chwili. Uchronić ich przed demonami. Zresztą nie tylko przed nimi. Wszyscy jesteśmy przesiąknięci złem.

Jeszcze raz zerknęłam za siebie, na sekundę przed tym, jak las się zakrzywił, pochłaniając cyrkowy cmentarz.

- Zachowujesz się tak, jakby ta klątwa coś znaczyła. Jack popatrzył na mnie ostro.

- Ludzie w nią wierzą, a potęgę wiary należy doceniać. Nie każdy człowiek jest taki... przyziemny. Na świecie, moja droga, zdarzają się najdziwniejsze rzeczy. Ci, obdarzeni wieki temu pewnymi nadprzyrodzonymi zdolnościami, przekazywali je swoim potomkom. Lepiej tego nie lekceważyć.

- Jak ten mężczyzna, który mnie porwał - powiedziałam wolno, myśląc o chłopcu w ramionach Franca. Ciekawe, czy mały był jego dzieckiem. - On też przekazuje swoją fizyczną odmienną?

- Bardzo możliwe - potwierdził Jack. - Choć przypuszczam, że się nim zajął.

I innymi. Chciałam położyć dłoń na sercu, jakby to miało mi pomóc wysłuchiwać tajemnic zakopanych głęboko w moim wnętrzu. Jednak zamiast tego zacisnęłam dłoń w pięść i, uparta, zalękniona, wepchnęłam ją do kieszeni.

- Wydawał się bardzo zaangażowany w to, co robi. Cieszył się, że los dał mu szansę, żeby mnie zabić.

- Może sądził, że wypełnia przesłanie swojego boga.

- Fałszywego boga, jeśli miał z tym do czynienia jakiś awatar.

- A kimże są bogowie? - Jack, przedzierając się przez śnieg, pokręcił głową. Księżycowa poświata rozświetlała jego siwe włosy; miał zgorzkniałą minę. - Sam byłem kiedyś bogiem. Znasz przecież te opowieści. O bóstwach, które spotykają piękne dziewczęta i wypełniają ich łona dziećmi obdarzonymi cudownymi zdolnościami. Albo o ludziach, co od samego dotyku jakiegoś bożka stają się herosami. - Popatrzył w moją stronę, a ja zauważyłam, że wyraz zgorzknienia na jego twarzy zamienił się w smutek. - A w naszych świątyniach, gdzie ludzie się modlili i składali ofiary, rzeczywiście zamieszkiwali bogowie. Ale tylko dla odpowiedniego rodzaju skórników.

Nadal trzymałam ramię Jacka, teraz jednak jakby nagle zwiotczało; a mnie zmiękły kolana i ścisnęło się serce.

- Mówisz o ludziach jak o hodowlanym bydło - zauważyłam cicho.

- Bydło jest po to, żeby je jeść. Nie bawisz się z krowami i świniami. Ludzie są bardziej jak lalki. Wkłada im się różne ubranka i się nimi poniewiera. Eksperymentuje na tysiące różnych sposobów.

- Chyba tak naprawdę nie myślisz.

- Ale kiedyś myślałem. - Wzrok Jacka zrobił się martwy i lodowaty, błyszczący pustką; potem starszy pan odwrócił głowę i zapatrzył się w ciemność lasu. - Można nas zabić, moja droga. Mój gatunek nie jest do końca nieśmiertelny. Jednak trudno to zrobić, zatem istnieliśmy. Poza śmiercią i snem. Wbrew

rozsądkowi. A dla istot takich jak my, stworzonych tylko z energii i myśli, walka o zachowanie przytomności umysłu była zajęciem, którego znaczenia możesz nie pojmować.

- Pamiętaj, że byłam w Ziemi Jałowej - przypominałam, czując, że znów spływa na mnie chłód, tyle że taki wewnętrzny. - Więc chyba wiem, o czym mówisz.

Chciał się odsunąć, ale mu na to nie pozwoliłam. Śliska droga, powiedziałam sobie w duchu. Śnieg sięgał nam do kostek. Zimno przenikało nawet przez skórę kowbojek. Zee rozpoznawał teren przed nami, Raw i Aaz pilnowali tyłów.

Usłyszałam pohukiwanie sowy i szelest gałęzi poruszonych wiatrem. Silny podmuch uderzył w nasze ciała, jeszcze bardziej je wychładzając. Zadrzałam. Dek i Mai rozgrzewali mi uszy swoimi oddechami, ale Jack dygotał. Pstryknęłam więc palcami w stronę Zee.

Mały demon przystanął i popatrzył przez ramię - najpierw na mnie, potem na starszego pana - po czym znikł z widoku, zatapiając się w ciemnościach.

- Znaleźliśmy ludzi - ciągnął Jack. - I przekonaliśmy się, że przebywanie w ich cielesnych powłokach pozwala nam zachować rozsądek. To na początku wystarczało.

- Bawiliście się ich życiem. To była dla was rozrywka.

- Manipulowaliśmy światami - szepnął Jack. - Aż pewnego dnia zaczęliśmy wierzyć we własne kłamstwa.

Pojawił się Zee z zawiniątkiem w rękach. Dwie butelki z gorącą wodą, dwie czapki z nausznikami i para wełnianych rękawiczek. Jack wetknął butelkę z wodą pod kurtkę, potem przycisnął ją do siebie z westchnieniem. Wepchnęłam mu czapkę na głowę i pomogłam rozprostować zaciśnięte dłonie.

Wsunęłam na nie rękawiczki i podskoczyłam, gdy usta Jacka musnęły mnie po czole.

- Droga dziewczyno - powiedział ciepło. - Miałaś rację, gdy kilka miesięcy temu porównałaś nas z demonami.

Nie mogłam na niego spojrzeć, więc tylko pokręciłam głową, znów ujęłam go pod ramię i ruszyliśmy przed siebie.

- Nadal myślisz w ten sposób o ludziach?

- Nie, wielu z nas zmieniło zdanie.

- Ale nie wszyscy?

- Mniej więcej połowa pozostała przy dawnych przekonaniach - przyznał, wydychając ustami mleczną parę. - Zwłaszcza ci, którzy wątpili, że są w stanie zachować zdrowe zmysły bez tych łapowniczych gier i spiskowania. Na czas wojen z demonami walki wewnętrzne zeszyły na dalszy plan, ale później, gdy wielu z nas opuściło ten świat, żeby wylizać rany, ta sprawa znów odżyła i stała się punktem spornym. Reszta z nas, co została na Ziemi, chciała przewodzić ludziom i pomagać im strzec więzień.

Księżyc ukrył się za wierzchołkami drzew. Zee zniknął w lesie, a jego miejsce zajął Raw. Szedł z nosem przy ziemi, w przekrzywionej czapce bejsbolowej podziurawionej końcami jego ostrych włosów. Dek i Mai mruzcili znajomą melodię; dla odmiany coś Richarda Marxa - *Dzieci Nocy*.

Zajrzałam Jackowi w wychudzoną twarz, próbując dojrzeć jego oczy.

- Dlaczego mi to teraz mówisz? Kilka miesięcy temu błagałam cię, żebyś mi wszystko wyjaśnił, ale ty odpowiadałeś zagadkami.

Zawahał się, jakby się zastanawiał, co powiedzieć, w końcu jednak w ogóle się nie odezwał. Za to pociągnął mnie za rękę, zatrzymując w pół kroku. Spojrzał uważnie na drogę przed nami, w miejsce, gdzie Raw niespodziewanie rozwiął się w mroku. Aaz, cicho powarkując, przycisnął się do moich zziębniętych nóg. Dek i Mai przestali nucić.

Usłyszałam skrzypienie. Ale nie śniegu. Czegoś twardszego, bardziej kruchego. Jakby jakieś wielkie szczęki chrupały kości. Potem rozległ się pierwotny, obleśny odgłos, jak gdyby ktoś wymiotował, ale do wewnątrz, przez głębokie gardło do żołądka wyściełanego ołowiem. Prawie to widziałam: usta jak otwór maszyny do cięcia drewna, w który wkłada się pnie, ręce wpychające zwłoki do paszczy pełnej zębów. Znałam ten odgłos.

Stawał się coraz donośniejszy. Czyjeś kroki w ciemnościach lasu. Mlaskanie.

Płuca odmówiły mi posłuszeństwa. Musiałam użyć całej siły, żeby nabrać powietrza. Czulałam łomotanie w piersi. Miałam wrażenie, że jeśli moje serce zacznie bić jeszcze mocniej, pęknie. Lekko przyklękłam, sięgając do płaszcza po noże. Ich gładkie jak jedwab ostrza zabłysły srebrzystą poświatą.

Wrócił Raw. Bez czapki. Przerzucił rękę przez ramię i wyrwał sobie z pleców kolec, którym zaczął wywijać jak szpadą.

Aaz zrobił to samo i na chwilę plaskanie rozrywanego ciała zagłuszyło przerażające odgłosy żucia dochodzące z lasu.

- Stary Wilku - szepnęłam. - Możesz nas stąd zabrać?

- Nie powinniśmy trzymać się razem - odparł Jack, wpatrując się w gąszcz drzew. - Coraz szybciej mnie odnajduje. I wskrzesza swoje dawne dzieła.

- Jak... - zaczęłam, ale złapał mnie za ramię i okręcił do siebie, tak że moja twarz znalazła się na jego piersi. Bardziej wyczułam, niż zobaczyłam, że sięga do torby zwisającej u boku - po krótkolufową wiatrówkę, jak się później przekonałam.

- Znajdź Granta - rzucił z napięciem. - Nigdzie się nie zatrzymuj i unikaj znajomych miejsc.

- Jack...

- Jemu zależy na Grancie. - Odepchnął mnie od siebie i pochylił się, żeby zajrzeć mi w oczy. - Zamierza mnie zranić, zabijając ciebie, ale Grant... Jego chce żywego. Pamiętaj o tym.

- Bez ciebie nigdzie się nie ruszę. Nie zostawię cię tutaj samego.

Złapał mnie za prawą dłoń i zamknął ją w swoich. Pancierz na palcu zamigotał. Za moimi plecami, w głębi lasu, rozległo się wycie, tak głośne i przepełnione bólem, że wolną ręką szybko zakryłam lewe ucho.

Zee, krążący po obrzeżach lesistego terenu, zawarczał jakieś długie, melodyjne słowo. Raw i Aaz natychmiast rozwiali się w ciemności, z dala od przerażających dźwięków: skwierczenia, grzechotania, sapania: jakby cały pułk wojska próbował oddychać przez jeden wspólny nos. A potem rozległy się odgłosy okładania kogoś kijem. I ochryple wrzaski przypominające skrzypienie tysiąca zardzewiałych zawiasów.

Jack spojrzał ponad moją głowę, oczyma, które w trupio bladej twarzy lśniły dziwnym blaskiem. Przez chwilę widziałam w nim matkę. Trzymała broń tak samo jak on, jedną ręką i blisko piersi, niczym tarczę.

- Och, jakież to będzie radosny pościg - mruknął i jeszcze mocniej uściśnął moją prawą dłoń.

Przerażona jego zachowaniem, chciałam się odsunąć.

- Co robisz?

Twarz miał nadal nieskończenie posępny.

- Nie pozwolono mi chronić Jeannie. Ani naszej Jolene. O tym, że jest moją córką, dowiedziałem się zresztą, kiedy było już za późno.

- Jack... - Zaczynałam rozumieć. - Jack, nie.

- On wie, że mój słaby punkt to ty - wydyszał. - A twój to Grant.

Do oczu napłynęły mi piekące łzy.

- Kim jest Grant? Co to znaczy Usta Światła?

Usłyszałam za plecami zgrzyt głośniejszy niż poprzedni, zmieszany z warknięciami chłopców. Jack nie spojrzał w tamtą stronę. Mnie też nie pozwolił się odwrócić. Na jego twarzy pojawił się smutek, tak głęboki, że serce zakleszczyło mi się bólem.

- Usta Światła byli pierwsi - odparł ochryple i przycisnął wargi do pierścienia.

Poczułam na skórze jakieś ssanie, płynny żar owinał się wokół palca. Jack mnie pchnął. Poleciałam w tył i się nie zatrzymałam.

Znalazłam się w otchłani.

Chwile, minuty, godziny, dni. Czas nic nie znaczył w otchłani. Był płynny, względny, zależny od punktu odniesienia. I ja, zawieszona w ciemności, wołająca dziadka, zupełnie ślepa.

A potem bańka pękła i zostałam wypluta w jasne nocne niebo, z ziemią daleko pode mną. Spadałam gwałtownie, oślepiąca nagłym wybuchem światła: miasto, błyszczące diamentami neonów, których było więcej niż gwiazd. Chłopcy przywarli do mnie, ale ja prawie ich nie zauważałam. Nic się nie liczyło poza odczuciem szybkiego zbliżania się do ziemi, opadania z prędkością przekraczającą przyspieszenie grawitacyjne.

Świat znów zniknął - jakby Bóg mrugnął - i nagle wylądowałam na betonie. Nadal się darłam. Żołądek miałam zawiązany w supeł. Opadłam na ręce i kolana. Trzęsłam się.

Minęło sporo czasu, zanim zdołałam się poruszyć. A i tak przy najmniejszej zmianie pozycji odnosiłam wrażenie, że zaraz zemdleję. Więc znieruchomiałam, skupiłam się na oddychaniu. Na tym, żeby nie dostać zawału serca. I gdy już się upewniłam, że ziemia pode mną się nie otworzy i mnie nie pochłonie, dźwignęłam się na nogi, czując przy tym okropny ból w stawach. Jakbym w czterdzieści sekund postarzała się o czterdzieści lat.

Otoczały mnie betonowe mury. Byłam w wąskiej uliczce, wijącej się jak skręcony włos i zniszczonej jak znoszony but. Przed rzędem sfatygowanych drzwi stały jakieś kubły, zabezpieczone łańcuchami rowery i nieduże, drewniane stoły przykryte gazetami. Zobaczyłam wyrżnięte w ścianach otwory okienne z żelaznymi kratami, z zewnątrz sączyło się przymglone światło. Usłyszałam brzęk garnków. Owionął mnie zapach tłuszczu i gnijących warzyw, tylko trochę silniejszy niż odór amoniaku. Nad moją głową na sznurach wisiały prześcieradła i bielizna. A jeszcze wyżej wznosił się gąszcz wieżowców. Tak bardzo zasłaniały niebo, że mogłam dostrzec jedynie fragmenty srebrzystych chmur.

Powietrze było chłodne i wilgotne. Zerknęłam na gazetę i zobaczyłam chińskie litery. Żadnej daty, którą potrafiłabym odczytać, ale jeśli znajdowałam się w Azji, powinien być teraz dzień. A zatem przeniosłam się w czasie. Do przeszłości lub przyszłości - i jedno, i drugie było prawdopodobne, biorąc pod uwagę dziwne działanie pierścienia. Bo to właśnie jego obwiniałam za nagłą zmianę miejsca, choć wcześniej nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że mogę go w ten sposób wykorzystać.

Jack. Martwiłam się, co stało się ze starszym panem. Niech to szlag.

Z ciemności wyłonił się Raw. Przycisnął usta do ucha Zee i szeptał jakieś ciche, niezrozumiałe słowa. Zee spojrzał w moją stronę.

- Duży człowiek już tu jest.

A więc znajdowałam się w Szanghaju, w przyszłości. Teraz lęk o Granta zjeżył mi włosy na głowie.

- Jest z nim Cribari?

- Tylko rozmawiać. Ostry człowiek go nie skrzywdzić. Cribari współpracuje z awatarem. Awatar chce dorwać

Granta. Żywego.

Tylko po co te gierki? Po co ściągać Granta na drugi koniec świata? Przecież w Seattle też mogli go dopaść.

- A co z Jackiem? - spytałam Zee. - Możesz mu pomóc?

- Wylać krew z Wielkiego Zęba - odparł ostrożnie mały demon. - Ale ty jesteś bezpieczna.

To znaczyło, że chłopcy dali z siebie wszystko i że więcej już nic nie działają. Przynajmniej nie teraz, kiedy byłam tutaj wystawiona na ciosy. I wplątywałam się w coś cholernie niebezpiecznego.

Spróbowałam zrobić krok do przodu, ale nic z tego. Zdałam sobie sprawę, że w lewej dłoni nadal trzymam nóż matki. Ścisnęłam ostrze tak mocno, że gdybym nie miała rękawiczek wzmacnianych stałą, przecięłabym sobie palce aż do kości.

Nie mogłam puścić tego ostrza. Nie mogłam rozprostować palców. Zee złapał mnie za rękę i nóż, wbijając we mnie poważne czerwone oczy.

- Nadzieja - szepnął, delikatnie odbierając mi broń. Sięgnął do wnętrza mojego płaszcza i wsunął nóż do futerału.

„Nigdy nie trać nadziei”, powiedziała mi kiedyś matka. „Dopóki żyjesz, gra nie jest skończona”.

Powoli wypuściłam powietrze. Zee otarł się policzkiem o moje ramię, a Dek i Mai nucili mi słodko do ucha. *VII Be There for You Bon Jovi.*

Zee podtrzymał mnie, kładąc moją rękę na swoim ciepłym kolczastym grzbiecie. Nadal drżąc, otarłam twarz. Raw i Aaz grasowali gdzieś w okolicy. Wtapiali się w cienie, a niemal zaraz potem pojawiali się w plamie ciemności tuż za mną, nade mną, w załomach murów i na glinianych okapach. Słyszałam, jak sapią, pożerając metal i kamień. Miałam nadzieję, że nie wpadł im w łapska jakiś zabłąkany pies lub kot.

- Grant - wymamrotałam, starając się nie myśleć o Jacku, który został sam w śnieżnej krainie, tylko z wiatrówką. Nieważne, że jest awatarem, istotą nieśmiertelną. Jego ludzkie ciało było słabe i stare. I bał się.

- Za mną - rzucił Zee.

Nabrałam głęboko powietrza i ruszyłam za moim małym przewodnikiem uliczkami Szanghaju.

Nie miałam siły ani nastroju, żeby podziwiać scenerię, choć jakaś częśćka mnie ją zauważała i postanowiłam kiedyś pozwiedzać to miasto. Przez pierwszych dwadzieścia sześć lat życia byłam koczowniciem. Nigdzie nie mieszkałam na stałe. Swój wiejski dom w Teksasie odwiedziłam zaledwie kilkakrotnie - ostatnim razem w noc, gdy matka została zamordowana.

Tak naprawdę to ona była moim domem. Zee i reszta chłopców. No i jeszcze czasami samochód. Nic poza tym. Urodziłam się, żeby wieść żywot podróżniczki, musiałam to znosić, nauczona kochać styl

wędrowca - i dopóki nie spotkałam Granta, myślałam, że tak pozostanie na zawsze. Niczego innego nie umiałam sobie wyobrazić.

A jednak, mimo że ciągle przenosiłam się z miejsca na miejsce, nigdy nie wybrałam się w podróż za ocean. Docierałam tylko tam, dokąd mógł mnie dowieźć samochód. Od Kanady po Amerykę Południową. Matka urodziła się w Azji i pierwszą połowę życia spędziła w Europie, zanim na statku trafiła do Ameryki.

Mogłam zrobić to samo, w odwrotnej kolejności. Wiedziałam o tym. Może nawet powinnam tak postąpić. Tyle że wygoda, jak bardzo by się wydawała komuś dziwna, miała dla mnie ogromne znaczenie.

Nie orientowałam się, która godzina, ale po ulicach kręciło się mnóstwo ludzi. Niewiarygodnie chude dziewczyny wystrojone w pończochy i buty na wysokich obcasach, z perfekcyjnymi fryzurami i stylowymi torebkami, które zwisały z ich szczupłych ramion. Młodzi mężczyźni mieli nastroszone włosy i podniesione kołnierze kurtek. Widziałam starszków i wózki dziecięce, i same dzieci - kopały piłkę na zatłoczonych chodnikach, podczas gdy opiekunowie siedzieli na ławkach i przyglądali się ich zabawie. Wszędzie rowery, a także skutery i samochody; w zimnym powietrzu, za każdym razem gdy mijiał mnie autobus, pojawiał się lekki odór spalin. Była noc, lecz równie dobrze mogłoby to być środek dnia. Restauracje pękały od gości. Zajrzałam do jednej przez okno i zobaczyłam stoły zastawione miseczkami z jedzeniem i roześmiane twarze.

Chiny, nie Chiny - wszędzie to samo. Identyczne ludzkie rozrywki, grzechy i marzenia.

Wyróżniałam się w tym tłumie. Widziałam innych obcokrajowców, ale niewielu. Nie dałabym rady wtopić się w tłum. Tylko że i tak nikt nie zwracał na mnie uwagi. Po prostu kolejna osoba na ulicy. I dlatego po chwili trochę się odprężyłam. Zresztą całą moją uwagę przykuwali chłopcy. Musiałam śledzić błyski ich czerwonych oczu i kolczastych grzbietów, pojawiające się co chwilę w innym miejscu. Między krzakami, w licznych zakamarkach i szczelinach zniszczonych starych budynków. Dek i Mai, ukryci pod włosami, przywarli płasko do mojej szyi. Pomrukiwali i nucili, od czasu do czasu wysuwając małe języki, żeby posmakować powietrze.

Dostrzegłam Zee. Oglądał się na mnie z bocznej, cichej uliczki. Skręciłam tam, zostawiając za sobą głośną popową muzykę bębniącą ze sklepu odzieżowego na rogu. Owionęła mnie ciemność. Ledwo widziałam mury domów, zarys samochodów i drzew posadzonych w przypadkowych odstępach na chodniku. Wiedziałam, że jesteśmy zupełnie sami. Wtedy zza szerokiej niebieskiej bagażówki wyłonił się Raw, podbiegł do mnie i wcisnął mi w dłoń miękką ciepłą bułkę.

Wbiłam zęby w ciepłe, słone, pulchne ciasto z nadzieniem z rzepy i pieczonej wieprzowiny. Jadłam łapczywie, czemu towarzyszyło burczenie pustego żołądka. Potrzebowałam kalorii i chciałam poczuć w ustach smak jakiegokolwiek jedzenia. Już wcześniej poznałam co to głód. W Ziemi Jałowej, choć na

szczęście chłopcy utrzymali mnie wtedy przy życiu tylko sobie znanymi sposobami. Od tamtej pory z trudem tolerowałam to uczucie.

Raw podał mi drugą bułkę, a potem mały plastikowy pojemnik z pierożkami. Pochłaniałam jeden za drugim. Palcami, parząc sobie język i podniebienie. Nie pytałam, skąd wzięli jedzenie. Nie obchodziło mnie to. Zresztą czasami lepiej chłopców o nic nie pytać.

Zee wskoczył na dach samochodu.

- Duży człowiek nadal bezpieczny. Nie mieć kłopotów. Kiwnęłam głową, unosząc pudełko. Z moich włosów

wysunął się Dek i nadgryzł kawałek plastiku. Potem następny kawałek i następny, aż po pojemniku nic nie zostało. Mai oblizał mi palce.

- Jesteśmy już blisko?

- Minuty.

Wyszliśmy z bocznej uliczki i znaleźliśmy się w mocno rozświetlonej części Szanghaju, pełnej pojazdów; w mieście, w którym nie widać nieba. Po lewej dostrzegłam migoczącą oazę, wielkie skrzyżowanie z olbrzymim półkolem podświetlonym na neonowoniebiesko i dwoma drapaczami chmur o pochyłych szklanych dachach. Na kolejnych połyskujących wieżach widniały ogromne reklamy, co zresztą charakteryzowało wszystkie eleganckie budowle stłoczone wokół skrzyżowania. Tylne światła samochodów broczyły czerwienią, a kładka przerzucona nad ulicą ugięła się pod ciężarem przechodniów.

Pięć minut później odnalazłam miejsce, którego szukałam.

Mała katedra. Wyglądała dość dziwnie w tym nowoczesnym otoczeniu. Zatopiona w ciemności i ciszy, niemal jakby była w zaczarowanej bańce, unoszącej się lekko nad miastem. Z czerwonej cegły, z bliźniaczymi wieżami. Im dłużej jej się przypatrywałam, tym bardziej czułam, że patrzę na fizyczny symbol ciszy. Tu zatrzymał się czas.

Kościół stał za wysokim murem i zamkniętą żelazną bramą z budką strażniczą zaraz za nią. Nie miałam ochoty prosić o pozwolenie na wejście, ruszyłam więc w lewo, dokoła budowli. Otaczał ją zadbane ogród, w zasadzie mały park. Zauważyłam też domy mieszkalne i przyjemnie zacienioną boczną uliczkę. Zee i Raw wdrapali się na ceglany mur, a potem wyciągnęli do mnie maleńkie ręce. Aaz mnie podsadził. Po chwili byłam już po drugiej stronie.

W budce strażniczej siedziało dwóch mężczyzn, rozwalonych na krzesłach, z przechylnymi w bok głowami. Rozmawiali albo spali, nie umiałam tego stwierdzić - ale nie patrzyli w stronę podwójnych drzwi kościoła. Cicho i bez problemów dostałam się do środka. Od razu schowałam się w niszy z boku olbrzymiej nawy. Było tam dość ciemno, a w powietrzu unosił się zapach kamienia przesiąkniętego

chłodem ziemi. Po lewej miałam finezyjny drewniany ołtarz, a przed sobą cienki filar i niską rzeźbioną balustradę. Dalej, wzdłuż nawy, między okrągłymi kolumnami, ciągnęły się rzędy ławek i zacienionych łukowych sklepień. Nagle dotarło do mnie echo głosów. Jeden z nich należał do Cribariego.

A potem usłyszałam Granta.

Ogarnęła mnie taka ulga, że aż zrobiło mi się słabo. Cały strach, który do tej pory w sobie dusiłam, w jednej chwili wypłynął na powierzchnię. Staralam się za dużo nie myśleć. Cribari kazał mnie zabić. Cribari zaaranżował podróż Granta. Rozdzielił nas. Zastawił sidła na mojego ukochanego mężczyznę. Nie wiedziałam, o co chodzi, ale na pewno o nic dobrego, jeśli w całą tę akcję wmieszany jest awarat.

Naszło mnie pewne wspomnienie: Ahsen tuż przed śmiercią. Kiedy zobaczyła Granta. Usłyszała jego muzykę. Cierpiała od dotyku jego mocy.

Była przerażona. Zatrwożona.

Ona pierwsza nazwała go Ustami Światła.

Cribari. Grant. Ja. Jeszcze jeden awatar. Kawalki układanki.

Chłopcy wychynęli z cienia i rozbiegli się po kościele jak wilki, pozostawiając rysy na wiekowej mozaikowej posadzce. Del i Mai chwycili mnie za uszy małymi pazurkami i wystawili głowy z moich włosów. Podrapałam ich po karkach. Raw i Aaz zniknęli, ale w mrokach oblegających kościelną nawę dostrzegłam błysk czerwonych oczu. Mali zwiadowcy. Głos Granta znów odbił się cichym echem od ścian. Lekko wystawiłam głowę zza kolumny.

Zee szarpnął mną, żebym się schowała. Przyklękałam przy nim i przystawiłam ucho do jego kanciastych ust.

- Maxine - wychrypiął miękko. - Musimy zabrać ostrego człowieka.

- Cribariego? Bo kazał mnie zabić? Del warknął.

- Tak, i starsze. Dużo starsze - szepnął Zee. - To oko pradawnej ciemnej ręki i dług musi spłacić. Krew za krew, na grób naszej starej matki.

Stara matka. Zee nazywał tak wszystkie Tropicielki przede mną. Krew za krew to zemsta, a wzmianka o spłacaniu długu znaczyła, że nie było się o co targować. Nie zdołam powstrzymać chłopców przed odebraniem tego, co do nich należy.

- Kiedy go poznałeś? - spytałam cicho. - Próbował skrzywdzić moją matkę?

Demon pokręcił głową, wciskając czubki pazurów w kamienną posadzkę.

- Nie on, ale tacy jak on. To samo serce. Musi płacić dług. Musi krwawić.

Nie miałam czasu naciskać na Zee, żeby powiedział coś więcej. Dotknęłam jego ciepłego ramienia.

- Najpierw interesy, a potem rób, co musisz. Ale nie wcześniej, nim Grant będzie bezpieczny.
- Duży człowiek pierwszy - zgodził się, przyglądając się mojej twarzy z powagą i zatroskaniem, co mnie bardzo wzruszyło. - Stąpaj lekko w ciemnościach, słodka Maxine. Poruszaj się na skrzydłach.

Nigdy wcześniej tak do mnie nie mówił, a teraz jeszcze położył sobie kolczastą dłoń na sercu. Pochyliłam się i pocałowałam go w czoło.

- Mój mały chłopiec - szepnęłam. - Najlepszy przyjaciel.
- Do samego końca - zapewnił ciepło i rozwiął się w cieniu.

Nadal słyszałam szmer rozmowy. Wystawiłam głowę z niszy i natychmiast rozproszyły mnie elementy architektury: wysokie łukowe sklepienia z rzeźbionym ożebrowaniem przypominającym zastygłe kości skrzydeł nietoperza i kolumny wzbijające się w górę niczym srebrzyste kamienne drzewa bez gałęzi. Wyobraziłam sobie, że w ścianach uwięzione są uderzenia serc, jakby duchy modlitw nadal się tu utrzymywały, i choć powietrze prawie się zapadało pod ciężarem mroku, emanowała też z niego siła - cicha, solidna, trwała.

Powinnaś taka być, powiedziałam w duchu. Bądź taka.

Tymczasem czułam się jak motyl przenoszący się z jednego karmiącego się ciałem kwiatu na drugi. Leciałam bez określonego kierunku, bez celu. Po prostu skakałam w groźną paszczę, jak to robią motyle.

Nie chciałam być aż tak głupia. Nie mogłam sobie pozwolić na taką tępotę.

Przód katedry wydawał się bardzo daleko, mimo to w blasku rozproszonego światła udało mi się dostrzec sylwetki trzech mężczyzn. Jeden z nich opierał się na lasce. Zastanawiałam się, co robić - czy powinnam się ujawnić - ale usłyszałam, że Cribari mówi ostrzejszym tonem, więc zdecydowałam się wyjść z ukrycia. Opuściłam mrok i zaczęłam iść boczną nawą. Stukot obcasów kowbojek brzmiał jak ciche wystrzały z pistoletu. Poczułam, że jestem obserwowana, więc lekko odwróciłam głowę - tyle wystarczyło, żebym dostrzegła jakieś poruszenie na balkonie i za mną, na tyłach kościoła.

Mężczyźni popatrzyli w moją stronę. Z takiej dużej odległości nie mogli mnie rozpoznać, a jednak dostrzegłam, że Grant delikatnie się uśmiecha. Kiedyś mi powiedział, że odgłos moich kroków wygląda jak klarnet plujący iskrami rtęci. Myślałam o tym, idąc w kierunku ołtarza. Dek i Mai, zwinięci dotąd na mojej szyi, wsunęli się we włosy, żeby rozwiąć się w ich ciemności. Międzywymiarowa sztuczka; znikali w nicości jak w torbie bez dna i pojawiali się z powrotem tylko wtedy, gdy było to potrzebne. Przed odejściem liznęli mnie szorstkimi językami po uszach.

Byłam wdzięczna za ten miękki, podnoszący na duchu dotyk, tym bardziej że ojciec Cribari, gdy już mnie dobrze zobaczył, zrobił taką minę, jakby nagle naszła go wielka ochota pożreć kociątko. „Ostry człowiek”, zabrzmiał w mojej głowie głos Zee. Faktycznie. Ksiądz skojarzył mi się teraz z gwoździem:

funkcjonalnym, potrafiącym wyrządzić krzywdę, ale też bezużytecznym, jeśli ktoś nie umiał się nim posłużyć.

Ciekawe kiedy spotkam tego, kto trzyma młotek.

Ojciec Cribari ruszył nawą ku mnie. Pod koniec prawie biegł. Niespodzianka, sukinsynu, zakpiłam w myślach.

Czoło miał spocone, policzki zaróżowione. Zmierzył mnie kłującym wzrokiem - fala wstrętu uderzyła we mnie jak nagła gorączka.

- Cóż za nieoczekiwana wizyta - wymamrotał, a w jego oczach pojawił się cień szczerego zdziwienia i niepokoju, ale szybko zastąpił go wyraz lodowatej obojętności. Zdałam sobie sprawę, że klecha nie kontaktował się jeszcze z nikim, kto miał związek z moim porwaniem. Nie wiedział, że akcja się nie powiodła; a nawet jeśli to podejrzewał, nie sądził, że przybędę do Chin. Przynajmniej nie tak szybko. A zatem przeżył prawdziwy szok.

- Och, to niejedyna niespodzianka, jaką szykuję - rzuciłam.

Rozdział 9

Oczy księdza zamieniły się w szparki, łój zeskrobany z jego twarzy wystarczyłby, żeby natrzeć patelnię. Matka Ciemności, pomyślałam, pragnąc, aby Cribari wypowiedział te słowa na głos, bo wtedy może coś by się we mnie uwolniło. Chciałam też, żeby Jack był przy mnie.

Dołączył do nas Grant. Przez tę chorą nogę szedł dużo wolniej. Oddychał ciężiej niż zazwyczaj. I nadal miał na sobie to samo ubranie, w którym widziałam go ostatnio. Był wymięty, nieogolony, choć jego oczy lśniły jasnym i przenikliwym blaskiem. Futerał na flet wisiał na pasku przewieszonym przez tułów. Złoty Muramatsu połyskiwał nad ramieniem. Jak miecz lub strzała w kołczanie. Spłynęło na mnie uczucie ulgi, wywołując lekki zawrót głowy. Jakbym znalazła się w epicentrum sztormu małego cudu.

- Kochanie - zwrócił się do mnie. - A co ty tutaj robisz?

- Postanowiłam się przespacerować - odparłam zachwycona dzikim i gorącym migotaniem oczu Granta. -No i wylądowałam w Chinach. Prawda, że to niesamowity zbieg okoliczności?

Ojciec Cribari wyglądał tak, jakby zaraz miał zwymiotować. Usłyszałam szuranie stopami, stłumione pokasywanie i zza pleców Granta wyłonił się trzeci mężczyzna, który wcześniej też stał przy ambonie. Kolejny duchowny, w czarnych spodniach i prostej koszuli. Pierwsze w oczy rzuciły mi się jego dłonie, kurczowo splecione na dość dużym brzuchu. A potem pulchne policzki, opalona skóra, krótko przycięte kręcone włosy. I duże, pochłaniające oczy. Ksiądz intensywnie się we mnie wpatrywał.

Rozpoznał mnie. Na pewno. Ale zaraz odwrócił wzrok. Spoglądał w dół, na boki, na Granta, Cribariego - wszędzie, byle nie na mnie.

- Nie powinno jej tu być - oświadczył z przejęciem. - Nie dostała zgody rządowego przedstawiciela. Jeśli on wróci...

- Pozwolenie na wstęp do katedry wydaje rząd Chin - wyjaśnił Grant. - My też na dzisiejszy wieczór musieliśmy otrzymać specjalne przepustki. Nasz opiekun czeka na zewnątrz.

Ojciec Cribari przetarł czoło wierzchem lekko drżącej dłoni.

- Musiałaś przeskoczyć mur, skoro cię nie zauważył. Albo znalazłaś jakiś inny... nienaturalny sposób, żeby się tu dostać.

Drugi ksiądz posłał mu surowe spojrzenie, ale Cribari nic sobie z tego nie robił. W tym miejscu próbował zachowywać się spokojnie, uprzejmie, nie tak odpychająco. Był jak kot, który jedną łapę trzyma w miseczce ze śmietanką, a drugą dociska martwą, choć jeszcze ciepłą mysz.

Ale Grant miał rację: moja obecność wytrącała Cribariego z równowagi. Przerazałam go. Zwłaszcza teraz.

Udawaj, nakazałam sobie w duchu. Udawaj, że nie wiesz, że księżulek ma coś wspólnego z napadem na ciebie.

Grant wysunął się do przodu i ujął moją dłoń. Jego uścisk był silny i ciepły.

- Chodźmy. Coś ci pokażę. Drugi ksiądz się wzdrygnął.

- Nie.

Ojciec Cribari dotknął jego ramienia.

- To dozwolone, bracie Lawrence. Wypowiedział to zdanie, jakby język miał wyłożony stałą. Ojciec Lawrence popatrzył na niego ostro, ale się nie odezwał. Zarządził cicho, gdy Grant poprowadził mnie nawą, lecz nie w stronę ambony. Szedł na tyły kościoła, do wielkich podwójnych drzwi. Jego laska i obcasy moich kowbojek wybijały na posadzce szybki, równomierny rytm. Jednak kiedy tylko Grant odwrócił się plecami do dwóch mężczyzn, wyraz jego twarzy się zmienił: spokojną beztróskę zastąpiła lodowato kamienna maska.

- Do morderstw nie doszło tutaj - szepnął. - I nie pozwalają mi zobaczyć się z ojcem Rossem. Nalegali na tę turystyczną wyprawę, na zwiedzanie o północy i nie mówią o niczym innym poza architekturą gotycką.

- Bawią się tobą - stwierdziłam. - A ty im na to pozwalasz. Dlaczego?

- Instynkt - odparł. - Poza tym czuję, że ukrywają coś wielkiego. Może chodzi o Rossa, a może o coś innego. Moim zdaniem brat Lawrence to dobry człowiek, ale na pewno wie, co knuje Antony. Nie rozumiem ich relacji. Ani tego, że Lawrence cię rozpoznał.

- Jestem popularna - mruknęłam. Po raz pierwszy zwróciłam uwagę na to, że Grant uparcie nie mówi o ojcu Cribarim, używając jego właściwego tytułu. Zawsze nazywał go Antony. Chyba na znak buntu, niechęci do okazania szacunku. - Jak się czujesz? - spytałam.

- Teraz już lepiej - zapewnił, choć głos miał lekko ochrypły.

Przez chwilę nic, tylko się we mnie wpatrywał, a ja nie mogłam odwrócić wzroku. Tak dobrze było widzieć jego twarz. Cholernie dobrze.

- Udało ci się - stwierdził.

- Oczywiście - potwierdziłam z zapalem, choć przez moment zalały mnie bolesne wspomnienia tego, przez co musiałam przejść, żeby się tutaj dostać, i tego, czego się dowiedziałam.

Wzrok Granta powędrował do czubka mojej głowy.

- Maxine.

- Cribari próbował mnie zabić - wydyszałam. - Dwukrotnie. Myślę, że wykonuje rozkazy awatara. Wszystko zostało ukartowane. Tylko nie wiem po co. Nie rozumiem nawet, dlaczego nie próbowali cię jeszcze porwać. Mieli przecież na to mnóstwo czasu.

Grant na chwilę znieruchomiał. Złapałam go za rękę, zanim zdążył się odwrócić, i ścisnęłam ją tak mocno, że aż się skrzywił. Pociągnęłam go za sobą. Nie chciałam, żeby się zatrzymywał. Stukot jego laski uderzającej w posadzkę brzmiał jak seria wystrzałów.

- Nie zdradzaj się z tym, co wiesz - przestrzegłam stanowczo. - Znajdziemy twojego przyjaciela, jeśli faktycznie tu jest, a potem weźmiemy nogi za pas.

- Najpierw musimy wydostać się z katedry - wychrypiął szeptem, zaciskając palce na mojej dłoni. - Dobry Boże, skopię Antony'emu tyłek.

Wyszliśmy przez masywne, otwarte drzwi w cichą, chłodną noc. Przed sobą mieliśmy żelazną bramę i wartownię. Mężczyźni, którzy wcześniej w niej siedzieli, stali teraz na zewnątrz i spokojnie o czymś rozmawiali. Ci dwaj zdecydowanie mogli utrudnić mi życie, i to w sposób niemający nic wspólnego z siłami nadprzyrodzonymi.

Nie podobała mi się ich intensywna czujność. Nie podobało mi się nagle uczucie własnej bezbronności. Byłam przecież jedną z najpotężniejszych osób na świecie, a czułam się jak szarlatan z blaszanym mieczykiem, którym chciałam się bronić przed ludzkimi prawami i biurokracją. Ja miałam ratować świat. Urodziłam się, by ratować życie ludzi. A tymczasem ledwo mogłam uratować samą siebie.

- Tęsknię za zombie - burknęłam pod nosem. - Za moimi cholernymi demonami. Co, do diabła, się ze mną stało?

- Twój świat się powiększył - szepnął Grant, a potem, już o wiele głośniejszym, zadziwiająco bezmyślnym tonem, dodał: - Tę świątynię wybudowali jezuici. Chyba w 1910, ale zakon istniał tu od 1608 roku. Ziemię podarował im wysokiej rangi urzędnik dynastii Ming, który nawrócił się na katolicyzm.

- Naprawdę? - rzuciłam sztywno. - Opowiedz coś jeszcze.

Prowadził mnie dalej w stronę bramy, jakbym miała prawo tu być, jakbym od początku brała udział w zwiedzaniu. Przy każdym kroku następowała w nim coraz większa przemiana; mówił coraz bardziej arogancko, wyniośle, z zadufaniem; aż w końcu u mojego boku kuśtykał zupełnie inny mężczyzna, pasujący do stereotypu obrzydliwie bogatego i przystojnego biznesmena; nieznośnie nudnego.

- W czasach rewolucji katedra służyła za spichlerz - kontynuował bez cienia zmieszania, kiedy prawie docieraliśmy do bramy. - Zakonnice pozostawały w areszcie domowym. Widzisz tamten budynek? Tam mieszkały. Teraz to restauracja specjalizująca się w daniach ze steków.

- Fascynujące - mruknęłam, choć powiedziałabym to samo, gdyby oświadczył, że lubi przebierać się za wiewiórkę i żonglować żołądkami. Nie dotarło do mnie ani jedno jego słowo. Byłam całkowicie skupiona na ojcu Cribarim i ojcu Lawrence idących za nami. I na mężczyznach tkwiących nieruchomo przy wartowni. Ich spojrzenia były lodowate i oceniające. Zwłaszcza gdy patrzyli w moją stronę.

Spróbowałam przywołać na twarz minę niewiniątka, choć - ponieważ nie mam zwyczaju sterczeć przed lustrem - nie bardzo wiedziałam, jak ona powinna wyglądać. W końcu więc, żeby wywołać wrażenie, że jestem swobodna i nie czuję się niczemu winna, spojrzałam wartownikom prosto w oczy. Ot, zwyczajna dziewczyna zwiedzająca z chłopakiem zabytki. Nie warto zawracać sobie nią głowy, a przynajmniej nie o tej godzinie i nie w ramach zapłaty, jaką otrzymują za swoją pracę.

- Tego nie było w umowie - odezwał się jeden z mężczyzn po angielsku z nieznacznym obcym akcentem.

Grant popatrzył na niego z zaskoczeniem i oburzeniem.

- Panie Shu, wiem, że ojciec Cribari i ojciec Lawrence załatwiali tę wycieczkę w ostatnim momencie, ale chyba uprzedzili pana, że w zwiedzaniu będzie uczestniczyła również moja żona.

Ojciec Lawrence zaczął się krztusić. Mnie po plecach przebiegł dreszcz. Pan Shu natomiast przymrużył oczy i zerknął na swojego kolegę, który uważnie mi się przyglądał z twarzą ujawniającą

emocje głazu. Odnosiłam wrażenie, że sumuje wszystko, co mnie charakteryzuje - wygląd, zachowanie, sposób, w jaki trzymam Granta za rękę - i dochodzi do niezbyt satysfakcjonujących wniosków.

- Nie widziałem, żeby pani wchodziła - stwierdził ze znużonym napięciem, jakie często słyszy się u ludzi zmuszonych pracować do późna; zmęczonych i trochę poirytowanych. Spodobał mi się. Chciałam mu jakoś ułatwić zadanie.

- Spóźniłam się - odparłam, zastanawiając się zarazem, czy można wyglądać młodo i niewinnie tylko dlatego, że się tego pragnie. Podejrzywałam, że mam tyle samo szans, aby osiągnąć taki rezultat, co krokodyl próbujący przejść na wegetarianizm.

Drugi wartownik wyciągnął z kieszeni wykałaczkę i wetknął ją sobie do ust.

- Paszport.

- Och - stęknęłam. - Niestety zostawiłam w hotelu. Albo w mieszkaniu dobrych kilka tysięcy kilometrów

stąd. W Szanghaju była teraz noc, więc w Seattle świeciło słońce. Chłopcy nie mogli zatem przenieść się do domu po mój paszport. Rozejrzałam się za nimi i dostrzegłam Zee, Rawa i Aaza przykucniętych za gargulcami zdobiącymi katedrę. Przyglądali się nam, błyskając rubinowymi oczyma.

- Bardzo przepraszam - dodałam ze szczerymi wyrzutami sumienia. - Nie zamierzałam robić kłopotów. Chciałam tylko być z nim. - Klepnęłam Granta po ramieniu, a potem przytuliłam się do niego policzkiem.

Ciepłą dłonią pogładził mnie po włosach. Obaj wartownicy wytrzeszczyli oczy.

- Bracie Lawrence, proszę się tym zająć - rozkazał Grant, podchodząc do bramy. - Nie mamy czasu tu stać, spieszymy się na spotkanie.

Spotkanie. O północy. Akurat ojciec Lawrence wyglądał tak, jakby pragnął zapaść się pod ziemię. Cribari natomiast splótł ręce na piersi. Nic więcej nie zrobił, a jego twarz niczego nie wyrażała.

Grant pchnął mnie w kierunku otwartej bramy. Nikt nas nie zatrzymał, choć usłyszałam za plecami dość ostrą wymianę zdań po angielsku i chińsku. Szybko kuśtykając, Grant prowadził mnie wzdłuż muru do cichej bocznej uliczki.

- Nie było tak źle - zauważyłam niby z rozbawieniem, choć serce podeszło mi do gardła.

Grant zerknął na mnie kątem oka.

- Ci ludzie byli z tajnej policji. Mieli prawo nas aresztować. A co najmniej zatrzymać i przesłuchać. Tolerancja religijna wzrasta, ale rząd uważnie obserwuje wszystkich, którzy przybywają do Chin i mogliby mieszać się do polityki.

- I dlatego odgrywasz rolę nadzianego faceta popisującego się przed swoją żoną i udajesz, że nic złego nie robisz? Ciekawe.

- Nauczyłem się tego od ojca. A ty od matki. Że władza to rzecz płynna. Przechodnia. Najsilniejszym człowiekiem w danym kręgu niekoniecznie jest ten najbogatszy lub najbardziej wpływowy. Ale ten, kto wierzy, że tak jest, kto ma najwięcej pewności siebie. I czasami taka osoba potrafi zbić z tropu wszystkich dokoła.

- Moja matka nie zagłębiała się w emocjach - odparłam, słysząc, że brama za nami zamyka się z hukiem. - Po prostu instynktownie robiła to, co należy.

- Zupełnie jak ty.

- Nie próbowałam nikogo omamiać przy tej bramie.

- Ależ próbowałaś. Nagle zmieniałaś się w piękną, bez-rozumną kobietkę. Zagrałaś swoją rolę sto razy lepiej niż ja swoją.

Droczył się ze mną, chociaż w tym, co mówił, tkwiło ziarnko prawdy. I wcale mi się to nie spodobało. Mimo to, udając, że jestem rozbawiona żartem, uśmiechnęłam się -dość drętwo, jakbym miała usta z plastiku i gumy.

Grant zajął mi głęboko w oczy i jego wesołość zniknęła; ustąpiła miejsca współczuciu i trosce. Pochylił się, żeby mnie delikatnie pocałować. Ja jednak złapałam jego twarz w dłonie i przyciągnęłam do siebie, zgłodniała bliskości najdroższego mężczyzny. Nagle wystraszona, że już nigdy więcej nie będę miała okazji go posmakować.

Usłyszałam niewyraźne głosy. Grant przestał mnie całować i wtulił kłujący policzek w mój - nasze oddechy były przyspieszone. Dek i Mai wtoczyli się na spoconą dłoń Granta, dociskając ją mocniej do mojego karku.

- Później - wymamrotał mi do ucha ukochany. - Nic nam się nie stanie, Maxine. Wszystko będzie dobrze.

A potem nieznacznie się odwrócił. Ojciec Cribari stał blisko i nas obserwował - jak jakiś zboczony podglądacz, pomyślałam i zrobiło mi się niedobrze.

- Dokądś się wybierasz? - spytał Granta. Ten uśmiechnął się chłodno.

- Do człowieka, który prosił, żebym go odwiedził. Chyba że skłamałeś i sprowadziłeś mnie tutaj w zupełnie innym celu.

Ojciec Lawrence, huśtając się na piętach - od czego trzęsły mu się różne części ciała - zmarszczył czoło. Potem posłał mi szybkie spojrzenie. Chyba chciał coś powiedzieć, zaraz jednak dziwne błyski w jego oczach zgasły i znów był tylko roztargnionym, ciepłym i mamroczącym klechą.

- Ojciec Ross nie jest jeszcze gotów. On...

- Nie mówi - dokończył Cribari. - Nie może.

W oczach Granta zamigotało coś przerażającego.

- Co mu zrobiłeś, Antony?

- Nic.

- Dziesięć lat temu też mówiłeś „nic”, kiedy próbowałeś przekonać innych, że powinienem zginąć. Albo wylądować w jakimś zamkniętym miejscu. Aha, i jeszcze że w Watykanie są podziemia, które prowadzą wprost do piekła, prawda?

- Coś sobie ubzdurałeś - warknął Cribari. Ojciec Lawrence stęknął nerwowo.

- Proszę, przestańcie. To niepotrzebne. Nikt z nas nie skrzywdziłby...

- Poszczególne departamenty Watykanu są niezależne od siebie - przypomniał ostro Grant. - Dobrze o tym wiesz, ojciec Lawrence. Tam panuje biurokracja i owszem, czasami szwankuje, ale na ogół działa sprawnie. Nie ma miejsca na spiski i tajemnice. Bo urzędnicy kościelni nie potrafią ich dochować. Jednak istnieją wyjątki. Co, Antony?

Przewielebny przeniósł spojrzenie z Granta na mnie.

- Jeśli tak uważasz.

Grant przesunął się w bok, stając pomiędzy mną a Cri-barim.

- Zaprowadź nas do ojca Rossa.

Antony nie przestawał się we mnie wpatrywać.

- Ja nie zmieniłem zdania na twój temat, Cooperon. A nawet się w nim utwierdziłem, widząc, z kim się zadajesz.

- Tak. - Pokiwałam głową z groźnym uśmiechem. - O tym właśnie powinniśmy pogadać.

Cribari zbladł, ale nadal stał jak skamieniały. Nie drgnął mu żaden mięsień twarzy. Grand ścisnął mi palce.

- Dość już tych gier, Antony. Sprowadziłeś mnie tu w jakimś celu, więc bierzmy się do roboty.

Brat Lawrence jeszcze mocniej splótł dłonie; w oczach miał niepokój - nie wiedziałam, czy z powodu napiętej rozmowy, czy przez to, co wiedział. Cribari tymczasem wskazał budynek z cegły, w którego kierunku zmierzaliśmy.

- Sam się przekonaj.

Pamiętne ostatnie słowa, pomyślałam, spoglądając w mrok - i nie tylko dlatego, że szukałam chłopców. Powinniśmy się stąd zwijać, brać nogi za pas, ale znałam Granta. Nawet jeśli to pułapka, nigdzie się nie ruszy, dopóki nie sprawdzi, co z jego przyjacielem. W przeciwnym razie wyrzuty sumienia nie dałyby mu żyć. Musiał sam się przekonać, co jest fikcją, a co faktem. Dek i Mai, zaledwie cienie pod moimi włosami, zaczęli nucić mi do ucha *Bed Medicine Bon Tovi*.

Weszliśmy do pogrążonego w ciszy budynku: gąszcz długich, pustych i słabo oświetlonych korytarzy, sufity tak niskie, że niemal instynktownie się schyliłam. Nawet Grant się przygarbił, wspierając się

mocniej na lasce. Co gorsza, wszędzie pusto. Nikogo nie słyszeliśmy. Nawet odgłos naszych kroków wydawał się przytłumiony, jakby korytarze pochłaniały każdy dźwięk. Klaustrofobiczna atmosfera, przytłaczająca jak w klatce. Aż mnie ciarki przechodziły.

Wjechaliśmy windą na szóste piętro. Każde z nas stało w oddzielnym rogu. Ja naprzeciwko Cribariego. Gapił się na mnie ciemnym wzrokiem, a Grant przyglądał się jemu. Ojciec Lawrence, zgarbiony, wbił oczy w podłogę.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, zaprowadził nas na koniec korytarza i wyciągnął z kieszeni klucz. Spojrzał z wahaniem na Cribariego, jakby czekał na jego zgodę, potem otworzył drzwi.

Grant chciał wejść pierwszy, ale go uprzedziłam i wśliznęłam się przed nim... do małego pomieszczenia oświetlonego jedną lampą dającą słabe żółtawe światło. Naróżne okno zasłonięto cienką wyblakłą zasłoną. Sufit był bardzo nisko, a powietrze przesiąkało zapach gipsu.

I stało tam łóżko, a nim leżał człowiek. Ojciec Ross.

Nie bardzo wiem, czego oczekiwałam. Może zombie lub jakiejś nieludzkiej istoty albo wycelowanych w nas pistoletów lub czegośkolwiek innego, co mogłoby nas obezwładnić.

Ale w pokoju znajdował się tylko jeden bezbronny mężczyzna. I to ten właściwy, sądząc po minie Granta.

Ojciec Ross - rude włosy, nos upstrzony piegami. Kiedyś pewnie miły, serdeczny człowiek, teraz z powodu wychudłej twarzy wyglądał jak trup. Kości sterczały pod kołdrą naciągniętą pod brodę. Skórzane pasy przytwierdzały mizerne ciało do łóżka.

Oczy miał zamknięte. Jakby spał.

- Lukę - szepnęła Grant, który do tej pory stał jak wryty, zapatrzony w przyjaciela.

- Zniknął na kilka dni, a potem wrócił... zupełnie odmieniony - wyjaśnił ojciec Lawrence spod drzwi. - Jest bardzo chory. Musi być, skoro... no... zrobił to... co zrobił. Ale zaszły w nim też... inne zmiany.

- Co ze zwłokami zakonnicy? - spytałam zaniepokojona tym, co usłyszałam. Przypomniał mi się Franco i jego dziwny wygląd.

- Pozbyliśmy się ich - poinformował ojciec Cribari, a Lawrence spojrzął na niego z tak zaskakującą nienawiścią i zjadliwością, aż pomyślałam, że mi się przewidziało.

Uniosłam brwi.

- Pozbycie się ciał osób, o których nikt nie wie, że nie żyją, to duży wyczyn. I chyba, jak się domyślam, nie do końca zgodny z prawem.

- Osądzasz nas? - spytał miękko Cribari. - Ty? A co ty byś poświęciła, aby ochronić to, co ci drogie? Jest coś, czego byś w tym celu nie oddała?

Wszystko bym poświęciła, odpowiedziałam mu w myślach. Ale to była moja prywatna sprawa, dotycząca wyłącznie mnie i ludzi, których kocham.

- Umysł ojca Rossa został zniszczony. Tak jak jego ciało - oznajmił Grant.
- Podczas szarpaniny dostał kilka ciosów, ale nie w głowę - wtrącił się zdziwiony ojciec Lawrence. Grant spojrzął na Antony'ego.
- Wiesz, co potrafię.
- Nie wypierasz się?

- Nigdy się nie wypierałem. - Grant sięgnął po flet. - Wynocha stąd. Obydwaj.
- Nic z tego - warknął Cribari.
- Nie będę pracował w twojej obecności. Ksiądz odsłonił zęby w ohydny uśmiech.
- Ty chyba myślisz, że masz wybór.

- I się nie myli - mruknąłam. - Ale po kolei. Złapałam Cribariego za ramię i pchnęłam go na ścianę. Był silny. Opierał się. Ja jednak jestem silniejsza od większości mężczyzn. Muszę, żeby znieść ciężar małych demonów na swoim ciele, którzy ważą tyle samo jako tatuaże i jako cielesne istoty. Nie poddają się sile grawitacji podobnie jak Superman.

Ojciec Lawrence sam wymknął się na korytarz. Stał tam teraz i gapił się na mnie. Nie ze zdumieniem; ale miał w oczach coś, co wywoływało we mnie niepokój. Zatrzasnęłam mu drzwi przed nosem i jeszcze w nie kopnęłam. Potem czekałam, ale pulchny ksiądz nie próbował wedrzeć się z powrotem do środka.

- Ty - warknąłam do Cribariego. - Byłeś bardzo niegrzecznym chłopcem.
- Trzymaj swoje łapska z daleka ode mnie - wycedził.
- Raczej na to nie licz. - Przysunęłam się do niego tak blisko, że mogłabym go pocałować. Gwałtownie szarpnął głową, jakby się bał, że mój oddech spali mu twarz. - Zaskoczył cię mój widok, co? Myślałeś, że nie żyję. Biedny mały Franco.

Cribari zaczął się trząść.

- To był wybrany wojownik. Jak my wszyscy. Wiedział, co go może spotkać.

Silna ręka chwyciła mnie w pasie. Obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam, że Grant wpatruje się w Cribariego z przerażającą wściekłością.

- Jak mogłeś? - zapytał szeptem. - Jak mogłeś... zaaranżować ten... gwałt... na ojcu Rossie?

Gwałt. Posłałam Grantowi ostre spojrzenie, ale on widział tylko Cribariego. A ten wpatrywał się w niego z taką samą intensywnością i bez cienia skruchy na bladej twarzy.

- Posłużył za przynętę. Na ciebie. Wiedziałem, że po niego przyjdiesz.

Grant przymrużył oczy.

- Dlaczego ja? Z powodu moich umiejętności? Miałaś mnie przecież dziesięć lat temu. Mogłaś mnie dorwać w Seattle. Nie musiałem jechać aż do Chin.

Cribari, wciśnięty w ścianę, nie odpowiedział, tylko z gorączkowym blaskiem w oczach zaczął się modlić, niemal bezgłośnie poruszając wyschniętymi ustami, ale przestał, kiedy nasze spojrzenia się spotkały.

- Ktoś mu wydał taki rozkaz - stwierdziłam spokojnie wiedziona instynktem. - Wierzy, że wypełnia polecenia jakiejś siły wyższej.

- Gabriel - wydyszał Cribari. - Archanioł, który dźwiękiem trąb obwieści nastanie Dnia Sądu Ostatecznego, pojawił się przede mną w cielesnej postaci jako duch prawdy i przekazał mi swoją wiedzę. Powiedział, jak was powstrzymać, demony, pomioty Nefilim.

Porównanie nas do potomstwa ludzi i aniołów miało jakiś sens, ale ja i tak pokręciłam głową.

- Wiedziałeś o mnie już wcześniej. Wiedziałeś. Strach, który dotychczas wykrzywił twarz Cribariego,

zamienił się w wyraz nienawiści.

- Zawsze wiedzieliśmy. Obserwowaliśmy cię i czekaliśmy. Matko Ciemności. Królowo Ciemności. Z twojej krwi wyleje się armia Ostatniej Walki i wtedy noc zapadnie w twoich oczach. Twoje serce zamorduje ten świat.

„Twoje serce”. Tego nie mogłam obrócić w żart. Nie mogłam udać, że słowa Cribariego na mnie nie działają. Okrucieństwo w jego głosie sprawiało, że czułam mdłości.

W oczach tego księdza widziałam całą ludzką historię - zelotów, inkwizytorów, kobiety palone na stosach; zamachowców samobójców podkładających bomby; całe pokolenia ludzi wyznających religię przemocy. Wtedy i teraz to samo. Wieczne błędne koło.

- Dosyć - syknęłam. - Już po tobie.

- Nie - wyszeptał Cribari. - Ciebie i mnie nigdy nie spotka koniec, bez względu na to, co się wydarzy. Jesteś zakałą świata. - Nagle przeniósł wzrok na Granta. - Oboje jesteście wybrykiem natury. Nasz Pan was zabierze. Ja was zabiorę, bo taki zapadł wyrok. Zostaniecie zniszczeni.

W oczach Granta zalśnił gniew.

- Nie dotkniesz jej.

- Nic mnie nie zatrzyma. - Antony z rozpalonymi policzkami rzucił się przed siebie, wbijając długie, blade palce w ścianę, jakby to były pazury. - To się musi skończyć tutaj. Zanim ona zdąży się rozplenić jak te pozostałe dziwki, przekazując potomstwu swoją krew. Przez wiele stuleci obserwowałam jej ród, zostawiałem znaki, dzięki którym nasze ostrzeżenia nie będą zapomniane...

Mówił dalej, ale ja go już nie słyszałam. Grant drżał. Twarz miał tak napiętą, tak wzburzoną - dosłownie białą od furii - że patrząc na niego, poczułam uderzenie potężnej fali gorąca. To był strach; śmierzdzący, skręcający kiszki strach. Obejrzałam się - Zee i reszta chłopców wyglądali spod łóżka.

Flet nadal tkwił w futerale. Sądziłam, że Grant teraz po niego sięgnie, ale on zamiast instrumentu chwycił moją dłoń i zacisnął na niej palce z siłą rozpalonego imadła. Usłyszałam wzbierające łomotanie w jego piersi. Moc przetaczała się po skórze, a kiedy otworzył usta, odniosłam wrażenie, że słyszę zawrodozenie gór w zimie, niskie i ponure, obolałe ze starości.

Cribari zamilkł. Zachwiał się, złapał za koloratkę i zatoczył się na ścianę. Drapiąc palcami po gardle, otwierał i zamykał usta jak zdychająca ryba - zaciskał mocno oczy, jakby czuł straszliwy ból. Próbował coś powiedzieć, ale usłyszałam tylko syczenie. Zatkał sobie uszy dłońmi. A Granta nic nie ruszało. Nie było w nim śladu litości, współczucia - tylko lodowata obojętność i determinacja. Nie przestawał, choćby po to żeby nabrać powietrza. Jego głos stracił ludzkie cechy, falował niczym grzbiet smoka, a powietrze wirowało wraz z nim, uderzając we mnie z siłą wichury.

Cribari zaczął krzyczeć. Z uszu trysnęła mu krew. Czulałam więcej, niż widziałam. Zee z chłopcami wyczołgali się z mroków zahipnotyzowani tym, na co patrzyli. Zaczęłam ciągnąć Granta za rękę, wołając go po imieniu. Nie spojrzał na mnie. W jego oczach... w jego oczach... zobaczyłam nikły blask.

Usta Światła.

- Grant! - krzyknęłam i uderzyłam go w twarz.

Głos mu się wreszcie załamał i w pokoju zapadła cisza, która wytworzyła ogłuszającą próżnię, wysysającą cały tlen z moich płuc. Grant zachwiał się i opadł na kolana. A ja za nim. Nadal trzymałam go za rękę. Był postawnym mężczyzną, więc pociągnął mnie swoim ciężarem za sobą.

- O Boże - wydyszał i zaczął kasłać, a potem się dławić. Przycisnął czoło do podłogi, ręce zacisnął w pięści. Był cały czerwony.

Objęłam go i przytuliłam. Znów zakasłał i na podłogę poleciała krew.

Patrzyłam na te czerwone plamy z przerażeniem.

- Co ja zrobiłem? - wymamrotał.

Oderwałam wzrok od krwi i spojrzałam na Cribariego. Leżał na ziemi nieruchomy. Drżącą ręką sprawdziłam mu puls.

- Żyje - powiedziałam.

Grant spazmatycznie odetchnął i zamknął oczy. Mamrocząc pod nosem słowa gorączkowej modlitwy.

Zee z chłopcami wyszli spod łóżka. Moje małe wilki. Przygarbione zerknęły wygłodniałym wzorkiem na nieprzytomnego księdza, zanim podeszły do Granta. Zee położył mu rękę na kolanie. Dek i Mai,

owinięci ogonami wokół moich uszu, wystawili głowy spomiędzy włosów. Aaz przyglądał się nam rubinowymi oczyma.

Znowu popatrzyłam na ojca Rossa. Pierś spięta skórzanymi pasami unosiła się i opadała, ale to był jedyny znak, że on żyje. Twarz miał zapadniętą, bladowskową. Zee pochylił się, żeby go obwąchać. Unosił przy tym górną wargę, obnażając długie, błyszczące zęby i śliski czarny język.

- Handlarz krwią. Cały we krwi. Ktoś w nim mieszać. Zmienić go.

Źle, źle, źle. Nie umiałam sobie wyobrazić, na czym polega zmiana w ojcu Rossie, ale pamiętając Franca, wiedziałam, że możliwości są nieograniczone. Zee jak karabin maszynowy wyterkotał serię słów w kierunku braci. Raw i Aaz znieruchomieli, a Dek i Mai zaczęli powarkić, puszczając dym z nozdrzy. Wszyscy uważnie przyglądali się ojcu Rossowi.

- O co chodzi? - Popatrzyłam niepokojem najpierw na Granta, potem na Zee.

- Znać ten zapach - wyjaśnił mały demon. - Zapach skórnika.

- Znasz imię tego awatara?

- Zbyt wiele imion - szepnął z cieniem nienawiści w czerwonych oczach. - Zbyt wiele skór nosić.

Usłyszałam odgłos kroków dochodzący z korytarza.

- Maxine, kłopoty - wydyszał Zee.

- Bardzo poważne? - zapytałam.

Raw i Aaz wbili pazury stóp w podłogę i przywarli uszami do drzwi. Zee przechylił głowę, jakby czegoś nasłuchiwał. .. i szcęknął jedno ostre słowo. Małe demony oderwały się od drzwi i schroniły w mrokach pod łóżkiem. Dek i Mai zniknęli w moich włosach. Zee rozwiął się ostatni. Rzucił mi przez ramię zagadkowe spojrzenie, tuż zanim rozplynął się w wąskiej linii cienia pod drzwiami. Jakbym patrzyła na wilka pochłoniętego przez czarną nić. Zamrugałam szybko, próbując odzyskać ostrość widzenia. W głowie nadal rozbrzmiewała mi muzyka Granta.

Drzwi nagle się otworzyły, więc jeszcze raz musiałam zamrużyć.

Przedemną stał ojciec Lawrence. Ciężko dysząc, z rumieńcem na twarzy. Trzymał pistolet.

- Tropicielko Kiss - powiedział. - Musisz uciekać.

Rozdział 10

Nigdy nie przejmowałam się manierami. Nawet obecność księdza tego nie zmieniła.

- Co to, do cholery, ma znaczyć? - spytałam.

- A to, do cholery, że musisz wstać i natychmiast zabrać stąd swój uroczy tyłeczek - odparł ojciec Lawrence dość łagodnie, lufą pistoletu celując w sufit.

Wybałuszałam oczy. Grant z trudem podźwignął się na nogi, pomagając sobie laską i oparciem krzesła. Wytarł krew z ust, po czym posłał brzuchatemu księdzu krótkie, choć uważne spojrzenie, zdecydowanie nieufne.

- Frank. Minęło dziesięć lat i może źle pamiętam, ale wydaje mi się, że nigdy nie używałeś brzydkich słów.

- A ty jesteś dorosłym facetem, który przekleństwa określa jako brzydkie słowa. No a teraz ruszajcie się.

Ani drgnęłam. Ojciec Lawrence był o wiele bardziej przerażający niż zombie i ludzie o gadzich oczach. Ślamazarny mały księżulek nadal mówił dobrotliwym głosem, ale to było wszystko, co upodobało go do braciszka, którego poznałam w katedrze. Całkowicie niewytłumaczalna przemiana. Nawet poruszał się inaczej. Spojrzałam na Granta, on jednak wpatrywał się w przyjaciela. Ojciec Ross, nadal związany pasami, leżał nieprzytomny na łóżku.

- Mogę mu pomóc - oświadczył Grant zdecydowanym tonem, mimo że twarz miał zastraszająco bladą. A kiedy znów kaszlnął, zasłonił usta ręką, potem spojrzał na nią i szybko zacisnął ją w pięść, żeby nic nie widziała.

- Nie. - Lawrence przeszedł nad ciałem Cribariego. Nawet nie rzucił na nie okiem. - Musisz go zostawić. Jest odmieniony. To nie ten sam człowiek co dawniej.

- Na pewno ten sam. Widzę to. - Grant utkwiał wzrok w ojcu Lawrence. - Co ty tutaj robisz? Co to jest?

- Szaleństwo. - Ksiądz postukał pistoletem we własną pierś. - I seria zdarzeń, które nie powinny mieć z tobą nic wspólnego, a jednak mają, czego zupełnie nie rozumiem. Ona natomiast to całkiem inna sprawa.

- Wspaniale - mruknęłam, w końcu się podnosząc. - Wręcz cudownie. Może łaskawie byś wyjaśnił, o co chodzi.

Klecha popatrzył na mnie przeciągle.

- W tej chwili dziesięciu mężczyzn uwięzionych na pierwszym piętrze tego budynku próbuje wyłamać zamki i dostać się do windy albo na schody. W końcu im się uda. A gdy to nastąpi, lepiej, żeby was tu nie znaleźli. Chyba że uśmiecha się wam zabijać ludzi, którzy tylko wykonują rozkazy.

- Którzy chcą mnie zglądzić.
- Oni mają pojmać jego. - Wskazał na Granta. - A ciebie rozproszyć. Poświęcając przy tym życie, jeśli zaszłaby taka potrzeba. A do tego dojdzie, gdy zjawią się tu z tą swoją bronią.
- Zbyt dużo o mnie wiesz - burknęłam.
- Wystarczająco, żeby być przerażonym. Choć zarazem jestem przekonany, że wcale nie powinienem się bać. -Spojrzał na Granta. - Ty naprawdę się stąd nie ruszysz, zanim mu nie pomożesz?
Twarz mojego ukochanego wyrażała determinację.
- Nie.
- Cholera - mruknął ojciec Lawrence, po czym wycelował pistoletem w pierś ojca Rossa i pociągnął za spust.

Pokój był mały. Huk ogromny. Strzał padł z bliska. Krew powinna być wszędzie, tryskając z olbrzymiej dziury.

Jednak nic takiego się nie wydarzyło. Kula po prostu odbiła się od ciała ojca Rossa. Żadnej krwi. Zero ran. Tyle że ksiądz otworzył oczy, wyprężył się i nabrał głęboko powietrza. Nadal był blady jak trup.

Dek wibrującym głosem syknął mi ostrzegawczo do ucha. Grant wychylił się do przodu, jakby chciał podejść do leżącego. Natychmiast stanęłam przed nim, żeby zagrozić mu drogę. Nasze ruchy przykuły uwagę ojca Rossa... i nagle poczułam się jak mysz skamieniała z przerażenia na widok węża. Modliłam się, by stać się niewidoczna.

Za późno. Ross odwrócił głowę i popatrzył - bez emocji. Nie rozpoznał Granta. Jego oczy wydawały się ludzkie. Wodnisto zielone, jasne jak morska piana. I przez moment, przez krótką chwilę, sądziłam, że wszystko będzie w porządku.

Ale ojciec Ross się zmienił. Widziałam, jak to się dzieje. Nagle człowieka zastąpiło coś innego: pierwotnego, zimnego, tak jakby część duszy księdza została wyrwana i w jej miejsce pojawiła się jakaś zwierzęca siła, bezmyślna i bezlitosna.

Szarpnął się w naszą stronę, napinając całe ciało. Szeroko otworzył usta. Zobaczyłam ciemną czelusć i wręcz niesamowitą liczbę zębów. Jak u piranii. Zamarłam, moje wnętrzności zawiązały się w twardy supeł, wywołując ból w sercu. Bezimienna rzecz w ciele księdza przerażała mnie bardziej niż jakikolwiek demon, a nawet bardziej niż perspektywa załamania się więziennej Zasłony.

Demony miały przynajmniej jakieś zasady, oczywiście dość bezwzględne. W tej istocie było tylko pragnienie zabijania. Wyczuwałam to.

„Wskrzesza swoje dzieła”, mówił Jack. Wypuszcza na wolność. Jakby świat stał się jakimś cholernym placem zabaw dla morderców. Nie wiadomo, jak dużo ludzi zmodyfikował awatar, ilu z nich zrobił to co ojcu Rossowi, Francowi lub tamtemu niewidzialnemu czemuś w lesie, które śledziło mnie i Jacka.

Trudno, chrzanić to.

- Chcecie wiedzieć, dlaczego nie musieliśmy się przejmować pochówkiem zakonnic? - spytał cicho ojciec Lawrence i zerknął na Rossa rzucającego się na łóżku. - Bo żadne ciała nie zostały.

- Mogę do niego dotrzeć - zapewnił z napięciem Grant, wpatrując się w dawnego przyjaciela. - Mogę go sprowadzić z powrotem. Widzę...

- Nie - sprzeciwił się pocziwy księżulek i znów strzelił do Rossa. Celował w głowę.

Tym razem nie było już tak czysto. Kula wybuchła w skroni, rozrywając część mózgu. Krew bryzgnęła na ścianę. Natomiast pojawiło się wspomnienie matki. Ale to mnie nie wyhamowało. Rzuciłam się do Granta, żeby osłonić go swoim ciałem. Chciał mnie wyminąć, ale nie wrywał się do Rossa. Wpatrywał się w pulchne klechę, a w oczach miał furję. I smutek.

Ojciec Lawrence, wcale nie unikając wzroku Granta, zrobił krok w tył. To, że odczuwa wyrzuty sumienia lub strach, zdradzały tylko jego drżące dłonie. Lewą rękę ścisnął nadgarstek prawej, żeby utrzymać prosto pistolet, teraz skierowany lufą w dół. Gdyby klecha wymierzył ją gdziekolwiek indziej, chybabym go zabiła.

- Możesz mnie znienawidzić - zwrócił się cicho do Granta. - Ale są ważniejsze rzeczy od ratowania mordercy, który sam się „zgłosił”, żeby... mu to... zrobiono.

- Niemożliwe - szepnęła Grant. - Nie Luke. W oczach księdza zabłysło współczucie.

- Nie wiem, dlaczego musiałeś opuścić Kościół, ale od tego czasu minęło dziesięć lat. Po twoim odejściu Cribari zaczął szkolić ojca Rossa. Sprowadził go do naszego zakonu...

- Zakonu - przerwał mu zduszonym głosem Grant. - Co...

- Później. - Lawrence ruszył ku drzwiom. Kiedy przechodził nad swoim kolegą po fachu, kopnął go w głowę.

Cribari się nie poruszył. Oddychał, ale nadal leżał nieprzytomny. Może zapadł w śpiączkę. Byłoby miło. Dziwiłam się, dlaczego ojciec Ross nie zastrzelił i jego, skoro tak dobrze czuł się z bronią w ręku, ale trzymałam głowę na kłódce. Teraz nie miało znaczenia, czy Cribari mógłby normalnie funkcjonować po tym, co zrobił mu Grant. Bo tak na- i prawdę już nie żył. Zee zatapiał w nim swoje pazury.

Pociągnęłam Granta za rękę. Ale on tkwił jak skamieniały, więc pocałowałam go w ramię i przytuliłam policzek i do jego piersi. Z głębi gardła wydarł mu się zduszony jęk. Przymknęłam oczy. Współczułam mu całym sercem, ale nie żałowałam, że ojciec Ross zginął.

- Chodźmy - szepnęłam.

- Mogłem go uratować - wydyszał przepełniony żalem. - Maxine, widziałem tam Luke'a, pod tymi wszystkimi warstwami. Tak strasznie cierpiał.

Uniosłam jego podbródek, żeby na mnie spojrział. Nic nie powiedziałam. Pozwalałam tylko czytać z mojej aury, mojego serca, moich oczu. Myślałam: Kocham cię, jestem tu, jestem z tobą, i starałam się przesłać te uczucia do otaczającego mnie światła, jakkolwiek ono wyglądało. Wiadomość lśniła w butelce.

Gdzieś w oddali rozległ się huk. Ojciec Lawrence zaklął cicho.

- Teraz albo nigdy.

Grant zamknął powieki. Dużą dłonią ujął moją głowę i pieścił kciukiem kącik ust. Potem delikatnie pocałował mnie w policzek. Drżał. Intensywnie pachniał potem i wymiocinami. Przestraszyłam się, czując w nim to osłabienie. Jakby coś wyszło z niego sporą część żywotności.

- Tropicielko Kiss - ponaglił napiętym głosem ksiądz. Stał już w korytarzu.

Grant wziął mnie za rękę, a drugą dłoń zacisnął mocno na lasce. W milczeniu odszedł od zwłok przyjaciela, przeprowadzając mnie nad ciałem nieprzytomnego Cribariego. Dołączyliśmy do Lawrence'a i żadne z nas nie obejrzało się za siebie.

Duchowny prowadził nas korytarzem. Wcześniej, w katedrze, powiedziałabym, że ma kaczę chód - stąpał miękko, spokojnie, lekko kiwając się na boki. Teraz też się tak poruszał, ale ponieważ patrzyłam na niego innymi oczyma, kolebanie kojarzyło mi się z gracją, a miękkość kroków z czujnością.

Wyszliśmy na klatkę schodową. Poniżej słychać było jakiś łomot. Zgrzyt metalu. Ojciec Lawrence zaczął się wspinać po schodach, a Grant za nim - jakoś tak ospale, co zupełnie do niego nie pasowało, choć na ogół przy chodzeniu korzystał z laski. Znów kaszlnął, a ja złapałam go za nadgarstek, zanim zdążył ukryć rękę. Krew. Nie tak dużo jak wcześniej, ale sporo.

Żadne z nas nie odezwało się ani słowem. Grant zabrał dłoń, ale wcześniej uściśnił moją.

Ksiądz niecierpliwie zastukał w poręcz. Grant ruszył dalej, tym razem szybciej, zmuszając się do wysiłku. Kroczyłam tuż za nim, a za mną, w mroku, podążał Zee. Raw i Aaz skradali się w całkowitej ciszy nad naszymi głowami, przyklejeni do ścian i spodniej strony schodów. Klecha niczego nie zauważył, ale Grant zerknął w kierunku chłopców: z zaciśniętą szczęką i pustym wzorkiem.

Myśl o ojcu Rossie jak o starym wiernym psie, nakazałam sobie w duchu, próbując znaleźć w sercu współczucie dla martwego księdza. Jak o najlepszym czworonożnym przyjacielu dzieci. Zabitym, bo dostał wścieklizny.

A jednak na wspomnienie Luke'a Rossa kamieniałam. Nie umiałam pokonać przerażenia faktem, że ktoś taki jak on chodzi wolno po świecie. Po boiskach szkolnych, placach zabaw, po szpitalach. Gdziekolwiek.

Więc udaj się do źródła. Pozbądź się przyczyny zarazy.

- Co wiesz o tym... Gabrielu... od którego Cribari przyjmował rozkazy? - spytałam Lawrence'a, z trudem dostrzegając na pograżonych w ciemności schodach jego małą krągłą sylwetkę.

- Nigdy go nie spotkałem - odparł ostro po chwili namysłu. - Nie chciałem, bo wygląda na to, że ktokolwiek natknie się na tę... rzecz... wraca zmieniony. Czy tego chce, czy nie.

- A Cribari ma jakiś sposób, żeby się z nim kontaktować?

- Nie. - Zatrzymał się na półpiętrze, czekając, aż do niego dotrzemy. Był spocony i lekko dyszał, podobnie jak Grant. - Nikt nie zamieszkuje tu na stałe. Ludzie przychodzą i odchodzą. Cribari przychodzi i odchodzi. Tak się dzieje od lat, jednak trzy miesiące temu wszystko się zmieniło. On się zmienił. Tutaj. - Ksiądz postukał się w głowę krótkim serdelkowatym palcem. - Zaczął opowiadać, że objawił mu się anioł. Że nadszedł czas, aby... nasz zakon podjął nową misję.

- Wasz zakon - powtórzył ponuro Grant, opierając się ciężko na lasce. - Taki, co wybacza zabicie z zimną krwią chorego księdza?

Ojciec Lawrence zawahał się - w jego spojrzeniu nie było gniewu, tylko smutek.

- Nasza misja jest bardzo stara. Robimy, co musimy. Nawet jeśli nie pozostaje to w zgodzie z... ideą wybaczenia.

Grant pokręcił głową.

- Musisz się bardziej postarać.

Wielebny zacisnął szczękę i wysunął broń w moją stronę, żebym ją pottrzymała. Zamiast mnie Grant wziął pistolet, jednak niechęć, jaką żywiłam do broni, musiała uwidocznić się na mojej twarzy, bo ksiądz spojrzał na mnie ze zdziwieniem. Ale nic nie powiedział. Podwinął rękaw.

Na spodzie jego przedramienia widniał tatuaż - korowód linii, które przez chwilę zupełnie mi się rozmyły w oczach, bo niemal oszalałam, gdy je zobaczyłam. Znałam te zawijasy. Rozpoznawałam ten symbol.

Miałam go na sobie w postaci blizny pod uchem, przy zuchwie. Ukrytej pod włosami.

- Nie nosimy żadnej nazwy - wyjaśnił cicho Lawrence. - Tylko to.

Grant też znieruchomiał, gdy zobaczył tatuaż. Pochyliłam się, żeby lepiej przyjrzeć się wzorowi.

- Co on oznacza? Czy ksiądz zamigotały.

- Wiele rzeczy. Głównie śmierć. Ale śmierć to może być odrodzenie albo destrukcja. W zależności od tego, jak się na to patrzy.

- Skąd pochodzi? Opuścił rękaw.

- Nie wiem, ale go strzeżemy.

Miałam więcej pytań, jednak ojciec Lawrence odebrał już pistolet od Granta i bez słowa otworzył drzwi prowadzące z klatki schodowej na korytarz. Kiwnął na nas, żebyśmy szli za nim. Nie chciałam tego robić, ale Dek i Mai coś zamruczeli, a Grant delikatnie dotknął mojego łokcia. Pod nami rozlegały się

jakieś krzyki. Usłyszałam odległy tupot stóp na schodach. Nasi tajemniczy prześladowcy w końcu pokonali przeszkody.

Korytarz wyglądał tak samo jak inne: wąski, długi, z mnóstwem drzwi. Pulchny braciszek zaprowadził nas do pierwszych po prawej, tych najbliższej klatki schodowej. Pokój okazał się kopią tego, który opuściliśmy, tyle że materac był pusty, a podłogę i meble pokrywała gruba warstwa kurzu. Puchate kłębki przyczepiały się do butów.

- Po II wojnie światowej i po rewolucji kulturalnej jezuici, którzy wrócili do Chin, cierpieli na lekką paranoję - wyjaśnił pospiesznie nasz przewodnik, zamykając drzwi z trzema zamkami z rygłem, z dwoma łańcuchami i grubą sztabą wsuwającą się w podłogę. Zawiasy też były wzmocnione. - I dlatego, kiedy nadarzyła się okazja postawienia tego budynku, postarali się o specjalne środki ostrożności. Tych zabezpieczeń nie ma na planach. - Otworzył szafę.

- Żartujesz - prychnął Grant.

- Och, błagam cię - obruszył się ksiądz. - Nie mów, że ty, historyk, jesteś zaskoczony.

Grant obserwował, jak Lawrence podnosi klapę zasłaniającą otwór w podłodze.

- Sekretnymi drzwiami i przejściami? Oczywiście, że nie. Miałem na myśli rozmiar tego otworu. I że się w nim nie zmieścisz.

- Och, mój otłuszczony bebech to bardzo elastyczna część ciała. Założę się, o co chcesz, że precysem się przez tę dziurę. - Odsunął się i wskazał kwadratowe wejście do ciemności. - Panie przodem.

Usiadłam na brzegu, ze zwieszonymi nogami. Małe dłonie chwyciły mnie w kostkach z dodającą pewności siłą. Ostrożnie zsunęłam się i - co zadziwiające - prawie natychmiast dotknęłam stopami podłoża. W środku śmierdziało pleśnią i było zimno. Raczej rzadko ktoś tu zagląda.

Zobaczyłam przed sobą czerwone mrugające oczy. Wyciągnęłam ręce, żeby razem z Rawem i Aazem pomóc Grantowi. Nie poszło tak łatwo jak w moim przypadku. Utknął na wysokości klatki piersiowej. Musiał się trochę powiercić i wypuścić z płuc całe powietrze - podczas gdy my ciągnęliśmy go w dół - zanim zdołał się precysem. Opadł na ziemię zdrową nogą, podskakując na niej lekko, wsparty na naszych ramionach dla zachowania równowagi. Małe demony rozpierzchły się gdzieś, gdy ojciec Lawrence zajrzał do otworu, aby wrzucić łaskę i futerał z fletem.

Ale do nas nie dołączył.

- Niestety - powiedział. - Jestem tłusty jak świnia i za nic bym tędy nie przełazi. Tego nasi bracia nie wzięli pod uwagę, budując luk ratunkowy. - Podał nam jakąś kartkę, trochę pieniędzy i pistolet. - Tam jest adres. Idźcie do Dzielnicy Francuskiej i trzymajcie się głównej drogi, Henshan Lu, aż zobaczycie bar Lucky John's. Pytajcie o Killy. Ona wam pomoże.

Grant odebrał kartkę i broń.

- A co z tobą?

- Ci ludzie mnie znają. Dam sobie radę.

Kłamał. Stałam tuż pod włazem, żeby zajrzeć gościowi w oczy.

- Dlaczego nam pomagasz?

Zawahał się, potem kąciki jego ust nieznacznie się uniosły. Smutny i ironiczny uśmiech, zabarwiony strachem.

- Bo wierzę w ciebie, Tropicielko. W to, że jesteś dobra, tak jak twoja misja. Że możesz nas uratować, choć mogłabyś też zniszczyć. Ale ja ufam twojemu sercu. Pokładam w nim wiarę.

- Dlaczego? - wydyszałam. - Skąd tyle o mnie wiesz? Książd odchylił się, podnosząc klapę.

- Nie wszystkie tajemnice zostały zapomniane. Na pewno nie demony. Ani Strażniczki. Ani ty, Tropicielko. - Zamknął klapę, dodając jeszcze w ostatnim momencie: - Przepraszam za ojca Rossa.

A potem ogarnęła nas ciemność.

Pomieszczenie było małe. Przy ścianach stały skrzynie wypełnione starymi zardzewiałymi puszkami i pojemnikami z wodą. I złożonymi kocami, do których dobrały się myszy. Za naszymi plecami odkryłam schody, szerokie tylko na jedną osobę i strome. Grant nie widział stopni, ale mnie wzrok nie zawodził.

Poprosiłam Granta, żeby nakarmił pistoletem Aaza. Wyjaśniłam, że boję się, że pukawka przez przypadek wystrzeli. I rzeczywiście się tego obawiałam. Ale to była tylko część prawdy. On jednak rozumiał i dlatego zrobił to, o co prosiłam, bez słowa komentarza.

Poruszaliśmy się wolno, ostrożnie, w dół schodów. Trzymałam Granta za rękę. Zee naprowadzał jego łaskę. Przez ściany nie przenikały żadne dźwięki. Słyszałam tylko echo naszych kroków i zdyszanych oddechów. Dek i Mai nucili *Someone Saved My Life Tonight* Eltona Johna.

- Jakie dostrzegasz wokół nich kolory? - spytałam po chwili. - Kiedy śpiewają?

- Czarną tęczę - odparł, zaciskając palce na mojej dłoni. - Zakrzywiający się promień z łusek w purpurowej poświacie i obsydianowe migotanie ze spadającymi gwiazdami. Kiedy śpiewają, widzę noc. Zorzę polarną, ale bez kolorów, jakby ich głosy dochodziły z miejsca zbyt odległego w czasie, stamtąd gdzie panuje tylko mrok.

- A mimo to im ufasz.

- Nie ma nic złego w ciemności. To jedynie inna forma istnienia. Inny rodzaj energii. - Zerknął w moją stronę, a ja zdałam sobie sprawę, że on mnie widzi dzięki światłu powstającemu z dźwięku mojego głosu i moich ruchów. - Energię tę definiują sprzeczności. A my określamy jej wartość zależnie od tego, czy działania i ich efekty szkodzą, czy pomagają.

- Cribari uważa, że jestem Antychrystem.

Grant odchrząknął i znów zacisnął palce na mojej dłoni, tym razem o wiele mocniej.

- Niech go diabli porwą. Zawahałam się.
- Przykro mi z powodu twojego przyjaciela.
- Nie, wcale ci nie jest przykro. Ale rozumiem.
- Naprawdę sądzisz, że mogłeś do niego dotrzeć?
- Ja to wiem. Zło nie jest wieczne, Maxine.

Pod tym względem miałam mniej wiary. Ale „mniej” nie znaczy „wcale”.

Schodziliśmy prawie pół godziny. Pod koniec Grant dyszał wyczerpany. Marniał w oczach od chwili starcia z Cri-barim i ojcem Rossem. Pozwoliłam mu odpocząć na najniższym stopniu, a ja i Zee poszliśmy szukać wyjścia. Trafiliśmy na metalowe drzwi wychodzące na klaustrofobiczną uliczkę, bardzo podobną do tej, na której znalazłam się tuż po wylądowaniu w Szanghaju.

Wokół zimno. I cicho. Żadnych odgłosów pościgu lub wystrzałów. Nigdzie też nie widziałam skrępowanych księży wywożonych gdzieś tajemniczym samochodem. Grant wyciągnął z kieszeni kartkę z adresem i pokazał ją Zee.

- Możesz odnaleźć to miejsce?

Mały demon przez chwilę wpatrywał się w litery i cyfry. Raw i Aaz zagłądali mu przez ramię, a potem cała trójka zaczęła dyskutować melodyjnym, spokojnym językiem, którym się posługiwali tylko między sobą.

- Gotowe - wychrypiał Zee. - Ale nie blisko. Trzeba kół. Szanghaj nocą nie zasypiał. Z bocznej alejki wyszliśmy

na zatłoczoną ulicę, pełną owianych parą bud z jedzeniem. Młodzi ludzie grupkami sterczeli po rogach, rozmawiali, słuchali muzyki przez słuchawki. Wszędzie mnóstwo wózków z jabłkami i pomarańczami; kobiet stojących przy metalowych pojemnikach po oleju przemienionych w paleniska, na których skwierczały słodkie ziemniaki i kukurydza. Obchodziliśmy rozłożone na chodniku obrusy ze spinkami do włosów, puszystymi czapkami, bielizną w folii, pałeczkami do jedzenia, miskami i innymi użytecznymi drobiazgami.

Ludzie nam się przyglądali, ale nie jakoś namolnie. Dek i Mai ukryli się głębiej w moich włosach.

- Nie pierwszy raz jestem w tym mieście - wyznał Grant. - Kiedyś przyjechałem tu na dwa dni. Wiele lat temu. Ojciec załatwiał w Szanghaju jakieś interesy. Ale wtedy było inaczej. Spokojniej. Więcej pól na obrzeżach.

- Znasz tę Dzielnicę Francuską?

- Nie. - Uśmiechnął się przelotnie, z zalem. - Cały czas tkwiłem w biurze i przysłuchiwałem się, jak ojciec przy pomocy tłumacza wyklóca się ze swoimi kontrahentami. I wyglądało to tak samo ohydnie, jak brzmiało. Miałem szesnaście lat.

- To ja chyba sześć. Pewnie siedziałam w samochodzie i słuchałam Johnny'ego Casha przez radio.
- Takie życie bardziej by mi odpowiadało.
- Może. - Zerknęłam na Granta. - Choć z drugiej strony nie mógłbyś się nigdzie zadomowić, zestarzeć.

Dotarliśmy do większej drogi i po niecałej minucie marszu udało nam się zatrzymać taksówkę. Grant znał kilka słów po chińsku, a kierowca wiedział, gdzie jest Henshan Lu. Podążaliśmy w dobrym kierunku. Chłopcy przycupnęli przy naszych nogach i chrupali M&M'sy i gwoździe.

Podróż trwała krótko i wiodła przez kręte ulice, które po jakimś czasie zrobiły się cichsze i ciemniejsze, aż znaleźliśmy się w dzielnicy, gdzie wzdłuż chodników rosły olbrzymie drzewa, a za nimi wznosiły się wysokie szare mury, miejscami pokryte mchem. Cała okolica przypominała twierdzę. Za murami udało mi się dostrzec dachy z glinianymi gontami i wielkie okna.

Henshan Lu nie była już ani tak elegancka, ani tak willowa. W oczy kłuły mieniące się neony, restauracje i bary kusily zapachami. W końcu zauważyłam wielki, migoczący czerwony napis, obramowany jasnym światłem i żółtymi pasami: „Lucky John's”. Na zewnątrz przy drzwiach stały dwie szczupłe Chinki, identycznie ubrane w długie, czarne botki na wysokich obcasach, ciemne pończochy i dżinsowe minispódniczki. Resztę zakrywały puchowe białe kurtki z futrzanymi kapturami. Wysiedliśmy z taksówki. Dziewczyny przestępowały z nogi na nogę. Może z zimna, bo powietrze robiło się coraz mroźniejsze.

Posłały nam uśmiech - zmęczony, sztuczny, służbowy. Za to im płacono. Grant się do nich nie uśmiechnął.

- *M hao. Killy zai bu zai?* - spytał.

Uśmiechy zniknęły, a dziewczyny uważnie się nam przyjrzały, jakbyśmy przestali być przezroczyści. Jedna z nich rzuciła jakieś krótkie słowo, a jej koleżanka wskazała drzwi.

- Bar - powiedziała po angielsku z chińskim akcentem. - Czekają na was.

Weszliśmy do środka, z mroku nocy do jeszcze mroczniejszego pomieszczenia. Wyglądało jak wiejski, kiczowaty sklep monopolowy sprzed lat. Każdy centymetr ścian pokrywały stare plakaty z reklamami alkoholu i gołymi kobietami. Wisiały tam też jakieś siodła, kowbojskie kapelusze i jelenie poroża, jak choinki ozdobione butelkami po whisky. Jeszcze więcej butelek - tym razem po wódce - dyndało przy masywnym żyrandolu. W wąskich szyjkach flaszek tkwiły małe żarówki. W powietrzu unosił się dym papierosowy i żalony głos Alison Krauss płynący z radia.

Bar był pełen do połowy. Żadnych zombie. Sami zmęczeni pijacy, rozwaleni na krzesłach, w większości biali mężczyźni z poluzowanymi krawatami i palcami zaciśniętymi wokół kufli. Nikt nie siedział sam. Każdy miał towarzyszkę. Piękne młode Chinki sprawiały wrażenie zupełnie trzeźwych,

choć zarazem ogromnie rozbawionych. Uśmiechały się, pochylały do swoich towarzyszy, uwodziły ich. Ale na próżno.

Wszyscy faceci gapili się na bar. Ja też. Na blacie siedziała kobieta. Długie szczupłe nogi miała skrzyżowane, a spod krótkiej spódniczki wystawał rąbek różowych majtek z falbankami. Różowa kraciasta koszula przewiązana w pasie odsłaniała prawie cały biust. Na nogach czerwone kowbojki.

Była Chinką, ale z domieszką innej krwi. Krótkie, czarne włosy obramowywały uderzająco piękną twarz nakra-pianą piegami. Na głowie tkwiła różowa opaska, a na niej huśtały się metalowe sprężynki - antenki istot pozaziemskich - takie jak te z sercami doczepionymi przy podskakujących końcówkach. Kobieta trzymała mikrofon i śpiewała razem z Alison Krauss, totalnie fałszując. Nikt jednak nie zwracał na to uwagi.

- Ho, ho - mruknął Grant. - Szkoda, że nie widzisz tego co ja.

- Nie bądź taki pewny - odburknęłam. - Widzę tyle, ile trzeba.

Za barem nie spał nikt, kto obsługiwałby klientów. Pokręciliśmy głowami, gdy jedna z kelnerek wskazała wolny stolik. Wolałam stać. Kątem oka obserwowałam wejście. Dostrzegłam Zee - spoglądał na mnie z cieni otaczających wieszak na ubrania. Raw i Aaz siedzieli przy ozdobnej beczulce.

Pili piwo i głaskali się po wydętych brzuchach. Znów mieli na głowach czapki bejsbolowe. Tym razem Red Soxów.

Grant dotknął mojego łokcia. Przeniosłam wzrok na bar. Kobieta nadal śpiewała, ale oczy miała utkwione w nas. Zmarszczyła czoło i nieznacznie kiwnęło głową na prawo. Zobaczyłam ciemny korytarz i zerknęłam na Granta.

- Ojciec Lawrence ma ciekawych znajomych - powiedziałam.

- Ojciec Lawrence nie jest tym samym człowiekiem co kiedyś - odparł Grant i pokuśtykał w stronę korytarza, jak najdalej od baru i tego straszliwego, zawodzącego do mikrofonu głosu. - Co nie znaczy, że mnie to nie cieszy.

- Dobrze go znałeś? - Usłyszałam brzęk naczyń dochodzący z pomieszczenia przed nami, a po chwili jakieś drzwi stanęły otworem, pchnięte przez kelnerkę niosącą tacę z preclami.

- Nie za bardzo - odparł półgłosem Grant, mijając kuchnię.

Na końcu korytarza znajdowały się drzwi, a po naszej prawej wejście do toalet. Złapałam Granta za ramię. Przytaknął i ruszył do toalety dla mężczyzn - zatrzymałam go jednak w ostatnim momencie. Kazałam iść za sobą, do wucetu dla pań. Bałam się spuścić go z oka.

W mojej kabinie śmierdziało i brakowało papieru. Kiedy skończyłam i wyszłam, Grant stał już przy zlewie, wpatrując się w swoje odbicie w lustrze. Dołączyłam do niego, żeby też się sobie przyjrzeć.

Mam dwadzieścia sześć lat, ale wyglądałam, jakbym przekroczyła czterdziestkę. Na czole zaczynała się formować głęboka zmarszczka. Byłam zmęczona i brudna. Włosy splątane i tłuste. Pod oczami cienie.

Moja skóra nigdy nie widziała słońca. Tylko twarz miałam opaloną, ale nie teraz. W tej chwili byłam blada jak śmierć. Wykończona. A Grant wcale nie prezentował się lepiej. Wymizerowany i zbolący, ze smutkiem nadal migoczącym w oczach. I chyba przybyło mu siwych włosów. Starzeliśmy się gwałtownie tylko od ciężkich przeżyć.

Popatrzyłam na nas oboje. Lustro wypełniały przede wszystkim szerokie ramiona Granta. Ja stałam za nim, z policzkiem przyklejonym do jego silnego ramienia. Nasze oczy się spotkały.

- Hej, piękna damo - mruknął. - Gotowa na wycieczkę do Wielkiego Kanionu?

Spróbowałam się uśmiechnąć, ale usta odmówiły mi posłuszeństwa. Grant odwrócił się i przytulił mnie do ciepłej piersi, pachnącej cynamonem i olejkiem cedrowym. Potarłam policzkiem o flanelową koszulę, wsłuchując się w dudnienie i pulsowanie serca swojego mężczyzny.

Wyczułam na twarzy coś twardego. Odsunęłam się, żeby spojrzeć na szyję Granta, i zobaczyłam znajomy złoty łańcuszek pobłyskujący tuż nad obrzeżem T-shirtu. Dotknęłam grubych ogniów. Grant zamknął dłoń na moim nadgarstku, nie pozwalając, bym wyciągnęła wisior.

- Pomyślałem, że to ważne, żebym go ze sobą zabrał - wyjaśnił z lekkim zmieszaniem.

Rozpięłam płaszcz i odsłoniłam noże matki tkwiące w futerałach zawieszonych przy moich żebrach. Bizuteria lub broń, tu bez różnicy, gdy człowiek potrzebuje czuć ciepło czegoś znajomego na ciele. Rozumiałam. Byłam taka sama. Jak dwie krople wody - mruknął Grant. Zaczął opuszczać rękę, żeby dotknąć jednego z ostrzy. Ale otarł knykiami o moją pierś i już tak zostawił dłoń.

Ktoś z tyłu zakaszłał. Grant się wzdrygnął. Ja zsunęłam poły płaszcz i się odwróciłam. W drzwiach stała kobieta z baru. Różowe antenki podskakiwały na jej głowie. Spojrzenie miała mroczne i poważne, jednak jej usta ułożyły się do uśmiechu.

- Są tu pokoje na takie czułości - zaszczebotała z czystym teksańskim akcentem. - Prawdę mówiąc, mam nawet pokój przeznaczony wyłącznie dla was.

- Przysłał nas... - zaczęłam, ale Chinka przerwała mi ruchem głowy.

- Ojciec Frank - dokończyła, poważniejąc. - Wiem. Ostrzegł mnie.

- Ostrzegł? Przed czym? - spytał z niepokojem Grant.

- Och - rzuciła z tajemniczym błyskiem w oczach. - To nic takiego.

Zniknęła nam z widoku, ale jej miękki melodyjny głos przypląnął do łazienki.

-A przy okazji, nazywam się Killy. A teraz chodźcie, zostało mało czasu. Niedługo odwiedzi nas demon.

Rozdział 11

Killy poprowadziła nas ku drzwiom na końcu korytarza, a potem w górę wąskimi skrzypiącymi schodami. Obcasy jej kowbojek waliły w posadzkę tak mocno jak moich, więc naszej wspinaczce na drugie piętro towarzyszył stukot, który zbudziłby nawet umarłego. Spod minispódniczki Chinki wystawały różowe majtki. Dek i Mai wykręcali szyje, żeby je lepiej dojrzeć. Pacnęłam ich po głowach, zmuszając do powrotu pod włosy. Ciepłi i ciężcy wycofali się, choć niechętnie i z gniewnymi pomrukami. Udało mi się utrzymać buzię zamkniętą na kłódkę, do czasu aż byłam pewna, że jesteśmy zupełnie sami.

-Co miałaś na myśli, mówiąc, że niedługo odwiedzi nas demon? – spytałam.

Killy zanuciła coś niezrozumiale pod nosem, spoglądając przy tym w przestrzeń za mną i za Grantem, który, wspierając się na lasce, z trudem pokonywał ostatnie stopnie.

-Potrzebujesz do tego poduszki rozgrzewającej, słodziaku? – zwróciła się Killy do Granta.

-Nie słyszałaś, że zadano ci pytanie? – odburknął ponuro, docierając wreszcie na półpiętro, zastawione skrzynkami pełnymi butelek whisky i kartonów z papierosami.

Kobieta puściła to mimo uszu.

-Ktoś cię potraktował nożem sprężynowym, co?

Grant się zatrzymał i oparł ciężko na lasce; jego spojrzenie wyrażało podejrzliwość i gniew.

-Masz dobre sece, ale nie przeginaj struny.

Podniosła rękę.

- W porządku. Mimo to oferta jest nadal aktualna. Chodzisz zaledwie od jakiegoś roku, prawda? Nie więcej. I pewnie strasznie cię boli.

- Demony - syknęłam, stając przed Grantem zaniepokojona, że Chinka tak dużo o nim wie. Zaniepokojona wieloma sprawami.

Zacisnęła usta, przeszła do pobliskich drzwi i chwyciła za klamkę.

- To bardzo wygodne słowo. Wieloznaczne. Znaleźliśmy się w sypialni. Nic wyszukanego. Materac na podłodze, a na nim poskładane w kostkę koce. Jedno duże okno za rozsuniętymi do połowy zasłonami. Brudne białe ściany, od których bił gryzący zapach środka dezynfekcyjnego, jednak nie aż tak silny, by zabić odór zatechłych wymiocin.

- Czasami pozwalam tu gościom wytrzeźwieć do rana. Ale nie martwcie się, używam roztworu z chlorkiem, żeby po nich sprzątnąć.

- Gównu mnie to obchodzi - warknęłam. - Kim jesteś i dlaczego tak dużo wiesz?

Posłała mi długie i uważne spojrzenie. Patrząc w jej oczy, zdałam sobie sprawę, że to właśnie one decydują o jej uderzającej urodzie: duże, piwne i jakby zaspane. Trudno było w nie patrzeć, bo człowiek odnosił wrażenie, że Killy zagląda mu do duszy. I chyba tak właśnie robiła. Ale mnie już mało co dziwiło.

Usłyszałam w głowie głos Jacka. „Na świecie, moja droga, zdarzają się najdziwniejsze rzeczy. Ci, obdarzeni wieki temu pewnymi nadprzyrodzonymi zdolnościami, przekazywali je swoim potomkom”.

Na ustach Killy wykwitł słaby uśmiech, który jednak nie dotarł do oczu. Grant położył mi rękę na ramieniu, żeby odsunąć mnie od Chinki. Ona zaś, gdy spojrzała mu w twarz, spoważniała i lekko pobladła. W jej zmrużonych oczach pojawił się chłód.

-Wiem, co kombinujesz - powiedziała miękko. - Ale nie próbuj tego ze mną.

- Więc przestań tak patrzeć - odparł groźnie. Kobieta wstrząsnął dreszcz, ale szybko się pozbierała. Wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok.

- I tak nie ma na co. Jej umysł jest jak stalowa pułapka.

- A ja? - spytał Grant.

- O tobie poczytałam w Internecie - wyjaśniła Killy, uśmiechając się chłodno. - Poszperałam trochę w sieci, kiedy ojciec Frank podał mi wasze nazwiska. - Zerwała z głowy różową opaskę i rzuciła ją na łóżko. - Kazał was ukryć, wykonuję więc jego polecenie. Możecie zostać albo nie, ale ja zrobię, co w mojej mocy. Mam dług wdzięczności wobec Franka.

- A ten... demon?

- Nadchodzi - szepnęła i zadrżała. - Czuję to. Ktoś się zbliża. - Gwałtownie się odwróciła i otworzyła drzwi.

Ruszyłam za nią, ale ona przeszła pod moją wyciągniętą ręką. Zatrzymała się na korytarzu i jeszcze raz spojrzała w naszą stronę.

- Zostańcie tu, a jeśli zacznie się dziać coś złego, uciekajcie przez okno. Na zewnątrz są schody.

Zatrzasnęła mi drzwi tuż przed nosem. Stałam przed nimi chwilę, po czym obejrzałam się przez ramię na Granta.

- Ma interesującą aurę - powiedział dość spokojnie. -Aktywną.

Uniosłam brwi.

- Aktywną?

- Rozprzestrzenia się i otacza ludzi. Kobieta o specyficznych zdolnościach. Już w barze zwróciłem na to uwagę, ale dopiero kiedy z nią rozmawiałem, zrozumiałem, o co chodzi. Potrafi czytać w myślach. Przynajmniej niektórym.

- Medium. Niech to szlag.

Grant bardzo ostrożnie osunął się na materac. Dek i Mai wystawili głowy z moich włosów, a Raw i Aaz rozsunęli zasłony i zaczęli się na nich huścić. Zee skakał po podłodze, żeby rozprostować pazury. I wszyscy spoglądali na mnie, czekając na odpowiedzi, których nie znałam. Nie wiedziałam, co robić, poza tym że nie powinniśmy się zatrzymywać. Lepiej iść dalej, do jakiegoś bezpieczniejszego miejsca, bo to jest zbyt blisko kościoła, Cribariego i całego tego gówna. Ale dokąd iść? I jak? Dokąd i jak?

Wiesz jak, odezwał się głos w mojej głowie. Gdybym tylko umiała tym sterować. Gdybym tylko miała pewność, że nie wylądujemy w środku ceglanej ściany albo w złym czasie.

Ściągając rękawiczki, przyklęłam przy Grancie.

- Jak twoja noga? Skrzywił się, pocierając łydkę.
- Nie narzekam.

- Twardy z ciebie zawodnik - zażartowałam. -1 dlatego nie zapomnę odwrócić wzroku, kiedy zaczniesz płakać jak baba.

Chciał się uśmiechnąć, jednak spojrzał na moją dłoń i zamarł. Podążyłam za jego wzorkiem i mnie też zamurowało.

Z pancerza na palcu, spod spodu ciągnęła się cieniutka linijka rtęci, połączona z równie cienką metalową opaską otaczającą nadgarstek. Zaciśnęłam dłoń, a metal poruszył się płynnie wraz z naciągniętą skórą, jakby był w nią wtopiony.

Do tej pory nie zdejmowałam rękawiczek, dlatego wcześniej niczego nie zauważyłam.

- Maxine - wymamrotał Grant.
- Mój inny plan dotarcia do Chin spalił na panewce -szepnęłam, z trudem wydobywając z siebie głos.
- Więc użyłam pierścienia.
- On się powiększył.
- To się zdarza. Pamiętasz.

Ja pamiętałam. Pamiętałam Ziemię Jałową. Siebie pogrzebaną w ciemności, w nurtach niekończącej się rzeki, w której bym zginęła, gdyby chłopcy nie utrzymali mnie przy życiu. Natknęłam się tam na zwłoki. Na ciało pokryte zbroją, dzierżące miecz, który w niewytłumaczalny sposób zamienił się w pierścień na moim palcu.

To były zwłoki mojej poprzedniczki. Innej Tropicielki, także zagubionej w Ziemi Jałowej. Ona jednak tam zginęła. Pierścień należał do niej, a teraz ja go nosiłam. I się rozszerzał, choć nie przy każdej podróży w przestrzeni.

Jednak tym razem tak się stało.

Nagle przyszło mi na myśl, że tamta Tropicielka miała na sobie zbroję niekoniecznie z własnego wyboru.

- W tym cały problem - oświadczył Grant, jakby czytał mi w myślach.

Zwinęłam dłoń w pięść.

- Mamy poważniejsze kłopoty.

- Maxine - wycharczał Zee, stukając w posadzkę pazurami. - Musimy iść.

Pod nami rozległy się krzyki.

„Problemy podążają naszym śladem”, powiedziała kiedyś moja matka.

- Zostańcie z Grantem - rzuciłam do Rawa i Aaza. - Strzeżcie go.

- Maxine - krzyknął Grant, próbując się podnieść z materaca.

Nie czekałam. Zatrzasnęłam za sobą drzwi. I zbiegłam po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Na dole zwolniłam, tuż przed wejściem na korytarz, który prowadził do baru. Z mocno walącym sercem nadstawiłam uszu.

Ale nie docierały do mnie już żadne wrzaski. Za to nad moją głową rozległo się pospieszne stukanie. Grant. Z cienia wyłonił się Zee.

- Rozlana krew - oznajmił.

- Ilu złych ludzi?

- Nie liczba - odparł mały demon. - Tylko jakość. Zazgrzytałam zębami i sięgnęłam po nóż. Nie dlatego, że mógł mi się do czegoś przydać, z nim po prostu czułam się pewniej. Gołymi palcami wyczuwałam chłód ostrza. Rękawiczkę z prawej dłoni zostawiłam na górze.

Pchnęłam drzwi i weszłam na korytarz. Niczego nie zobaczyłam. Niczego nie usłyszałam poza słabym odgłosem chrupania. Natychmiast przypomniał mi się Jack i las. Mój żołądek zacisnął się strachem. Przełknęłam przerażenie i, spływając potem, szłam dalej. Za mną Zee. Dek i Mai natomiast rozciągnęli się na całą długość i sterczeli mi z włosów. Czułam się jak Meduza. Chrupanie stało się głośniejsze, może dlatego, że dokoła było tak cholernie cicho. Dotarłam do końca korytarza i zajrzałam do baru.

Zobaczyłam krew. Spływającą po stołach, rozbryzganą na ścianach, jakby ktoś chlustał nią prosto z kubłów. Na ziemi w szkarłatnych plamach leżały ciała. Kałuże się powiększały, bo krew cały czas ściekała z ran, których nie widziałam, i z tych całkiem oczywistych: z leków w głowach, rozpadlin w piersiach - jakby w ruch poszły ostre kły i siekiery. Bardzo szybkie kły i siekiery. Tak szybkie, że ofiary nadal miały otwarte oczy.

Znowu usłyszałam chrupanie, więc się odwróciłam, żeby odnaleźć źródło dźwięku. Serce łomotało mi tak gwałtownie, że prawie nie mogłam oddychać.

Przy stole, plecami do mnie, siedział jakiś mężczyzna. Niski. Gruby. Galaretowate ciało wylewało się z pogniecionego popielatego garnituru - był tak źle uszyty, że marszczył się w każdym możliwym miejscu. Facet zjadał się preclami, nie zwracając najmniejszej uwagi na martwą kobietę zwisającą obok z krzesła. Została jej tylko połowa głowy, na stół lała się krew. Mężczyzna maczał precla w tej krwi i wsadzał go sobie do ust.

Killy siedziała po drugiej stronie. Nadal żyła. I wpatrywała się w mężczyznę z absolutnym przerażeniem, tak sparaliżowana lękiem i bladą, że wydawało się, że zaraz zemdleje, żeby tylko nie umrzeć ze strachu. Zresztą wyglądało na to, że jest przygotowana na śmierć.

Nieznajomy przestał przeżuwać. - Moja pani. Jak miło, że dołączyła pani do nas. I ty też, ogarze.

Zee warknęła. Ale nie w stronę mężczyzny. Gapił się na drzwi wejściowe. Spojrzałam w tamtym kierunku - w głębokim cieniu dostrzegłam trzy szczupłe postacie. Tak nieruchome, że prawie niezauważalne. Stały ze zwieszonymi ramionami, niemal wtulone w siebie, jakby grzały się jedna od drugiej. Wysokie. Blade. Ubrane na ciemno. Uważnie mi się przyglądały.

Nie widziałam, żeby się poruszyły. Żeby drgnął im choćby mięsień. A jednak nagle znalazły się tuż przy mnie.

Zobaczyłam trzy pary ziejących ust, wypełnionych niesamowitą liczbą ostrych zębów - jak u piranii lub w pile łańcuchowej. Były tak blisko mojej twarzy, że poczułam odór krwi w oddechu i zauważyłam strzępy ciała zwisające ze szczęk. Podniosłam nóż.

Ale nie musiałam się bronić, bo do zjaw doskoczył Zee, a za nim, głowami do przodu, Raw i Aaz. Bliźniaki wgryzły się w piersi przeciwników, zgruchotały im kręgosłupy i wyłoniły się na plecach. Mężczyźni, cały czas nie odrywając ode mnie wzroku, zaczęli więc się konwulsyjnie i podrygiwać, do chwili gdy Raw i Aaz wyrwali im po żebrze i wbili im te kości w krtanie.

Zee zachował się bardziej elegancko. Zaczekał, aż trzeci z napastników sam go zaatakuje, a gdy to się stało, wbił mu pięść w usta, łamiąc przy tym szczękę. A potem uśmiechnął się, oblizał wargi i rozłożył pazury na całą szerokość.

Odwrociłam wzrok. Sekundę później usłyszałam huk padającego ciała. I tylko to. Żadna z widocznych postaci nie krzyknęła. Żadna nie pokazała po sobie strachu, nawet gdy rozszarpywano je na śmierć. Przez cały czas emanował z nich tylko ten instynktowny lodowaty głód... i furia.

Zaczęło mi dzwonić w uszach. Popatrzyłam na poszarpane ciała, ale mój umysł nie zarejestrował twarzy.

W głowie usłyszałam za to Granta, jak mówił o ojcu Rossie, że pod dzikimi instynktami widział w nim człowieka.

Albo ja, albo oni, pomyślałam. Nabrałam głęboko powietrza i się odwróciłam. Raw i Aaz, wchłaniając w siebie zakrzepłą krew, stanęli po moich bokach. Spojrzałam na ostatniego mężczyznę - nadal siedział przy stole i ani razu się nie poruszył, nie obejrzał za siebie, żeby sprawdzić, co się dzieje.

Podeszłam do niego i zatrzymałam się w kałuży krwi, bo nie miałam innego wyboru. Metaliczny odór uderzył mnie w nozdrza. Zee szedł tuż za mną. Dek i Mai warczeli.

Obeszłam stół i popatrzyłam na obwisłą twarz i świńskie oczka, prawie niewidoczne za brudnymi szklami okularów. Killy, nadal sztywna z przerażenia, rzuciła mi szybkie spojrzenie. Nie zareagowałam. Wpatrywałam się w jej towarzysza - tak długo i intensywnie, aż zaczęły mnie piec oczy.

- Mister King - wydusiłam z siebie wreszcie. - Co pana tu sprowadza?

- Och - mruknął, wypychając do ust umazany krwią precel. - To i owo, choć przede wszystkim chciałem rozprostować nogi.

Kpił sobie ze mnie.

- No to chyba się panu udało.

- Prawie. - Zerknął na Zee. - A więc znów się spotykamy, ogarze. I widzę, że nadal jesteś przywiązany do krwi swojej pani.

- Nadal pragnąc cię zabić - odwarknął demon. - Koniec ze skórnikiem. Koniec z przenikaniem przestrzeni.

- A tobie ciągle się wydaje, że możesz mi rozkazywać - prychnął Mister King. Podniósł wzrok i uśmiechnął się do mnie mocno zaciśniętymi ustami; w ich kącikach zebrały się resztki krwi. - Powinnaś bardziej trzymać swoich pupili w ryzach.

- Po co? Są doskonali - odparłam lodowatym tonem. - Niemal jak anioły.

Usta Kinga zacisnęły się jeszcze bardziej.

- Mam Jacka, wiesz. Ucieszyłem się, że znów używa tego imienia. Pewnie to jego ulubione. Stary Jack. Zielony Jack. Jack gigantyczny zabójca. Jack kanalia. Królik Jack. Jack gównem, jak wszystkie Jacki świata.

Wypowiadał imiona coraz szybciej i szybciej, głosem, który z każdą sylabą stawał się coraz bardziej ochrypły. Pluł przy tym krwią i kawałkami precla. Odrażający widok. Czułam, że King traci nad sobą panowanie i za chwilę wybuchnie. A potem za jego plecami spostrzegłam jakieś poruszenie. To Grant wszedł do baru. Najpierw zobaczył mnie, później Kinga, a na sam koniec krew... Pstryknęłam palcami na Zee.

Demon rzucił się do ataku. Skoczył Kingowi na pierś. Raw i Aaz dołączyli do brata, rwąc ciało skórnika pazurami i wgryzając się w nie zębami. Złapałam Killy i odepchnęłam ją od stołu. Upadła na tyłek w sam środek szkarłatnej kałuży.

Mister King wybuchnął śmiechem i popatrzył na śliczną Chinkę.

- Nie idź jeszcze. Nie odchodź, dziewczynko. Mam teraz w sobie twój zapach i spodobało mi się to, co poczułem. W twojej krwi kryje się jakaś odwieczna magia.

Nie pokazywał po sobie bólu. Nawet się nie skrzywił. Był tylko ten zaciśnięty uśmiech. Faus otoczył ramieniem Zee i pogładził go po głowie. Czubki jego palców, odcięte od reszty ostrymi włosami demona, opadły na stół jak tłuste, cieliste kości do gry. Zee warknął, gdy krew obryzgała mu twarz.

- Zakończenia nerwowe - mruknął King spokojnie, nawet nie patrząc na pokiereszowaną dłoń - to pierwsza rzecz, jakiej każdy porządny łapownik się pozbywa. Jack powinien o tym pamiętać. Choć z drugiej strony on zawsze był trochę... staroświecki.

Imię Jacka znów chyba wytrąciło go z równowagi, bo w oczach zapłonęła mu iskra nienawiści. A ja niemal podświadomie, ściskając gołe ostrze w dłoni, zrobiłam krok w jego stronę. Usłyszałam stukot laski. Grant również zbliżał się do awatara. Wpatrywał się w niego z taką pogardą i tak intensywnie, że wyglądał teraz jak wojownik, jak wilk. Chora noga, laska - nic się nie liczyło. Nagle zaczął sprawiać wrażenie kogoś, kto posiada moc zgładzenia nieśmiertelnej istoty. W ciemnych oczach błyszczało coś prymitywnego, nieludzkiego.

King odwrócił się z krzesłem, a gdy spojrział na Granta, cała nienawiść zamieniła się w strach: dziki, instynktowny.

A potem strach znikł.

- Usta Światła - szepnął King. - W ludzkim ciele. Coś podobnego.

Grant miał kamienną maskę lodowatego gniewu.

- Krzywdzisz osoby, na których mi zależy. I nie zamierzasz przestać.

- Więc mnie powstrzymaj - wycedził King, na co Zee zeskoczył z jego piersi i schronił się za moimi nogami. - A może za bardzo się osłabiłeś? Nie jesteś wystarczająco silny, żeby pomóc choćby jednemu swojemu przyjacielowi?

Grant warknął, po czym z jego ust wydobyły się gardłowe, niezrozumiałe słowa. Poczułam na skórze powiew czystej mocy. King odrzucił głowę w tył i zaczął się dusić.

Lecz trwało to tylko chwilę, bo nagle Grant zaczął kaszleć, a z ust pociekła mu krew. Chciał znów nabrać głęboko tchu, ale tylko zgiął się wpół i zaczął ciężko dyszeć. Raw z przyjęciem zajrzał mu w twarz.

King zadrżał. Jego żyły nabrzmiały, w kącikach ust zabłysła ślina. Patrzył na Granta tak wygłodniałe, że prawie słyszałam trzask kości rozłamywanych zębami.

- A więc jesteś samoukiem - wyszeptał. - Nikt cię nie szkolił.

- Zamknij się - syknęłam. Nie zwrócił na mnie uwagi.

- Usta Światła. Ostatni ze swojego gatunku, jak sądzę. Ale trzeba to jeszcze sprawdzić, czyż nie? Zanim Rzeźnicy się uwolnią, musimy porozrywać ten świat na części, aby się upewnić, że zostałeś tylko ty. - King uniósł dłoń z uciętymi palcami, z których nadal lała się krew. - Gdyby tu był stary Jack, opowiedziałby ci o polowaniach. O ściganiu skór twoich pobratymców po całym Labiryncie. O wykradaniu im dzieci z kołyszek.

Zrobiłam krok przed siebie, potem następny i nagle, z zamglonym wzrokiem, rzuciłam się na Kinga. Runęłam z nim na podłogę. Usłyszałam dziki rechot, który jednak umilkł, gdy przytknęłam lewą dłoń do czoła awatara i zaczęłam mamrotać formułkę egzorcyzmów. Zee i reszta chłopców wyskoczyli z cienia, lądując na ramionach i nogach Kinga.

Jego usta wykrzywił grymas kpiny.

- Zamierzasz mnie egzorcyzmować? Chcesz mnie wywabić z tego ciała? Tropicielko, zostanie ci tylko skorupa. Serca, które kradnę, przestają bić.

Złapałam go za twarz, czując pod żebrami jakieś mrowienie, trzępotanie: budzącą się ciemność. Ukłucie głodu z sekundy na sekundę stawało się coraz silniejsze. Już raz za jego sprawą zabiłam jednego awatara. Zniszczyłam Franca i jego ludzi. Jeśli stracę kontrolę, to samo zrobię z Kingiem. Powinnam to zrobić. Musiałam.

A jeśli skrzywdzisz Granta? - odezwał się we mnie cichy głos.

Grant. Stał zbyt blisko. Gdybym wyciągnęła rękę, mogłabym go dotknąć. Pozwoliłby na to, bez względu na moc, jaka by się we mnie uwolniła. Gdybym podała mu bombę atomową, na pewno by ją wziął. Chciałam mu powiedzieć, żeby uciekał, ale nagle zaczęłam się dusić, a moja prawa dłoń zapłonęła. Przez ramię przeleciał mi dziwny prąd. Ośleplam i nie widziałam już baru. Teraz tylko czułam. Czułam tę nieziemską istotę w ciele pode mną. Ale coś wydawało się nie tak. Nieraz egzorcyzmowałam demony, przepędzałam te sukinsyny z ludzkich dusz - lecz w tym momencie było inaczej, nie wyczuwałam żadnej duszy. Trzymałam pustą skorupę. Ktokolwiek zamieszkiwał to ciało, zanim przejął je King, dawno już odszedł. Skóra pode mną miała tyle wartości co porządne zimowe palto.

- Pragniesz mojej śmierci - wydyszałam z trudem.

- Zamierzam tylko usunąć cię z drogi - wycharczał King. - Kiedyś byłaś wspaniałym trofeum, Tropicielko. Prawdziwym skarbem. Ale Usta Światła to lepsza nagroda. Podobnie jak klucz, który posiadasz.

- Ten? - Uniosłam prawą dłoń. Nadal ściszałam w niej ostrze. Na serdecznym palcu i nadgarstku zamigotała rtęć. - Tego chcesz? To spróbuj sobie wziąć, ty popaprańcu.

I wbiłam ostrze w czoło awatara.

Trzasnęła kość. King drgnął konwulsyjnie i wytrzeszczył oczy. Wyrwałam nóż, a z dziury w czaszce trysnęła krew z kawałkami mózgu. Ale King nadal oddychał - rozdymał nozdrza, jakby wachał powietrze wokół mnie. Twarz wykrzywiło mu nagłe zdumienie.

- Twoja krew - wymamrotał słabo. - Jack. Co ty... Zee wgryzł się w szyję Kinga, zanim ten zdążył skończyć

zdanie. Mięśnie zwiotczały. Nie miałam pojęcia, dlaczego przegryzienie tchawicy okazało się skuteczniejszym sposobem pozbawienia życia niż to, że wbiłam nóż w czoło - i nic mnie to nie obchodziło. Czułam, że awarat opuszcza ciało. Czułam to całą sobą. Czułam ten przekłety smak w ustach: gorzki, ohydny, morska woda zmieszana ze ściekami.

Odchyliłam się i spojrzałam na prawą dłoń. Ciepłe i szorstkie języki zlizywały z niej krew. Raw i Aaz aż się trzęśli od głośnego pomrukiwania. Zrobiło mi się zimno. Okropnie zimno. Nóż wypadł mi z ręki.

Nagle ktoś złapał mnie za ramiona. Odciągał od Kinga. Grant klęczał przy mnie, rżąc głośno, jakby w gardle miał żyletki.

- Maxine - wychrypiał, dociskając usta do mojej skroni. - Maxine, dobrze się czujesz?

- Znakomicie - wydyszałam i zaraz potem pochyliłam się i zwymiotowałam.

Rozdział 12

Kiedy miałam szesnaście lat, jakiś facet w Meksyku groził, że mnie zabije. Przyłożył mi nóż do szyi i kazał matce płacić. Nadal pamiętam cierpki zapach jego potu i nerwowe drzenie w głosie. To nie był zły człowiek, tylko tchórz szukający łatwej okazji. Uwolnił mnie od razu, gdy zobaczył pieniądze.

Matka nigdy niczego nie odpuszczała.

Rozcięła mu tętnicę w pachwinie. Krew obryzgała wszystko: żwir, bruk, moje buty. Wrzeszczał przerażająco. Błagał o pomoc. Mówił, że ma dzieci.

Matka zostawiła go na pewną śmierć i zmusiła mnie, żebym zrobiła to samo. Stałam się morderczynią, bo nie pozwoliła mi pomóc umierającemu. Czułam się strasznie. Nie chciałam zabijać. Nawet w obronie własnej. Nie chciałam być taka jak matka.

Wykrzyczałam jej to, a ona tylko uśmiechnęła się smutno, odgarnęła mi włosy z twarzy i małym palcem zaczęła wycierać krew z szyi.

„Problemy podążają naszym śladem”, powiedziała. „I nic na to nie poradzisz, kochanie. Musisz grać takimi kartami, jakie dostałaś przy rozdaniu, bez względu na to, czy są dobre, czy złe”.

„Nie bój się popełniać błędów”.

„Nie bój się samej siebie. Bo czasami to też ci się przydarzy”.

„Po prostu zachowaj przynajmniej cień nadziei. Gra nie jest skończona, dopóki żyjesz”.

Zajęło mi lata, zanim zrozumiałam, jaki to ma związek z tym, że pozwoliła facetowi w Meksyku wykrwawić się na śmierć. Czasami nadal nie wiem, czy to rozumiem. Tak czy inaczej po tych wszystkich latach myślę, że matka zdawała sobie sprawę, że te moje obłudne poglądy wylądują w śmietniku po jej śmierci. Że nawet jeśli nie stanę się taka jak ona, to przynajmniej bardzo podobna. Będę zabijała. Będę bezlitosna. Nie mogłam tego uniknąć, biorąc pod uwagę nasze przeznaczenie.

I mówiła mi, na swój sposób, że cokolwiek zrobię, żeby poradzić sobie z problemami, kimkolwiek się stanę... to będzie w porządku. Ja jestem w porządku.

Tyle że to wcale nie tak. Nic nie było w porządku.

I nigdy nie będzie.

Narzuciliśmy obrusy na martwe ciała. Mister Kinga zakryłam osobiście, wpatrując się w pozbawioną życia twarz, pobladłą i pustą.

Gorszy od demonów, pomyślałam. Demony rozumiałam. Demoniczne pasożyty brały w posiadanie ludzkie ciała, bo tylko w nich znajdowały pokarm, energię ludzkiego cierpienia. Jednak King przejmował ciała tylko dla przyjemności. Były dla niego skórą, w której mógł się przewieźć. Długie, okrutne zabójstwo: najpierw uśmierzał osobę, potem fizyczną powłokę.

Dżinsy miałam całkowicie zniszczone. Krew przesiąkła je do cna. Czułam ją na udach. Killy, skąpo ubrana, wyglądała o wiele gorzej po tym, jak wytarzała się na podłodze. Obie okropnie cuchnęłyśmy.

Zee wychynął z cienia z parą nowych spodni dla mnie: dżinsowych, sztywnych i ciemnych. Nadął z metką. Killy była akurat na górze, myła się i przebierała. I dobrze, bo choć widziała chłopców w akcji - nie dało się tego uniknąć - wolałam, żeby nie oglądała ich częściej niż to konieczne.

Raw i Aaz grasowali po barze. Obwąchiwali podłogę i zwłoki, popijając dużymi haustami whisky prosto z butelek, które ze sobą nosili. Dek i Mai siedzieli zaskakująco cicho. Podobnie jak Zee, choć wcześniej dyskutował o czymś z bliźniakami, drapiąc pazurami podłogę, przęcając kolce na kręgosłupie.

Naga od pasa w dół stałam przed Grantem. Staralam się nie poruszyć, kiedy obmywał mi nogi ręcznikiem zamoczonym w ciepłej wodzie. Sama bym sobie poradziła, ale on się uparł. Był blady i ciągle dusił go kaszel. Oczyszczył mi tył i przód nóg. Delikatnie ścierał z nich krew, która przesiąkła na skórę przez nogawki.

- Źle się czujesz. - Pogładziłam go po włosach. - Powinieneś odpocząć.

- Nic mi nie jest - zapewnił ostro. - To o ciebie się martwię.

- Łatwo cię kochać, ale trudno z tobą być - powtórzyłam jego słowa. - Teraz to ty plujesz krwią, a ja zaczynam mówić o tobie to samo, co ty mówiłeś wcześniej o mnie.

Bolesnie wbił palce w tył moich ud. Przymknął oczy, ucałował mnie w wewnętrzną stronę nadgarstka, oparł mi głowę na brzuchu. Ciepłym oddechem rozgrzewał moje biodro.

- Jest dokładnie tak, jak lubię - mruknął cicho. Do oczu napłynęły mi łzy.

- Nawet pomimo tego, że przy tobie wbiłam człowiekowi nóż w czoło? Jeszcze nigdy nie widziałeś, jak kogoś zabijam, Grant.

- Zapominasz, co widzę. - Podniósł na mnie wzrok w którym tliło się współczucie, niezmiennie, bezwarunkowe wybaczenie. - Znam cię, Maxine. Nie sprawisz, że od ciebie ucieknę.

Pocałowałam go w usta, a on przyciągnął mnie bliżej i zanurzył dłonie w moich włosach, głaszcząc przy okazji Deka i Mala. Demony miękko zamruczały.

- Kocham cię - wyszeptał mi prosto do ucha. - Nie zapominaj o tym.

Nigdy, pomyślałam z nagłym bólem w sercu. Czulałam, że moje ciało jest zbyt wątłe na to, co kryje się wewnątrz mnie; zbyt słabe na to, co musi być zrobione.

Grant pomógł mi się ubrać. Moje dłonie przestały drżeć dopiero, kiedy zapinałam guziki koszuli, ale wiedziałam, że jeśli usiądę, nie wstanę i to przez długi czas.

- To wszystko nie trzyma się kupy - mruknęłam. - Jack mówił, że ten awatar będzie się nas wystrzegał. Bo ty i ja możemy zabić istoty jego gatunku. Na zawsze pozbawić ich życia.

Grant nie zakwestionował sugestii, że on także jest zdolny do morderstwa.

- A więc okazja przeszła nam koło nosa. Awatar zmienił ciało i odszedł.

Zalała mnie fala goryczy. Czystego rozczarowania. Ostro zassałam w siebie powietrze, czując walenie w głowie i spadek adrenaliny w krwiobiegu.

- Może o to chodziło. Czasami trzeba ryzykować życie, żeby sprawdzić jakąś teorię. On nas testował.
- Tylko o to chodziło? - spytał ponuro Grant, rozglądając się po barze. - Maxine, co do Jacka...
- Jestem gotowa. - Killy wyłoniła się z korytarza. Miała na sobie czarne obcisłe spodnie, czarne futerkowe

botki i długi, czarny sweter, wiszący luźno na jej drobnym ciele. Na ramię zarzuciła olbrzymią czarną torbę. Wyglądała jak groteskowa Barbie: dziwka i kowbojka. Była blada i ani razu nie spojrzała w stronę kałuż krwi lub martwych ciał. Po prostu patrzyła przed siebie, wbijając wzrok w drzwi.

Szybko wyszliśmy na zewnątrz. Neon zgasł, więc okolice spowijała niemal całkowita ciemność. Dziewczyny, które nas witały, zniknęły. Zastanawiałam się, czy nic się im nie stało. Nie przyglądałam się twarzom ofiar, więc nie wiedziałam, czy pośród nich nie leżą przypadkiem dwie Chinki. Killy zamknęła drzwi na klucz i rozejrzała się po ulicy. Potem ruszyła w prawo. Ja i Grant za nią.

- Wybaczcie, ale ja mam już dość i chcę, żebyście sami się sobą zajęli - oświadczyła.
- A ty dokąd pójdziesz? - spytałam.
- Na stację kolejową. Pojadę do Pekinu, a stamtąd przedostanę się jakoś do Mongolii i Rosji. Ktoś w końcu odkryje te martwe ciała i wolałabym nie być wtedy w kraju.
- Jeszcze kilka pytań - powiedziałam. - Zajmę ci dosłownie chwilę.
- Już i tak za długo to wszystko trwa. - Przesunęła drżącą dłonią po włosach. - Ale pytaj, do cholery, tylko nie przystawaj. Nie wolno się nam zatrzymywać.
- Ojciec Lawrence - rzuciłam. - Wiesz coś o tym jego zakonie?
Pokręciła głową.
- Tyle że jest stary. I że zajmuje się dziwacznymi sprawami, jakimiś labiryntami. No i tobą. To akurat często słyszałam od Franka. Zakon istnieje z twojego powodu.

Grant, głośno postukując laską w kafle chodnika, z trudem dotrzymywał nam kroku.

- Ale co dokładnie robią?
- Mają obserwować Tropicielkę - wyjaśniła Killy, przyspieszając. - Ciebie - dodała, spoglądając na mnie. -1 chodzi też o demony. Nie takie... jak ten, którego tam zostawiliśmy. O jakieś inne. - Zadrżała. Zatrzymała się nagle i przyłożyła dłonie do ust, żeby pohamować wzbierające wymioty.

Odsunęłam się, patrząc na Chinkę z chłodnym współczuciem. Mnie też ciągle było niedobrze.

- Nie spodziewałam się czegoś takiego - wyszeptwała ochryple Killy, kiedy ustąpił już atak nudności. - Wiedziałam, że zbliża się coś złego, ale przecież już wcześniej miałam do czynienia ze złem. On był... czymś jeszcze innym.

Awatarem, łapownikiem, spiskowcem, przetoczyły mi się z hukiem przez głowę słowa Jacka i moje serce zacisnęło się bolesnym skurczem. Jack. Mister King ma Jacka. Mojego dziadka. Albo to podstęp, stwierdziłam w duchu. Starszy pan może być wolny. Gdzieś, wszędzie, zagubiony w świecie. Nie umiałam pogodzić się z alternatywami.

- Musisz uważać - ostrzegłam Chinę. - On tak naprawdę nie umarł.

Popatrzyła na mnie ostro.

- Wiem. Czułam, jak odchodził.

- Killy - odezwał się łagodnie Grant, wypowiadając to imię tak melodyjnym głosem, że całym moim ciałem wstrząsnął dreszcz.

Zmartwiona słabością Granta spojrzałam na niego ze zmarszczonym czołem. Killy też spochmurniała, choć, jak się domyślałam, z innego powodu. A jednak nie protestowała, gdy powtórzył jej imię, tym razem z większą mocą.

Patrzyłam, jak zmienia się wyraz oczu Chinki. Nadal była w nich przenikliwość, ale już nie tak dużo lęku. Z jej ramion zniknęło napięcie, a oddech się uspokoił. Zazdrościłam kobiecie.

Do momentu, gdy rzuciła się na Granta.

A raczej próbowała się rzucić, bo zdążyłam złapać ją za nadgarstek i wykręcić jej rękę. Zmusiłam Killy, żeby opadła na kolano. Splunęła mi na buty.

- Uspokój się - rozkazałam. Przestała się szamotać.

- Mówiłam mu, żeby nie wyczyniał ze mną tych swoich czarów.

Grant sprawiał wrażenie nieporuszonego, ale ja wiedziałam, co się z nim naprawdę dzieje. Jego palce zaciśnięte na główce laski pobielały.

- Próbowałem pomóc. Złagodzić ból.

- Nie życzę sobie, żebyś cokolwiek złagodził. - Killy posłała mu nienawistne spojrzenie, a ja w końcu ją puściłam. Podniosła się niezdarnie i zaczęła rozcierać przegub. - Nie chcę, żeby mnie... zmieniano. Nawet troszeczkę. Miałam epizod z narkotykami. Jesteś tak samo kuszący, słonko.

Dek cicho i ostrzegawczo zaświergotał mi do ucha. Odwróciłam się. Raw siedział po drugiej stronie ulicy, na markizie nad wystawą zamkniętego sklepu odzieżowego. Aaz buszował w krzakach przy pobliskim skrzyżowaniu. Zee natomiast skradał się tuż za Chiną, ukryty w cieniu zaparkowanego samochodu. Błysnął w moją stronę rubinowymi oczyma i uniósł jeden pazur.

Killy znieruchomiała. Grant przechylił głowę, jakby się w coś wsłuchiwał.

- Wkrótce będziemy mieli towarzystwo - powiedziałam

wolno.

Wkrótce albo zaraz. Ulica była cicha i opustoszała - żadnych przejeżdżających pojazdów, ludzi - ale gdzieś w oddali usłyszałam słaby hurkot, jęk zardzewiałych hamulców, a potem na skrzyżowaniu pojawił się nieduży samochód ze zgaszonymi światłami. Mała niebieska taksówka. Toczyła się w naszym kierunku w żółtym tempie, aż zatrzymała się tuż przy nas z głośnym hukiem i piskiem.

Boczna szyba zjechała w dół. Za kierownicą siedział zombie. Jego aura wirowała jak szalona. Ciało demona było młode i należało do Chińczyka w punkowej fryzurze, z kolczykiem w uchu i z różowymi paznokciami, tak długimi, że zawijały się pod spód. Mimo chłodnej nocy czoło mężczyzny zraszał pot i spływał bokami po twarzy. Chińczyk patrzył na mnie, jakbym była obwieszona granatami, które za sekundę wybuchną. Jednak na Granta spoglądał niepokojąco przyjaźnie. Na Killy w ogóle nie zwracał uwagi.

- Potrzebujecie podwózki - oznajmił perfekcyjnym angielskim.

- A kto tak twierdzi? - spytałam. Pokazał mi środkowy palec.

- Rex.

- Zmieniłeś ciało - zauważył z dezaprobatą Grant. - Co się stało?

- Moja Królowa - odparł ostro zombie. Przecznice dalej, na końcu ulicy zabłyśły nagle reflektory samochodu. Ryknęły silniki.

- O cholera - stęknęła Killy.

- Chyba skorzystamy z propozycji - mruknął Grant i otworzył drzwi z tyłu.

Złapał Killy za ramię i wepchnął ją do taksówki. Zmusiłam go, żeby wszedł następny. Kierowca wcisnął pedał gazu, zanim jeszcze zdążyłam usiąść. Grant złapał mnie za szlufkę w dzinsach i wciągnął sobie na kolana. Tylne drzwi nadal były otwarte. Udało mi się do nich dosięgnąć i je zamknąć - w tej samej chwili ktoś walnął w nasz zderzak.

Poleciałam w przód na plastikową przesłonę. Mai w ostatnim momencie zwinął się na moim czole, żeby uchronić mnie przed urazem. Ktoś znów uderzył w taksówkę. Zapiszczały hamulce. Zerknęłam do tyłu. Samochód, który w nas wjechał, wpadł w poślizg i całym pędem rąbnął w wystawę sklepu z odzieżą. Dek i Mai zaczęli wiwatować.

Jednak z naprzeciwka pruł następny pojazd. Rex otarł pot z oczu.

- Musisz zabić tego skórnika awatara - mruknął. - Szybko. To wiadomość od Królowej.

- Stara wiadomość - odparłam, myśląc o straconej okazji. Potem poleciałam na drzwi, bo zombie nagle skręcił ostro w prawo. Laska Granta, który razem z Killy upadł na mnie, omal nie wybiła mi oka.

- Nie. - Rex spojrział na mnie we wstecznym lusterku. Jego oczy były pociemniałe, przepięknie strachem. - Niczego nie zrozumiałaś. Nie możesz dopuścić, żeby skórnik opuścił ten świat. Nie możesz dać mu się zabić.

- Sądziłam, że bardzo tego pragniesz. Rex walnął pięścią w deskę rozdzielczą.

- Niech cię szlag trafi. Ciebie i twój ród. Żebyście szczęśli. Jeśli skórnik odbierze ci życie, więzienna Zasłona się rozpadnie. Uwolnią się wyższe formacje armii demonów, a moja Królowa i cała nasza kasta zostaną uwięzione. Ponownie. Uważasz, że zadałem sobie tyle trudu tylko po to, żeby przewieźć cię tą pieprzoną taksówką? Umysł tego człowieka jest silny i pewnie nie dłużej niż za minutę wyrzuci mnie z jego ciała.

- O czym ty gadasz, do cholery? - spytałam ze zdumieniem przekonana, że się przesłyszałam. Rex cały się trząsał, ale milczał. Grant sięgnął ponad plastikową przesłoną i złapał go za ramię.

- Awatar robi wypadki z jakiejś centralnej bazy. Wiesz skąd?

Rex pokręcił głową.

- Ty też nie możesz pozwolić, żeby cię dorwał.

- A po co chciałby mnie dorwać? Aura zombie zabłysła dziko.

- To sprawa starsza niż mój gatunek i nie wiem, o co chodzi. Ale masz we krwi zapach Labiryntu, coś nie z tego świata. I właśnie tego nigdy nie chciałem ci powiedzieć.

Przed nami pojawiły się kolejne dwa samochody. Rex zaklął i szybko wdepnął hamulec. Za nami rozległ się pisk opon i zaraz potem na chodnik zjechały dwa czarne audi. Zee zgruchotał przednią szybę i wytoczył się na zewnątrz. Ale droga była już pusta.

- Wsteczny! - wrzasnęłam. - Wrzuć wsteczny!

Rex zmienił bieg i taksówka zaczęła toczyć się do tyłu. Zombie był kiepskim kierowcą. Jechaliśmy zygzakiem po obu pasach, prawie zderzyliśmy się z jednym z rozwalonych samochodów. Zdążyłam dojrzeć dwa małe ciała wyłaniające się z unieruchomionych audi. Aaz ścisnął w szponach dziecięcy kij bejsbołowy. Dek i Mai zakopani w moich włosach śpiewali *Blaze of Glory*.

Amen, pomyślałam i chwyciłam się ramienia Granta. Znowu pojawiło się więcej światła. Zbliżały się ku nam. Nie było miejsca na chodniku, żeby wyminąć nadjeżdżających, ani żadnej bocznej uliczki, w którą moglibyśmy skręcić. Z przodu drogę blokowały inne samochody. Znaleźliśmy się w pułapce.

Rex jedną ręką próbował kierować, drugą walił się po głowie. Nie patrzył przed siebie.

- Nie utrzymam dłużej tego ciała.

Między moimi nogami pojawił się Zee i złapał mnie za prawą rękę. Killy sapnęła, a ja tylko spojrzałam w płonące czerwienią oczy. Raw i Aaz też wyłonili się z cienia i wspięli na Granta.

- Maxine - wychrypiął Zee. - Czas iść.

Jego szpony zacisnęły się na mojej dłoni. Rex krzyknął, a potem świat znikł - przesunął się przez gardło całkowitej ciemności i zapadł w otchłani. Prawa ręka rozpałała mi się gorącem i jakiś straszliwy głód wypełnił moje serce.

Spraw, byśmy byli bezpieczni, błagałam w duchu.

Światło wypalało mi oczy. Światło w otchłani.

Straciłam rachubę czasu. Zagubiłam poczucie siebie. Moje wnętrzości koziółkowały razem ze mną, a gdy uniosłam powieki, byłam już gdzie indziej.

Sama.

Odwróciłam się na plecy. Noc. Łagodne falowanie gałęzi drzew. Gwiazdy. Prawie nie czułam ciała. Jakbym pływała we własnej skórze.

Doszedł mnie płacz dziecka. Miękkie zawrodozenie wypełniające noc. Dźwignęłam się na nogi i wtedy zorientowałam się, że Zee i chłopcy znów są na mnie - w formie tatuaży.

Coś się nie zgadzało. Chyba śniłam.

I potraktowałam to jako sen. Nie miałam wyboru. Pomyślałam o Grancie, o domu i nawet o Rexie, i Byronie, ale nic się nie wydarzyło. Otaczały mnie drzewa. Dziecko ciągle płakało.

Zaczęłam iść, nie dotykając stopami ziemi. Jak we śnie płynęłam przez las, który stawał się coraz gęstszy i rozleglejszy. Wypełniła mnie jakaś miękkość. Ciepło otuliło moje serce, łagodząc strach i miłość, i gniew. Byłam duchem połączonym ze światem tylko tym bolesnym dziecięcym zawrodozeniem - wzywało mnie, wsiąkało we mnie.

Szłam dalej przed siebie, aż w końcu znalazłam dziecko. Owinięte kocykiem, ułożone na kupce wyschniętych liści. Małe, blade, z pulchnymi silnymi rączkami i nóżkami. To dziewczynka i nie ma jeszcze roczku, pomyślałam.

Nie była sama.

Towarzyszył jej Zee. Reszta chłopców stała nieopodal, połyskując w świetle księżyca chropowatą obsydianową skórą. Spoglądali na maleństwo, którego płacz rozdzierał serce, rozrywał duszę. Byłam zaszokowana, że ich tam widzę. Oni jednak najwyraźniej mnie nie zauważali.

Za nimi, w wygrzebanym dole, leżała jakaś kobieta, pokryta purpurowymi polnymi kwiatami i muszelkami, których z pewnością nie znaleziono w lesie. Zostały ułożone z taką pieczołowitością, że przyszło mi na myśl, iż ta kobieta za życia musiała kochać kwiaty i muszelki.

Wyglądała podobnie jak ja, ale to mnie nie zdziwiło, bo wszystkie Tropicielek mają jasną cerę, ciemne włosy i wyraziste rysy. Umyto ją i przebrano w czystą białą suknię, ale na szyi widniała poszarpana rana. Tak głęboka, że aż dziw, że kobieta nie straciła głowy.

Raw i Aaz ciągle oglądali się na nią przez ramię. Za każdym razem z ich gardeł wydobywał się niski, zduszony płacz. I drapali się pazurami po brzuchach, wskrzeszając iskry. Dek i Mai zwisali im z szyi i też głośno zawodzili. Tylko Zee nie odrywał wzroku od niemowlęcia.

W pewnej chwili podniósł je bardzo ostrożnie i przytulił do serca. Ostre włosy miał zebrane w tył, płasko przy czaszce. Z zamkniętymi oczyma szeptał jakieś ciepłe słowa. Dziecko jednak nie przestało pochlipywać, więc chłopcy zaczęli śpiewać: wysokimi, miękkimi głosami, samą melodię bez słów. Brzmiało to niesamowicie, jakbym słuchała chóru, a otaczające nas drzewa były ścianami kościoła, nocne niebo zaś czarnym szklanym sufitem upstrzonym gwiazdami. Moje zbolące serce się uspokoiło. Dziewczynka też zamilkła. A potem zaległa wszechogarniająca cisza. I chłopcy

pochylili głowy: wilki oddające się modlitwie; demony rozpaczające po czyjejś śmierci.

Dek i Mai wśliznęli się na Zee, a następnie stworzyli z siebie żywe nosidło, w którym bezpiecznie spoczęło niemowlę, wtulone w barylkową pierś demona. Zee przycisnął malucha do siebie i wolną ręką zaczął pomagać Rawowi i Aazowi zasypywać ziemią kobietę.

Tropicielka. Moja poprzedniczka. Zamordowana na długo przed czasem, bo chłopcy nigdy by jej nie opuścili, dopóki dziecko nie dorosłoby na tyle, by mogło samo się wyżywić.

Pomyślałam o kuli, która trafiła mnie w głowę. O Fran-cu i jego pistolecie. Poderżnięcie gardła jest bardziej intymne. Kobieta musiała znać swojego zabójcę - a może zabójców. Pewnie zginęła o brzasku. Chłopcy - zwłaszcza Dek i Mai - nigdy nie dopuściliby nikogo na tyle blisko, by zdołał zadać śmiertelny cios.

„On mi przekazał swoją wiedzę”, powiedział Cribari. „Wyjawił, jak cię powstrzymać”.

Coś poruszyło się w lesie za plecami chłopców. Wszyscy jak jeden mąż odwrócili się w tamtą stronę. Ja natomiast poczułam palenie prawej ręki. Z mroku wyłonił się jakiś mężczyzna. Wysoki, szczupły niczym pływak, z bladą, ostro rzeźbioną twarzą, okoloną długimi srebrnymi włosami, sięgającymi poniżej ramion. Czerwone oczy otaczała bursztynowa obwódka. Srebrne nakładki wysadzone rubinami zakrywały końcówki spiczastych uszu. Nosił czerwoną tunikę i luźne czarne spodnie. Żyłaste ramiona miał odsłonięte. Były białe jak śnieg, podobnie jak długie, szponiaste paznokcie przybysza.

- A więc straciliście swoją panią - powiedział z uśmiechem. - To przykre, choć z drugiej strony zawsze chciałem zostać ojcem.

Zee warknął, kuląc się wokół dziecka. Raw i Aaz, rozdrapując pazurami liście, stanęli przed maleństwem, żeby je osłonić.

- Nie twoje - wychrypiał Zee, groźnie połyskując oczyma. - Nasze, nie twoje.

- Ogary - szepnął nieznajomy. - Bestie. Demony. Jak będziecie się opiekowali tym dzieckiem? Jesteście tylko niewolnikami. Ona przy was umrze. A jeśli przeżyje, zamieni się w zwierzę. - Wyciągnął rękę i władczo pstryknął palcami. - Oddajcie mi ją. Teraz czy później, i tak nie macie wyboru. Słońce wstanie zaledwie za kilka godzin.

Zee podniósł głowę do nieba i jeszcze mocniej przycisnął do siebie dziecko. Raw i Aaz też popatrzyli górę, zamykając oczy. Srebrnowłosy przyglądał się im ze zmarszczonym czołem - jakby się niepokoił, pomyślałam - i z wygłodniałym wyrazem twarzy. Chciwie. Pożądliwie.

- Ogary - powtórzył ze zniecierpliwieniem. - Nie opierajcie się...

Nie zdążył skończyć. Zee i reszta chłopców zniknęli, zabierając ze sobą niemowlę. Zabierając ze sobą mnie. A co do mężczyzny, którego nazwałam Mister King, to zdążyłam tylko zobaczyć migotanie rubinów w jego uszach i grymas wściekłości - tak wykrzywił mu twarz, że zamieniła się w groteskową, potworną maskę.

A potem znaleźliśmy się w innym miejscu - na kamienistym brzegu wzburzonego srebrzystego morza. Na wschodzie widać było światło i różowe płatki chmur, a za moimi plecami ostatnie poranne gwiazdy ucepione purpurowego nieba.

- Świetlane małe serduszek - wyszeptał Zee do dziecka, kołyszając je lekko w ramionach. - My będziemy teraz twoją starą matką. Wszystkiego cię nauczymy.

Raw, rżęząc cicho, spojrział w niebo. Poczułam dziwne ukłucie za uchem, gdzieś w głębi blizny. W tej samej chwili z nieba sfrunęło coś na kształt czarnej strzały. Szybko opadło na ziemię, lądując na niej stopami w formie ostrych, świecących sztyletów. Demon lub istota niemająca nic wspólnego z ludźmi. Z twarzą niemal całkowicie zakrytą szerokim rondem kapelusza i bez rąk - tylko w pelerynie, która gwałtownie powiewała na wietrze. Wijące się włosy wyglądały tak, jakby każdy był macką żyjącą własnym życiem.

- Usłyszeliśmy wasze wezwanie - wyszeptał Oturu i rozchylił pelerynę.

Z mrocznego wnętrza wyłonił się jakiś człowiek. Z długimi i czarnymi włosami, ostro zarysowanymi policzkami i ze zbyt dużym jak na tę twarz nosem. Jego proste ciemne ubranie wyglądało jak utkane na krosnach - na szyi lśniła żelazna obręcz.

Naganiacz. Ruszył w stronę dziecka.

- Nasze - szepnął Zee, przyciskając niemowlę do siebie. - Ale głodne. Musi się wzmocnić, zanim słońce wysoko się unieść. Bezpieczna i silna.

Przez twarz Naganiacza przelała się fala bólu, ale mimo to przykucnął i wyciągnął ramiona. Zee się zawahał. Reszta chłopców zamruczała niespokojnie.

- Zee - odezwał się czarnowłosy łagodnie. - Pamiętam jeszcze, jak opiekuje się dzieckiem.

- Odbierzemy ją wieczorem - przestrzegł zaborczym głosem Zee, po czym ucałował dziewczynkę w czoło. A ona dotknęła jego ostrej twarzy niesamowicie drobną rączką i się uśmiechnęła.

- Mała Iskierka - znów szepnął demon, potem oddał dziecko Naganiaczowi, a ten je odebrał i przytulił do piersi.

Słońce dotknęło horyzontu. Zee i reszta chłopców rozwiali się w dym - wnikali w skórę dziecka i zmieniali się na niej w połyskliwe srebrnortęciowe żyłki, tak że w końcu ciało niemowlaka wyglądało jak z obsydianu. Dziewczynka chwyciła rąbek tuniki Naganiacza i westchnęła.

- Tropicielko - mruknął Oturu, a ja zdałam sobie sprawę, że demon się przemieścił. Przesunął się, choć tego nie zauważyłam, bo tak bardzo byłam skupiona na dziecku i chłopcach.

Podniosłam głowę i z przerażeniem spojrzałam na górującą nade mną postać w rozwianej pelerynie, z dziko wijącymi się włosami. Oturu był taki sam, mimo że znajdowaliśmy się przecież w przeszłości. Rondo kapelusza nadal zasłaniało mu twarz, oprócz bladej kanciastej szczęki.

A jednak wiedziałam, że patrzy prosto na mnie. Poczułam też na policzku jego włos i pulsowanie w bliźnie za uchem.

- Tropicielko - powtórzył demon. - Wracaj do domu. Moja prawa dłoń znów zapłonęła. W oczach wybuchło mi światło.

I chwilę później zniknęłam.

Rozdział 13

Otworzyłam oczy. Klęczałam podparta o ziemię rękoma. W uszach mi dzwoniło, w ustach czułam smak wymiocin. Chłopcy spali na mojej skórze. Gapiłam się na swoje paznokcie, czarne jak ropa naftowa, i na prawą dłoń w całości pokrytą srebrzystymi tatuażami.

Pancerz znowu się powiększył. Bransoletka, która sprawiała wrażenie drugiej skóry, poszerzyła się prawie dwa centymetry. Pokrywały ją zawile wzory przypominające łuski albo róże lub kręte alejki labiryntu. Błyszcząca metalicznie, zlewając się z tatuażami.

Byłam w mieszkaniu Granta, w salonie. Skąpe promienie słońca zalewały mnie blaskiem. Mrugając, spojrzałam w prawo. Grant leżał na plecach i przecierał twarz. Trąciłam go stopą, a on w odpowiedzi posłał mi przeciągłe, zbolące spojrzenie. Tak pewnie wyglądałby na kacu, gdyby kiedyś postanowił się upić.

Kilka kroków dalej leżała Killy. Miała zamknięte oczy, ale oddychała. Ani śladu po Chińczyku, w którego wcielił się Rex.

Położyłam się i spojrzałam w sufit. Grant złapał mnie za rękę. Chciałam go zapytać, jak długo już tu jestem, ale po chwili zrozumiałam, że wcale nie zniknęłam. To, co przeżyłam pomiędzy opuszczeniem Chin a pojawieniem się w schronisku, było przeznaczone tylko dla mnie: wizja, sen, wspomnienie należące do chłopców.

Zee napomknął coś o tym, że rozpoznał zapach awatara na ciele ojca Rossa. Mister King. To on, w poprzednim wcieleniu przyczynił się do śmierci mojej poprzedniczki. Nie po to, aby zniszczyć nasz gatunek, tylko żeby zyskać nad nim kontrolę.

To miało sens. Władza nad Tropicielką oznaczała władzę nad chłopcami. Kusząca perspektywa. Ale King nie przewidział, że Zee i chłopcy wezmą sprawy w swoje ręce. Sami wychowają dziecko - z niewielką pomocą.

Teraz jednak King chciał mnie zniszczyć. Usunąć z drogi.

„Jeśli skórnik cię zabije, więzienna Zasłona się rozpadnie, Tropicielko”.

Próbując usiąść, pokręciłam głową. Rex się mylił. Jego Królowa również. Pewnie znów próbuje swoich starych sztuczek. A co do Rexa, to powiedział tylko jedną rzecz zgodną z prawdą - kiedy znów nadarzy się okazja, muszę zabić awatara. No i nie mogę dopuścić, żeby Grant dostał się w jego łapska.

Coś złotego zamigotało mi przed oczyma. Spojrzałam na Granta - wisiołek jego matki wysunął mu się spod koszuli. Tylko odrobinę, ale tyle, ile zobaczyłam z wijących się linii, wystarczyło, żebym doznała uczucia deja vu.

Uniosłam prawą rękę, chcąc jeszcze raz popatrzeć na wtopioną w nadgarstek powiększoną bransoletkę.

- Nadal będziesz bardzo seksowana jako cyborg - zapewnił mnie z kpiną Grant.

- Dzięki - odburknęłam oschle i pokazałam na wisiołek. - Mogę go obejrzeć?

Spochmurniał, mimo to ściągnął łańcuszek przez szyję i podał mi. Przystawiłam wisior do bransoletki. Wzory na obu przedmiotach były bardzo podobne. Zbyt podobne, żeby uznać to za zbieg okoliczności.

- Hm - mruknął Grant.

Killy drgnęła i otworzyła oczy. Oddałam naszyjnik Grantowi, a on, zanim zawiesił go z powrotem na szyi, uważnie mu się przyjrzał.

- Moja matka wyglądała jak zwykły człowiek.

- Ja też tak wyglądam - zauważyłam. - I ty. I Mister King, chociaż wiadomo, co się kryje w środku.

- Nigdy nie oceniaj książki po okładce, tak?

- Nie oceniaj swojej matki - odparłam. - Przynajmniej dopóki nie poznasz faktów.

- Nie ma żadnych faktów. - Usiadł i sięgnął po laskę. -Są tylko prawdopodobieństwa.

Złapałam go za nadgarstek, nie pozwalając wstać.

- Oboje zdajemy sobie sprawę, że nie robisz wszystkiego, co potrafisz. I wcale nie proponuję, żebyś spróbował. Jednak wiele potężnych istot uważa, że jesteś niebezpieczny, a to coś znaczy. Jeśli matka orientowała się, jakie masz zdolności, i nie powiedziała ci tego, musiała mieć powód.

Grant zabrał rękę.

- Ten sam, który kierował twoją matką? I kazał jej utrzymywać pewne rzeczy w tajemnicy przed tobą?

Tajemnice. O drzemiącej we mnie ciemności, co w każdej chwili mogła mną zawładnąć. O mocy, istocie, która przerażała ją, Jacka i innych. Nie wiedziałam, czego boję się bardziej: czy tego, że zaczynałam znajdować powody do wykorzystania tej siły, czy może tego, że nadal nie znałam jej charakteru i źródła.

- Możliwe - wykrztusiłam z trudem. - Matka chciała mnie chronić. Pragnęła, żebym wyrosła na normalną osobą, bez dodatkowych obciążeń. Tych nam bowiem nigdy nie brakowało.

- A ja się bałam - wyznał Grant, zatapiając we mnie palące spojrzenie. - Bałam się siebie i byłem z tym sam. Nadal się boję, ale teraz przynajmniej mam ciebie. Chciałbym tylko... gdyby ona... Szkoda że to trwało tak długo.

Złapałam go za rękę.

- Przecież wiesz, że cię kochała. Prawda?

Grant położył drugą dłoń na wisioru i pocierał kciukiem wygrawerowane linie. Poważny, zadumany. W nie-

fznośnym napięciu czekałam na odpowiedź.

Ale on tylko nachylił się i mnie pocałował, a potem przesunął palcem po moich ustach. Aż mi dech zaparło.

- Dziękuję - szepnął.

Killy znów cicho stęknęła. Niechętnie odsunęliśmy się więc od siebie i spojrzeliśmy w jej stronę. Usiadła. Z nosa ciekła jej krew.

Pomogłam Grantowi wstać. Strasznie się skrzywił, gdy niechcący oparł cały ciężar ciała na chorej nodze. Przeszłam do kuchni po ścierkę i rzuciłam ją Killy, żeby się wytarła.

- Ojciec Franku - mruknęła Chinka, spoglądając na plamy krwi. - Niech cię wszyscy diabli.

- Czy wiesz, jak się z nim skontaktować? - spytałam.

- Znam jego numer. - Zerknęła na mnie ze złością. -Ale wątpię, żeby mógł teraz odbierać telefony.

- To nie była jego wina - zauważył niechętnie Grant z nutą znużenia w głosie.

Killy, nie zwracając uwagi na moją wyciągniętą dłoń, próbowała sama się podnieść.

- Ale brał w tym udział. Wiedział, że nie odmówię mu pomocy, gdy o nią poprosi.

Nie miałam pojęcia, co łączyło Killy z ojcem Lawren-ce'em, ale po jej minie wnioskowałam, że jest głęboko zraniona - zbyt głęboko, żeby w grę wchodziła jedynie powierzchowna znajomość. Wyglądało na to, że czuje się zdradzona. Było mi jej żal.

W sypialni coś huknęło. Sięgnęłam do kieszeni po nóż - ten sam, którym rozprawiłam się z Kingiem. Nie wyczyściłam go wcześniej porządnie, więc teraz zajęli się tym chłopcy. Killy spojrzała na moją dłoń i zadrżała, a ja choć raz nie przejęłam się, że ktoś obcy widzi moje tatuaże.

Przeszłam przez salon do zamkniętych drzwi.

Pchnęłam je gwałtownie.

Na brzegu łóżka siedział jakiś mężczyzna. Znałam tę twarz, tylko że nad głową nie zobaczyłam ciemnej aury. Przekrzywiona czerwona czapka, brak paska na narzędzia.

To nie był Rex, zombie. Po prostu człowiek budzący się do życia po bardzo długim śnie.

Nawet bez aury zauważyłabym znaczącą różnicę. Facet miał obwisłą twarz, oczy mętne i puste. I nie tylko dlatego, że jego ciało od lat zamieszkiwał demon. Chodziło o coś więcej, o coś poważniejszego: jakby nawet samo oddychanie kosztowało go mnóstwo wysiłku.

Za moimi plecami stanął Grant.

- Myślałeś kiedyś o żywicielu? - spytałam.

- Zawsze o tym myślę - mruknął. - Ale nigdy nie wpadłem na dobry pomysł. Pozwolić, by demon zawładnął czyjś ciałem, to coś okropnego. Choć równie strasznie jest zabić istotę, która pragnie wyłącznie przetrwać i stać się kimś lepszym.

Kiedyś, wcale nie tak dawno, nie dręczyły mnie podobne i wątpliwości. Wszystko było o wiele prostsze. Nie wolno dopuszczać demonów do ludzi. Kiedy się na nie natykasz, zabijasz. Wszyscy Archie Limbaudowie tego świata muszą zginąć.

Mimo to nie poruszyłam się, gdy w pokoju zamigotał nagle jakiś cień. Nie zdjęłam drugiej rękawiczki i nie wyciągnęłam dłoni w stronę demona unoszącego się nad głową otępiełego człowieka. Powinnam to zrobić. Bez wahania. Jednak ja widziałam tylko te zmęczone, niewidzące oczy, w których nie tliło się żadne pytanie - ani gdzie jestem, ani dlaczego, ani w jaki sposób - i podjęłam wyrachowaną decyzję. Strategia zwyciężyła nad moralnością.

Grant też nie zareagował. Wzdrygnęłam się, poruszona jego brakiem zdecydowania. Chwyciłam go za rękę i mocno ścisnęłam, obserwując, jak demoniczny pasożyt wślizguje się do ludzkiego ciała i pozostawia za sobą pulsującą aurę. Patrzyłam na przemianę, jaka zachodzi w mężczyźnie. W jego oczach pojawił się błysk inteligencji i coś, co mogłam określić jedynie jako chęć życia.

Rex. Nie ogarnęło mnie obrzydzenie, nie martwiłam się o żywiciela. Poczułam tylko znużenie połączone z dziwną ulgą. Rex był demonem. Sukinsynem, którego prawdopodobnie pewnego dnia zabiję. Ale lepszym sukinsynem od Mister Kinga. Potrzebowałam sprzymierzeńców. Każdego rodzaju. Nawet zombie oddanych wyłącznie Grantowi.

Mimo to dłużej nie mogłam się temu przyglądać. Odwróciłam się, wyminęłam Granta i wypadłam z sypialni.

Killy stała przy drzwiach wejściowych do mieszkania i szukała czegoś w swojej torebce. Przeliczyła pieniądze -wszystkie w chińskiej walucie.

- W razie gdybyś nie wiedziała, jesteśmy w Seattle -wyjaśniłam. - Jest tu mnóstwo samolotów i innych środków lokomocji.

- Za granicą było wygodnie. Miałam większe pole do popisu. - Killy niemal nieświadomie postukała się w czoło. - Przebierałam się, mieszałam drinki, udawałam tanią panienkę. Faceci z kasą nie szukają bliskich znajomości. Nie zauważają, że ktoś zagląda im do głowy.

Nikt tego nie zauważa, stwierdziłam w duchu.

- Możesz użyć mojej karty, żeby kupić bilet - zaproponowałam. - Dokąd zechcesz.

Rzuciła mi ostre spojrzenie.

- Prawie całą forszę wpakowałam w bar. To niby z czego ci oddam?

Nigdy nie zatrzymywałam się w jednym miejscu na tyle długo, żeby ktokolwiek zdążył mi coś zwrócić.

- Nie zawracaj sobie tym głowy. Zostałaś wplątana w tę aferę wbrew swojej woli.

Patrzyła na mnie, jakbym postradała rozum. I może tak było, ale nie lubię, gdy ludzie gapią się na mnie jak na idiotkę. Wepchnęłam rękę do kieszeni swoich nowych dżinsów i wyciągnęłam portmonetkę. Wyjęłam kartę i podałam ją Killy.

- Weź sobie - powiedziałam. - Wyczyść do końca, a potem spal to cholerstwo. Zacznij nowe życie, tylko znikaj stąd już teraz, póki możesz.

- Co... - Nie skończyła i spojrzała na kartę. - Anne Tovi?

- Zdaje się, że mamy kolejny problem - odezwał się Grant.

Pojawił się za moimi plecami. Nie słyszałam, żeby przechodził przez pokój, jednak teraz stał przy blacie kuchennym, przyciskając słuchawkę telefonu do ucha. Obok niego przestępował z nogi na nogę wyraźnie przejęty Rex.

- O co chodzi? - spytałam z niepokojem.

- Dostaliśmy wiadomość. Z policji. I z opieki społecznej. - Zagryzł zęby, a w jego oczach zamigotał lodowaty błysk. - Byron i Mary zniknęli.

Dwa dni. Nie było nas dwa dni. Nikt mógł się z nami skontaktować, a w tym czasie przyszedł jakiś człowiek i pytał o chłopca.

Wolontariusze powiedzieli Grantowi, że wcześniej już widzieli tego faceta w schronisku. Wysoki, szczupły ksiądz. Mówił z włoskim akcentem. Twierdził, że ma powody podejrzewać, że chłopcu dzieje się krzywda, i chciał z nim porozmawiać. Razem z nim zjawili się ludzie z opieki społecznej z podobną sprawą: niepełnoletni nie powinni mieszkać w przytułku dla dorosłych. Ale Byron zdążył już zwiać.

Stałam w jego pokoju, w prywatnym skrzydle kompleksu magazynów zarezerwowanym dla stałych rezydentów: pojedynczych osób i całych rodzin specjalnej troski, którym brakowało choć namiastki domu. Zazwyczaj mieszkało tam niewielu ludzi, bo Granta nie było stać na rozdawanie takich przywilejów wszystkim.

W ciągu ostatnich trzech miesięcy zaglądałam do pokoju Byrona zaledwie kilka razy. Rozgrzebane łóżko. Wokół mnóstwo książek i papierzyk. Na ścianach plakaty z reklamą filmów: *Władca Pierścieni*, *Hellboy*, *Blade Runner*. Obok książek sterty ciuchów. Chłopak nie zabrał ze sobą zbyt dużo.

- Wezwano policję, bo Mary zaatakowała Antony'ego - wyjaśnił cicho Grant, który stanął w drzwiach. - Chciała wydrapać mu oczy.

Musnęłam palcem sweter Byrona.

- Kiedy to się stało?

- Dzisiaj, wczesnym rankiem. Od tej pory nikt ich nie widział.

Kiwnęłam głową, przygryzając policzek od środka. Cribari nie był w najlepszym stanie, kiedy go zostawialiśmy, ale możliwe że to jego sprawka. A z Chin można wrócić w sekundę, jeśli zna się drogę na skróty - przez przestrzeń.

- Chcą cię przesłuchać?

- Pewnie tak, ale teraz policji tu nie ma. - Grant pomachał kluczykami do samochodu nad moim ramieniem. - Ty prowadzisz.

Wymknęliśmy się ze schroniska. Rozproszone światło słoneczne ogrzewało mi twarz. Nie zauważyłam, żeby ktoś nas obserwował, a chłopcy spali spokojnie. Mimo to nie umiałam się rozluźnić. Żyliśmy w pożyczonym czasie. Wszystko się waliło.

Kiedy przechodziliśmy przez parking, czułam się jak ruchomy cel. Mój gruchot nadal stał przy bazarze na Pike Place, jeśli do tej pory nie został odholowany. Ale Grant miał dżipa.

Przy samochodzie natknęliśmy się na Killy; ze splecionymi na piersi rękami opierała się o maskę. Z nosa wystawał jej strzępek zaschniętej krwi. Była zbyt blada, żeby wkładać na siebie tyle ciemnych rzeczy. Wyglądała jak trup, który wstał z grobu.

- Tak się zastanawiałam... - zaczęła, przyglądając się nam uważnie - co ta... kreatura... powiedziała do mnie w barze. Że ma w sobie mój zapach. I doszłam do wniosku, że niekoniecznie będę bezpieczniejsza, jeśli się z wami rozstanę.

To nie było pytanie, jednak wydawało się, że Killy chce usłyszeć odpowiedź, której ja z kolei nie miałam ochoty udzielić. Zerknęłam na Granta i na jego twarzy zobaczyłam podobną powściągliwość. Odwróciłam się, żeby otworzyć dżipa, i nie odezwałam się, gdy Killy zajęła miejsce za mną. Nie powiedziałam: „spadaj” lub „uciekaj stąd, gdzie pieprz rośnie”.

Ruszyłam.

W radiu leciał utwór Johna Parra. Jakaś akustyczna wersja *St. Elmo's Fire*. Lubiłam tę piosenkę, choć wcale nie działała na mnie kojąco. Wjechałam do centrum Seattle i w pobliżu muzeum znalazłam wolne miejsce parkingowe, tuż przed wąskim ceglany budynek ze szklaną witryną na parterze i z delikatnymi drzwiami, na których widniał napis: „Sarai Soars, Galeria Sztuki”.

Galeria była zamknięta od czasu śmierci właścicielki -lub od chwili jej wyjazdu na dłuższe wakacje, w zależności z kim się rozmawiało - ale miałam klucz. Zresztą nie tylko ja. Weszłam do środka i od razu znalazłam się w innym świecie: mnóstwo cieni, chłodne, przefiltrowane powietrze, lekki zapach orchidei. Na ścianach wisiały obrazy. Ogromne, skomplikowane mistrzowskie dzieła o dziwacznej tematyce: jednorożce w scenerii pól bitewnych, pradawnych i współczesnych - pokryte krwią i morską pianą, otoczone mieczami i karabinami. Niewinność w samym sercu zbrodni. Czystość w obliczu śmierci.

Na tyłach galerii, za rzeźbionym drewnianym ekranem, znajdowały się schody. Weszłam na nie, głośno stukając obcasami. Wcale nie kryłam swojej obecności.

Na podeście drugiego piętra były tylko jedne drzwi otwarte na oścież. Przed progiem - książki. Za progiem - książki. Leżały wszędzie: na półkach, w stosach na podłodze i na stołach obok jakichś papierzyk, kamieni i kartonów wypełnionych eksponatami owiniętymi w papier pakowy. Na oprawionych w skórę encyklopediach stały lampy z kloszami z matowego szkła - ich sznury ginęły gdzieś między tomiszczami, podłączone jakoś do kontaktów w ścianach.

Puste filizanki po herbacie ustawiono przypadkowo wzdłuż jedynej drogi prowadzącej przez ten bałagan: wąskiego, wijącego się przejścia.

Dom Jacka. Nad wszystkimi przedmiotami unosił się jego cień.

- Byron - zawołałam półgłosem. - To ja.

Usłyszałam jakiś szelest i po drugiej stronie pokoju zauważyłam Byrona - wychylał się zza regału. Miał na sobie dzinsy i szarą koszulę z długimi rękawami. Patrzył na mnie przeszywającym wzrokiem: mrocznym, starym, bardzo zmęczonym.

- Cieszę się - mruknął. - Nie byłem pewien, czy pamiętałaś, że mam klucz.

Doskonale pamiętałam. Wiele miesięcy temu, po tym jak zniknął Jack, powiedziałam chłopakowi, żeby w razie czego ukrył się w galerii. Ponieważ przypuszczał, że czekają go kłopoty. Nie tylko z powodu znajomości ze mną.

Gdyby coś się wydarzyło, gdybym zniknęła albo Grant nie mógł mu pomóc, galeria była dobrą kryjówką. Idź do studia, tłumaczyłam. Do części mieszkalnej. Zostawiłam tam jakieś pieniądze i puszki z jedzeniem. Również z myślą o sobie. Co prawda miałam jeszcze inne domy, w różnych miastach, odziedziczone po matce.

Niestety przestały być bezpieczne. Dobre schronienia już nie istniały.

Zaczęłam się przedzierać wąskim korytarzem, raniąc sobie nogi ostrymi kantami książek. Chłopcy słodko spali. Poza nim nic we mnie nie było spokojne. Jakoś się trzymałam, ale z trudem. Choć widok Byrona dobrze mi zrobił. Może obudziło się we mnie matczyne uczucie. Moja matka nazwałaby to słabością. Przywiązanie to groźna sprawa. Ludzie znikają, nawet gdy bardzo tego nie chcemy. Sprawdzają ze sobą kłopoty, rozprasza ją, nie można im ufać.

Ale nie wszyscy, pomyślałam. Zresztą, po co ratować świat, jeśli się go nie kocha. Jeśli nie kocha się ludzi.

A przynajmniej niektórych, bo nie jestem przecież jakąś hi- I piską. Kuchnia nie był tak zagracona jak reszta mieszkania, 1 choć i tu zlew zawały brudne naczynia, a blat pokrywały | okruchy jedzenia. Przy stole siedziała Mary. Jej widok mnie j zaskoczył. Tym razem workowatą sukienkę zdobiły nie pu- | dle, tylko gigantyczne stokrotki. Brzeg ledwie zasłaniał gu- | zowate kolana, a za duży sweter, w którym Mary wręcz to- 1 neła, był mocno podziurawiony. Jeśli chodzi o siwe włosy i staruszki, to Einstein pękłby z zazdrości.

Obok niej stał Byron. Nalewał gorącej wody do kubka, do którego wcześniej wrzucił trzy saszetki herbaty i pięć ko- |stek cukru. Dłonie Mary, otaczające grubą, białą porcelaną, I drżały. Oczywiście miała wbite w podłogę. 3

- Herbata ją uspokaja - wyjaśnił chłopak, jakby to było zupełnie naturalne, że piętnastolatek z ulicy opiekuje się i podstarzałą, trochę szurniętą i nieziemską ćpunką. I może on tak właśnie to odbierał. W sumie to nietypowy dzieciak.

- Dobrze, że tu przyszedłeś - powiedziałam akurat w chwili, gdy za mną pojawił się Grant, który niezręcznie lawirował w wąskim przejściu między kolumnami książek.

Killy szła za nim, ze zmarszczonym czołem i palcami przyciśniętymi do skroni. A jeszcze bardziej zmarszczyła czoło, kiedy zauważyła Mary.

- Wszystko w porządku? - spytał Grant Byrona.

- Tak - odparł chłopak, spoglądając na Chinę. - Widziałem, jak Mary zaatakowała księdza. Odnalazłem ją, bo uciekła, i zabrałem ze sobą.

Cudowny dzieciak. Zwichrzyłam mu włosy. Mary oderwała oczy od podłogi i przeniosła je najpierw na kubek, potem na Granta. I wtedy, jakby popatrzyła w słońce - jej twarz się rozświetliła, a usta rozsunęły w szerokim uśmiechu.

- Grant - szepnęła. Zaczęła się podnosić, wyciągając ramiona. Ale nagle znieruchomiała, bo dostrzegła wisiorzek j delikatnie połyskujący w ciepłym świetle lampy. Wlepiła

w niego wzrok i zaczęła coś mamrotać. Strasznie zbladła. W jej oczach pojawiła się jakaś dzikość, która upodabiała ją do potworów tworzonych przez Kinga, choć przecież była ich całkowitym przeciwieństwem.

Mary taki sam wzór narysowała kiedyś na swojej dłoni. Teraz rysunek już wyblakł, stał się prawie niewidoczny. Położyła tę dłoń na wisiorzku i zadrżała, wciągając powietrze w płuca przez zaciśnięte zęby. Grant tkwił jak skamieniały, jakby nagle wystraszył się bliskości szalonej kobiety. Byron też się spiął, choć tym razem całą uwagę skupił na swojej towarzyszce. Zastanawiałam się, dlaczego tak bardzo pragnie, by staruszka zachowała spokój.

- Mary - wymamrotał Grant melodyjnie. - Mary? Widziałaś już coś takiego? Znasz to?

Killy jęknęła cicho, boleśnie i zamknęła oczy. Mary się zachwiała.

- Antrea - szepnęła, zaciskając palce na wisiorze.

Z twarzy Granta odpłynęła krew. Podtrzymałam go, bo mało co, a upadłby. Tak mocno chwycił się mojego ramienia, że aż chłopcy poruszyli się niespokojnie.

- Skąd znasz imię mojej matki?

- Twoja matka - wydyszała Mary, mrugając gwałtownie. - Twoja matka była piękna.

Killy krzyknęła i objęła głowę obydwoma dłońmi.

- Twoja matka - odezwała się znowu Mary, tym razem donośniej. - Straciłam ją.

Chinka zrobiła ruch, jak gdyby chciała usiąść, ale w pobliżu nie stało żadne krzesło, nic, na czym mogłaby się wesprzeć. Byron złapał ją za ramię, ale się wyszarpnęła, jakby parzył swoim dotykiem, a potem runęła na ziemię. Twarz wykrzywił jej ból.

Mary przyciągnęła Granta do siebie.

- Miałam ją, o tak, ale się wyśliznęła.

Killy znów krzyknęła. Chłopak wpatrywał się we mnie bezradnie. Pochyliłam się, ujęłam Chinę pod ramiona i przeciągnęłam po podłodze, z dala od Mary, która wydawała się coraz bardziej szalona.

- Byron - warknęłam, a dzieciak natychmiast złapał Killy pod nogi. Strąciliśmy kilka książek, a potem się o nie potknęliśmy.

- Labirynt zabrał was oboje - ciągnęła Mary.

Ale ja już na nią nie patrzyłam, całkowicie skupiona na niesieniu łkającej kobiety, która, zdawało się, umiera w moich ramionach.

- Mary. - Głos Granta przebił się do mojego umysłu. - Mary, uspokój się.

- Reszta już nie żyła - ciągnęła staruszka roztrzęsionym głosem. - Wszyscy. Dzieci... oni zabierali dzieci... a ty byłeś ostatni, byłeś...

- Mary.

- ...przysięgam, że cię ochronię...

- Mary.

- ...ale nie dotrzymałam obietnicy. Zawiodłam ją.

Z Byronem udało nam się wytaszczyć Killy na korytarz, choć nadal krzyczała, ściskając dłońmi głowę tak, jakby czaszka miała zaraz eksplodować. Z nosa tryskała jej krew.

- Uderz ją - poradził ponurym tonem Byron. - Niech straci przytomność.

Popatrzyłam na niego ze zdumieniem. A potem odwróciłam się i pięścią wymierzyłam Killy cios w szczękę. Ostrożny, ale porządny. Głos Chinki ucichł nagle, mięśnie zwiotczały. Zemdląca. I choć jej oddech nadal był przyspieszony, a serce waliło mocno, to przynajmniej nie czuła już bólu. Cisza, która zapadła po ustaniu wrzasków, niemal ogłuszała.

- Zostań z nią - nakazałam i pobiegłam z powrotem do mieszkania.

Mary stała tuż przed Grantem. Wspięła się na palce i, ciągnąc za złote ogniwa, zmusiła go, żeby się pochylił, więc mogła mu patrzeć prosto w oczy. W kącikach ust miała pianę. Gapiała się na Granta, jakby był jej kołem ratunkowym, jedynym powodem, dla którego żyje. I akurat w tym momencie wyglądała na zupełnie normalną. Jak nigdy.

- Straciłam cię - wydyszała. Złapał ją za rękę.

- Odnalazłaś mnie. I już nic ci nie grozi.

- Nigdzie nie jest bezpiecznie. - Mary odwróciła głowę i zaczęła wpatrywać mi się w oczy z szokującym natężeniem. - Ty. Jedna z nich. Widzę to. Ze zmieszana krwią. Złapana. Niewolnica.

- Nie jestem niewolnicą - sprzeciwiłam się.

- W takim razie cię zabiją - szepnęła Mary. - Albo będą próbowali kontrolować.

- Nie mnie. - Ruszyłam przed siebie i zatrzymałam się tuż przed szaloną staruchą. - Ani Granta. Ani nikogo na tym świecie.

Twarz kobiety wykrzywił smutek.

- Tak samo mówiliśmy, kiedy Aetar pojawił się po raz pierwszy.

Mary znów się zachwiała. Przyłożyła jedną dłoń do oka, druga już lżej ścisnęła wisiołek. Grant próbował trzymać ją blisko siebie, ale nogi się pod nią ugięły.

- Oni nadchodzą - szepnęła i puściła łańcuszek. Złapałam ją, zanim upadła, i delikatnie ułożyłam na podłodze. Była przytomna, ale mamrotała coś bez sensu, a jej oczy zrobiły się mętne i niewidzące. Znów odpłynęła w szaleństwo. Ale nie takie całkowite jak wcześniej.

Grant, wyraźnie poruszony, ukląkł obok swojej podopiecznej. Odłożył laskę i zaczął wodzić nad ciałem staruszki roztrzęsionymi rękoma. Jakby bał się jej dotknąć.

Poczułam rwanie. To Zee i reszta chłopców wiercili się niespokojnie na mojej skórze.

- Cholera - szepnęłam, próbując złożyć do kupy wszystko, co usłyszałam. Gdyby Mary kłamała, Grant by to wiedział. Sądząc jednak po wyrazie jego twarzy, stara kobieta mówiła prawdę. Taką, jaką znała.

- Maxine - usłyszałam niecierpliwie niecierpliwe wołanie Byrona.

Spojrzałam na Granta, ale on nadal uważnie wpatrywał się w Mary. Poderwałam się na nogi i szybko przemierzyłam mieszkanie. Byrona dostrzegłam dopiero, gdy zbliżyłam się do drzwi. Stał na szczycie schodów z dłońmi zwiniętymi w pięści. Killy nadal leżała nieprzytomna.

Dołączyłam do chłopaka i zerknęłam w dół.

U stóp schodów zobaczyłam opartego o ścianę mężczyznę. Otaczał go taki mrok, że nie mogłam dostrzec rysów twarzy. Ale wiedziałam, że go znam. Wszędzie bym go rozpoznała.

- Stary Wilk - wymamrotałem.

- Moja słodka dziewczynka - huknął przybysz i osunął się na kolana.

Rozdział 14

Matka nigdy nie mówiła o mężczyznach w naszej rodzinie. Ich istnienie otaczała atmosfera baśni lub legendy; żadna kobieta z mojego rodu nie wspominała o ojcu swojego dziecka. Nigdy. Tropicielki nie

pisały o nich w pamiętnikach ani w żadnych innych przekazach. Nawet seks był tematem tabu. Żeby się czegoś o nim dowiedzieć, chodziłam do biblioteki albo, gdy matka szła polować na zombie, oglądałam nocne filmy na hotelowej kablówce.

Patrząc z perspektywy czasu, to miało sens. Ze związku z mężczyzną rodzi się dziecko. A ono oznacza śmierć, morderstwo - trudne pożegnanie.

Mój dziadek siedział przy schodach z nogami wysuniętymi przed siebie. Usiadłam obok. W dłoniach trzymaliśmy kubki z gorącą herbatą, której ja nie tknęłam, ale Jack popijał małymi, ostrożnymi łykami. Po jednej stronie twarzy miał długie zadrapanie. Był nieogolony i brudny. Nigdzie nie widziałam jego torby. Ani dubeltówki. Za każdym razem, gdy nabierał powietrze, drżał i niepokojąco rzeziło mu w piersi.

- Słyszałam, że zostałeś schwytany - odezwałam się.

- Kłamstwo - mruknął spokojnie. - Ale i tak, gdyby mnie znalazł, pewnie by wypuścił. Nasz gatunek nie reaguje na cielesne tortury. Żeby nas zranić, trzeba znaleźć to, dzięki czemu zachowujemy normalność, a potem odebrać. - Na usta wypłynął mu ponury uśmiech. - A ja, jak głupiec, podążyłam za tobą.

Pochyliłam się lekko w jego stronę.

- I tak już raz zdołał nas wyśledzić, więc to chyba bez znaczenia, dokąd teraz pójdziemy albo w którym towarzystwie.

- On się bawi. Testuje nas i się zastanawia, czym jesteśmy, czym się staliśmy. Bo wszyscy się zmieniliśmy, moja droga. Twój gatunek. Mój. Nawet Grant ma w sobie coś, czego mieć nie powinien.

Zmarszczyłam czoło. Nie bardzo rozumiałam, o czym Jack mówi, ale zanim zdążyłam zapytać, usłyszałam jakieś poruszenie na szczycie schodów. To Grant przyglądał się nam z góry. Jego wzrok pociemniał, gdy spoczął na twarzy Jacka.

- Killy się ocknęła.

- Zaraz do niej pójdziemy - zapewniłam.

Ale Grant wcale nie zwracał na mnie uwagi. Nadal przyglądał się Jackowi z niepokojącym namysłem. Stary Wilk go zignorował, moim zdaniem, aby ochronić się przed potencjalnymi zarzutami.

- Czy Killy to młoda dama, którą niedawno wrzeszczącą wynieśliście z mojego mieszkania?

- Bardzo dziwnie zareagowała na Mary - wyjaśniłam, podnosząc się wolno. - Jak sądzisz, ile czasu nam zostało?

- Chwile albo godziny. - Jack westchnął i też wstał. - Nie więcej. On nigdy nie miał zbyt dużo cierpliwości.

- Ani instynktu samozachowawczego. Jest lekkomyślny.

- Lub zdesperowany, a może po prostu trochę szalony. Odstawiliśmy kubki na najniższy stopień i zaczęliśmy się wspinać po schodach. Podałam Jackowi ramię. Oparł się na nim ze słabym uśmiechem.
- Wiem, co on zrobił. W przeszłości. Jednej z moich poprzedniczek - powiedziałam. - Zaaranżował jej śmierć.
- Jack przestał się uśmiechać, zatrzymał się i wbił we mnie oczy z miną, której nie umiałam określić. Byłam przekonana, że zaraz zapyta, skąd mam te informacje, ale się myliłam.
- To był jego ostatni wyskok - odparł. - I tym ostatecznie mnie przekonał, że muszę go uwięzić.
- A chłopcy? Naganiacz pomagający wychowywać dziecko? Oтуру? Szkoda że dopiero teraz się o tym dowiedziałam.
- Zbyt wiele jest tych historii - mruknął z ciężkim westchnieniem Jack, znów podejmując wspinaczkę na piętro. - Zbyt wiele, moja droga. Dziesięć tysięcy lat opowieści o twoim gatunku. Tak naprawdę możesz znać tylko samą siebie.
- Łatwo powiedzieć.
- Killy nadal leżała na półpiętrze. Pod głową miała poduszkę, a na stopniu wyżej stała butelka z wodą. Obok siedział Byron. Spiał się na widok Jacka. Nigdy nie zachowywał się swobodnie w obecności starszego pana, a Jack nigdy nie umiał popatrzeć chłopcu prosto w oczy. Teraz też omijał go wzrokiem. Wpatrywał się w Chinkę, a ta zamrugła i wbiła w niego półprzytomne spojrzenie.
- Cholera - stęknęła ochryple. - Jeszcze jeden.
- Jack rozdął nozdrza, a przez jego wychudzoną twarz przemknął grymas ponurego rozbawienia.
- To samo mógłbym powiedzieć o tobie.
- On ci nic nie robi - zapewniłam szybko, dostrzegając strach w oczach kobiety.
- Próbowała usiąść, więc Byron wyciągnął do niej rękę, żeby pomóc - ale w ostatniej chwili się zatrzymał. Nie patrzył na Killy, pewnie z powodu nieśmiałości. Powściągliwej, cichej, straszliwej nieśmiałości.
- Powinam was zostawić - burknęła Killy. - Sama byłabym sto razy bardziej bezpieczna niż z wami. Może tak, a może nie.
- Jak głowa?
- Killy na moment znieruchomiała i posłała mi spojrzenie, które pewnie miało być twarde, a nawet wyzywające, ale gwałtownie drgający mięsień pod lewym okiem osłabił efekt.
- Coś pali mnie w środku - odpowiedziała wolno. - I nie wiem, czy kiedykolwiek przestanie. Miejsce, gdzie była ta kobieta, to, przez co przeszła, nie ma prawa istnieć.
- Zobaczyłaś to? - spytał z przejęciem Jack.

- Ona to z siebie emituje. Nawet teraz czuję obrzeża tego czegoś. Jakby... w mojej głowie wyrastały żyłki. - Zadrżała i potarła ramiona. - Widziałam śmierć. Widziałam, jak ona zabija. Widziałam ją z jakąś kobietą i dzieckiem. Uciekali przed kimś. Była wtedy młodsza. Mniej więcej w moim wieku. Widziałam dużo dzieci...

Zamilkła, unosząc dłoń do ust. Zerknęła w dół i mocno zaciągnęła się powietrzem. Przyglądający się jej Byron złapał się za brzuch. Jack też wyglądał tak, jakby zbierało mu się na mdłości, choć pewnie z innych powodów. Dostrzegłam cień wspomnień w jego oczach. Wróciły do mnie słowa Mister Kinga.

„Gdyby tu był stary Jack, opowiedziałby ci o polowaniach. O ściganiu skór twoich pobratymców po całym Labiryncie. O wykradaniu im dzieci z kołyszek”.

Zajrzałam do mieszkania. Grant bacznie przyglądał się starszemu panu. Wzrok miał zimny i twardy. Pewnie przypomniał sobie to samo co ja.

- Wiem o wielu różnych rzeczach dziejących się na tym świecie - wybełkotała Killy, nadal zasłaniając sobie usta. - Sądziłam, że to wystarczy.

- Jack - odezwał się cicho Grant. - Musimy porozmawiać. Stary Wilk potarł kark.

- Chyba tak, chłopcze.

Grant odwrócił się i kuśtykając, zniknął w głębi zawalonego książkami pomieszczenia. Jack poszedł za nim. Killy nie zwróciła na to uwagi. Byron jednak popatrzył na dwóch odchodzących mężczyzn, a potem na mnie - tak poważnie i mądrze.

- Przykro mi - zwróciłam się do niego. - Nie powinieneś być w to wplątany. Wiem, że... wszystko wydaje się dziwne...

- Nie jestem sam - przerwał mi łagodnie, a potem się zawahał, jakby uważał, że to, co powiedział, powinno wystarczyć; i wystarczyło, zrozumiałam. - Dzwone rzeczy nie są złe.

Nieprawda. Chłopak zasługiwał na coś lepszego, ale nie miałam nic innego do zaoferowania. Nie mogłam go odesłać. Wiedziałałam o nim coś, czego on sam o sobie nie wiedział.

To, że nie jest do końca człowiekiem. Delikatnie ucisnęłam jego ramię.

- Zaopiekuj się nią, dzieciaku. Wracam za minutę. Weszłam do mieszkania. Panów znalazłam w kuchni,

ale Mary gdzieś się ulotniła. Może poszła do sypialni, pomyślałam, słysząc za niedomkniętymi drzwiami ciche nucenie.

Grant stał przy stole, jedną dłoń zaciskał na oparciu krzesła. Jack z rękoma skrzyżowanymi na piersi opierał się o blat. Obaj wpatrywali się w siebie gniewnie.

- Chyba czas na wyjaśnienia - odezwał się Grant. - Szczerze mówiąc, nalegam, żebyś ich nam udzielił.

- Nalegasz - mruknął Jack, po czym otarł usta wierzchem dłoni. Zdawało się, że sine podkowy pod oczami się pogłębiały, jakby pod skórą miał nie ciało, a same cienie. - „To o krew woła: krew, mówią, krwi żąda”.

- „Słyszano drzewa mówiące, widziano podnoszące się głazy” - wyrecytowałam, podejmując zwrotkę tam, gdzie Jack ją skończył. Matka kazała mi przeczytać *Makbeta* w ramach mojej ludzkiej edukacji.

- Co za noc - wtrącił się Grant. - Mów o co chodzi, Jack.

- „Noc walczy z brzaskiem dnia” - wyszeptał starszy pan. - Noc walczy niemal ze wszystkim, o czym śni ten świat. Walczy z wyśnionymi Szekspirami, Michałami

Aniohimi, genialnymi Einsteinami. I wieloma innymi wspaniałościami, które sobie wyśnił mój gatunek i których, choć lo tylko wytwory umysłu, nie potrafił docenić, bo nie został tu wystarczająco długo. - Bezradnie zwiesił ramiona, a kiedy na mnie spojrział przelotnie, w jego oczach tlił się smutek, co przypomniało mi chwile, kiedy wypowiadał imię mojej babki. - Byłem głupcem. Myślałem, że wszystko potoczy się jak przedtem. Bardzo tego chciałem. Pragnąłem mieć ciebie, moja droga, tak jak zwyczajny człowiek. - Zawahał się. - Co do twojego ukochanego, sądziłem, że nikt nie zwróci na niego uwagi.

Grant złapał mnie delikatnie za rękę.

- Ale ktoś zwrócił uwagę. I zareagował ekstremalnie. Dlaczego?

- Ekstremalnie? - Jack uśmiechnął się gorzko. - Co jest ekstremalnego w walce z chorobą lub w ochranianiu życia zagrożonego chorobą? Człowiek robi, co musi. Niszczy to, co może go zranić... albo zdobywa nad tym kontrolę.

- Grant jest człowiekiem, a nie jakąś siłą natury - zaprotestowałam.

- Doprawdy? Mój gatunek padł ofiarą własnej esencji bytu, którą jest czysta energia. Niewiele więcej. A ty, chłopcze. .. ty umiesz nią manipulować. Mógłbyś manipulować nami. Mógłbyś nas zniszczyć, gdybyś zapragnął. I nie tylko nas, ale wszystkie żywe istoty. Taką posiadasz moc. - Jack posłał Grantowi mrozące spojrzenie. - Usta Światła. Potrafisz nasycić światłem każde serce. Światłem albo ciemnością.

Grant się wzdrygnął.

- Nie nazywaj mnie tak.

- Kiedy służyłeś Kościołowi, zwracano się do ciebie „ojcze”. Nazwa Usta Światła to niemal to samo. Stanowi część twojej tożsamości, nieważne, czy ją akceptujesz, czy nie.

Czując wzbierającą we mnie frustrację, pokręciłam głową.

- Wymigujesz się przed powiedzeniem najważniejszego. Byli inni podobni do Granta. Co się z nimi stało?

Jack milczał.

- Wymordowaliście ich - rzucił cicho Grant.

Aż mnie zemdlilo, kiedy uslyszalam te slowa wypowiedziane na glos. I przerazilam sie, widzac, ze starszy pan nie zaprzecza. Mój dziadek. On tylko wygladal jak czlowiek. A najgorsze, ze wcale nie bylam zaskoczona. Zdazyłam juz posmakowac czesci prawdy - w tym martwym cyrku, w lesie - i te fragmenty zaczynaly ukladac sie w calosc. Patrzylam na Jacka. Zadygotal, a potem z trudem przelknal slinę, jakby mial zaraz zwymiotowac.

- Byliśmy zdesperowani - odezwał się po chwili. - Nie odróżniliśmy dobra od zła. Moralność pojawila się później, po okresie obserwacji ludzi i po latach życia w ludzkim ciecie.

Grant, bladý jak ściana, oddychał ciężej niż zazwyczaj, jak gdyby miał zaciśnięte płuca. Martwiłam się o niego. Wyglądał bardzo źle. Wyobraźnia podsunęła mi obraz lodowatego wiatru, który doprowadza do zapalenia płuc; albo naczyń krwionośnych pękających w mózgu od wysiłku, jaki Grant włożył w to, aby unicestwić Cribariego.

„Niewyszkolony. Samouk”. Syczący głos Mister Kinga zostawiał ścieżki niepokoju w moim umyśle.

- Jack... - Grant zajrzał starszemu panu w oczy. - Jak bardzo mogliście być zdesperowani?

- Bardziej niż jesteś w stanie to sobie wyobrazić - odparł przygnębionym tonem awatar. -

Potrzebowaliśmy ciała. A Usta Światła... nie chcieli dzielić się swoim ludem. My natomiast nie mogliśmy ukryć się przed nimi w ludzkich ciałach.

Poczułam szarpnięcie instynktu i wspomnień.

- Mówiłeś, że oni byli pierwsi? Ale czego to dotyczyło?

Grant niemal zmiądzzył mnie wzrokiem, ale go zignorowałam. Nie potrafiłam oderwać oczu od swojego dziadka. Patrzę na jego śmierć, pomyślałam, zabijamy go kawałek po kawałku, każdym kolejnym słowem. Jack zacisnął powieki i odwrócił twarz, żebym jej nie widziała, a ja w tej chwili domyśliłam się - wiedziałam, co zaraz powie.

- Byli pierwszymi ludźmi - szepnął. - Znalezionymi w odległym świecie. Który już nie istnieje. Wszyscy ludzie, moja droga, każdy człowiek, od nich pochodzi.

- Nie - sprzeciwił się ostro Grant. - To niemożliwe.

- Wykradaliśmy ich ciała - ciągnął Stary Wilk coraz bardziej rozgorączkowanym głosem, jakby musiał się przed nami wypowiedzieć, zrzucić z siebie ciężar win. - Hodowaliśmy ich, modelowaliśmy. A kiedy udało nam się stworzyć szczególną rasę ludzi, za pomocą Labiryntu znaleźliśmy dla niej odpowiedni świat. Pozwoliliśmy jej ewoluować, stawać się. W Labiryncie czas biegnie inaczej. To, co zajmuje miliony, biliony lat, uzyskiwaliśmy natychmiast, wystarczyło otworzyć i zamknąć drzwi. - W końcu spojrzał na mnie, pradawnymi i obrzydliwymi oczami. - Ludzie zostali sprowadzeni na tę planetę w postaci protein i molekuł, nic więcej. Wrzucono je do oceanów i pozwolono im dojrzewać. To było Laboratorium. Nasza uprawa. Wielki eksperyment. Zbiornik na ciała.

Miałam wrażenie, że sparaliżowało mi umysł. Że zaraz oszaleję.

- Mówiłeś, że twój gatunek sprowadził ludzi do tego świata, żeby ukryć ich przed demonami.

- Tak, to prawda. Ale Ziemię zamieszkiwali już ludzie, moja droga. A ci, których ściągnęliśmy, byli bardziej... zaawansowani. Utworzyli wielkie imperium na południowej półkuli, które potem zostało zniszczone podczas wojny z demonami. Ci, co przetrwali, rozpiezchli się po całej planecie. - Zerknął na Granta. - Wy jednak, Usta Światła, wymarliście dużo wcześniej. Strażnicy, sędziowie, wojownicy. Spełnialiście wszystkie te zadania i jeszcze więcej. A my was wymordowaliśmy. Polowaliśmy na osobniki waszego gatunku. Usunęliśmy wszelkie wspomnienia po waszej cywilizacji. Resztę, która ocalała, uwięziliśmy.

- Stary Wilku...-wymamrotałam.

Wyciągnął do mnie rękę, lecz w ostatnim momencie ją cofnął.

- Kiedy awatary odkryją, że Grant istnieje, historia się powtórzy. Kiedy się dowiedzą, że ty, moja droga, im zagrasz, przybędą do tego świata, żeby go zniszczyć.

Nie lepsi od demonów, pomyślałam z kpiną. Ani trochę.

Poczułam, że Dek i Mai, rozplaszczeni na mojej czaszce, wiercą się niespokojnie. Podrapałam ich po plecach; uspokoili się i znów zapadli w sen. Żałowałam, że nie mogę zrobić tego samego. Żałowałam, że to wszystko nie jest tylko snem.

Rozprostowałam prawą dłoń. Pancierz zapuszczał macki gorąca w głąb kości.

- Czy już za późno?

- Wiemy, kiedy ktoś z nas umiera. Czujemy to, nawet przez Labirynt. Już zabicie Ahsen było niebezpieczne. Ale jeśli zgładzicie jego, reszta z pewnością tu się pojawi.

- On musi zginąć - oświadczyłam.

- A jeśli bym się poddał? - spytał Grant.

- To głupi pomysł - obruszyłam się. - Strasznie głupi.

- Jeśli bym się poddał - powtórzył Grant, posyłając mi twarde spojrzenie - czy to wystarczyłoby, żeby inni trzymali się z dala od tego świata?

Ogarnięta wściekłością, wyrwałam rękę z jego uścisku. Jack pokręcił głową.

- Nie wolno ci tego zrobić.

- Posłuchaj...

- Nie - warknął Jack, błyskając złowrogo oczyma. - Jesteś ostatni, rozumiesz? Ktoś taki jak ty nie istniał na tym świecie od miliardów lat. A jednak tu żyjesz, bo Labirynt cię przechował, a potem otworzył przed tobą drzwi do tego świata i do tych czasów.

- Nie pozwolę, żeby z mojego powodu ginęli ludzie.
- Zginą, jeśli stąd znikniesz - wychrypiał Jack, waląc pięścią w stół. - Zabiją ich demony, kiedy runie Zasłona.

Albo wtedy, gdy przybędą tu istoty mojego gatunku upewnić się, że nie ma na tym świecie więcej Ust Światła. Powrócą dawne czasy, chłopcze, z bogami i potworami, a kiedy nadejdzie koniec, nic już nie będzie takie samo. Twoje poświęcenie pójdzie na marne, poza tym że oszczędzi ci bólu. Ale ona tu zostanie i będzie cierpiała.

Grant zeszywniał. Wyciągnęłam rękę do Jacka.

- Przestań.
- Nie - szepnął, nadal wpatrując się intensywnie w Granta. - Nie, dopóki on nie zrozumie. Tu nie ma dobrych rozwiązań.
- Tylko same prawdopodobieństwa - mruknął ponuro Grant, uderzając końcem laski w podłogę z taką siłą, aż prawie podskoczyłam. Oczy miał pociemniałe z wściekłości. -Wszyscy jesteście takimi sukinsynami, Jack?
- Nie - odparł starszy pan ze znużeniem. - Ale wielu. Wyczułam, że ktoś się nam przygląda. Odwróciłam się.

W drzwiach sypialni stała Mary z nastroszonymi włosami, skubiąc na sobie sweter. Białka jej oczu iskrzyły się jak śnieg, jarzyły się dzikością. Zaciśnięte usta przypominały ostrze sztyletu.

Jack wzdrygnął się, kiedy ją zauważył.

- Marritine.
- Wilk - stęknęła staruszka roztrzęsionym głosem, po czym przeniosła wzrok na Granta. - On chce mnie odesłać do ciemnego miejsca.

Na sekundę Grant jakby zapadł się w siebie, ale już po chwili nabrał głęboko powietrza i odzyskał moc. Kulejąc, podszedł do Mary, żeby ją do siebie przytulić. Otoczona jego ramionami wydawała się niesamowicie drobna i krucha.

- Nie. - Grant pocałował staruszkę w czoło. - Tak się nie stanie.

Nie, nie stanie się. Mogłam to zakończyć. Właśnie w tej chwili.

Uniosłam prawą dłoń i popatrzyłam na delikatny pancerz otaczający palec i na srebrzystą nitkę biegnącą do bransoletki na nadgarstku. Jack też na nią spojrzał i na jego twarzy pojawił się wyraz znużenia rezygnacji.

- Czy wiesz, gdzie on jest? - spytałam, starając się, by mój głos brzmiał spokojnie i stanowczo. - Gdzie ukrywa się Mister King?

Jack nie odpowiedział, tylko gapił się ponuro. Grant powoli odwrócił się do mnie. Nie umiałam spojrzeć mu w oczy. Nie mogłam.

- Maxine - powiedział ostro. - Maxine, nie.

Jack rzucił się w moją stronę, szybko jak żmija, żeby chwycić moje ramię. Zrobiłam unik i uciekłam między książki. Nie pobiegł za mną - stał pochylony, z wyciągniętą pustą ręką. Przeniosłam wzrok na Granta, próbując się uśmiechnąć. Moja rodzina. Moja.

- Zobaczmy się, kiedy się zobaczymy - wyszeptalam, czując, że serce podchodzi mi do gardła. - Do tego czasu nie pozwólcie się zabić.

Grant skrzywił się, gdy chciał do mnie podbiec. Laska wysliznęła mu się z dłoni. Upadł niezdarnie na podłogę. Złapałam się za prawą dłoń i zrobiłam krok do tyłu. Pancierz już płonął.

Zabierz mnie do niego, rozkazałam w duchu, przywołując w myślach obraz grubego małego człowieczka. Daj mi to, czego potrzebuję.

Grant wykrzyknął moje imię, ale jego głos wydawał mi się już bardzo odległy - i nie widziałam go, nie widziałam niczego, bo wsysała mnie otchłań, zapierając mi dech w piersi. Przez chwilę tonęłam, a moje serce tłukło się niczym motyl uwięziony w klatce z kości. W końcu jednak ujrzałam światło i wyłoniłam się - ciężko dysząc, osłabiona - w jakimś miejscu. I tym razem nie leżałam, tylko stałam.

W toalecie.

Posadzka w szachownicy, trzy metalowe kabiny, jedna z nich zajęta. W powietrzu unosiła się woń marihuany i środków dezynfekcyjnych. Nad ukruszoną umywalką wisiały dwa popękane lustra, pokryte szminkowymi śladami w kształcie ust.

Oszołomiona obróciłam się wokół własnej osi i usłyszałam skrzypienie drzwi kabiny. Obejrzałam się przez ramię.

I zobaczyłam swoją matkę.

Na mój widok zamarła. Ja zresztą też. Serce nagle zacisnęło mi się mocno. Myślałam, że zaraz umrę albo co najmniej zemdleję. W oczach i w dole brzucha palił mnie ogień. Zrobiłam krok do tyłu i uderzyłam w porcelanową umywalkę. Zostałam przy niej zadowolona, że mam się na czym oprzeć.

Matka wyglądała młodo, jak ja, tylko czoło miała bardziej poorly zmarszczkami. Taki sam płaszcz, podobne dżinsy. Ale buty inne. Nosila wysokie trampki, zniszczone i szare. Dokładnie takie, jakie zapamiętałam. Zee i reszta chłopców, poobtłukiwani, szarpnęli się na mojej skórze.

Matka odchrząknęła.

- Cóż... - powiedziała. - Twoja babcia uprzedzała mnie, że to się może powtórzyć.

- Powtórzyć - wychrypiałam z trudem, drżącym głosem. - Pierwszy raz miał miejsce w Mongolii. Byłaś...

- Zaledwie czternastolatką - dokończyła. - Ale od tamtej pory widziałam cię jeszcze dwa razy. Twoja babka nadal wtedy żyła. - Lekko wzruszyła ramionami ze spokojem, którego bardzo jej zazdrościłam. Jeśli cokolwiek czuła, głęboko to w sobie kryła. - Ty znałaś ją, ona знаła cię. Cieszyła się z tego. Lubiła cię.

Miałam wrażenie, że zaraz załamie się nerwowo.

- Nie powinno mnie tu być.

- Zgadzam się. - Matka, ostrożna w ruchach, oparła się o drzwi kabiny. Nie zachowywała się oziębło, ale jakoś tak... powściągliwie. Jakby bała się mnie dotknąć. - Czego ci potrzeba, kochanie?

Muszę odnaleźć awatara ludobójcę, pomyślałam, wlepiając wzrok w pierścień pobłyskujący na prawej dłoni. Muszę ratować życie ludzi, których kocham. Muszę iść i walczyć. Otworzyć się na ciemność zamieszkującą moje serce i stracić je dla tej ciemności.

Potrzebowałam swojej matki.

- Muszę coś zrobić - powiedziałam na głos. - Kogoś zabić. Ale boję się, bo nie wiem, kim się potem stanę. Kim będę.

Matka zaczęła mi się uważnie przyglądać. Znosiłam to ze względnyim spokojem - zresztą jak zawsze, gdy czekałam na słowa, które nigdy łatwo nie padały z jej ust. Chciało mi się płakać. Miałam też ochotę roześmiać się i zacząć tupać w podłogę. Ale my się tak nie zachowywaliśmy. A przestrzegałam naszych starych zwyczajów, jakby od tej rutyny zależało moje życie.

- Nie wiem, kim się stajesz - odezwała się w końcu matka. - Nie wiem, co śpi w naszych sercach, ale wiem, czego się obawiasz. Nie mogę cię przed tym ochronić. Nikt nie może. Jedyne co ci pozostaje, to zaufać sobie.

- Ale ja sobie nie ufam - rzuciłam. - Nie potrafię.

- W takim razie nie masz nic - odparła ponuro matka. - To, kim jesteśmy, kim się stajemy, bierze się z naszego przekonania na temat tego, kim jesteśmy. Trzeba sobie ufać, nawet w chwili zwątpienia. - Dotknęła dłońmi serca. - A więc, kim jesteś, Maxine Kiss? Na kogo cię wychowałam?

- Na dobrego człowieka - szepnęłam.

- Więc bądź dobra - oznajmiła z błyskiem w oku. - Nawet jeśli ciemność pochłonie twoje serce, pozostaniesz dobra. Zachowaj wiarę. Zaufaj, że twoja matka wykonała dobrą robotę.

Z gardła wyrwał mi się zduszony, przepelniony łzami śmiech.

- Kocham cię i chyba za rzadko ci to mówiłam.

- Masz teraz dziesięć lat - stwierdziła, lekko się uśmiechając. - Będę pamiętała twoje wyznanie, kiedy znów dostaniesz ataku wściekłości.

Zaczęłam przeczesywać pamięć w poszukiwaniu wspomnienia nocy, gdy miałam dziesięć lat, a matka wróciła do domu i wydawała się dziwna, jakby właśnie spotkała swoją dorosłą córkę w obskurnej toalecie. Ale nic takiego mi się nie przypomniało. Poza nocą, gdy została zamordowana. I już zamierzałam coś o tym powiedzieć. Może ostrzec.

I chyba było to po mnie widać, bo zacisnęła usta i oderwała się od drzwi kabiny.

- Musisz już iść, kochanie. Tu nie jest bezpiecznie. Nie powinnyśmy przekraczać tych granic.

- Nie miałam wyboru - wyjaśniłam.

- Miałaś - sprzeciwiła się oschle. - Tylko że ty zawsze byłaś uparta.

- Patrzcie, kto to mówi. - Uniosłam prawą dłoń. - Co powinnam zrobić?

- Wracaj do domu - poradziła spokojnie, a w jej oczach pojawiły się ciepło i smutek. -1 ratuj ludzi, których kochasz.

Pomyślałam o Grancie, Jacku i Byronie. Zastanawiałam się, czy matka coś o nich wie. Nie zdążyłam jednak jej o to zapytać. Zaczynała już blaknąć. Teraz przypominała raczej ducha niż żywą istotę. Jej ciało stawało się przezroczyste.

W ostatniej chwili zrobiła krok w moją stronę. Wyglądała na niezdecydowaną, a zarazem sprawiała wrażenie, jakby chciała mi przekazać coś bardzo ważnego. Poruszyła ustami. Nie słyszałam głosu, ale ją rozumiałam.

Nie jesteś sama, mówiła. Są inni.

A potem zniknęła. Nadal stałam w toalecie, ale matki już ze mną nie było. Zniknęły też ślady szminki z luster, a kabiny były teraz czarne, a nie oliwkowe jak wcześniej. Jednak podłoga pozostała taka sama. Czarno-biała i brudna. Jakby nierealna. Jedyne, co wydawało mi się prawdziwe, to moja matka. Echo jej słów. Jej twarz, obecność.

Skrzypnęły drzwi. Do łazienki weszła jakaś kobieta -duża, piersiasta, w skórze, z tlenionymi włosami. Dwa natapirowane i usztywnione lakierem kucyki sterczały jej na czubku głowy jak kije bejsbolowe.

- Jaki mamy dzień i rok? - wydusiłam z trudem, zanim zniknęła w kabinie, z której wcześniej korzystała matka.

Zatrzymała się i spojrzała na mnie jak na wariatkę. Może i słusznie. Ale odpowiedziała. Był ten sam dzień i rok, kiedy rozstałam się z Grantem i resztą. Przeniosłam się w przestrzeni, ale przynajmniej nie w czasie.

Opuściłam toaletę i znalazłam się w mrocznym korytarzu. Pojedyncza żarówka zwisała z sufitu na długim łańcuchu i aż się prosiła, żeby potraktować ją jak szklaną piniatę. Na pokrytych metalem

ścianach widniały plamy wilgoci, resztki pozdzieranych plakatów i rysunek graffiti - przedstawiał odlotową scenę porno albo, w zależności jak się na to patrzyło, ławicę wielorybów walczących z olbrzymią kałamarnicą.

W wąskim korytarzu tłoczyło się mnóstwo ludzi. Raczej gołych niż ubranych, choć przed oczyma migwały mi ćwieki, maski i bicze. Ja, z wytatuowanymi rękoma, doskonale tu pasowałam. Na zewnątrz pewnie był dzień, ale tu panowała atmosfera jak w środku nocy. Ściany drżały od dudniącej muzyki. Dziwna pora na imprezę.

Dziwne życie i kropka.

Zaczęłam przedzierać się przez tłum i gdy już przemierzyłam korytarz, weszłam do olbrzymiego pomieszczenia.

Z sufitu zwieszały się sztuczne kamienne stalaktyty. A do tego dyskotekowa czerwona kula, tak wielka, że z łatwością zmiażdżyłaby kołyszące się pod nią ściśnięte ciała. W przeciwległym końcu zauważyłam bar i podest z drążkami dla striptizerek, teraz udostępniony gościom.

Muzyka wręcz ogłuszała. Ktoś nadepnął mi na stopę ostrym obcasem. Po plecach spływał mi pot, natychmiast absorbowany przez chłopców, którzy wiercili się niespokojnie.

Tuż przede mną stanął jakiś chwiejący się facet. Tylko w przepasce na biodrach. Postukałam go w ramię, a on nachylił się do mnie i uśmiechnął na widok tatuaży.

- Co to za miejsce?! - wrzasnęłam. - I jakie miasto? Nawet nie mrugnął.

- Toronto, proszę pani!

Toronto. To brzmiało dość prozaicznie. Równie dobrze mogłabym znajdować się na Księżycu.

Ktoś złapał mnie za rękę. Młoda kobieta. Czternasto-albo czterdziestolatka. Ubrana bardziej konserwatywnie niż ludzie dokoła, w obcisłą czarną sukienkę z lejącego się, błyszczącego materiału. Blondynka z makijażem jak u Kleopatry i nierównymi ustami, jakby chirurg plastyczny nie dokończył jeszcze roboty.

- Król Elfów czeka - oznajmiła.

- No to idziemy - odparłam.

Rozdział 15

Szłyśmy przez salę, lawirując pomiędzy usuwającymi się nam z drogi mężczyznami i kobietami, którzy tańczyli w takt coraz głośniejszej muzyki. Nigdzie nie dostrzegłam zombie. Dziwne. Demoniczne pasożyty lubią miejsca, gdzie zażywa się narkotyki - osłabiające umysł substancje sprawiają, że ludzie stają się podatni na wpływy, dzięki czemu łatwo pojąć ich ciała.

Ale byli tylko ludzie. I w większości najwyraźniej znali moją przewodniczkę. Obserwowali ją uważnie, gdy ich mijała, połyskując dzikimi oczyma. Ona jednak każdego ignorowała i sunęła dalej z gracją, delikatnie, z wyuczoną elegancją przywodzącą na myśl gwiazdeczki filmowe z dawnych czasów - dziewczyny z dobrych domów, dumnie przechadzające się za kulisami, jakby były kimś lepszym od zwykłych ludzi.

Zauważyłam inne kobiety, podobne do tej przede mną, dziwnie nieruchome pośród podrygującego tłumu; w jedwabnych sukniach, z doskonałymi fryzurami i perfekcyjnymi figurami. Wszystkie przechylały głowy, jakby wsłuchiwały się w jakiś odległy dźwięk. Nikt nie zwracał na nie uwagi; ale ja w pewnej chwili zobaczyłam, że jedna z nich prowadzi za sobą jakiegoś ubranego na czarno mężczyznę. Starłam się dojrzeć coś więcej, ale para zniknęła nagle w gąszczu imprezowiczów.

Czułam, że ten tłum i mnie pochłania. Że ze wszystkich stron nacierają na mnie ludzie. Zaczynałam się dusić.

Jednak brnęłam dalej w rytm odzwierciedlającej mój nastrój ostrej rockowej muzyki. Kamienna posadzka jak ulał pasowała do szorstkości sztucznych stalaktytów na rozległym suficie. Szłam trasą wyznaczoną przez blond przewodniczkę, która kluczyła pomiędzy tańczącymi, nie wiedząc czemu przemierzając salę od ściany do ściany i z powrotem. Zakręciło mi się od tego w głowie. Ktoś ugryzł mnie w szyję.

Mocno, przez golf. Usłyszałam trzask łamanych zębów. Okręciłam się, ale zobaczyłam tylko mur falujących ciał. Nikt nie pluł krwią.

Na plecach poczułam dotyk czyichś rąk, a potem ostrze noża wpychanego między moje uda. Nie zabolalo, choć czubek noża przeciął dzinsy i majtki. Natychmiast zalała mnie fala obrzydzenia. Uderzyłam łokciem w tył, ale natknęłam się na pustkę. W tej samej chwili jakieś palce wczepiły mi się we włosy. Ktoś za nie pociągnął, moja głowa szarpnęła się do tyłu. Ostre paznokcie przejechały mi po szyi, ale nie wyrządziły żadnej krzywdy, bo chłopcy już osłaniali to miejsce.

Potem nagle napastnik mnie puścił. Z mocno bijącym sercem rozejrzałam się nieprzytomnie. Ujrzałam morze krwawo pobłyskujących zębów, konwulsyjnie poruszających się długich palców i kocich oczu - leniwie połyskiwały na twarzach mężczyzn. Faceci byli wczepieni w swoje partnerki, których

wytatuowane ciała wyglądały teraz, jakby pokrywały je opalizujące łuski. Ludzie nie przerwali tańca, ale przyglądali mi się z dziwnymi uśmieszkami i szeptali coś do siebie, zasłaniając usta dłońmi.

W ustach poczułam metaliczny smak. Okazało się, że przygryzłam sobie język. Plunęłam krwią pod nogi i w tym samym momencie pojawiła się blond przewodniczka - oaza spokoju. Stała w mojej krwawej plwocinie.

- Chodź, już prawie jesteśmy na miejscu - powiedziała.

Wpatrywałam się w nią w milczeniu, aż odwróciła wzrok i ruszyła przed siebie. Nie byłam przekonana, czy chcę za nią pójść. Jednak skoro doszłam już tak daleko, musiałam to zrobić. Musiałam.

Tak jak wcześniej, tancerze usuwali się nam z drogi. Bałam się, że znów zostanę zaatakowana, co było nawet gorsze, niż gdyby faktycznie do tego doszło. Po prawej ponownie spostrzegłam mężczyznę w ciemnym ubraniu, prowadzonego przez jedną z blondynek. Nie widziałam jego twarzy - prawie w ogóle go nie widziałam, ale wyczuwałam, że jest oszołomiony, że się boi.

Spojrzałam na plecy swojej przewodniczki, przypominając sobie te paznokcie i noże. I nagle zaczęłam się przedzierać w stronę tamtego mężczyzny.

Już straciłam go z oczu, mimo to podążałam w kierunku miejsca, w którym jeszcze przed chwilą stał. Nie była to duża odległość, ale przed sobą miałam mnóstwo ludzi. Gdy ich mijałam, dotkali mnie i dyszeli mi do ucha. Jakaś kobieta liznęła mnie po policzku. Odepchnęłam ją i parłam dalej - ogłuszona muzyką tętniącą głośno w rytm mojego serca. Czerwona kula rozsiewała wokół przymglone światło, sprawiając, że powietrze wydawało się nasączone krwią. Gdzieś przed sobą, w tle bębniącej perkusji, usłyszałam przeraźliwy wrzask.

Chciałam przyspieszyć, ale w tym samym momencie wokół mnie wyrósł mur z tancerzy. Stali przy sobie tak blisko, że przechodzenie między nimi przypominało przedzieranie się przez cierniste krzaki. Nie mogłam złapać oddechu. Czułam się tak, jakby otaczające mnie postacie chciały mnie zmiażdżyć. Wpadłam w panikę - nie mogłam znieść tego klaustrofobicznego przeżycia. Miałam wrażenie, że znów wylądowałam w Ziemi Jałowej - pogrzebana tam żywcem i osamotniona. Zupełnie sama.

Przede mną stała kobieta z długim warkoczem opadającym na ramię. Złapałam za ten warkocz, kopnęłam kobietę w tył nóg, zmusiłam ją, żeby opadła na kolana. Zrobiłam to tak szybko, że zaskoczona nie zdążyła się obronić.

Jednak brnęłam dalej w rytm odzwierciedlającej mój nastrój ostrej rockowej muzyki. Kamienna posadzka jak ulał pasowała do szorstkości sztucznych stalaktytów na rozległym suficie. Szłam trasą wyznaczoną przez blond przewodniczkę, która kluczyła pomiędzy tańczącymi, nie wiedzieć czemu przemierzając salę od ściany do ściany i z powrotem. Zakręciło mi się od tego w głowie. Ktoś ugryzł mnie w szyję.

Mocno, przez golf. Usłyszałam trzask łamanych zębów. Okręciłam się, ale zobaczyłam tylko mur falujących ciał. Nikt nie pluł krwią.

Na plecach poczułam dotyk czyichś rąk, a potem ostrze noża wpychanego między moje uda. Nie zabolalo, choć czubek noża przeciął dzinsy i majtki. Natychmiast zalała mnie fala obrzydzenia. Uderzyłam łokciem w tył, ale natknęłam się na pustkę. W tej samej chwili jakieś palce wczepiły mi się we włosy. Ktoś za nie pociągnął, moja głowa szarpnęła się do tyłu. Ostre paznokcie przejechały mi po szyi, ale nie wyrządziły żadnej krzywdy, bo chłopcy już osłaniali to miejsce.

Potem nagle napastnik mnie puścił. Z mocno bijącym sercem rozejrzałam się nieprzytomnie. Ujrzałam morze krwawo pobłyskujących zębów, konwulsyjnie poruszających się długich palców i kocich oczu - leniwie połyskiwały na twarzach mężczyzn. Faceci byli wczepieni w swoje partnerki, których wytatuowane ciała wyglądały teraz, jakby pokrywały je opalizujące łuski. Ludzie nie przerwali tańca, ale przyglądali mi się z dziwnymi uśmiezkami i szeptali coś do siebie, zasłaniając usta dłońmi.

W ustach poczułam metaliczny smak. Okazało się, że przygryzłam sobie język. Plunęłam krwią pod nogi i w tym samym momencie pojawiła się blond przewodniczka - oaza spokoju. Stała w mojej krwawej plwocinie.

- Chodź, już prawie jesteśmy na miejscu - powiedziała.

Wpatrywałam się w nią w milczeniu, aż odwróciła wzrok i ruszyła przed siebie. Nie byłam przekonana, czy chcę za nią pójść. Jednak skoro doszłam już tak daleko, musiałam to zrobić. Musiałam.

Tak jak wcześniej, tancerze usuwali się nam z drogi. Bałam się, że znów zostanę zaatakowana, co było nawet gorsze, niż gdyby faktycznie do tego doszło. Po prawej ponownie spostrzegłam mężczyznę w ciemnym ubraniu, prowadzonego przez jedną z blondynek. Nie widziałam jego twarzy - prawie w ogóle go nie widziałam, ale wyczuwałam, że jest oszołomiony, że się boi.

Spojrzałam na plecy swojej przewodniczki, przypominając sobie te paznokcie i noże. I nagle zaczęłam się przedzierać w stronę tamtego mężczyzny.

Już straciłam go z oczu, mimo to podążałam w kierunku miejsca, w którym jeszcze przed chwilą stał. Nie była to duża odległość, ale przed sobą miałam mnóstwo ludzi. Gdy ich mijałam, dotkali mnie i dyszeli mi do ucha. Jakaś kobieta liznęła mnie po policzku. Odepchnęłam ją i parłam dalej - ogłuszona muzyką tętniącą głośno w rytm mojego serca. Czerwona kula rozsiewała wokół przymglone światło, sprawiając, że powietrze wydawało się nasączone krwią. Gdzieś przed sobą, w tle bębniącej perkusji, usłyszałam przeraźliwy wrzask.

Chciałam przyspieszyć, ale w tym samym momencie wokół mnie wyrósł mur z tancerzy. Stali przy sobie tak blisko, że przechodzenie między nimi przypominało przedzieranie się przez cierniste krzaki. Nie mogłam złapać oddechu. Czułam się tak, jakby otaczające mnie postacie chciały mnie zmiążdżyć.

Wpadłam w panikę - nie mogłam znieść tego klaustrofobicznego przeżycia. Miałam wrażenie, że znów wylądowałam w Ziemi Jałowej - pogrzebana tam żywcem i osamotniona. Zupełnie sama.

Przede mną stała kobieta z długim warkoczem opadającym na ramię. Złapałam za ten warkocz, kopnęłam kobietę w tył nóg, zmusiłam ją, żeby opadła na kolana. Zrobiłam to tak szybko, że zaskoczona nie zdążyła się obronić.

Postawiłam stopę na jej barku i chwytając się głowy jakiegoś faceta obok, wspięłam się na klęczącą kobietę. Uczepiona ubrań ludzi wokół, wyprostowałam się. Miałam wrażenie, że wydostaję się na wolność z mrocznej, śmierdzącej potem jamy.

Sekundę później balansowałam na czyichś ramionach, wymachując rękami, żeby utrzymać równowagę. Przez chwilę widziałam całe pomieszczenie i mężczyznę w czerni. Jak się okazało, był całkiem blisko, tyle że okładany pięściami runął na ziemię. Dobrze przyjrzałam się jego twarzy.

Ktoś złapał mnie za kostki, więc dałam susa i wylądowałam na głowie jakiejś kobiety. Zachwiała się pod moim ciężarem. Żeby nie upaść, wykonałam kolejny skok, waląc przy okazji kolanem w czyjeś obnażone ramię. Noga znowu mi się omsknęła, ale od maltretowanego mężczyzny dzieliła mnie już nieduża odległość, więc wyprężyłam się i skoczyłam w sam środek akcji.

Uderzyłam w podłogę. To nie zabolalo, choć krew na-biegła mi do głowy i przed oczyma zamigotały gwiazdy. Chciałam się podnieść, ale ktoś ściągnął mnie w dół. Moich ubrań czepiały się ostre jak sztylety pazury. Byłam zdumiona, ile siły mają ludzie, którzy na mnie napierają.

Stwierdziłam, że najwyższy czas się bronić. Zaczęłam więc wywijać rękoma. Wbijałam paznokcie we wszystko, na co trafiłam. Obdzierałam ludzkie kości z ciała. Wokół rozległy się wrzaski bólu, ale napastnicy nie poddawali się, nie przestawali nacierać. Czułam się tak, jakby pożerano mnie żywcem. Jakby ktoś najpierw mnie przeżuł, a potem wypluł. Całe ciało miałam obryzgane krwią. Nie swoją. Cudzą, którą walczący ze mną we śnie chłopcy natychmiast w siebie wchłaniali.

A potem nagle wszystko ustało. Napastnicy odsunęli się i, stojąc nieruchomo, przyglądali mi się nieufnie. Nikt już nie tańczył. Ktoś tylko odciągał w tłum rannych. Muzyka nadal dudniła.

I wtedy zbliżył się do mnie ten niski, brzuchaty mężczyzna w czarnym ubraniu. Wierzchem rozrzuconej dłoni wycierał krew ściekającą z głębokiej rany na policzku.

- Tropicielko - wybełkotał, po czym się zachwiał. Żeby nie upadł, objęłam go ręką w pasie, choć sama ledwo stałam na miękkich kolanach.

- Ojciec Lawrensie - wydyszałam ochryple. - Miło cię widzieć.

Już nikt więcej nas nie dotknął.

Tancerze trzymali się na dystans - z większej odległości wyglądali jak zwykli ludzie. Przestałam im się przypatrywać. Blondynka znowu nas prowadziła zawiłą trasą, choć gdyby sala była pusta, można by ją przejść w niecałą minutę. Muzyka bębniła bez przerwy.

Klepnęłam przewodniczkę po ramieniu.

- Jak masz na imię?

- Imię? - Musiała się zastanowić nad odpowiedzią. - Na imię mam... Nephele.

- Co to za miejsce, Nephele?

Obejrzała się na mnie przez ramię z miną mówiącą, że nigdy jeszcze nie widziała kogoś tak głupiego.

- Dwór Króla Elfów.

Ojciec Lawrence zmarszczył czoło.

- Znam tę nazwę. Z Goethego.

- Tego poety?

- „Czyż nie widzisz Króla Elfów siedzącego na tronie?” - wyrecytował ksiądz, wycierając rękawem krew z policzka. - Erlkenig. Król Elfów. Postać ze skandynawskiego folkloru. Później przeniknęła także do mitologii germańskiej. W obydwu wypadkach istota wredna, małostkowa i okrutna.

No to wspaniale. Już się nie dziwiłam, dlaczego otacza mnie zgraja potworów. Czując pieczenie prawej dłoni, potarłam pierścień, po czym zerknęłam na Lawrence'a. Nadal próbował wytrzeć twarz, choć robił to raczej po to, żeby się czymś zająć, niż żeby rzeczywiście pozbyć się krwi.

Wprowadź go stąd. Natychmiast.

Zbliżyłam się do księdza, ale go nie dotknęłam. Miałam złe przeczucia co do tego, żeby opuścić to miejsce. Choć z drugiej strony wcale nie uśmiechało mi się zostawać. Ale skoro już tu byłam, mogłam wszystko zakończyć. Albo tylko stracić czas.

Jednak walka o przetrwanie stanowiła moją codzienność. Liczył się każdy przeżyty dzień, który dodany do poprzednich mógł w przyszłości zsumować się w całe życie.

- Jak się tu dostałeś z Chin? - spytałam ojca Lawrence'a, podnosząc głos, żeby mnie usłyszał pomimo dudniącej muzyki.

Posłał mi dziwne spojrzenie.

- Sądziłem, że nadal jestem w Chinach.

- Mnie powiedziano, że to Toronto. Na sekundę przymknął oczy.

- Niewykluczone, że obydwójce mamy rację. Nie wiem, jak się tutaj znalazłem. Ale czuję, że tu zginę.

Mówił bez żalu i smutku. Oderwałam oczy od jego poranionego policzka i spojrzałam na tłum bez konkretnego celu. Dłużej już nie mogłam dusić w sobie tego, co cisnęło mi się na usta.

- Przepraszam. To moja wina - powiedziałam w końcu.

Lawrence potknął się o coś, więc wyciągnęłam rękę, żeby go podtrzymać. On zrobił to samo i nasze dłonie spotkały się w połowie drogi. Zdumiała mnie siła jego uścisku i intensywność spojrzenia.

- Mylisz się - odparł i po krótkiej przerwie dodał: - Nie jesteś taka, jak się spodziewałem.
- Dziwne, że w ogóle czegoś się po mnie spodziewałeś, wiedząc to, co wiesz, ojcze - mruknęłam, myśląc o tatuażu na przedramieniu księdza. Potarłam szczękę i skraj ukrytej blizny. - A jak mnie sobie wyobrażałeś?

- Myślałem, że okażesz się zimna - odparł, przyglądając się mojej twarzy. - Bezlitosna.
- No ale Matką Teresą też nie jestem.
- Nawet Matka Teresa nie była święta. Legendy często rozmijają się z prawdą. Tak jak w twoim przypadku, Tropicielko Kiss.

Wypuściłam delikatnie jego dłoń. Nephele, która odwróciła się w naszą stronę, przechyliła głowę i obserwowała nas uważnie. I choć oczy miała matowe, spokojne, nie mogłam pozbyć się wrażenia, że to tylko maska, że pod spodem kryje się potwór, równie dziki i okrutny jak otaczający nas ludzie, którzy nie przerywali tańca - jakby się bali, że jeśli przystaną, umrą. Bijąca od nich energia przyprawiała o zawrót głowy, podobnie jak bezustannie łomocząca muzyka.

Kłębilo się we mnie wiele pytań, ale czasu na odpowiedzi było mało. Spojrzałam na ojca Lawrence'a, potem znowu na Nephele.

- Jakim sposobem dałeś się wpłatać w moje życie? Zagrałeś z innymi braciszkami w marynarza?

Opuścił wzrok na swoje roztrzęsione dłonie.

- Kiedyś zawładnął mną demon.

Spojrzałam na niego ostro. Nephele, w opływającej ciało jedwabnej sukni i z zupełnie pustym wzrokiem, zbliżyła się do nas i zatrzymała na wyciągnięcie ręki.

- Lepiej uważaj - zwróciła się do mnie.

- Pieprz się - warknęłam, nadal poruszona tym, co usłyszałam od ojca Lawrence'a.

Na twarz blondynki wypłynął lekki uśmiech. Zdawało się, że jest namalowany w powietrzu i unosi się nad skórą, kośćmi i mięśniami. Kobieta zafalowała niczym miraż, a ja po raz kolejny poczułam zawrót głowy. Pociemniało mi w oczach, a potem zobaczyłam świetliste punkciki.

Kiedy odzyskałam ostrość widzenia, wszystko wyglądało inaczej.

Po pierwsze było cicho. Żadnej muzyki. Mężczyźni i kobiety nadal kiwali się rytmicznie, ale w ciszy; rozproszeni, powściągliwi, wysocy i bladzi. Ich ciała wydawały się podzielone, rozcłunkowane - tak jakby nogi poruszały się niezależnie od bioder, a ręce niezależnie od ramion. Tańczyli wolno i ostrożnie, jak nakręcone mechaniczne lalki. Nie oblekała ich skóra, tylko raczej jedwabna tkanina, taka z jakiej była zrobiona sukienka blondynki. Wszyscy na twarzach mieli maski.

Wstrząsnął mną lodowaty dreszcz. Odnosiłam wrażenie, że przeszliśmy na drugą stronę lustra - w magiczny sposób przenieśliśmy się z rockowej dyskoteki na wenecką maskaradę. Widziałam porcelanowe maski, puste oczy i wytworne stroje obwieszane delikatną, drogocenną biżuterią. Powietrze wypełniał dym i zapach olejku z drzewa sandałowego, a na suficie zamiast połyskującej kuli wisiała teraz wielka lampa w kształcie połówki słońca, czerwona od rubinów. Otaczały ją stalaktyty, ale już nie z malowanego plastiku, tylko prawdziwe, kamienne, ostre jak sztylety. A na końcu sali, w zupełnie niesamowitej odległości, stały masywne kolumny z białego rzeźbionego marmuru, otoczone pochodniami. Unoszący się dym rozpląwał się w cieniach.

Dwór Króla Elfów. Albo Olimp, Asgard lub jakaś inna kraina z legend. To była magia, odmienna rzeczywistość, dzika i przerażająca. Kogoś innego na moim miejscu z pewnością ogarnęłaby groza. Zdumienie odebrałoby mu rozum.

- Tropicielko. - Ojciec Lawrence dotknął mojego łokcia, wskazując na kamienną posadzkę.

Pod naszymi stopami wiły się niewyraźne linie srebrzystego światła. Wyznaczały granice lub szlak. Staliśmy pomiędzy nimi, widząc, że stanowią część większego wzoru. Na myśl przyszedł mi tatuaż na plecach Franca; labirynt w katedrze w Chartres. Ja także znajdowałam się na tej drodze, w pielgrzymce do strasznego, pełnego przemocy oświecenia.

- Znasz ten motyw - zwróciłam się cicho do księdza, choć zdawałam sobie sprawę, że Nephele mnie słyszy. - Co on według ciebie oznacza?

- Moje opinia to nie to samo co prawda, nie wspominając już o tym, że wszystkie prawdy, w które wierzyłem, okazały się kłamstwami. - Spojrzał mi prosto w oczy. Znowu był taki jak wtedy w katedrze. Już nie wymachiwał bronią i nie przeklinał. Z powrotem stał się spokojnym, zamyślonym księdzem. - Nie pierwszy raz mój zakon próbuje unicestwić twój ród.

Podcięte gardło. Kobieta w grobie. Łkające dziecko. Wspomnienia wżarte w tkanki mojego ciała.

- Niesamowite, że o niczym nie wiedziałas - dodał ojciec Lawrence w odpowiedzi na moje pytające spojrzenie. - Że nie widziałas o nas.

- Dziwne, prawda? - rzuciłam oschle.

Poczułam na skórze szarpnięcie Zee, a potem Rawa i Aaza. Dek i Mai też przypominali mi o swoim istnieniu. Zaczęli wiercić się we śnie na mojej czaszce i twarzy, na co nikt dokoła, łącznie z ojcem Lawrence'em, zupełnie nie zwracał uwagi.

Zee znów się poruszył gwałtownie, wsysając w siebie moją skórę niczym rura odkurzacza. Odwróciłam się. Jeden z tancerzy odłączył się od tłumu. Tak jak reszta falujących postaci miał maskę, ale zasłaniała mu tylko połowę twarzy. Była prosta, z jasnego drewna, poznaczona srebrnymi żyłkami. Na górze po bokach sterczały gołe oszronione gałęzie i zakrwawione rogi. Szkarłatny płaszcz, skóra biała jak śnieg, oczy przekrwione, z bursztynowymi otoczkami wokół tęczówek. Spojrzenie przepętniał głód i jakaś obcość, ale to nie miało związku ani z kształtem oczu, ani z ich kolorem. Rozpoznałam je. Wszystko inne się zmieniło, lecz nie oczy.

Nephele padła na kolana i przycisnęła czoło do kamiennej posadzki. Mężczyzna w masce zignorował i ją, i ojca Lawrence'a. Jego zaciśnięte usta uśmiechały się tylko do mnie.

- Moja pani - powiedział.

- Mister King - odparłam zupełnie nieporuszona. Patrzyłam na nowe ciało awatara, a i tak widziałam małego, grubego człowieczka w wygniecionym garniturze, wpychającego do ust hot doga i umaczane we krwi precle. Ten obraz był o wiele bardziej niepokojący niż nieziemska postać, w którą wcielił się King. Zbyt dziwna, zbyt komiczna, żeby wzbudzić we mnie coś więcej niż nikłe zaciekawienie.

Falsz. Sztuczność. Kostiumy i kłamstwa. On jest niczym, zaledwie myślą i energią.

- Zatańcz ze mną - zaproponował szeptem. - Mamy sobie coś do powiedzenia.

Rozprostowałam palce dłoni, pragnąc obudzić ciemność w moim sercu. Zastanawiałam się, czego trzeba, aby dziewczyna taka jak ja zapalała żądzą mordy. Nic się jednak nie wydarzyło. Nic się nie poruszyło pod moimi zębami. Ale na dłoniach nie miałam rękawiczek, chłopcy zaś w swoich snach rozpoczęli już *dance macabre*.

- Nephele - odezwał się King, nie odrywając ode mnie wzroku. - Zaprosz naszego gościa do tańca.

- Nie, ja tu zaczekam - sprzeciwił się ojciec Lawrence, posyłając mi ostrzegawcze spojrzenie.

Popatrzyłam mu prosto w oczy, lecz milczałam. Co tu mówić? Oboje wiedzieliśmy, że mamy przechłapanie. Księżulek bardziej niż ja, bo jego ciała nic nie ochraniało.

Mister King wysunął do mnie rękę. Stałam nieruchomo. Walczyłam z chęcią, żeby rzucić się na niego. Jednak kiedy mnie dotknął, to on się wzdygnął, nie ja. Gdy owinał palce wokół mojej prawej dłoni, przeszedł go prąd, a w oczach za maską pojawił się wyraz bólu i potwornego głodu. Mimo to już po chwili te jego cienkie usta znów ułożyły się w szyderczy uśmieszek i King zaczął prowadzić mnie tyłem

między tancerzami obserwującymi nas zza masek. To kolejna gra, pomyślałam. Następna część mrocznej sztuki. Tyle że przed sobą nie miałam demona, a coś innego.

Nie jestem najlepszą tancerką. Nie mam wycucia rytmu. A jednak teraz moje stopy wręcz płynęły nad ziemią. Poruszałam się tak jak podczas walki - instynktownie. King nie ścisnął mnie mocno, choć z pewnością nie sprawiał wrażenia rozluźnionego. Nie był też jednak przestraszony. Raczej ostrożny. Chciał, żebym się zjawiała w tym miejscu. Koło przeznaczenia zatoczyło krąg. King działał według planu. Zdałam sobie sprawę, że Jack się nie mylił: ten awarat nie wie, że to ja jestem odpowiedzialna za śmierć Ahsen.

- A więc znów tu się znaleźliśmy - wymamrotał. -1 tańczymy ze sobą, myśląc o śmierci.

- Ale ty się mnie nie boisz - zauważyłam. - Bez względu na to, co chodzi mi po głowie.

Zacisnął usta w napiętym uśmiechu.

- Pomagałem ci stworzyć. Wszyscy mistrzowie Boskiej Kreacji maczali palce w formowaniu twojego gatunku. Byłaś pierwsza, moja pani. Najstarsza ze Strażniczek. I najbardziej kłopotliwa. Oczywiście, że się ciebie nie boję.

Ale czegoś się jednak obawiasz, przemknęło mi przez myśl, gdy spostrzegłam, że King zerka na pancerz na mojej ręce. Przez chwilę nawet sądziłam, że spróbuje ją odgryźć. To wyobrażenie było tak silne, że niemal widziałam, jak dłoń i nadgarstek znikają w jego gardle.

Ale King nie rzucił się na mnie, choć nagle obliznął wargi i kilkakrotnie poruszył szczęką, jakby coś przeżuwał. Ten widok wywołał z mojej pamięci obraz człowieczka w pogniecionym garniturze pożerającego pizzę tak, jakby jadł coś po raz pierwszy od wielu lat i nie mógł się tym nasycić.

W końcu oderwałam wzrok od jego ust i zobaczyłam, że przygląda mi się uważnie.

- Jesteś taka jak ona - oznajmił półgłosem. - Dostrzegłem to w twoich oczach, kiedy zabijałaś mojego poprzedniego skórnik. Masz w sobie dokładnie coś takiego, co było też w niej. Pięć tysięcy lat nie zniszczyło moich wspomnień. Pamiętam twoją poprzedniczkę, zanim zniknęła z tego świata. Zanim wpadła do Labiryntu, a potem powróciła z tym czymś. - Zerknął na pierścień. - Lepiej, żebyś go długo nie nosiła, moja pani. Śmiertelnik nie zdoła kontrolować rzeczy zrodzonych w Labiryncie. One mają własny umysł.

- Ty przecież też jesteś śmiertelny - zauważyłam. - Co znaczy, że możesz umrzeć tak jak my. W gruncie rzeczy nic nie stoi na przeszkodzie, żeby to się stało.

- Istnieją słońca, które są młodsze od mojego gatunku - odparł. -1 chociaż przez jakiś czas istnieliśmy w zapomnieniu, za wcześnie mówić o naszej śmierci.

- Nie pieprz mi tu bzdur. - Pochyliłam się do niego tak bardzo, że mogłabym go pocałować, gdybym chciała. Śmierdział zwłokami; świeżymi, zimnymi i pustymi. - Jesteś przerażony. Boisz się Granta i tego,

że będziesz tutaj, kiedy runie Zasłona. Dobrze wiesz, co demony robiły z Ahsen, kiedy siedziała z nimi zamknięta. - Uśmiechnęłam się lodowato. - Pewnie nie chciałbyś tego przeżyć. Drżą ci kolana na myśl, że musiałbyś obciążać druta jakiemuś demonowi przez kolejne tysiąc lat. A może by ci się to podobało? Może za tym tęsknisz?

Podjudzałam go. Chciałam wkurzyć drania. Potrzebowałam tego, bo w środku nadal niczego nie czułam, nawet najmniejszego drgnienia. Przybyłam tu z misją, lecz jak na razie marnowałam każdą sekundę.

King, w którego oczach jarzyła się czysta nienawiść, przestał tańczyć. Prawie zapomniałam, że nie jest w stanie mi nic zrobić. Ogarnęło mnie silne pragnienie, żeby uciec. Tak bardzo chciałam stamtąd zwiać, że faktycznie zrobiłam krok w tył. King jednak nie pozwolił mi odejść. Nigdy nie widziałam tyle bólu.

Ale nie ja go powodowałam. Awatar patrzył przeze mnie, jakby dostrzegł coś przerażającego.

- Jeśli nie jesteś dziwką - szepnął - to musisz być wojownikiem. A jeśli nie jesteś wojownikiem, jesteś królową. W krainie demonów nie ma form pośrednich.

Zee zamarł na mojej skórze. Podobnie jak reszta chłopców. Jak gdyby słowa Kinga ogromnie ich poruszyły, przywołały dawno zapomniane wspomnienia. Chciałam ich pogłaskać, ale moja prawa dłoń nadal była uwięziona, a lewa leżała na ramieniu Kinga, który znów mi się przyglądał już zupełnie przytomnym wzrokiem. Zdawało się, że nagle się ocknął i przypomniał sobie, gdzie jest i z kim. Nienawiść w jego oczach zmieniła się w lodowatą ciekawość, co strasznie zbiło mnie z tropu.

- Stary Jack - zaczął wolno - zrobił z tobą coś ogromnie nieoczekiwanego.

- Naprawdę? - zakpiłam. - Nigdy nie przypuszczałabym, że coś może cię zaskoczyć.

Tym razem się nie uśmiechnął.

- Twoja krew. On jest w twojej krwi. Każdy awatar zostawia w skórze, którą zamieszkuje, swoje znamię, charakterystyczne tylko dla nas. To znamię jest... w tobie. Czuję je. - King przyciągnął mnie do siebie gwałtownie. - Nawet ja nie odważyłbym się majstrować w twoim rodowodzie.

- Ty zamierzałeś mnie zabić.

- Śmierć jest bezpieczniejsza od alternatyw - szepnął. - On cię zmienił i przez to stałaś się nietykalna. Ale to znaczy, moja pani, że teraz jesteś więcej warta żywa. Kiedy inni cię zobaczą, kiedy się przekonają, co zrobił Stary Wilk, wściekną się i zemszczą na nim. Będzie cierpiał gorzej niż Ahsen.

- Kochałeś ją - stwierdziłam obojętnym tonem. - To dlatego nienawidzisz Jacka.

Pchnął mnie tak, że wpadłam w tłum tańczących. Nikt nawet nie pisnął.

- Skoro nie mogę czegoś dostać, muszę wymyślić sposób, żeby to sobie wziąć - oświadczył miękko.

- Masz w tym wprawę - sarknęłam, wskazując na kołyszących się ludzi, którzy w całkowitym milczeniu przesuwali się po wyrytych w posadzce ścieżkach labiryntu. - Niejedno już sobie wzięłeś.

- Niczego nie brałem - zaprzeczył i zrobił taki ruch, jakby zamierzał się odwrócić. - To... zostało mi podarowane. I ta moja świątynia. A zrewanżowałem się, dosyć hojnie. Magia. Mniej zwyczajna egzystencja. Zdziwiłabyś się, ilu pożąda tych tak prostych rzeczy.

Widziałam dorosłych mężczyzn i kobiety, którzy pili krew i unikali światła dziennego, sądząc, że dzięki temu staną się wampirami. Spotkałam osoby praktykujące czarną magię lub głęboką medytację w poszukiwaniu ponadnatu-ralnych mocy. New Age panowało wszędzie, nie wspominając już o poszukiwaczach UFO. Zresztą taką samą ucieczką co fantazjowanie o nadludzkiej sile było uganianie się za władzą i bogactwem.

Więc nie, to mnie nie dziwiło. Ale przerażał fakt, że to takie proste.

- Walczyliśmy na wojnie - ciągnął King, sprawiając wrażenie, jakby mówił do siebie. - Wybudowaliśmy więzienie. Wszystko dla tego klejnotu, dla tej słodkiej wyspy, żeby ratować siebie i ludzi, którzy traktowali nas jak bogów. Ale oni o nas zapomnieli, kiedy już przestaliśmy być im potrzebni. Stracili nas z piedestału. Wybudowali ten swój żelazny świat. I dlatego teraz odbieram co do mnie należy, bo takie moje prawo. Prawo tego, kto ich stworzył. - Popatrzył na mnie twardo. - Labirynt nie odrzuci mnie po raz drugi.

Klasnął w dłonie, a tancerze się rozstąpili. Zobaczyłam ojca Lawrence'a, klęczał, trzymając się za serce. Nephela stała za nim z rękoma ułożonymi na jego głowie. Rzuciłam się w ich stronę, ale mnie zatrzymano. Tancerze. Palcami silnymi jak stalowe supły.

- Nie rób mu krzywdy - krzyknęłam.

- On jest tylko ciałem - odparł King. - Którego potrzebuję. Chyba że otworzysz dla mnie Labirynt w zamian za to, że zostawię księżulka w spokoju. - Uśmiechnął się, widząc moje wahanie. - Wiedziałem, że tego nie zrobisz.

Spojrzał na Lawrence'a i w tej samej chwili przez powietrze przeleciał jakiś prąd. Ksiądz odrzucił głowę w tył i zawył.

Teraz, krzyknęłam w myślach, desperacko próbując wyszarpnąć się z uścisku przytrzymujących mnie rąk. Do cholery, teraz.

Ojciec Lawrence przestał się wydzierać, choć jego ciało straszliwie się trzęsło, a głowa opadła na ręce Nepheli. Kobieta z łagodnym uśmiechem wbiła palce w policzki i czoło księdza. Spod jej paznokci trysnęła krew. Mister King ruszył w kierunku klęczącego, wymachując rękoma jak dyrygent. Opalona skóra na dłoniach ojca Lawrence'a zafalowała.

Wrzasnęłam na awatara i rzuciłam się ku niemu, a razem ze mną chłopcy. Moja wytatuowana skóra zrobiła się tak gorąca, że ci, którzy mnie trzymali, krzyknęli. Parzyli sobie ręce o moje płonące ubrania.

Znów się szarpnęłam i tym razem nikt mnie już nie złapał. Pod sercem poczułam wreszcie drgnięcie budzącej się ciemności.

King odwrócił się do mnie, a ja, korzystając z okazji, walnęłam go pięścią w twarz. Zmiażdżyłam maskę. Okazało się, że nie była z drewna, tylko z kości i wyrastała z twarzy. Kingiem zarzuciło, ale nie padł na ziemię. Chwyciłam go za włosy, a drugą ręką za gardło, wbijając palce w tętnicę. Narastało we mnie uczucie głodu. Miało posmak śmiechu. Ciało Kinga, twarde i gładkie jak marmur, zaczęło się palić od gorąca wytwarzanego przez chłopców.

Nie krzyczał. Nie miał zakończeń nerwowych. Ale z kącików oczu wyciekła krew i choć na początku patrzył na mnie wyzywająco, a nawet z cieniem znudzenia, chwilę potem to się zmieniło. Gdy zajrzał mi głęboko w oczy. Patrzył, nie mrugając, aż nagle w jego spojrzeniu pojawił się strach, tak gęsty, że dałoby się go ciąć nożem. Czyjeś ręce próbowały odciągnąć mnie od Kinga. Wiele szarpiących dłoni. Nic jednak nie mogło mnie powstrzymać. Wszystko, co się ze mną zetknęło, zaczynało płonąć. j King nadal się na mnie gapił.

- A ty myślałaś, że kto zabił Ahsen? - spytałam. Ciem- | ność we mnie robiła się coraz bardziej żywotna.

Awatar zaniechał walki, a gdy zbliżyłam się do niego na tyle blisko, że ustami prawie dotykałam jego policzka, szarpnął się w tył przerażony tym, co rosło w moich kościach i krwi. Rozprzestrzeniało się powoli, lecz sukcesywnie, jak wzbierające morskie fale: ciepłe, oblane blaskiem księżyca. Zamknęłam oczy, bo już ich nie potrzebowałam. Wyczuwałam każdy oddech, każde uderzenie serca wokół mnie. Tancerze stali się tylko ciałem, szkieletem i krwią - życie z nich wyciekało; ulatywało przez porowatą skórę niczym rzeka. Czułam to. Dotykałam ich... myślą.

Czułam też szept iluzji; ciche mamrotanie kamiennych ścian świątyni, która była jedynie wytworem wyobraźni, produktem umysłu Kinga, tak jak on zalatującym miażdżącą i zgnilizną. Godna pożalowania kreatura. Nic i nikt poza tym, kogo udawał. Bez jednej osoby, która byłaby mu bliska. Poza Ahsen. Ty mu ją odebrałaś.

Krótką myśl. Szybko odepchnięta. Ale już zdążyłam sobie przypomnieć śmierć Ahsen, a potem zamiast niej zobaczyłam Granta.

Chciałam otworzyć oczy, lecz nie panowałam nad ciałem. Próbowałam coś usłyszeć, ale docierał do mnie wyłącznie dudniący odgłos ciemności pod skórą. Walczyłam, by poczuć Kinga, duszącego się w uścisku moich dłoni, ale wychwytywałam tylko jego ducha.

Zabij go, rozkazałam istocie we mnie. Zabij. Nie wykonała polecenia. Powstrzymała się, badając awarata. Przyglądała mu się z tą samą chłodną precyzją, z jaką naukowiec ogląda rzadki gatunek mrówki. Wyczuwałam jej zaciekawienie, które z pewnością nie pochodziło ode mnie, a zarazem było we mnie.

Pamiętamy, szepnął miękki, syczący głos, a wtedy King wrzasnął, złapał się za głowę i zaczął się okropnie trząść, jakby mikroskopijne siekiery wbijały się od środka w jego ciało.

Cierpiał. Targał nim ból. Brutalny, okrutny. Pewnie po raz pierwszy. Ale to wcale nie sprawiło mi radości, nie dało satysfakcji. Wzbudziło tylko przerażenie. Dostałam, czego chciałam. King umierał.

Powoli. Cierpiąc katusze.

Doznawał bólu, ale nie tylko fizycznego. Odrywały się od niego wspomnienia, które przelatywały mi przed oczyma. Wirujące światła wywoływały taki zawrót głowy, że aż przyklęknęłam na jedno kolano. Widziałam gwiazdy, rozległą płachtę z gwiazd ciągnącą się w przestrzeń bez końca. A ze mną byli inni. Podróżowali przez mgławicową noc w postaci wilków, całych stad, zbitych ciasno niczym myśl. Stawali się jedną myślą - zbyt słabą, by załagodzić ból pełzającej, nieznośniej świadomości, że niczego nie czujemy, jesteśmy niczym i pomimo rozpaczki będziemy istnieć wiecznie, przejdziemy w ciemność po to, by znowu się pojawić, tacy sami...

Znowu i znowu. Nie mogłam przed tym uciec. Walczyłam i krzyczałam. Wolałam słyszeć siebie niż wrzaski w swojej głowie - te niekończące się gwieździste jęki awatarów zagubionych we własnym szaleństwie. Niemal podświadomie rozszarpałam sobie paznokciami ciało, aż szły iskry. W końcu gardło odmówiło mi posłuszeństwa.

Nagle usłyszałam w głowie głos Zee. On i chłopcy nucili w mojej wyobraźni rozpaczliwą kołysankę - i wtedy ta obecność zwinęta w moim sercu, ta otaczająca je ciemność zerwała łączność z Kingiem.

Awatar natychmiast umknął.

Poczułam jak dusza Kinga - lodowaty, twardy supeł - wystrzeliła jak z ginącego ciała. Dziwne, przerażające wrażenie. Jakby zerwała się łącząca nas pępowina. Prawie nic nie widziałam. Nie mogłam mówić. Z ust wydobywał mi się jedynie pisk.

Istota we mnie cichła. Moja jedyna broń przeciwko Ringowi cofała się z niewyjaśnionych powodów. Za każdym innym razem, gdy się budziła, natychmiast zabijała - ale teraz kiedy jej naprawdę potrzebowałam...

Zaczęła... myśleć.

A może nie.

Runęłam na podłogę. Dopiero po chwili udało mi się przekręcić na bok. I wtedy zobaczyłam, że otaczają mnie martwi ludzie.

Rozdział 16

Zaczęłam pisać pamiętnik. Nie z myślą o sobie. Dla potomków. Każda Tropicielela robiła zapiski. Po jej śmierci miały inspirować i uczyć przyszłe pokolenia. Żal mi było dziecka, które po mnie odziedziczy notatki.

Moja babka nie wyróżniała się wielkim talentem pisarskim. Zostawiła po sobie cienki tomik. Opisała całe swoje życie. Bez żadnej wzmianki o awatarach lub o Jacku. Ale kiedy tak leżałam na posadzce więzienia Mister Kinga, przypomniało mi się zdanie z jednej z ostatnich stron, naba-zgrany naprędce dopisek: „To, co robimy, jest mniej obciążające niż myśl, która wywołała nasze działanie”.

Nie zgadzałam się z tym.

Przepastna świątynia zniknęła. Znów znajdowałam się w klubie, którego prawdopodobnie w ogóle nie opuszczałam. Na suficie wirowała dyskotekowa kula, a muzyka bębniła tak, że dzwoniły zęby. Chętnie bym poszła i grzmotnęła pięścią w sprzęt stereo.

Nikt nie tańczył. I nikt nie był martwy, jak mi się wcześniej wydawało. Ludzie po prostu potracili przytomność. Leżeli bezwładnie z rozrzuconymi kończynami, w stosach, od których zalaływo potem. Wsłuchiwałam się w cichy szmer oddechów wydobywających się z przeszło stu ciał. I znajdowałam w tym głosie jakieś dziwne ukojenie. Dopóki nie pomyślałam o tym, co się stanie, kiedy ci mężczyźni i kobiety oprzytomnieją.

Chciałam się podnieść, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa. W głowie miałam pełno luk. Przez moment po upadku nie pamiętałam, kim jestem.

Przypominałam sobie, dopiero kiedy spjrzałam w dół na swoje wytatuowane ręce, z których spoglądały czerwone oczy otoczone błyszczącymi obsydianowymi łuskami i srebrzystymi żyłkami. Pogłaskałam Rawa i Aaza, a oni odwdzięczyli mi się tym samym. Zakryłam dłońmi twarz, nabrałam głęboko powietrza i zadrżałam.

„Pozostaje ci tylko zaufać sobie”, szepnął głos matki. Uczepiłam się tego wspomnienia, mimo że wywoływało ból. Zaufałam sobie i poniosłam porażkę. Mister King żyje i uciekł, wiedząc o mnie jeszcze więcej. Straciłam element zaskoczenia.

Usłyszałam pomruk Zee. Zamarłam, gdy w tle rytmicznie pulsującej muzyki rozległ się stłumiony stukot. Wyczułam czyjąś obecność za plecami. Ktoś sięgał do mojego ramienia. Niewiele myśląc, odwróciłam się, chwyciłam wyciągniętą rękę i mocno ją wykręciłam. Doszedł mnie bardzo znajomy jęk.

Za późno. Wielki mężczyzna walnął o ziemię tuż obok mnie. Na szczęście wylądował na biuście jakiejś kobiety wystającym spod skąpego topu. Dębowa laska uderzyła mnie w nogę. Wychyliłam się i złapałam w garść skraj flanelowej koszuli. Włożyłam w to zbyt dużo siły, ale to z powodu strachu krążącego w moich żyłach. Z szoku i ulgi.

- Co ty tu robisz? - wychrypiałam.

- A jak sądzisz? - odburknął oschle Grant. Złapał mnie za kark, wpatrując się w moją twarz z przerażającą wściekłością. - Naprawdę myślałaś, że pozwolę ci tak zniknąć?

- Wiedziałam, co robię.

- Kłamiesz - mruknął. - Chryste, Maxine. Mówisz, żebym nie dał się zabić, a potem się ulatniasz z taką miną...

- Jaką miną?

- Jakbyś szła na rozstrzelanie - wypalił, biorąc mnie w objęcia. - Nie rób ze mnie głupka.

A potem wsunął palce w moje włosy i pocałował tak mocno, że straciłam oddech. Do oczu napłynęły mi piekące łzy.

W końcu przerwał pocałunek, ale nadal trzymał mnie w niedźwiedzim uścisku, tuląc do piersi. Zarośniętą brodą drapał mnie w policzek, ciepłym, urywanym oddechem ogrzewał ucho. W ogóle nie zwracał uwagi na to, że otaczają nas zmutowani mężczyźni i kobiety i że ciężka muzyka dudni w powietrzu.

- Tylko się rozejrzyj - szepnął. - Kiedy zobaczyłem ciała tych ludzi...

- Przegrałam.

- Ale żyjesz. - Grant odchylił się, żeby spojrzeć mi w oczy. Nadal mnie nie wypuszczał z objęć i wodził kciukiem po moich ustach. - Żyjesz - powtórzył.

Popatrzyłam na niego ze smutkiem. Żyłam, ale schrząniłam sprawę. Grantowi groziło teraz jeszcze większe niebezpieczeństwo. Wszyscy byliśmy zagrożeni.

- Jakim cudem... - Nie skończyłam, bo wyczułam za sobą jakieś poruszenie. Spojrzałam w tamtą stronę.

Jack przedzierał się między ciałami. Miał podkrążone oczy i nastroszone włosy. Jego twarz wydawała się niesamowicie wychudzona, co jednak kładłam na karb wyczerpania. I strachu.

Posłał mi przeciągłe, nieugięte spojrzenie, straszliwie poważne, a potem odwrócił się bez słowa. Nie mogłam oderwać od niego wzroku, porównując go w myślach z Mister Kingiem. Byli tacy sami, a zarazem tak diametralnie różni.

Obaj cierpieli.

Jack ukląkł. Obok niego dostrzegłam ciemne ubranie. Otluszczoną, opaloną dłoń.

Podźwignęłam się na nogi. Serce podeszło mi do gardła. Grant popatrzył na mnie, marszcząc czoło. Wyciągnęłam rękę.

- Ojciec Lawrence.

Ksiądz żył. Nieprzytomny leżał na plecach. Oddychał równomiernie, puls miał silny. Jednak Jack i Grant wputrywuli się w niego tak, jakby był nosicielem jakiejś zakaźnej śmiertelnej choroby. Opadłam przy nim na kolana i dotknęłam jego ręki. W uszach nadal pobrzmiwało mi echo jego przeraźliwego krzyku.

- Uważaj - upomniał mnie Jack.

Mocniej objęłam dłoń księdza. Wyglądał tak samo, choć twarz mu się zapadła. Ale to nic nie znaczyło.

- Jak bardzo został odmieniony?

- Wystarczająco - odparł ponuro Grant.

Moja wina. Do niczego się nie przydałam. Jeszcze raz uścisnęłam dłoń ojca Lawrence'a, po czym rozejrzałam się po klubie. Usłyszałam kilka słabych jęków. Niektóre osoby zaczęły się poruszać. W pobliżu leżała Nephele rozciągnięta na brzuchu, z twarzą przyciśniętą do podłogi.

- Czy oni wszyscy są odmienieni? - spytałam.

- Prawie. - Jack odwrócił się lekko, żeby ogarnąć wzrokiem salę. Jego ruchy zdradzały wielki spokój i powściągliwość.

Cierpi, uzmysłowiłam sobie. Jest obolały. Pamiętałam, że kiedy mnie prznosił przez przestrzeń, chorował. Grant był ode mnie większy, a poza tym Stary Wilk przenikał przestrzeń już od wielu dni, tygodni, a może nawet miesięcy.

Złapałam go za rękę. Zareagował zaskoczeniem, które po chwili przeszło w smutek.

- Stanowią zagrożenie dla innych - oświadczyłam. -Nie wiem, co robić.

Grant oderwał wzrok od ojca Lawrence'a, przymrużył oczy i rozejrzał się po klubie. Potem sięgnął za ramię po złoty flet ukryty w ciemnym futerale.

Jack go powstrzymał, łapiąc za rękę.

- Musisz wybrać, kto jest ważniejszy, chłopcze. Twoje zasoby nie są nieograniczone, bez względu na to, co robiłeś w przeszłości.

Grant strząsnął dłoń Jacka, jednak już drugi raz nie sięgnął po flet. Patrzył nieufnie to ma mnie, to na ojca Lawrence'a.

Leżąca za mną Nephele jęknęła i poruszyła palcami. Coraz więcej osób odzyskiwało przytomność. Wiedziałam, że nie pokonam ich wszystkich, ale i tak powoli podniosłam się na nogi.

- Stary Wilku - powiedziałam. - Jeśli odejdą wolni, tacy jacy są...

- To, czym są, nie da się łatwo zmienić - wtrącił, wpatrując się we mnie intensywnie. - Wszystkich nie zdołasz uwięzić, a nawet jeśli ich powybijasz...

- Przestań!

- Jeśli ich zabijesz - ciągnął - uratujesz pewnie kilka istnień, ale za cenę życia tych, których jedynym błędem była nadzieja na lepsze życie, na to, żeby być kimś... wyjątkowym.

Z rozdartym sercem gapiłam się na Jacka. Nadal czułam ręce sięgające mi do gardła, nóż wciskamy pomiędzy nogi. Ci brutalni ludzie nie zostaną na zawsze tutaj w klubie. I nie chodziło mi też o to, że większość normalnego społeczeństwa nie jest przygotowana na fizyczną napaść - i nieważne czy zaatakuje ponadnaturalna istota, czy ktoś zupełnie przeciętny. To nieuniknione, że pewnego dnia jeden z tych mężczyzn lub któraś z tych kobiet o kocich oczach, pokryta łuskami, wyląduje w areszcie lub w szpitalu. Ich odmienność nie ujdzie niczyjej uwagi.

Spojrzałam na Granta.

- A ty co myślisz?

Ciężko wsparty na lasce rozejrzał się po sali. Nie pasował do tego miejsca, do otaczających go ludzi, niczym wilk w betonowym blokowisku. Żałowałam, że nie umiem zobaczyć tego, co on widzi. Że nie wiem, co kryje się w otaczających mnie sercach.

- Cóż, nie masz dużego wyboru - oświadczył w końcu ponurym głosem, spoglądając twardo na Jacka. - Musisz zdecydować, z kim chcesz walczyć.

W każdej sekundzie mogliśmy zostać zauważeni. Bębniąca muzyka i zawrozenie elektrycznych gitar wywoływały u mnie zawroty głowy. Dostrzegłam kręgosłupy z wystającymi żebrami i spiczaste uszy, z których sterczało futro. Jakaś kobieta o słodkiej twarzy siadała powoli. Z jej pleców wyrastały małe, opalizujące skrzydła podobne do skrzydeł ważki. Wyglądały na bezużyteczne. Ot, zwykła ozdoba.

„Magia”, powiedział Mister King. „Mniej zwyczajna egzystencja. Zdziwiłabyś się, jak wielu pożąda tych tak prostych rzeczy”.

Zatęskniłam za demonami.

Podeszłam do ojca Lawrence'a i złapałam go za nadgarstek, prawą rękę wyciągając w stronę Jacka. Grant stanął obok i położył mi dłoń na ramieniu.

- Lepiej niż ja się orientujesz, jak posługiwać się tą rzeczą - zwróciłam się do starszego pana, który już trzymał moją dłoń. Przesuwał kciukiem po srebrnym pancerzu rozciągającym się od palca do bransoletki na przegubie.

- Ale ona woli ciebie - odparł. Po chwili już nas nie było.

Nie wróciliśmy do mieszkania Jacka. Wprost z otchłani wyłoniliśmy się na jakiejś mrocznej klatce schodowej z wykruszonymi cementowymi schodami. Od ścian odpadał tynk. Powietrze wokół było zatechłe. Obok mnie znajdowały się drzwi do garażu, w którym niedaleko wejścia stał džip Granta.

- Napracowaliśmy się - wyjaśnił Grant, próbując mi pomóc, bo chwyciłam ojca Lawrence'a pod rękę i zaczęłam go taszczyć do džipa.

Posłałam mu ironiczny uśmiezek.

- A sądziłam, że od razu rzucicie mi się na ratunek. Zacisnął zęby.

- Jack nie mógł cię odszukać. Przynajmniej na początku. A mieszkanie nie było bezpieczne.

- Można nas wyśledzić w każdym miejscu.

- Ale to trochę trwa - rzucił starszy pan przez ramię. -A dla nas liczy się każda minuta, choćby z tego powodu, że zyskujemy czas na odpoczynek i planowanie.

Nie zamierzałam pytać, dlaczego najpierw pojawiliśmy się akurat w tym miejscu, dlaczego Grant i Jack, zanim mnie odnaleźli, przenieśli się tutaj, a nie gdzie indziej. I choć mechanizm przenikania przestrzeni pozostawał dla mnie tajemnicą - należąca bardziej do sfery magii niż nauk ścisłych - podejrzewałam, że podczas przecinania czasoprzestrzeni dzieje się coś, co ściąga na nas uwagę. Choćby takiego Kinga.

Prowadził Grant, Jack siedział obok niego, ja rozlokowałam się z tyłu razem z ojcem Lawrence'em. Ciemna skóra księdza przybrała szarawy odcień, a wokół oczu pojawiły się siniaki. Zastanawiałam się, czy nie zająrzeć mu do ust, ale bałam się tego, co odkryję.

Wyjechaliśmy na trasę 1-5 przy Port of Tacoma Road, później skręciliśmy w prawo w 509 i dotarliśmy do Marine View Drive. Grant kierował się w stronę oceanu. W powietrzu unosił się zapach świeżego drewna, bo w tej okolicy było mnóstwo tartaków. Z czasem liczba zabudowań malała, aż wreszcie zrobiło się zupełnie pusto, bo znaleźliśmy się na terenie zagrożonym przypływami.

Zobaczyłam ocean. Przyszań.

Grant zaparkował przy moło Chinook Landing. W de drogich żaglówek i małych jachtów było widać główny port przeładunkowy, a w nim ciężkie, wielkie statki, przypominające stalowe kontenery. Wszędzie pełno różnego rodzaju łodzi, za którymi nie bardzo przepadam z powodu lęku przed utonięciem.

Żadne z nas nie wysiadło. Wyjrzałam przez okno w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby nas obserwować. Nikogo nie zauważyłam. Mimo to, taszcząc nieprzytomnego człowieka do łodzi w biały dzień, aż prosilibyśmy się o kłopoty. Do zmierzchu zostało jeszcze kilka godzin. Nie mogliśmy spędzić ich w džipie.

- Jest pijany, zgoda? - odezwałam się, widząc, że Jack przymyka oczy. - Tak właśnie powiemy, jeśli ktoś zapyta, dlaczego targam na plecach księdza.

- Bardzo wiarygodne wyjaśnienie - zakpił sucho Grant.

Jack potarł skronie i otworzył oczy.

- Wokół ani żywej duszy. Wystarczy, że się pospieszymy.

Wyskoczyłam z samochodu, choć miałam dziwne przekonanie, że wystawiam się na cel. Zarzuciłam sobie ojca Lawrence'a na plecy i ruszyłam z tym ciężarem w stronę nabrzeża. Było zimno, ale nie padało. Całe szczęście, bo inaczej chyba nie dałabym rady. Wątpiłam, czy nawet Grant, gdyby miał obie nogi zdrowe, zdołałby unieść ojczulka.

Jack zaprowadził nas na jacht - biały krążownik z włókna szklanego, prawie dwadzieścia metrów długości, z całkowicie osłoniętym mostkiem. Przez przyciemnione szyby niczego nie dało się zobaczyć, ja jednak odnosiłam wrażenie, że ktoś nas obserwuje. I nie myliłam się. Na pokładzie pojawił się Byron. Odgarnął włosy, które wiatr zarzucił mu na oczy, i wpatrywał się we mnie i nieprzytomnego klechę u moich stóp.

- Hej - zawołałam trochę zmieszana. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, co chłopak sobie teraz myśli. Nie rób tego, kiedy dorośniesz, chciałam powiedzieć. Nie bądź taki jak ja.

Za jego plecami pojawiła się Killy. Jej widok po raz kolejny wzbudził we mnie zdumienie. Ciemne włosy zmierzwione, ubranie wymięte. Na czole głęboka zmarszczka, a w oczach nadal ból. Kiedy zobaczyła Lawrence'a, jej twarz wcale nie wypogodniała.

- Cholera - zakłęła i rzuciła się do drabinki. Dopiero wspólnymi siłami zdołaliśmy wpakować tłuszczochę na pokład. Wtedy też zaczął się wybudzać. Killy, która trzymała go pod ramię, straszliwie pobladła. Stałam obok niej. Nikt inny nie zauważył, jak się wystraszyła - nawet Byron, choć jeszcze stał na przystani, wpychając na pokład nogę księdza.

- Co się dzieje? - spytałam cicho. Chinka posłała mi niespokojne spojrzenie.

- Pospieszcie się.

Zazgrzytałam zębami, wbiłam stopy w pokład i z całych sił szarpnęłam ciałem księdza. Zaczął ślizgać się po deskach jachtu jak foka. Ja jednak się nie poddawałam. Ciągnęłam go w stronę mostka i kabin. Killy biegła przede mną i gdy dotarłam do drzwi, już trzymała sznur: gruby i zielony, taki jakiego się używa do sieci na kraby.

Przekręciłam ojca Lawrence'a na brzuch, a Killy bez jednego słowa przyklęła i zabrała się do związywania rąk dawnemu przyjacielowi. Gdy zaczął pojękiwać, szybko rzuciła mi koniec sznura. Ja związałam nogi. W tej chwili ojciec Lawrence mógłby się poruszać tylko w jeden sposób, turlając się po pokładzie.

W drzwiach pojawił się Byron, a za nim Jack. Zaraz potem ciężko dyszący Grant. To dlatego, że wspinał się po drabinie, wyjaśniłam sobie w duchu. Ale chodziło o coś więcej. Był zbyt blady. Zastanawiałam się, czy przez ostatnią godzinę kaszlał krwią.

Chinka wydała z siebie cichy, zduszony okrzyk. Odwróciłam się. Ojciec Lawrence miał otwarte oczy - źrenice czarne, ale tęczęwki krwistoczerwone ze złotą otoczką. Zaczął się wiercić, miotając dzikim wzrokiem. Na koniec wbił spojrzenie w Killy. Kobieta zamarła.

Ksiądz szarpnął się w jej stronę. Nie tak jak ojciec Ross lub ci faceci w barze w Szanghaju, którzy poruszali się jak rekiny - sprawnie i niesamowicie szybko. Ojca Lawrence'a pchała inna siła, bardziej nieokrzesana. Kiedy za nim przykucnęłam, zobaczyłam, że wierzch jego dłoni faluje, a z pojawiających się na skórze pęknięć wyrasta futro.

Potem wszystko wydarzyło się w ułamku sekundy. Przechyliłam się do przodu, chwytając za kołnierz przy marynarce klechy. Ten jednak okazał się silniejszy. Materiał pękł, a ojciec Lawrence rzucił się przez mostek do wycofującej się na czworakach Killy. Wrzeszczała do niego po imieniu. Na nic się zdały sznury krępujące ręce i nogi.

Zanim jednak zdążył dosięgnąć Killy, udało mi się chwycić więzy przy jego kostkach. Pociągnęłam za nie z całej siły. Lawrence warknął i przeturlał się w moją stronę. Przy

okazji udało mu się usiąść. Przód jego szyi i pierś porastały ciemne kłaki, a zęby były długie i spiczaste. Szczeknął na mnie jak wilk na łańcuchu, oszalały od furii.

Walnęłam go w twarz. Zamilkł i zachwiał się, kręcąc głową. Znów mu przyłożyłam, tym razem splecionymi dłońmi, celując w skroń. Padł na ziemię i pozostał nieruchomy.

Z trudem oddychając, usiadłam na nim okrakiem. Patrzyłam, jak brązowe szorstkie futro znika z jego twarzy. Znów wyglądał jak człowiek. Killy usiadła i podciągnęła kolana pod brodę. Ona też przyglądała się Lawrence'owi. Z przerażeniem. Z bólem.

Za moimi plecami coś się poruszyło. Skrajem mostka szedł Byron, wpatrzony nieufnie w rozciągniętego pode mną mężczyznę, który właśnie się przemieniał. Dołączył do skośnookiej i stał przy niej, nic nie mówiąc, z godnym podziwu stoickim spokojem. Kiedy po chwili kobieta postanowiła wstać, podał jej rękę.

Mnie także ktoś dotknął. Grant. Z wdzięcznością osunęłam się w jego ramiona, ale czułam się, jakbym tuliła się do naelektryzowanego przewodu. Przez Granta przetaczał się gniew. Jack wyglądał lepiej.

Zbliżył się do nas i zaczął przyglądać się ojcu Lawrence'owi. Bez cienia emocji. Zaniepokoił mnie wyraz jego twarzy. Starszy pan patrzył na

księdza tak, jak się patrzy na kogoś, kto ci się wydaje znajo- i my Czyżby rozpoznawał tego człowieka?

- Cóż - odezwał się cicho po chwili. - Teraz mamy też wilkołaki.

Przeciągnęłam ojca Lawrence'a pod pokład do jednej z kabin. W wąskim korytarzu niemiłosiernie poobijałam sobie ramiona i łokcie. Zatrzeszczały otwierane drzwi. Wyjrzała zza nich Mary. Z rozczochraną czupryną i zaspanymi oczami. Spojrzała na księdza.

- Nigdy nie ufaj wilkowi - wymamrotała.

- Dobra rada - mruknęłam i obejrzałam się przez ramię, bo usłyszałam czyjeś kroki. To Grant schodził po schodach, a przy okazji walnął głową w sufit.

Pchnęłam drzwi na końcu korytarza i moim oczom ukazała się mała, dziwnie ukształtowana kabina z owalnym łóżkiem na środku. To Jack zasugerował, żebym ją wybrała. Nie twierdził, że jest właścicielem jachtu, mimo to miał kluczyki do rozrusznika, dość dobrze znał rozkład łodzi i instrukcję jej obsługi. Z rykiem silnika mknął po falach. Wypływaliśmy na pełny ocean.

Rzuciłam Lawrence'a na łóżko. Zauważyłam, że na czole wyrósł mu guz. Usiadłam obok nieprzytomnego klechy. Grant wszedł za mną do kabiny i zamknął drzwi. Popatrzył na księdza, potem na mnie. Pochyliłam się i oparłam łokcie na kolanach. Starłam się nie rozmyślać za bardzo o tym, co widziałam.

Grant też przysiadł na łóżku, westchnął i rozprostował nogi. Laska osunęła się na podłogę. Położyłam mu lewą dłoń na udzie i przez dzinsy zaczęłam masować mięsień. Grant uściśnął mi rękę. W porównaniu z moimi tatuażami jego opalona skóra wydawała się bardzo ludzka.

- Tylko pomyśl - powiedziałam cicho. - Gdybyś sześć miesięcy temu nie wybrał się na targ przy Pike Place, nigdy byśmy się nie spotkali i nigdy nie znalazłbyś się w tym bałaganie.

- Bo już bym nie żył, opętany przez królową demonów. Osobiście uważam, że mi się pofarciło. - Delikatnie pocałował mnie w policzek, potem sapnął mi we włosy i odchylił się, żeby wyciągnąć flet. - Ojciec Lawrence ma szczęście, że nie potraktuję go tak samo jak on Luke'a.

- Och, błagam, skończ z tym.

- W porządku. - Odwrócił się i popatrzył na leżącego. Lawrence był nieprzytomny, ale oddychał miarowo

i głęboko. Grant przesunął dłoń nad nogami księdza. Z jego ust wydobył się niski pomruk, od którego po mojej skórze przeleciał powiew mocy. Zee warknął przez sen, a reszta chłopców gwałtownie zmieniła pozycje.

- On tam jest - oświadczył na koniec Grant. - Bliżej powierzchni niż Luke. I pewnie dlatego skupił się na Killy. Rozpoznał ją. Tak czy inaczej jestem w stanie go wydostać.

A potem co? Życie, jakie znał, już nie istnieje.

- Mister King bardzo krótko przy nim majstrował. Dziwię się, że aż tyle zdążył zmienić.

- Praktyka czyni mistrza - odparł ponuro. - Ale coś takiego zmusza człowieka do zadumy nad światem. Kiedy cię nie było, Jack dużo mi opowiadał. O baśniach i mitach. -Spojrzał w dół na flet, a potem, z lekkim, smutnym uśmiechem popatrzył mi w oczy. -I po tym, co usłyszałem, chyba powinienem zwątpić w to, w co wierzę, a jednak tak się nie stało.

Dotknęłam jego twarzy.

- Myślę, że już jak się rodziłeś, wierzyłeś w coś większego od siebie.

- Nie wiem. Nie mam nawet pojęcia, gdzie się urodziłem. - Objął moją dłoń i położył sobie na sercu. - Ale wiem, gdzie jestem w tej chwili. Tutaj, z tobą. W miejscu, w którym moja obecność może coś zmienić. Jestem tu i żyję. I choć niewiele rozumiem z tego, co mi powiedziano na mój temat, to zdaję sobie sprawę, że w pewnych tajemnicach kryje się prawda.

Uśmiechnęłam się.

- A może nie prawda, tylko zwykły zbieg okoliczności.

- Nie, jeśli masz na myśli to, że cię spotkałem. - Ucałował moją rękę, spoglądając na mnie oczyma wypełnionymi tą tajemnicą, tą prawdą, której nie umiałam nazwać, a jednak czułam ją zawsze, gdy o nim myślałam. - Wyśniłem cię, Maxine. Wyśniłem twoje serce.

Znów pocałował mnie w rękę, po czym odłożył ją delikatnie na moje kolano. Nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Oniemiała patrzyłam, jak wyciąga flet i skupionym, klarownym wzrokiem przygląda się nieprzytomnemu mężczyźnie. Jakby oceniał jego duszę.

Ale nagle się zawahał. Nigdy nie widziałam, żeby się ościagał, gdy mógł komuś pomóc. Nieważne, czy chodziło o demona, czy o człowieka. Lecz teraz tak było - i domyślałam się, że nie dzieje się tak z powodu tego, co przytrafiło się ojcu Rossowi.

Problem stanowił Cribari. Grant niemal go zabił. Zmienił się wtedy w kogoś innego: w mordercę, mściciela, magika. Obudziła się w nim uszpięta część jego natury. Taka sama jak ciemność drzemiąca w moim sercu.

Doskonale wiedziałam, jaka jest przerażająca. Jakie to straszne wyobrazić sobie, że znów może się obudzić.

- Grant - szepnęłam.

- Wiem. - Uniósł złoty flet. - To trochę potrwa. Przyłożył instrument do ust i zaczął grać. W kabynie zabrzmiała rytmiczna melodia. Spływały na mnie magiczne dźwięki. Chłopcy rzucali się na nie zgłodniali, ale muzyka przenikała przez nich i docierała w głąb moich kości, rozchodząc się po nich przyjemnym ciepłem. Jak rozgrzany miód. Oczekiwałam furii, posmaku walki i krwi, ale to, co mnie opływało, było jak pieśń słonecznych mór. Odgłos duszy ojca Lawrence'a. Każda nuta na wzór gwiazdowego pyłu wpadała mi najpierw do ucha, a potem przenosiła się na język - aż w końcu poczułam się znów jak mała dziewczynka zadziwiona światem, kochana.

Spojrzałam na Granta. Wzrok miałam zamglony, jakbym patrzyła przez zbyt mocne okulary. Odnosiłam wrażenie, że nad moim ukochanym, który niezwykle intensywnie wpatrywał się w ojca Lawrence'a, unoszą się opary gorąca. Na jego czole migotały kropelki potu. A potem nagle flet zabrzmiał inaczej; muzyka zaczęła nabrzmiewać, puchnąć, rosnąć.

Usta Światła, pomyślałam, przypominając sobie wszystko, co mówił Jack. I zrozumiałam, że żadna z tych rzeczy nie ma znaczenia. Bo nie liczyło się już, kim Grant się urodził. Z mocą, jaką posiadał, mógł się stać, kim chciał, stworzyć siebie na nowo. To samo dotyczyło mnie.

Otworzyły się drzwi do kabiny. W progu stanął Jack. Działo się coś złego. Widziałam to w jego oczach. Zamierzałam wstać, ale zmieniłam zdanie, gdy zobaczyłam minę Jacka, który dostrzegł Granta. I zamarł.

Obserwowałam awatara. I nic nie mogło się ukryć przed moim spojrzeniem - ani smutek, ani mrozący serce głód w oczach dziadka. Prawie taki sam jak zwierzęcy głód ojca Rossa, który kazał mu pożerać zakonnicę: bezmyślna, otumaniająca żądza zabijania.

Bez tchu gapiłam się na Jacka. A on oderwał wzrok od Granta i przeniósł go na mnie.

Wiedział, że go przejrzałam. Mówiły to jego oczy. Wiedział.

- Stary Wilku - szepnęłam. Wzdrygnął się i ciężko przełknął ślinę.

- Musisz go powstrzymać. Zrozum, on nie tylko leczy duszę człowieka.

Zamrugłam i spojrzałam ze zdumieniem na Granta i ojca Lawrence'a. Ksiądz oddychał teraz szybciej, a jego ciało zaczęło wibrować. Skóra na gardle falowała, jakby znajdujące się pod spodem mięśnie błyskawicznie kurczyły się i rozkurczały. Gałki oczne pod powiekami poruszały się gwałtownie.

Z nosa Granta trysnęła krew. Pojawiła się też w kącie ust, pieniając się, gdy dmuchał w ustnik instrumentu.

Chciałam do niego podejść, ale powietrze w kabinie zrobiło się nagle gęste jak melasa. Byłam za wolna. Nie zdążyłam. Muzyka urwała się niespodziewanie, a Grant się zachwiał. Zbyt wolna, gdy flet wysunął mu się z rąk. Zbyt wolna, żeby go złapać, gdy padał plecami na łóżko.

Runęłam przy nim na kolana. Leżał zupełnie nieruchomo. Miał zapadniętą twarz. Sprawdziłam puls. Serce nie biło.

Rozdział 17

U marłam. Pozwoliłam sobie umrzeć - na jedno uderzenie serca, na jeden oddech - ale chłopcy i tak zawyli. Ja też zawylałam.

Odszukałam mostek Granta. Leżał na nim wisiołek. Odsunęłam go i zaczęłam ugniatać pierś. Szybko, mocno, z całej siły. Zrobiłam tylko dwie przerwy na sztuczne oddychanie. Poczulałam w ustach krew. Połknęłam ją i wróciłam do masażu serca. Moje ciało płonęło z lodowatego, obezwładniającego przerażenia. Krzyknęłam na Granta. Wrzeszczałam na niego.

A w środku czułam trzepotanie, cień. Pierścień na moim palcu zaczął się nagrzewać.

Potem zjawił się Jack. Odsunął mnie. Miał bladą twarz, oczy błyszczące jak kostki lodu. Położył dłonie na piersi Granta i przymknął powieki.

Powietrze przeciął prąd - bezgłośna błyskawica - i wtedy wszystko w pokoju, łącznie ze mną, uniosło się i opadło. Grant sapnął i się wyprężył. Otworzył oczy.

Jack odpadł od niego: człowiek jak strach na wróble, sama skóra i kości. Wsunęłam Grantowi rękę pod głowę. Spojrzał na mnie dziko i zaczął kaszleć. Obryzgała mnie krew. Wytarłam ją roztrzęsioną dłonią, a chłopcy od razu spili mi ją z palców.

- Trzeba cię zawieźć do szpitala - powiedziałam, cała drżąc. Spojrzałam na Jacka, wyglądał, jakby i on miał zaraz dostać zawału. - Ciebie też. Muszę tylko odpocząć - wydyszał. Oparł głowę na brzegu łóżka. Nie miał nawet siły utrzymać jej prosto, za bardzo mu ciążyła. - Grantowi nic nie będzie. Zaufaj mi, moja droga.

Gówno prawda, chciałam krzyknąć, ale zabrakło mi sił. Znów spojrzałam na Granta. Przyglądał mi się lekko jeszcze nieprzytomnymi, przekrwionymi oczyma.

- Co się stało? - wymamrotał.

Huśtając się w przód i tył, musiałam policzyć do dziesięciu, zanim znalazłam odpowiednie słowa.

- Zrobiłeś coś strasznie głupiego. Niezdarnie dotknął mojej twarzy.

- Zemdlałam?

Przycisnęłam jego dłoń do policzka.

- Przestało ci bić serce.

Zdziwił się. Potem złapał go atak kaszlu. Pluł krwią do ręki. Pochyliłam się i przytuliłam do siebie jego silne, duże ciało... które nagle stało się zbyt kruche, bym mogła znaleźć w nim podporę. I to mnie przeraziło.

Popatrzyłam na Jacka, a on na mnie. Wypatrywałam w jego twarz swojej matki, siebie. Przeszukiwałam własne serce, i chcąc w nim odnaleźć każdy gram miłości i czułości do starszego pana, żeby przelać je do mojego wejrzenia, głosu.

- Dziękuję - szepnęłam.

Jack bez słowa, z powagą skinął głową. Coś w jego oczach sprawiło, że zalała mnie fala ciepła, choć jeszcze minutę temu widziałam w nich sam lód.

Usłyszałam, że ojciec Lawrence zaczyna się poruszać. Leżał na łóżku i gapił się w sufit. Ze swojego miejsca nie widziałam całej jego twarzy, ale wydał mi się spokojny, tylko prawa stopa mu drgała. Przekręcił głowę na bok i wtedy ujrzałam jego oczy: jedno normalne, brązowe, drugie szkarłatne ze złotą obwódką. Ale w obydwu gościł wyraz bardzo ludzkiej dezorientacji. Na twarzy nie było już futra. Ksiądz wyglądał jak człowiek.

- Hej - rzucił ochryple. - Jestem związany.

- Tak - przyznałam, żałując, że muszę teraz z nim rozmawiać. - Wiesz, co się z tobą stało?

Zawahał się, oblizując popękane wargi.

- Zły dotyk.

Grant parsknął śmiechem, co w rzeczywistości brzmiało jak ciche stęknienie. Tak czy inaczej, mnie odpowiedź księdza nie bawiła.

- Zostałeś odmieniony - walnęłam prosto z mostu. Ale jaki miałam wybór? Osładzanie wiadomości, że ktoś został przemieniony w wilkołaka, wydawało się równie absurdalne, jak samo bycie wilkołakiem.

Jednak kiedy zerknęłam na ojca Lawrence'a, żeby ocenić jego reakcję, przekonałam się, że on wcale nie zwraca na mnie uwagi. Gapił się na Jacka. Zdumiony sto razy bardziej niż tym, że jest związany, znajduje się na jachcie i że wcześniej jego ciało porastało futro.

- Cholera - zaklął, wierząc się na materacu. Bardziej przypominał tłustą dżdżownicę niż człowieka-wilka. - Jack, a skąd ty się tu wzięłeś?

- Ho, ho - mruknęłam.

Grant znowu stęknął, ale tym razem to nie był śmiech. Chciał usiąść, więc mu pomogłam. Oparł się na moich plecach, skrzywił się, potarł sobie pierś i posłał Jackowi przeciągłe spojrzenie. Później przeniósł wzrok na księdza.

- No i? - spytał.

- Jack - odezwał się znów ojciec Lawrence, zupełnie ignorując mnie i Granta.

Starszy pan w końcu spojrzał w jego stronę z niechęcią, jakby spodziewał się, że zaraz dostanie cios między oczy.

- Witaj, Frank - powiedział dość spokojnie. - Jaki ten świat mały.

Czułam, że za chwilę eksploduje mi głowa.

- Wy się znacie? Jak to możliwe?

Spojrzenie ojca Lawrence'a wywoływało niepokój; różnica w kolorze jego oczu nadawała mu groźny wygląd.

- Jack Muddle był moim profesorem w Princeton, zanim postanowiłem... oddać swoje życie Bogu. Pozostaliśmy w kontakcie - klecha zamilkł, zerkając to na mnie, to na mojego dziadka. - A wy skąd się znacie?

Nie miałam pojęcia, co powinnam wyjawić. Grant, kręcąc głową, nacisnął na mnie plecami.

- Frank, popełniłem błąd - odezwał się cicho Jack. - Skandaliczny błąd.

Usłyszałam czyjeś kroki na korytarzu i po chwili otworzyły się drzwi kabiny. Z jakiegoś powodu spodziewałam się zobaczyć Mary, ale do środka weszła Killy. Dysząc ciężko, najpierw przesunęła wzrokiem po Grancie, Jacku i po mnie, a potem spojrzała twardo na ojca Lawrence'a.

Nic nie mówiła. Nic nie robiła. Po prostu patrzyła na klechę oczyma pociemniałymi od jakiejś silnej emocji. Ksiądz zamarł, jakby widok Chinki zdumiał go równie mocno, jak widok Jacka; a także przeraził. Ciekawiło mnie, czy pamięta, że ją zaatakował. Czy Grant zostawił mu jakieś wspomnienia.

Kobieta w końcu nabrała głęboko powietrza i odwróciła wzrok.

- Jest lepiej. Dobrze się spisałeś, pieśniarzu.
- Łatwo nie było - odparł ochryple Grant, który nadal jedną ręką trzymał się za serce.

Otoczyłam go ramieniem, a drugą rękę położyłam na jego dłoni. Przekazując mu swoją siłę; wszystko, co miałam.

Killy, wpatrzona we własne stopy, poczerwieniała i spokojnie skinęła głową.

- Mamy nowy problem. Przyszłam wam o tym powiedzieć. Ktoś tu jest.

Godzina do zmierzchu. Byron i Mary stali na mostku i wyglądali przez okna. Ja nie widziałam niczego poza zimnymi wodami i statkiem towarowym, zbyt oddalonym, by przypominać coś więcej niż unoszącą się na falach cegłę.

Na horyzoncie majaczyła zakrzywiona linia brzegu. Niebo zasnuwały ciężkie chmury, ale nie padało. Jeszcze nie.

Cribari czekał na pokładzie. Sam. Odwrócony do nas plecami, wpatrzony w ocean. Od razu rozpoznałam jego wysoką, szczupłą sylwetkę i te zgarbione ramiona. Czarny gruby płaszcz zakrywał prawie całe ciało. Zee i reszta chłopców, gdy wyczuli Antony'ego, wpadli w furję. Szarpali się gwałtownie, a ja miałam wrażenie, że ktoś zrywa ze mnie wielki plaster, zaczynając od stóp, a kończąc na głowie.

Nikt nie wyszedł powitać gościa. Pozostaliśmy w środku. Ja trzymałam się blisko Granta, który ledwie mógł chodzić. Obok stała Mary. Kiedy wcześniej zobaczyła, jak wyłaniamy się spod pokładu, wzdrygnęła się, jakby ktoś ją uderzył. Teraz pocierała głowę i policzki, łapała się za gardło obydwoma rękami. Ani na sekundę nie odrywała wzroku od Granta. Na twarzy miała wyraz cichej rozpacz.

- Nie czułam - mamrotała. - Nie słyszałam. Nie wiedziałam.

Nie wiedziałam, że umarłeś, dokończyłam za nią. Po tylu latach spędzonych w towarzystwie Zee mówiącego zagadkami potrafiłam zrozumieć niejasne, niepełne wypowiedzi staruszki. Poza tym strach w jej oczach, podobny do tego, który mnie też ogarniał, sprawiał, że żadne słowa nie były potrzebne.

Grant oparł się ciężko na lasce; po czole spływały mu krople potu. W dłoni ścisnął chusteczkę poplamioną krwią. Przyglądał się Cribariemu jak ktoś, kto obserwuje pełznącą wolno kobrę i ustala, jak ją unicestwić. Obróciłam się dokoła, żeby popatrzeć we wszystkie okna. Sprawdzałam, czy Cribari przybył z jakimiś kumplami. Zauważyłem tylko starą łódź rybacką zapakowaną sieciami i niebieskimi pontonami; po pokładzie biegali ludzie.

- Jak on się tu dostał? - spytałam. Spozstrzegłam, że Byron intensywnie wpatruje się w księdza.

- Nie wiem - odparta Killy. Przyciskając palce do skro ni, spojrzała szybko w stronę Mary. - Odwróciłam się, a on już tam stał. Wpatrzony w wodę. Ignoruje nas od chwili, i gdy się pojawił.

- A czy możesz... - Postukałam się w czoło. ' Pokręciła głową prawie niezauważalnie.
- Nie jest otwarty.
- Leżał w śpiączce, kiedy go ostatnio widziałem - odezwał się ojciec Lawrence.

Jego czerwone oko było zimne i wyrachowane, choć to drugie, brązowe wypełniały ciepło i niepewność. Jakby się patrzyło na dwie różne osoby, nadal nieświadome, co im zrobiono. Nie zdobyłam się jeszcze na wyjawienie mu całej prawdy. Nie wiedziałam też, w jakim stopniu Grant zdołał go uleczyć.

W dużym. Za dużym, jeśli omal sam nie umarł podczas uzdrawiania.

- Antony został odmieniony - poinformował Grant. -Ale tylko nieznacznie. Jeśli znajdował się w śpiączce, to teraz to, co widzę, może być niczym więcej jak tylko rezultatem procesu zdrowienia.

- Wszystkich innych Mister King zamienia w marionetki. Dlaczego nie jego?

- Niektórym ludziom nie przekazuje się mocy - oświadczył Jack. - Pomimo całego szaleństwa. - Staął przy mnie i wyjrzał przez okno. - Ja byłem głupcem - szepnął chyba sam do siebie.

- Masz na myśli moją babkę? - spytałam, pamiętając słowa Kinga; jego tajemnicze oskarżenie.

Popatrzył na mnie ostro.

- Wszystko, ale nie to.

Wyminął mnie i ruszył w stronę drzwi, ale zagroziłam mu drogę. Jego twarz wyrażała frustrację. Ojciec Lawrence przyglądał się nam z wielkim zainteresowaniem.

- On nic mi nie może zrobić - powiedziałam. - Zostań tu.

- Są sprawy, których nie rozumiesz... - sprzeciwił się Jack.

Ale już się odwróciłam, żeby złapać kołnierz koszuli Byrona. Chłopak stęknął ze zdumienia. Pchnęłam go w stronę schodów prowadzących pod pokład.

- Zejdź tam - rozkazałam. - Ukryj się i nie wychodź bez względu na to, co usłyszysz.

- Nie - zawołał, szarpiąc się ze mną. - To i tak nic nie zmieni.

- Byron...

- Zawsze mnie znajdują, nieważne, gdzie się schowam - szepnął.

Cień w jego oczach sprawił, że zrobiło mi się niedobrze. Pamiętałam, że jeszcze kilka miesięcy wcześniej dzieciak mieszkał w kartonie, posiniaczony, zalękniony. Z pewnością nadal nosił w sercu rzeczy, o których nikomu nie mówił.

„Czasami to właśnie walka”, powiedział kiedyś, gdy do schroniska przyszedł King.

To nie była jego walka. Po prostu został zmuszony zamienić jedno niebezpieczne życie na inne, równie niebezpieczne. Prawdopodobnie nie miał pojęcia, co nam zagraża, ale to i tak bez znaczenia. Kolejny bój stoczony o przetrwanie.

Wpatrując mu się w oczy, przyciągnęłam go do siebie. Nie zadrżał ani nawet nie mrugnął.

- Nie możemy ciągle uciekać. - Grant dotknął mojego ramienia.

Tylko jeszcze ten jeden raz, pomyślałam, czując, że pancerz pod tatuażami zaczyna płonąć. Jeszcze jeden skok i zobaczymy.

Ale palce Granta zacisnęły się lekko. Zbiłam dłoń w pięść i siłą woli uciszyłam pierścień. Jego pomruk osłabł, ale tylko trochę. Zdawało się, że te macki r tęci są zatopione w całym moim ciele; jakby mięśnie zamieniły się w srebro, a reszta dłoni w żelazne pręty; częściowo stawiałam się tym czymś.

Wysłałam na zewnątrz, żeby porozmawiać z Cribarim. Prawą dłonią nadal miałam zaciśniętą w pięść.

Nie odwrócił się do mnie, nawet wtedy gdy stanęłam u jego boku. Tak jak on spojrzałam na ciemniejące niebo i szary ocean. Jacht się kołysał. I choć było tak od samego początku, poczułam to wyraźnie dopiero teraz, smagana wiatrem. Ledwo się trzymałam na szeroko rozstawionych, ugiętych nogach.

- A więc - zaczęłam. - Jak to zrobimy? Uśmiechnął się lekko.

- Sądziłem, że do tej pory już mnie zabijesz.

- Przysłałby kogoś innego na twoje miejsce.

- To prawda. - Uśmiech klechy zrobił się chłodniejszy. - Ma wielu żołnierzy do dyspozycji.

Pokręciłam głową świadoma, że w drzwiach za mną pojawił się Jack.

- Ale z ciebie idiota. On nie jest żadnym aniołem. Ani wysłannikiem Boga. Ma tak samo mnóstwo wad jak ty i ja. Wykorzystuje cię, człowieku.

Policzki Cribariego poczerwieniały, zadrżał mięsień pod okiem, ale poza tym ksiądz nie ujawniał żadnych innych oznak wzburzenia. Tylko ten zimny sztuczny uśmiezek, który najchętniej wymazałabym mu z twarzy pięścią lub nożem.

- Jesteś stworzona z kłamstw. Powinniśmy to wiedzieć już na samym początku, gdy powstaliśmy, ale daliśmy się zwieść iluzji. Kiedy Strażniczki zginęły, a ty byłaś ostatnia... - zamilkł i wreszcie odwrócił do mnie głowę. Tylko trochę, tak żeby móc mi spojrzeć w oczy. - Już kiedyś udało nam się zabić kogoś z twojego rodu, wiesz? Kobietę. Ufała naszemu zakonowi, dlatego unicestwiliśmy ją bez trudu. Niestety miała dziecko.

Zee tak mocno się szarpnęła, że musiałam zrobić krok w przód. Ukryłam to, udając, że chciałam zajrzeć za reling. Ale chłopcy nadal szaleli na mojej skórze jak małe tsunami.

- Domyślam się, że również wtedy twój zakon otrzymał boskie przesłanie. - Przypomniałam sobie kobietę w grobie i jej łkającą córkę. - Czy morderstwo lepiej smakuje, kiedy winę za nie można przerzucić na siłę wyższą?

Oczy księdza zamieniły się w szparki.

- Uważaj, co mówisz.

- Nie musi - odezwał się Jack. Zbliżał się w naszą stronę pełnym godności krokiem.

Za nim szli ojciec Lawrence i Grant. Chciałam im powiedzieć, żeby wracali na mostek, ale gdy zobaczyłam ich zdecydowane miny, zmieniłam zdanie. Mary owiewana wiatrem przyglądała się nam z progu.

- Ona jest twoją panią i królową - dodał starszy pan takim głosem, że pomyślałam o samotnych postaciach stojących na granicy ciemności strzeżonej ogniem, błyskawicami, ciepłem ciała, które zebrały się, by wysłuchać opowieści o herosach i potworach. - Ona cię zbawi.

Cribari odwrócił się przodem do Jacka. W oczach płonęła mu wściekłość.

- Jesteś nikim. Jak śmiesz.

Stary Wilk patrzył na klechę z obrzydzeniem. Podciągnął rękaw - bardzo wolno - i pokazał tatuaż na wewnętrznej części przedramienia. Lustrzane odbicie blizny pod moim uchem.

Tylko że linie tworzyła biała kość wystająca nad ciałem, fragment szkieletu.

- Śmiem, ponieważ jestem Wilkiem - oświadczył spokojnie Jack. - A ty będziesz robił, co ci każę.

Ojciec Lawrence tak bardzo się zachwiał, że Grant musiał złapać go za ramię. Poczułam ten sam wstrząs. Cribari straszliwie pobladł, a nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Osunął się na pokład, gapiąc się na Jacka jak na jakiegoś potwora.

- Nie ty.

- Ja - potwierdził ponuro mój dziadek. - To ja cię stworzyłem.

Gdyby Cribari miał broń, włożyłby sobie lufę do ust i pociągnął za cyngiel. Przez chwilę myślałam, że rzuci się do oceanu. Jego rozpacz była tak wielka, że aż namacalna.

- Czy ona jest tą? - spytał szeptem. - Czy nosi znamię? Mógł mówić tylko o jednym. Jack zaczął kręcić głową, ale

mnie coś tknęło. Odgarnęłam włosy, czując zarazem, że wytatuowane ciało Deka usuwa się w bok. Przeciągnęłam palcem po odsłoniętej bliźnie. I odwróciłam twarz do księdza.

Cribari szeroko otworzył oczy i gwałtownie się zatrząsł, wczepiając sinobiałe dłonie w czarny materiał płaszcz. Błady, zlany potem wpatrywał się we mnie z nieukrywanym, niewyobrażalnym wstrętem, jakbym była jakimś mordercą albo po prostu wściekłym psem.

- Ile mamy czasu? - wysyczał głosem ociekającym nienawiścią. - Ile zostało nam do końca?
Nic po sobie nie pokazałam, tylko spojrzałam księdzu w oczy.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Grant straszliwie przygnębiony przykuśtykał do mojego boku.

- Daj spokój, Antony. Nie zwyciężysz. Przynajmniej nie w sposób, o jakim myślisz.

- Ty sam nie jesteś od niej lepszy - szepnął chudy ksiądz. - O Boże.

- Dość - nakazał Jack. - Słyszałeś, co powiedziałem.

- Nie. - Cribari posłał starszemu panu nienawistne spojrzenie, które po chwili przeniósł na mnie. - Ty i ja. Jeszcze ze sobą nie skończyliśmy. Nieważne, co mówi Wilk. Nawet jeśli mnie zabijesz, przyjdą inni. Zawsze będą inni.

Za nami, na mostku rozległ się krzyk Killy.

Wzdrygnęłam się. Kiedy się odwracałam, Cribari rzucił się z czymś w stronę Granta, który podskoczył na zdrowej nodze, unikając ciosu. Strzykawka. Otworzył usta, żeby zaśpiewać, ale zamiast tego zaczął kaszleć. Z ust natychmiast poleciała mu krew. Ksiądz znów zaatakował.

Zasłoniłam Granta w ostatnim momencie, a strzykawka złamała się na mojej piersi. Antony warknął i runął do mojego gardła z dzikim, oszalałym wzrokiem. Zaciśnęłam dłoń w pięść.

Cribari zniknął. Rozwiązał się w powietrzu.

Suchając go, zrobiłam obrót. Grant nadal trzymał mnie za rękę, ale też się rozglądał. Z kabiny na dole doszły mi wrzaski, warknięcia. Nigdzie nie widziałam ojca Lawrence'a. Starszy pan stał nieruchomo z podniesioną głową, jakby czegoś nasłuchiwał.

- Jack - krzyknęłam.

- Za tobą - ostrzegł niemal bezgłośnie.

Określiłam się, akurat w chwili, gdy Cribari z przekrwionymi oczami wyłonił się z nicości. Zachwiał się, a potem złapał za ramię Granta. Ten się szarpnął, puszczając moją dłoń, żeby uderzyć laską w krocze napastnika i...

...obaj zniknęli.

Zaszokowana gapiłam się w puste miejsce. Odnosiłam wrażenie, że świat usuwa mi się spod stóp, że zwariowałam. Serce, żołądek podeszły mi do gardła, a potem opadły ciężko. Nie mogłam oddychać; ciało miałam sparaliżowane, zimne jak lód.

Uniosłam prawą rękę. Pancierz mienił się nieziemskim światłem. Byłam gotowa zabić pieprzonego księżulka.

Jack chwycił mnie za nadgarstek.

- Nie.

Warknęłam i odepchnęłam Starego Wilka.

- Spójrz - powiedział krótko, wskazując na coś.

Zniszczona łódź, którą widziałam już wcześniej, zbliżała się do nas szybko. Silniki z rykiem pruły fale. Zobaczyłam karabiny.

- Cribari nie powinien znikać w ten sposób z Grantem - mruknął Jack. - Nawet zmodyfikowani ludzie giną po kilkakrotnym przecięciu czasoprzestrzeni. Nie zdoła kontrolować sytuacji tam, gdzie wylądują. Przeszkodzi mu w tym ciężar dodatkowej osoby.

Odsunęłam się i tym razem Jack mi na to pozwolił.

- Zabijasz się, przenosząc się tak w czasie i przestrzeni, prawda?

- Nie - odparł starszy pan z błyskiem w oku. - Dostosowuję się.

Zrobił krok w tył i znów pokazał palcem, tym razem na mostek za plecami.

- Pomóż im. Ja odszukam Granta. Potem nas znajdź.

Zawahałam się, chciałam coś powiedzieć, ale musiałam się schylić, bo nad głową przeleciała mi kula. Zostałam trafiona kilka razy, ale dzięki chłopcom, osłaniającym moje ciało, żaden pocisk mnie nie zranił. Kule odbijały się ode mnie rykoszetem.

Kiedy znów spojrzałam przed siebie, Jacka już nie było.

Rozdział 18

Ocean wyl silnikami. Wbiegłam na mostek. Na środku leżał jakiś mężczyzna z rozharataną krtanią. Wokół śmierdziało moczem i zawartością opróżnionych jelit. Cudem nie pośliznęłam się na krwi tego człowieka. Przy kontrolkach dostrzegłam następne zwłoki.

Spod pokładu przyplłynął krzyk Byrona.

Zbiegłam po schodach do wąskiego korytarza. Zobaczyłam czyjeś plecy i nieznaną mi bluzę, więc niewiele myśląc, wbiłam facetowi pięść w krzyż. Usłyszałam trzask i przeraźliwy skowyt. Nieznajomy osunął się na ziemię... i rozplątał w powietrzu.

Przecinają czasoprzestrzeń, pomyślałam. Żeby wykorzystać element zaskoczenia. Mister King długo zwlekał z zastosowaniem tej sztuczki. Dziwiło mnie dlaczego właśnie teraz, dlaczego nie wcześniej.

W głównej kabinie rozległ się huk. Wpadłam do środka. Kątem oka dostrzegłam futro, długie zęby i widmowe, płonące czerwone oczy. A potem osunął się na mnie jakiś mężczyzna z szokująco wielką dziurą w gardle. Złapałam go za kołnierz i wypchnęłam na korytarz. Rzęząc, padł na kolana. Na schodach zabrzmiał tupot stóp. Spojrzałam w wylot lufy automatycznego karabinu.

Obejrzałam się przez ramię. Byron i Killy kryli się w łazience. Mary z rozwianymi włosami i dzikim uśmiechem na ustach stała na łóżku. Ojciec Lawrence czał się na podłodze na czworakach. Policzki i ręce porastało mu futro.

Paznokcie miał czarne i długie. Wyglądał jak człowiek, choć trochę bardziej owłosiony, ale z ust wystawały mu kły, a prawe oko jarzyło się czerwienią. Cały był we krwi i ciężko dyszał. Najwyraźniej niezupełnie został uleczony, chociaż przynajmniej potrafił odróżnić wroga od przyjaciela.

- Hej! - wrzasnęła mężczyzna na końcu korytarza, mierząc karabinem w moją głowę. - Ręce do góry. Już.

Zbiłam dłonie w pięści, wyszłam z kabiny i zamknęłam za sobą drzwi. Nie zatrzymałam się, mimo że po schodach zbiegały kolejne zbiry, patrząc na mnie z lekką niepewnością. Pierwszy z nich coś do mnie mówił, ale ja nie słyszałam ani jednego słowa. W uszach tętniła mi krew, a w sercu wzbierała ciemność. Widziałam tylko białka w oczach faceta przede mną.

Strzelił. Wpakował mi kulkę w brzuch, a ja niczego nie poczułam. Posłał mi serię, ale pociski odbijały się od mojej piersi i twarzy jak od tarczy. Nie zwalniałam kroku. Pozostali napastnicy też zaczęli strzelać, celując ponad głowę kumpla z przodu. Kule spadały na mnie jak krople deszczu. Zee przestał warczeć i zaczął się śmiać. Ja też się uśmiechnęłam, czując śmierć w kącikach ust.

Zacząli walić we mnie kolbami. Blokowałam uderzenia, chwiejąc się od ich impetu. Silne dłonie zrywały ze mnie ubranie. Nie zważając na to, młóciłam pięściami, roztrzaskując czaszki i łamiąc nosy. Używałam też kolan i stóp. Byłam bezlitosna. A to, że korytarz jest wąski, działało na moją korzyść. Napastnicy z dzikim strachem w oczach zaczęli się wycofywać na schody.

Obudzona ciemność podeszła mi do gardła, sprowadzając ze sobą wizje - migawki z życia - jakby mój umysł połączył się z myślami tych drani. Zobaczyłam żony i dzieci, i dziewczyny. Szybkie samochody, mecze piłki nożnej. Ujrzałam napis wyryty w kamieniu. Labirynt - „ten, który utyka, nie może być skrzywdzony”; krzyż - „ale kiedy wejdziecie na łódź, będzie już gotowy do przeniesienia”; posąg z czarnego marmuru - „jest tam chłopiec, stary człowiek, weźcie ich żywcem, jeśli zdołacie, reszta się nie liczy”; rzeźba kobiety w habicie z dzieckiem na ręku - „uważajcie na kobietę z tatuażami, uważajcie,

uważajcie". I usłyszałam donośny głos, błogosławiący każdego z mężczyzn - „zniszczone łódź, wysadźcie w powietrze". Mówił o grzechu i o mocy pokonywania strachu.

Czułam ich strach. Karmiłam się nim.

Zupełnie jak demon.

Ciała padały przede mną. Przechodziłam nad nimi. Nad moją głową rozległ się odgłos szybkich kroków - coraz cichszy. Pozostał tylko jeden mężczyzna. Utkwiłam w nim wzrok. Patrzyłam, jak wyciąga z sakwy u pasa jakiś okrągły przedmiot.

Odciągnął zawleczkę i rzucił granatem w moim kierunku. A potem od razu zaczął zwiewać. Nie pobiłam za nim. Złapałam małą bombę jeszcze w powietrzu i opadłam na kolana. Zwinęłam się wokół niej i mocno do siebie przycisnęłam.

Wybuch rzucił mną o ścianę, rozrywając ją na strzępy. Leżałam oszołomiona, wsłuchując się w słabnący ryk silników. Wszystko wokół przysłaniał gęsty dym. Byłam niemal naga. Futerał z nożami zwisał bezwładnie z mojego ramienia.

„Grant", powiedziałam w duchu. „Jack. Wstawaj, wstawaj".

Zaczęłam z trudem dźwigać się na nogi. Kiedy już mi się to udało, znów doznałam wizji; a raczej przypłynęło do mnie wspomnienie, ostrzegawczy szept ciemności - co prawda z powrotem kryła się w moim sercu, lecz pozostawiała po sobie posmak przeraźliwego głodu.

„Zniszczone łódź", rozbrzmiewały w mojej głowie słowa przetaczające się przez umysły bandziorów. „Wysadźcie w powietrze".

Potykać się o gruz i zwłoki, rzuciłam się do biegu. Prawie słyszałam tykanie zegara przy bombie. Chłopcy szarpali się, chcąc wyrwać się na wolność. Zmierzch. Zbliżał się zmierzch.

Nacisnęłam klamkę drzwi głównej kabiny. Zamknięte na klucz. I podziurawione kulami. Z wrzaskiem zaczęłam w nie kopać.

Otworzył je Byron. Błady, z szeroko rozwartymi oczami. Popatrzył na moje na wpół nagie ciało i poczerwieniał. Za jego plecami Killy kłęzczała przy ojcu Lawrensie. Nadal na czworakach wymiotował czymś, co wyglądało jak mięso. Wiedziałam, że na pewno nie jest to wołowina. Ksiądz znów był człowiekiem - bez futra, długich pazurów i z normalnymi zębami.

- Wstawajcie - rzuciłam krótko, głosem tak słabym, że musiałam powtórzyć. I żeby nie było żadnych niejasności, złapałam Chinę za ramię, odciągając ją od ojczulka.

Mary, która do tej pory z zamkniętymi oczami opierała się o ścianę, podeszła do Byrona i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Grant - powiedziała, spoglądając na mnie.

- Zniknął - wyjaśniłam i złapałam ją za nadgarstek. -Chodź ze mną, jeśli chcesz go odnaleźć. - Chwytając lewą dłońią za pasek u spodni, poderwałam ojca Lawrence'a na nogi. - Byron, Killy, trzymajcie się mnie.

Chłopak zrobił, o co prosiłam, ale jakoś niezręcznie, jakby nie wiedział, gdzie może mnie dotknąć. Killy jedną ręką ścisnęła moje ramię, drugą złapała swojego przyjaciela za kołnierz koszuli. Na podrapanych policzkach miała ciemne smużki po łzach.

- Powinnaś odejść, kiedy jeszcze mogłaś - zwróciłam się do niej ostro, po czym uściśniłam dłoń Mary, widząc, że staruszka odchyliła głowę i zamknęła oczy. Czulałam, że pancierz zaczyna się nagrzewać...

...i przez kabinę przeleciał silny podmuch, zwiewając mi włosy w tył. Uderzyło w nas gorąco i nagle wszędzie pojawił się ogień. Ściany kabiny składały się na nas.

A potem nic. Zniknęliśmy w otchłani.

Nie miałam w głowie żadnego miejsca docelowego. Myślałam tylko o Grancie. I o Jacku. I modliłam się o ich bezpieczeństwo. Jedynie na tym mogłam się koncentrować w tej pustce, która wyjątkowo w tym przypadku zdawała się wypełniona ruchem. Odnosiłam wrażenie, że gdybym z niej wyjrzała, zobaczyłabym mijający mnie wszechświat.

Spadliśmy na kamienie i trawę. Mocno uderzyłam w ziemię kolanami. Ale szybko puściłam ręce swoich towarzyszy podróży i zaczęłam biec. Jak tylko zdołałam najszybciej. Nie oglądałam się za siebie. Nie zważałam na to, że ktoś woła mnie po imieniu. Bałam się, że zostanę na widoku, że jest noc i że wkrótce obudzą się chłopcy.

I faktycznie już po chwili odrywali się od mojej skóry, choć ja nadal biegłam, oślepiona bólem, ślizgając się na ruchomych skałkach, padając na ręce. Nie zatrzymywałam się. Parłam dalej. Zee odlepił mi się od żeber i zamienił w ciemną mgłę, żeby po minucie przybrać materialną formę. To samo zrobili Raw i Aaz oraz Dek i Mai, moja korona z ognia i kości.

Zerknęłam przez ramię. Zee gnał przez mrok, wykorzystując każdą plamę nocy jako przejście do innego świata. Znikał w nim i pojawiał się z powrotem tak szybko, że w wilgotnym powietrzu tworzyły się od tego koncentryczne fale. Raw i Aaz dołączyli do niego. Ścigali mnie jak sfora wilków, a ja, choć marzyłam, by zrównali ze mną krok, nie przystawałam.

W końcu jednak wyhamowałam. Pochyliłam się i oparta rękami o kolana ciężko łapałam oddech. Serce waliło mi tak mocno, że każde jego uderzenie czulałam w krtani. Rozejrzałam się. Za plecami miałam górę. Na ostrym jak sztylet szczycie leżał śnieg. Trochę drzew, ale niedużo. Na ziemi nie było białego puchu, ale i tak w powietrzu czuło się chłód. Nagle zaczęłam drzeć. I równie niespodziewanie spłynęło na mnie zawstydzenie, że tak głupio zwiewałam, po to tylko, by nikt nie zobaczył mojej transformacji.

Nie musiałam ukrywać chłopców przed Byronem i resztą. I tak dużo już widzieli. Prawdopodobnie bardziej wystraszyli się moją ucieczką, niż gdyby ujrzeli ozywające tatuaże.

Małe demony się zbliżyły. Skinęłam na Rawa.

- Wracaj ochraniać Byrona i innych. Przynieś im kurtki, jedzenie. Staraj się, żeby cię nie widzieli, ale ich pilnuj.

Skinął głową, po czym znikł w mroku. Dek i Mai mieli melodię piosenki U2 / *Still Haven't Found What Fm Look-ing For*.

- Grant - zawróciłam się do Zee, nadal dysząc. Oparł mi pazury na kolanach.

- Odpocznij, Maxine. My patrzymy.

Pojawił się Aaz z ciuchami. Dżinsy, czarny golf, ciepły płaszcz. Zero bielizny. Ubrałam się niecierpliwie, wtykając za pazuchę porwany futerał z nożami. Gdzieś blisko usłyszałam stukot obcasów i pomyślałam o Byronie. Może za mną pobiegł. Porzuciłam go przecież na jakiejś skale ze starą wariatką, kobietą medium i czymś w rodzaju wilkołaka. Wspaniała ze mnie opiekunka, nie ma co.

Wśluchiwałam się w kroki, dziwiąc się zarazem, jak to możliwe, że zdołałam w tak krótkim czasie odbiec tak daleko. To górskie zbocze było niebezpieczne, nawet gdybym schodziła po nim wolno i ostrożnie. Cud, że nie spadłam w przepaść.

Chwilę później przekonałam się, kto ku mnie kroczył. Zobaczyłam Mary. Na małej polance piła wodę tryskającą wąskim strumieniem ze zbrocza. Była sama i w świetle padających na jej siwe włosy promieni księżycy wyglądała jak zjawą. Musiałam sobie przypomnieć, że znam tę starą kobietę.

Kiedy się zbliżałam, wyprostowała się. Po jej policzku ściekała woda. Przyczajona postać przypominała dzikie leśne zwierzę. W mroku nawet sweter i sukienka wyglądały inaczej, jakby Mary nie miała na sobie nic poza czernią nocy. Z pomarszczonych ust buchała srebrna para. Ale zdawało się, że staruszka nie czuje zimna.

W pierwszej chwili pomyślałam, że trzyma nóż, ale okazało się, że to tylko zaostrzony na jednym końcu kamień. Płytkie rany znaczyły żyłaste ramiona. Wzrok miała rozgorączkowany, usta zaciśnięte w cienką, ostrą linijkę, białka oczu migotały jak śnieg. Krew ściekała z jej skóry na ziemię.

- Mary - odezwałam się.

- Znów go zawiodłam - szepnęła rozedrganym głosem. - Przez to zamroczenie. Pozwoliłam, żeby to się stało. Znowu, znowu.

- Nie - zaprzeczyłam stanowczo. - Nie mogłaś nic zrobić, żeby temu zapobiec.

Kobieta skrzywiła się i uderzyła dłonią w czoło. Omal nie wybiła sobie oka kamieniem. Zrobiłam kolejny krok w jej stronę. Rozpacz deformowała staruszce twarz. Żal zacisnął mi serce - żal nad nią i nad sobą.

- Zagubiony - wydyszała. - Nie mogę mu pomóc. Nie mogę pomóc, a on mnie potrzebuje. A to ciało... to ciało nie jest takie jak kiedyś. Nie jest... - Z wściekłością przesunęła ostrym końcem kamienia po rękę. - Takie... - znów się chlasnęła, a z ręki potoczyła się krew... - jak kiedyś.

Nie pozwoliłam, by ponownie się zraniła. Złapałam dłoń trzymającą kamień. Spodziewałam się, że Mary go wypuści, ale ona zaczęła ze mną o niego walczyć. Używając całej siły. I stwierdziłam, że ma jej zadziwiająco dużo i że jest zdumiewająco szybka. Machnęła nogami i wolną ręką, a ja, nie wiedząc jak i kiedy, znalazłam się na ziemi. Dek i Mai zaskoczeni skrzeknęli mi do ucha.

Przez chwilę oszołomiona leżałam na plecach, aż zobaczyłam, że Mary znowu przytyka ostry czubek kamienia do skóry. Chwyciłam ją za kostki i pociągnęłam. Nie tak, żeby zwalić kobietę z nóg, lecz na tyle mocno, żeby się zachwiała. I gdy starała się odzyskać równowagę, błyskawicznie się podniosłam. Zee i reszta chłopców przyglądali się nam z cienia. Dałam im znak, żeby trzymali się z daleka, i znów spróbowałam odzyskać kamienny nóż. Mary z prędkością pioruna i wdziękiem baletnicy poderwała w górę nogę, żeby kopnąć mnie w twarz. W oczach miała furję, siwe włosy sterczały na wszystkie strony. Warczała, odsłaniając zęby.

- Mary! - krzyknęłam, szamocząc się z nią zawzięcie. - Posłuchaj mnie!

Coś wreszcie chyba do niej dotarło, bo przestała się szarpać - choć nadal była tak spięta, że nie śmiałam się rozluźnić. Gapiliśmy się na siebie, stojąc jedna przed drugą w bezruchu. Nagle oczy Mary zabłysły dziwnie, jakąś przerażającą wiedzą.

- Grant - wychrypiała. - Jest w niebezpieczeństwie.

- Tak - potwierdziłam. - Musimy go odszukać.

Cała zakrwawiona spojrzała w niebo i zaczęła bezgłośnie poruszać ustami. Chciałam się od niej odsunąć, ale wtedy jej ręka wystrzeliła w moją stronę i chwyciła mnie mocno za ramię. Naprężyłam się gotowa do walki, jednak staruszka nie zamierzała się więcej ze mną zмагаć. Patrzyła na gwiazdy, a jej twarz ożywiała się szokująco.

- Słyszę jego pieśń - wyszeptwała i złapała mnie lepką od krwi ręką za kark. Nie widziałam jej oczu, stałyśmy zbyt blisko siebie, ale dokładnie słyszałam, co mówi: - Kobieta Granta. Usta Światła nigdy nie działają w pojedynkę.

- Nie rozumiem - powiedziałam zaintrygowana napięciem w głosie Mary. Wyczuwałam, że wie coś, co ja też powinnam wiedzieć. - Wyjaśnij mi, o co chodzi.

- Jedno serce się wypala - wydyszała. - Dwa żyją.

Te słowa zapadły we mnie jak zaklęcie. Dek i Mai ukryci głęboko w moich włosach zaczęli nucić, a Zee otarł mi się o nogę. Mary spojrzała na demona. Bez strachu. Nigdy nie bała się chłopców.

- Znalazłem ich - wycharczał Zee.

Stara kobieta odsłoniła zęby, raczej w uśmiechu, choć może to było warknięcie. Miałam ochotę zrobić to samo, bo ciemność poruszyła się w moim sercu; spokojna, rozważna. Byłam przerażona, ale nie aż tak bardzo, by ukrywać swoje instynktowne reakcje przed samą sobą.

Wysunęłam prawą rękę do Zee, ale on nawet nie zerknął na pierścień. Pobłyskując czerwonymi ślepiami, rozprostował pazury i zaczął grzebać w ziemi.

- Biegniemy. Polujemy, słodka Maxine.

- Polujemy - zgodziłam się i wyciągnęłam dłoń. -Mary?

Staruszka roześmiała się dziko i pognała przed siebie: duch lwicy mknący między drzewami. Wystartowałam za nią i po chwili przekonałam się, że bieg mniej mnie męczy niż chodzenie. Prawie płynęłam w powietrzu.

Pędziłyśmy pod górę wąskim szlakiem. Mary niesamowicie szybko i bardzo zwinnie. Jakby nagle odmłodziła. Nie mogłam jej dogonić. Przed nią biegli Zee i Aaz, wyłaniając się co chwilę z cieni. Wsłuchiwałam się w ciche dudnienie serca w mojej głowie; niskie, dzikie, jakbym słuchała oddechu świata rzucającego się w koszmarnym śnie. To był pradawny dźwięk. Stary jak kamienie, jak piach na szlaku, jak krew. Stary jak grzmot błyskawicy.

Straciłam poczucie czasu. Kiedy wreszcie Zee się zatrzymał, okazało się, że znajdujemy się na szczycie jednego ze wzniesień. Mary i ja, stąpając ostrożnie po głazach, balansując na nich jak jakieś zjawy, podeszłyśmy na skraj urwiska. Przykucnęłam, aby spojrzeć w dół.

Ciągle się zastanawiałam, w jakiej części świata jesteśmy. A to, co zobaczyłam, nie pomogło mi znaleźć odpowiedzi. Jednak w oddali, nisko w dolinie, ujrzałam światła; miasta, a może wioski. Widok cywilizacji, zwłaszcza uwięzionej w tej głuszy, rozgrzał mi serce.

Ale bliżej - tuż pod nami - dostrzegłam jakieś postaci. Dwóch mężczyzn.

Wstałam i zaczęłam schodzić po kamienistym zboczach. Mary, z rozwianymi włosami i powiewającą na zimnym wietrze sukienką, szła tuż za mną. Nie starałyśmy się ukrywać.

Grant zobaczył mnie pierwszy. Siedział na trawie oparty o wielki głaz. Nogi miał wyciągnięte przed siebie, ręce splecione na piersi. Wydawał się zmarznięty i zmęczony. Uśmiechnął się do mnie, a ja poczułam takie ciepło, taką radość, że zaczęłam się zastanawiać, jak kiedykolwiek

mogłam wierzyć, że przeżyję życie samotnie i nigdy nie będę tego żałowała

Jack siedział obok. Z oddali wyglądał jak strach na wróble, a nie jak duży silny mężczyzna, jakim go poznałam. Teraz potargany, wymizerowany sprawiał wrażenie skrajnie i wyczerpanego. Jednak kiedy mnie zobaczył, jego oczy rozbłysły radością, a usta rozciągnęły się w uśmiechu. Pomachał mi ręką.

Gdy do nich dotarłam, nie rzuciłam się im w ramiona. Nic z tych rzeczy. Po prostu wpatrywałam się w twarze mężczyzn, których kochałam, i starałam się oddychać.

-No wreszcie - mruknął żartobliwie Grant. - Już myślałem, że zamiast nas szukać, zrobiłaś sobie wycieczkę do Disneylandu.

- Przyszło mi to na myśl - odparłam. - Jesteś wymagający, wiesz?

Wyciągnął rękę. Pomogłam mu się podnieść. Kiedy już stał, górując nade mną, pochylił się i szepnął:

- Ale moje wymagania są zawsze bardzo męskie. Zdusiłam drżący śmiech. Zaczepiłam kciukami o szlufki jego dżinsów wspierałam się na palce i musnęłam go ustami po policzku - zbyt szczęśliwa, by wykrzesać z siebie coś więcej. Zresztą to, co chciałam mu powiedzieć, wymagało czasu i ciszy.

Odosobnienia.

Mary stała z boku; widmowa postać z gwiazdami w źrenicach. Grant wyciągnął do niej ramiona, a ona podbiegła tanecznym krokiem i wtuliła mu się w pierś.

Zee i reszta sprawdzali obrzeża prześwitu. Rawa ciągle nie było; miałam nadzieję, że jest z Byronem. Przykucnęłam przy Jacku. Odzyskując siły, nadal siedział nieruchomo. Trochę mnie to zaniepokoiło, dopóki nie zobaczyłam, że ugina nogę i opiera na niej rękę. Tuż obok nas pojawił się Zee. I zaraz znikł, a po chwili znów się wyłonił z mroku z kocem w pazurach. Podał go mnie.

- Cribari - powiedziałam, otulając Jacka.

Zacisnął zęby.

- Pod nami.

Zawahałam się, próbując wyczytać z oczu, co miał na myśli. Potem bardzo wolno podniosłam jego rękę i podwinęłam rękaw. Na kościsty labirynt padło światło gwiazd, co natychmiast rozbudziło w moim sercu pradawne, prymitywne emocje: strach i grozę tajemniczości. Przeciągnęłam palcem po wypukłościach tatuażu, który był raczej częścią ciała niż sztucznym dodatkiem; coś jak kiel u słonia.

Podciągnęłam rękaw jeszcze wyżej i znalazłam następny tatuaż, tym razem wykonany zwykłym atramentem; kilka słów w nieznanym mi języku.

Jack cofnął rękę.

- Co to? - spytałam.

- Przypomnienie tego, co jest ważne - odparł szorstko. - Żyję już tak długo, że mój umysł zapomina czasami nawet te najbardziej podstawowe prawdy.

Dotknęłam swojej twarzy i przesunęłam palcem po zarysie linii wypalonych na skórze; prezent od demona. To Oturu mnie oznaczył... tak jak jedną z moich poprzedniczek. Przed pięcioma tysiącami lat. Dwie kobiety. Dwie Tropicielki. Powiązane ze sobą. Posiadające coś, czego nie rozumiałam, co jednak inni rozpoznawali: Oturu, Jack, Naganiacz. Demon, awatar i człowiek... którzy znali tamtą kobietę za jej życia.

- Oprócz mnie tylko jeszcze jedna Tropicielka nosiła ten znak - zwróciłam się do Jacka. - A jej wspomnienie cię przeraża.
- Ona nie żyje - odparł krótko.
- Ale to kim była, nadal istnieje - rzuciłam ponurym głosem. - Gdy żyła, o mało nie zniszczyła świata. Stała się... czymś więcej. I teraz jestem ja. Spokojnie mogłabym nosić na czole napis „apokalipsa”. Tak właśnie odczytał moje znamię Cribari. I ty, kiedy je pierwszy raz zobaczyłeś.
- Nie patrząc mi w oczy, opuścił rękaw.
- Niektóre prawdy nigdy nie umierają, moja droga. Ale inne giną.
- Złapałam go za ramię.
- Dlaczego ja też jestem naznaczona, Jack? Czy to ma coś wspólnego z tą siłą, które we mnie drzemie?

- Dobrze wiesz, że tak - padła szorstka odpowiedź. Stałam nieruchomo, prawie nie oddychając.
- To w końcu co to takiego? Zamknął oczy, pokręcił głową.
- Nie wiem.
- Kłamiesz - odezwał się cicho Grant, dołączając do rozmowy. Opierał się ciężko na lasce, drugim ramieniem otaczając plecy Mary.
- Nie. - Starszy pan posłał mu spojrzenie, które można by nazwać nienawistnym, gdyby nie kryło się w nim aż tak dużo strachu. - Postępowaliśmy ostrożnie, tworząc jej gatunek. Powiązaliśmy demony z człowiekiem. Demony, chłopcze. Ale uczyniliśmy tak tylko raz, bo to było zbyt... nieprzewidywalne. Może to... co się dzieje z Maxine... wynika właśnie z tego. Nie wiem.
- Ale ponosisz za to odpowiedzialność - oświadczył Grant. - Antony rozpoznał cię po tatuażu na ręce. A ty oczekiwałaś, że z powodu tego smaku on będzie cię słuchał.
- Stary Wilku - szepnęłam. - Co ty zrobiłeś? Spojrzał na mnie ostro.
- Chciałem chronić... ciebie, was... wszystkie Tropiciel-ki. Miałem dobre intencje.
- Kościół próbuje mnie zabić.
- Tylko część jego sług, działających w izolacji od reszty. Zee splunął na ziemię, paląc trawę pod swoimi stopami.
- Ponurzy obserwatorzy. Złe nasienie, pan Meddle. Krew na ich rękach.
- Zmęczona tą rozmową wyprostowałam się i zmieniłam temat.
- Czy Cribari nie żyje?
- Żyje - odparł Grant.
- Ale już niedługo - dodał Jack.
- No tak - mruknęłam, wymieniając się przeciągłym spojrzeniem z Zee. - To dobrze.

Rozdział 19

Razem z Grantem zaczęliśmy schodzić ze wzgórza. Mary szła za nami. Poruszała się jak ci umięśnieni faceci, których widywałam czasami o zmierzchu w porcie - goryle rosyjskich mafiosów. I tak jak oni wydawała się groźna, zwłaszcza z tym jej szaleństwem w oczach. Jakby nieraz miała czyjaś krew na rękach.

Nie wiedziałam, co sądzić o jej przemianie. Zachodziłam w głowę, co się z nią dzieje. Była taka inna od kobiety, którą znałam. Choć z drugiej strony, o dziwo, ta obecna Mary sprawiała wrażenie kogoś, kto wreszcie odzyskał swoje ja. Może dziwaczne, ale jednak własne.

Grant stąpał ostrożnie po nierównościach, a panująca wokół cisza wchłaniała w siebie stukot laski i odgłos jego rżącego oddechu. Oprócz rżenia czasami docierało do mnie coś w rodzaju bulgotania - wtedy Grant zaczynał kasłać i płuć gęstą flegmą. Starając się nie myśleć o tym, co wydostaje się z jego płuc, odwracałam głowę lub spoglądałam w usiane gwiazdami niebo. I czułam się okropnie mała wobec tego ogromu. Niewiele więcej niż chwila zagubiona w czasie.

- Gdzieś tam istnieje życie - powiedziałam, dostrzegając Zee i resztę chłopców. Skradali się obok nas w mroku. Pobłyskiwali czerwonymi ślepiami i szeptali między sobą w swoim melodyjnym, niezrozumiałym dla mnie języku.

- Życie to mamy tutaj - zauważył Grant, zduszając kaszel. Pokazał na złotą poświatę cywilizacji widoczną w oddali. - Możesz to sobie wyobrazić?

Jeśli Jack się nie myli...

Grant spojrział na mnie twardo i wytarł usta wierzchem dłoni.

- Przestań.

Z trudem się powstrzymywałam. Myśli kłębiły mi się w głowie. Jeśli Jack mówił prawdę o pochodzeniu ludzkości, to znaczyłoby, że wszyscy jesteśmy potomkami tylko jednej rasy, której ostatnimi przedstawicielami są Grant, no i może Mary. Świat zasadzony jak roślina. Pozostawiony, aby dojrzał. Eony mijające w sekundę. Grant przeciągnięty przez czas.

Aż do teraz, do tego momentu. Instynktownie wyczuwałam, że istnieje jakiś powód, że tak się stało - wytłumaczenie wszystkiego, nawet tego, że się poznaliśmy. Bo my razem stanowiliśmy coś niewyobrażalnego. Nawet oddzielnie byliśmy czymś niewyobrażalnym. Czymś, co nie powinno być. Nie demonami ani nawet awatarami.

Nie wierzyłam w zbiegi okoliczności. Jednak w tym przypadku ta niewiara wymagała wiary w coś innego. A na to nie byłam gotowa.

Nie potrafiłabym też rozmawiać o tych sprawach z Grantem. Bo jeśli to prawda, mogłam jedynie rozpocząć dyskusję o ludobójstwie i niewolnictwie, a także o tym, że rodzina, w którą on tak bardzo wierzy, to wyłącznie mniejsze lub większe kłamstwo.

Popatrzyłam na stok, ale nie dostrzegałam niczego poza wielkimi głazami i półkami skalnymi. Jeszcze trochę i droga stanie się zbyt niebezpieczna dla Granta.

- Co się wydarzyło po tym, jak Cribari cię porwał?

- To skomplikowane - odparł po dłuższym zastanowieniu. - Musisz to sama zobaczyć.

- Grant.

- Po prostu... - Zatrzymał się i ciężko westchnął. - Po prostu zaczekaj.

Zmarszczyłam brwi, wpatrując się w otaczającą nas ciemność. Niczego szczególnego nie zauważyłam, ani śladu po kimkolwiek. Grant znów ruszył w dół. W pewnej chwili skręcił w prawo, w kierunku jakiegoś głazu. Dek i Mai przestali mrużyć. Zee i Aaz zniknęli nagle z widoku.

Zanim obeszliśmy głaz, Grant wziął mnie za rękę. Nie wiedząc, czy zrobił to ze względu na mnie, czy na siebie, jeszcze bardziej się zdenerwowałam. Przypuszczałam, że zaraz moim oczom ukaże się coś strasznego.

Jednak nic takiego nie zobaczyłam. Nie pojawił się też Cribari. Za głazem byli tylko chłopcy, nawet Raw. Skuleni w kucki tkwili przed poszarpaną skałą, wyglądającą jak zgnieciona dynia.

- No i? - spytałam.

Zee spojrzał na mnie, a potem wymownie na resztę chłopców. Raw i Aaz wzruszyli ramionami.

Małe demony usunęły się bok, odsłaniając skałę. Która po chwili zamrugnęła gwałtownie.

Gapiałam się na nią oniemiała. Patrzyłam w parę ludzkich oczu otoczonych kamieniem.

Grant coś powiedział, ale go nie zrozumiałam. Podeszłam do skały, żeby z bliska przyjrzeć się pozostałościom po twarzy Antony'ego Cribariego.

Z tej odległości mogłam dostrzec więcej: część policzka, brwi i połowę nosa - jedną dziurkę, która dziko się rozdymała. Usta pokrywał kamień. Widziałam też kawałek ucha, więc możliwe że czcigodny nas słyszał. Szukałam reszty ciała, ale niczego więcej nie znalazłam. Książd był zbyt wielki, żeby w całości zmieścić się w głazie. Pozostała część musiała tkwić w ziemi.

Ale jego oczy... mówiły wszystko. Płakał. Kamień pod powiekami był mokry, podobnie jak miejsce pod dziurką w nosie. Domyślałam się, że trudno mu oddychać. Ja sama ledwie nabierałam powietrze w płuca. Usiadłam, bo zrobiło mi się słabo i niedobrze.

- Maxine - zaniepokoił się Grant.

Machnęłam dłonią, żeby mnie zostawił w spokoju, jednak zaraz potem złapałam go za rękę i mocno ją zacisnęłam.

Wiedziałam, że za moment zwymiotuję. W życiu nie widziałam nic gorszego niż ten ludzki głaz. To było równie poruszające, jak widok mojej umierającej matki, chociaż obecne emocje nie miały nic wspólnego z miłością ani żalem.

Ja też kiedyś zostałam pogrzebana żywcem. Zamknięta w innego rodzaju mogile; nie mogłam wydobyć z siebie głosu, nabrać oddechu - poza oddechem, którego użyczali mi chłopcy. I znajdowałam się w tej sytuacji bardzo długo. Miesiącami. Latami. W Labiryncie czas płynie inaczej. Gdybym się nie uwolniła, pozostałabym tam na całą wieczność.

- W trakcie przecinania czasoprzestrzeni straciłem przytomność - odezwał się Grant. Pochylił się, żeby zająrzeć mi w twarz. - I ocknąłem się w pobliżu tego głazu. Gdybym nie dostrzegł aury, nigdy nie przyszedłoby mi do głowy szukać Cribariego w tym... czymś.

- Żałujesz, że go odnalazłeś - szepnęłam, czując na sobie spojrzenie księdza. Aż mnie przeszył silny ból, zupełnie jakby ktoś wbił mi sztylet w serce. Bałam się patrzeć na tego człowieka. Bałam się swoich wspomnień i uczuć, jakie wzbudzały.

- Żałuję wielu rzeczy - odparł ostro Grant. - Stałem tu, aż pojawił się Jack. Myślę, że... niewiele brakowało, żebyś odebrał Antony'emu życie.

- I dlaczego tego nie zrobiłeś? Popatrzył na mnie z powagą.

- Według Jacka w grę wchodzi jakaś obietnica. Wolno wypuściłam powietrze. Zee i reszta chłopców wpatrzonych w Cribariego nadal kucali przed głazem. Moje małe wilki drapały ziemię pazurami, połykiwały szpicami kręgosłupów, drżały i pomrukiwały groźnie. Bezradna furia, z jaką klecha odpowiadał na ich spojrzenia, była przerażająca.

- Ostry człowiek - wycharczał Zee. - Dług krwi musi spłacić. Twój ród zabić naszą starą matkę. Złapałam Zee za ramię i zmusiłam go, żeby na mnie popatrzył.

- Możesz go uwolnić? Wydrzeć z tego kamienia? Raw i Aaz walnęli pięściami tuż przy twarzy Cribariego.

Skała się obłupała, a ksiądz mocno zacisnął powieki. Demony wybuchnęły chrapliwym chichotem.

- Przestańcie - warknęłam. - To nie jest śmieszne.

- Teraz lub potem. Martwy to martwy. - Zee obejrzał się przez ramię na Antony'ego. - Kamienie pękają, on pęknie. Nadal martwy. Przyrzeknijcie.

- W takim razie zostaw go, niech tu umiera powoli -odezwał się Grant. - Albo zabij od razu, szybko i bez zbędnych tortur.

Posłałam Grantowi zdumione spojrzenie. Cribari kichnął, a z dziurki w nosie wyleciał mu smark. W oczach więźnia zamigotała nienawiść. Mary, która klęczała kilka kroków dalej, wbiła kamienny nóż w ziemię. Przyglądała się księdzu dość spokojnie, choć jej oczy dziwnie migotały, a usta wygięły się nagle w uśmiechu satysfakcji.

- Zużyty człowiek - szepnęła. - Ogary Gabriela przytyty-

Do skamieniałego zbliżył się Grant. Pochylił się i zajrzał mu w oczu. Cribari zaczął szybko mrugać, co wydawało się głośniejsze nawet niż krzyk.

- A więc, Antony - zaczął spokojnie - masz wiele win na swoim sumieniu.

Tym razem powieki księdza pozostały nieruchome - na znak buntu, a może ze strachu, nie wiedziałam. Ale po czole spływał mu pot. Grant nachylił się jeszcze bardziej.

- Wolałbym, żebyś nie żył - wyszeptał. - Nie mógłbym ci wtedy wyrządzić żadnej krzywdy. A z chęcią bym to zrobił. Jestem tylko człowiekiem. Słabym człowiekiem. Sam tak powiedziałeś wiele lat temu. Nazwałeś mnie szatańskim pomiotem. I nadal tak uważasz. I boisz się, że zdołam zobaczyć wszystkie twoje tajemnice. - Uśmiechnął się, co mnie przeraziło, bo ten uśmiech był szczerzy; przypominał śmiercionośną broń, oczko puszczone przez kata tuż przed uderzeniem topora. - Chciałbym skończyć, co zacząłem. Pamiętasz to uczucie, Antony? Kiedy miałeś mnie w swojej duszy?

Cribari gwałtownie zamrugał. Zee się roześmiał, głośno i twardo, co brzmiało jak trzask tłuczonego szkła. Raw i Aaz natomiast, spoglądając na świątobliwego i chichocząc, zaczęli się dźgać dla zabawy kolcami wyrwanymi z kręgosłupów. Dek i Mai huścili się na mojej szyi, nucąc *Tenderness Is His Way* Gladys Knight.

Podniosłam się i na miękkich nogach dołączyłam do Granta. Z lękiem dotknęłam jego ręki. Rozpalone palce natychmiast zacisnęły się na mojej dłoni. Drżały.

Puścił mnie i zrobił ostatni krok w stronę Cribariego. Nie zatrzymywałam go. Nie poruszyłam się nawet wtedy, gdy położył dłoń na głowie uwięzionego klechy. Wbił wzrok w oczy ludzkiej skamieliny. Do końca życia nie zapomnę tego lodowatego chłodu wypełnionego historią, który przemknął między obydwojma mężczyznami; ani tego dreszczu, który wstrząsnął moim ciałem, jakbym właśnie usłyszała huk gromu. Wstrzymałam oddech wpatrzona w Granta.

Chwilę później zaczął wypowiadać słowa formułki ostatniego namaszczenia.

Mówił bardzo cicho, ale spokojnie, bez cienia gniewu, radości lub bólu. Łagodnym tonem, bez podniosłej intonacji. Cribari słuchał go i ani drgnął. Ale potem z oczu pociekły mu łzy. Jednak nie widać

w nim było skruchy, a tylko rezygnację i zduszoną wściekłość, która, zdawało się, rozpala pozostałości jego bladej twarzy niczym jakiś przerażający, niewidzialny ogień.

Grant skończył i po chwili milczenia sięgnął po moją dłoń. Przyciągnął mnie do siebie, tak że znalazłam się tuż przed księdzem.

- Popatrz na nią - powiedział, tym razem z wielką mocą w głosie. - Spójrz, Antony. Ona będzie żyła i urodzi dziecko. I zmieni ten świat. Widzisz więc, że wszystko, co robiłeś, nie miało sensu.

Cribari, który dotąd gapił się na Granta szeroko rozwartymi oczyma, teraz przeniósł swoje ciężkie spojrzenie na mnie. A ja od tego mrocznego wzroku poczułam, że zaraz się uduszę. Grant, silny i pewny, mocniej zacisnął palce na mojej dłoni.

Tak mi przykro. Te słowa cisnęły mi się na usta, ale je przełknęłam, choć w gardle rozrastała się dławiąca gruda żalu. Milczałam, gdy Zee zbliżył się do głazu, wspiał się na palce i z powagą popatrzył wielebnemu w twarz. Nozdrze księdza rozděło się, a widoczna część twarzy skurczyła z obrzydzenia i przerażenia.

- Maxine - odezwał się chrapliwie Zee.

- Zrób to szybko. - Odwróciłam się i pociągnęłam za sobą Granta.

Odeszliśmy razem z Mary, która nuciła jakąś rzewną melodię. Żadne z nas nie obejrzało się za siebie, nie licząc siedzących na czubku mojej głowy, spokojnych jak noc, Deką i Malą.

Kiedy już Cribari zniknął nam z widoku, zasłonięty za-łamkiem wzgórza, Mary zaczęła śpiewać głośniej. Nie rozumiałam słów, ale melodia brzmiała bardzo melancholijnie, więc doszłam do wniosku, że to jakaś pieśń żałobna.

Grant spojrział na Mary ze zdziwieniem.

- Znam to.

Zawtórował staruszce głosem miękkim jak jedwabna rękawiczka, jednak już po chwili złapał go atak niepohamowanego kaszlu. Zasłonił ręką usta, zgiął się w pół, a kiedy znów się wyprostował, dłoń miał całą we krwi.

Mary wytarła ją skrawkiem oderwanym od sukienki. Grant chciał ją powstrzymać, ale złapała go mocno za nadgarstek.

- Nigdy nie zostawaj sam. I nie odmawiaj pomocy - wymamrotała.

Poczułam dziwne mrowienie na karku. Spojrzałam w górę i dostrzegłam przypatrującą się nam, samotną wychudzoną postać. Jack. Z siwymi włosami mieniącymi się w blasku gwiazd.

Czekał, aż wejdziemy na wzgórze. Gdy tam dotarliśmy, pojawili się też Zee i Aaz. Popatrzyłam na nich - krótko skinęli głowami. Rawa nie było nigdzie widać.

- Już po wszystkim - zwróciłam się do starszego pana. Nagle ogarnęło mnie tak wielkie zmęczenie, że najchętniej zamknęłabym oczy i zatonąła we wzgórzu. Zamknęłabym oczy, żeby raz na zawsze zapomnieć o przerażającej twarzy uwięzionej w kamieniu.

- To dobrze - odparł Jack.

- Dobrze - powtórzyłam i zaraz potem dodałam: - Choć nic dobrego się nie wydarzyło.

Stary Wilk zwiesił bezradnie ramiona, ale już po chwili otrząsnął się z przygnębienia. Odwrócił się i zaczął iść pod górę.

- Jest już chłopiec i reszta towarzystwa. Musimy zdecydować co dalej.

- Jack - zawołał Grant niskim i groźnym głosem. Starszy pan udawał, że tego nie słyszy i nadal się wspinał. Przystanął dopiero wtedy, gdy go dogoniłam.

- Muszę wiedzieć, jaką ty w tym wszystkim odgrywasz rolę - oświadczyłam, spoglądając w jego znużone oczy.

- Wcale nie o to ci chodzi - odparł. - Pragniesz tylko pozbyć się poczucia odpowiedzialności za śmierć ludzi, którzy jeszcze zginą.

- Tobie również to dokucza - odgryzłam się. - Dlaczego jesteś taki tajemniczy? Czy twoja córka też niczego nie wiedziała?

Wzdrygnął się; mną także wstrząsnął dreszcz. Nie spodziewałam się, że wypowiem te słowa; zbyt emocjonalne, intymne. Twoja córka. Moja matka. Mój dziadek.

- Jeannie... - zaczął łamiącym się głosem. - Nie powiedziała mi o dziecku, twojej matce. Nie wiedziałem, że mam... kogokolwiek... do chwili aż Jolene mnie odszukała.

Co zdarzyło się dużo lat po jej narodzinach. O wiele za późno.

- Cóż - szepnęłam. - Teraz masz mnie. Znieruchomiał, a po jego twarzy przebiegł jakiś bolesny skurcz. Ale to trwało tak krótko, więc może tylko to sobie wyobraziłam.

Dobili do nas Grant, potem Mary. Starszy pan nawet na nich nie spojrział.

- To się zaczęło od Strażniczek. - Nie odrywał ode mnie wzroku.

- Co? - spytałam, wypuszczając wolno powietrze. - Zakon Cribariego?

- Mój zakon - odparł i znów podjął ostrożną wspinaczkę. - W dawnych czasach na Ziemi mieszkało wiele Strażniczek. Nie wyobrażasz sobie, jaką posiadały moc ani jak bardzo ludzie ich potrzebowali. Armia Rzeźników była ogromna i nie wszystkie demony udało się zamknąć za Zasłoną. Wiele pozostało na wolności. Strażniczki na nie polowały. Niektórzy oddawali im za to boską część.

- Niektórzy - powtórzyłam. - I właśnie ci stali się takimi jak Antony Cribari?

- Nie upraszczaj sprawy - obruszył się. - Strażniczki poprzedziły chrześcijaństwo o jakieś osiem tysięcy lat. Po ich... odejściu został tylko twój ród. I musiał być chroniony za wszelką cenę. Co do mnie... ja tylko okiełznałem istniejącą już fascynację, mitologię powstałą na bazie istnienia rodu Tropicielek i Strażniczek. Przystosowałem te legendy tak, żeby były użyteczne w tamtym okresie. - Popatrzył na mnie z powagą. - Jesteś, moja droga, potomkinią kobiety, która wstrząsnęła światem i na zawsze zadomowiła się w ludzkich marzeniach. Pojawiasz się wszędzie tam, gdzie są boginie ciemności i królowe wojowniczeki. Pamiętaj o tym.

Słowa Jacka zmroziły mnie.

- Ojciec Cribari nie miał na mój temat aż tak dobrego zdania.

- Czasy się zmieniają - odparł ponuro. - Na początku potrzebowałem wsparcia, więc zebrałem wokół siebie tych godnych zaufania. Zleciłem im obserwację i robienie zapisków. Czasami też kazałem udzielać pomocy twojemu rodowi. Ta pierwsza grupa zwerbowanych kobiet i mężczyzn wyszkoliła następnych i tak narodził się... zakon. Kiedy chrześcijaństwo zaczęło zdobywać ważną pozycję na mapie kulturalnej świata, członkowie mojego zakonu dołączyli do tej religii. I to było dość wygodne, choć niestety około XIII wieku pojawiły się pewne... nieporozumienia. A stworzony przeze mnie zakon uległ degeneracji.

- Chcesz powiedzieć, że członkowie zakonu zaczęli obawiać się mojego rodu? - spytałam wolno.

- Zawsze się go obawiali. Tak jak niektórzy obawiają się anioła zemsty. Jednak do tamtej pory uważali, że twój ród stoi po stronie dobra.

- Więc co się zmieniło?

Nie od razu odpowiedział. Grant, który przysłuchiwał się w milczeniu, złapał mnie za rękę.

- Pewnie chodzi o inkwizycję - wyjaśnił cicho. - Pod koniec XII wieku dominikanie dostali przyzwolenie, by pozbyć się heretyków.

Starszy pan nie patrzył na nas, tylko - zupełnie jak ja wcześniej - spoglądał w niebo.

- Lęk przed bóstem to coś zupełnie innego niż strach przed torturami i potępieniem. I gdy inni płonęli żywcem na stosach lub łamano ich kołem za przewiny tak drobne jak wiara w obcego boga, członkowie mojego zakonu kryli tajemnicę, która mogłaby... zmienić wszystko. - Przesuwając dłonią po szyi, zamilkł, aby złapać oddech. - Strach prowadził do zwątpienia, zwątpienie do niepokoju. W okresie gdy procesy czarownic były na porządku dziennym, powstały już także mocne podwaliny myślenia potępiającego to, co wcześniej uważano za ostatnią siłę zdolną powstrzymać Armagedon.

- Rozpadnięcie się więziennej Zasłony. - Dotknęłam palcami blizny pod uchem; tyle trudów z powodu tej tak nic nieznaczącej wiązki martwego ciała. - Cribari aż tak bardzo się nie mylił. We mnie naprawdę drzemie ciemność. O czym ty dobrze wiesz. Jesteś o tym przekonany, inaczej nie miałbyś tego tatuażu, wizerunku mojej blizny. Nie pozwoliłbyś, żeby matka tak wiele przede mną ukryła. Nie bałbyś się, że zamieniam się w potwora.

Grant chrząknął cicho na znak sprzeciwu. Jack w końcu na mnie spojrzał.

- Nigdy tak nie myślałem, moja droga. Nigdy.

- Nie wierzę ci - odparłam. - Pamiętam, Jack. Pamiętam wyraz twoich oczu, gdy pierwszy raz zobaczyłeś tę bliznę. Pamiętam, co mówiłeś. O polowaniach i o śmierci. Ty się boisz.

Złapał mnie mocno za ramię, potrząsnął nim lekko i zajrzał mi w oczy.

- Boję się, że cię zawiodę, bo już raz to się zdarzyło. Byłem nieostrożny. I twoja poprzedniczka za to zapłaciła.

- Nie jestem nią - mruknęłam.

„Ale mogłabyś być”, usłyszałam niechcianą myśl. I wydawało mi się, że dostrzegłam ją też w oczach Jacka. Odsunęłam się; puścił moje ramię. Prawie tego nie zauważyłam. Nie uważałam się za wariatkę. Czułam, że twardo stoję na ziemi.

„Nie jestem potworem”, powiedziałam sobie w duchu. Może i mam go w sobie, ale nim nie jestem. On to nie ja.

Przypomniał mi się Cribari, a także świeżo wykopany grób i łkający niemowlak.

- Jak nazywała się Tropicielka, którą zabili twoi ludzie? Jack się potknął. Nagle przy naszych nogach pojawił się

Zee. Spojrzał na starszego pana z ponurą powagą. Potem takim samym wzrokiem popatrzył na mnie.

- Auicia - wychrypiał. - Urodzona nad oceanem. Jack przestraszony spojrzał na małego demona. Przed

nami, na wzgórzu, spostrzegłam jakieś poruszenie, niewyraźną postać. Tak bardzo przypominała Jacka, że pomyślałam, że to jego sobowtór. Ale to tylko Byron, owinięty w gruby wełniany płaszcz. O wiele na niego za duży. Ale na pewno ciepły. Raw dobrze się spisał.

Rozejrzałam się za nim i resztą chłopców, lecz rozwiali się gdzieś w mrokach. Potem uściśnęłam dłoń Granta, wypuściłam ją i szybkim krokiem ruszyłam w kierunku Byrona.

Nawet nie drgnął, kiedy do niego podeszłam. Killy z rękoma wciśniętymi głęboko w kieszenie nowej kurtki krążyła niespokojnie za jego plecami. Na mój widok zmrużyła oczy.

- Jesteś głównem - wycodziła ze złością przez zaciśnięte zęby.

- To prawda, tylko co z tego? Pchnęła mnie mocno.

- Przestań - warknęłam ostrzegawczo, ale się nie broniłam.

Zamachnęła się, żeby walnąć mnie pięścią w twarz. Uniknęłam ciosu i złapałam ją za nadgarstek. Stęknęła, opadła na kolano.

- Deja vu? - Uniosłam brew.

- Miałam dobre życie - prychnęła Chinka z wściekłością i żalem. - Dobre i moje.

- Nadal żyjesz i twoje życie należy do ciebie. - Puściłam ją i się odsunęłam. - Doceniaj to, bo ten stan może się w każdej chwili zmienić.

Killy się nie podniosła. Zamiast tego, ciężko dysząc, rzuciła się na trawę.

- Wścieka się, bo nas zostawiłaś - wyjaśnił Byron. - Uciekłaś.

- Nieprawda, są też inne powody - sprzeciwiła się Killy.

- Fakt, uciekłam - przyznałam, zwracając się wyłącznie do Byrona. - Po prostu nie chciałam, żebyś mnie wtedy widział.

- Już i tak dużo widziałem - odparł, po czym odwrócił się do skośnookiej, żeby pomóc jej wstać.

Podmuch lodowatego wiatru zaparł mi dech w piersi. Jednak nie tylko dlatego nie mogłam oddychać. Czułam ogromny ból w sercu. Nie chodziło dokładnie o poczucie winy, choć o coś zbliżonego; przyłapano mnie na kłamstwie.

Ojca Lawrence'a znalazłam trochę dalej. Siedział na trawie w dziwacznej pozycji, a jego tłusty brzuch wylewał się ze spodni. Księżulek chyba mnie nie zauważył. Bez przerwy wycierał dłońmi usta, jakby się chciał pozbyć jakiegoś obrzydliwego smaku, może krwi i ciała. Nie miał na sobie płaszcz. Zdawało się, że tak jak Mary nie odczuwa chłodu.

Killy przyglądała mu się przygnębiona i zagubiona. Kiedy zauważyła, że to widzę, szybko zmieniła minę.

- Masz jakiś plan? - mruknęła, rozcierając sobie nadgarstek.

Nie odpowiedziałam, bo przeszkodziło mi w tym nadejście Granta, Mary i Jacka. Grant bardzo się starał nie kaszleć. Był blady i zmarznięty. Potrzebował domu, gorącego posiłku, łóżka i czasu, żeby odzyskać siły. Powinien znaleźć się w bezpiecznym miejscu. Jak my wszyscy.

Killy zerknęła na Mary i natychmiast zaczęła masować skronie

- Jack, czy Mister King zdoła wyśledzić Killy i ojca Lawrence'a, jeśli się od nas oddzieli? - spytałam.

- Ma w sobie ich zapach - wyjaśnił starszy pan słabym głosem, wyczerpany. - Ale jeżeli pójdą bez nas, nie będzie mu się chciało ich szukać. A przynajmniej nie od razu.

Napotkałam spojrzenie Chinki.

- Uważam, że powinniśmy się rozdzielić. Nie wiem, gdzie jesteśmy, ale to miasteczko w dole...

- Nie - odezwał się ojciec Lawrence tak skrzecząco i ochryple, że aż się wzdrygnęłam. - Nie, ja zostaję z wami.

- Ojcie Franku! - krzyknęła Killy, lecz zamilkła, widząc, że ksiądz kręci głową i próbuje się podnieść.

- Cholera jasna - zaklął. - Ale jestem obolała.

Wyciągnęłam dłoń. Nie miałam do księdza żalu, że się waha, spoglądając na moją rękę tak, jakby łąziły po niej apokaliptyczne wszy. Zrobiło mi się jednak na sercu słodko, kiedy w końcu postanowił przyjąć pomoc. Jego uścisk był silny i szczery.

- Złożyłem obietnicę - oświadczył. Stał chwiejnie na nogach i patrzył na mnie tymi swoimi różnymi oczami: jedno nieśmiałe i ciepłe, drugie chytre i zimne. - Wiele lat temu. I nie zamierzam jej łamać tylko dlatego, że coś się nie układa. Tym bardziej że nie składałem tej przysięgi organizacji ani idei.

Przyrzekałem tobie i twojemu rodowi.

- Ale dlaczego? - spytałam zduszonym głosem zdumiona, mimo że nie zapomniałam wyznania ojca Lawrence'a w świątyni Mister Kinga.

Klecha patrzył nieugiętym wzrokiem; jego szkarłatne oko świeciło tak, jakby ktoś zanurzył je we krwi i ogniu.

- Kiedy byłem młody, pewna kobieta uratowała moją duszę. Wyciągnęła ze mnie coś ciemnego i zabiła to na moich oczach. Potem stałem się bezużyteczny dla świata. Moje życie było zrujnowane. Ona... ona się mną zaopiekowała.

- Moja matka - szepnęłam.

- Jesteś do niej bardzo podobna.

Puściłam jego dłoń, choć nadal czułam na palcach jej gorąco.

- Ofiary demonów nie pamiętają, co im się przytrafiło.

- Ale ja pamiętam - zapewnił. - Twoja matka powiedziała mi, jak powinienem wykorzystać tę pamięć.

- Wątpię, żeby chodziło jej o to, abyś ryzykował życie.

- Zostałem księdzem, żeby służyć Bogu w walce z ciemnościami. Kiedy... zakon... się mną zainteresował, a ja dowiedziałem się, że jego celem jest opieka nad jej rodem... -Wzruszył ramionami, jakby to wszystko było bardzo proste i oczywiste. Jednak jego ponure i zdeterminowane spojrzenie mówiło coś innego. - Przeznaczenie, Tropicielko. Boska tajemnica.

Nie wiedziałam, jak zareagować.

- Frank - usłyszałam głos Killy.

Ojciec Lawrence spojrział na Chinę, potem zacisnął powieki, jak gdyby patrzenie na tę kobietę sprawiało mu ból.

- Tak mi przykro, że cierpisz. Tak mi strasznie przykro, że zostałeś w to wplątana. Popełniłem błąd, wciągając cię w to wszystko.

Chinka spoglądała na niego ze zdziwieniem. Grant odchrząknął i zerknął na Jacka.

- A co z chłopcem? Jeśli zostanie sam...

- Nie - szepnął Byron.

- Będzie bezpieczny - zapewnił Stary Wilk, wodząc ponurym wzrokiem od ojca Lawrence'a do nastolatka. - Nikt... nikt nie zdoła go wysledzić. Cribari pojawił się w schronisku przez przypadek. Chłopak po prostu stał się łatwym celem, bo zbyt długo przebywał w jednym miejscu.

- Nie - powtórzył Byron, błędąc. - Nie, błagam.

- Nie spisałam się, jeśli chodzi o opiekę nad tobą - powiedziałam. - Sam widzisz, na jakie niebezpieczeństwa cię wystawiłam. To... szaleństwo. To wszystko jest szalone.

Chłopak się skurczył. Niknął w swoim wielkim płaszczu, aż w końcu wyglądał jak górską zjawę, a jego jedynym łącznikiem z ludzkim światem były ciemne naelektryzowane oczy.

- Przy tobie nic mi nie grozi - szepnął. - Nie wiesz, jak to jest.

- Jeśli coś się stanie...

Pokręcił głową tak gwałtownie, że się zamknęłam. Grant dotknął mojego ramienia, posyłając mi przeciągłe, poważne spojrzenie, od którego zacisnęło mi się serce. Znowu spojrzałam na Byrona. Już kiedyś prowadziliśmy podobną rozmowę.

„Nie jestem sam. Dziwne rzeczy nie są złe”.

A przynajmniej lepsze niż alternatywa, przy której świat ludzi z bronią, wilkołaków i zjawisk paranormalnych wydaje się rajem.

„Ty też wolałabyś pójść za matką nawet do piekła, żeby tylko nie zostać sama”, podszeptał mi jakiś głos.

Nie byłam matką Byrona. Ale chyba go rozumiałam.

Zee, Raw i Aaz, pobłyskując rubinowymi ślepiami, przyglądali się nam z cienia. Dek i Mai, ułożeni wygodnie na moich ramionach i czaszce, śpiewali miękкими głosami *Make Someone Happy* Jimmy'ego Durante'a.

- W porządku - oświadczyłam i pogłaskałam dzieciaka po głowie.

Zamknął oczy i się zachwiał, a ja na ten widok poczułam przepływającą przeze mnie falę czegoś dziwnego. Szybko przyciągnęłam Byrona do siebie i mocno go uścisnęłam. Nie oddał mi uścisku, ale - chudy jak patyk - wtulił się we mnie. Moje serce znowu mocno zabiło, a gdy poczułam nagłe poruszenie ciemności pod żebrami, już się tego nie wystraszyłam.

Nad głową chłopca spojrzałam na Killy.

- Masz moją kartę kredytową. Możesz iść, dokąd chcesz.

Gapiała się - to na mnie, to na księdza - i nerwowo przeczesywała krótkie włosy. Wyglądała tak, jakby znowu chciała kogoś uderzyć.

- Cholera - rzuciła w końcu, piorunując klechę wzrokiem. - Niech cię wszyscy diabli, Lawrence.

Ojczulek nie wydawał się obrażony. Na jego przekrwione usta wypłynął delikatny uśmiech, a w jednym oku zamigotała ciepła niepewność. Drugie pozostało zimne i wyrachowane. Dłonie zaciskał na sterczącym brzuchu. Drżały lekko - nie wiedziałam, czy ze zdenerwowania, czy z innego powodu. Ale dla mnie w tej chwili najważniejsze było to, że czułam przy sobie ciepło Granta i Byrona. Mary stała nieopodal, bawiąc się kamiennym nożem i nucąc coś pod nosem. Jack wpatrywał się w gwiazdy.

Wszyscy razem, pomyślałam ciągle z bólem w sercu. Zastanawiałam się, co powiedziałyby moja matka - kobieta, której, jak się okazało, prawie nie znałam i o której teraz tyle się dowiadywałam. Nadal słyszałam jej słowa.

„Ufaj sobie”.

„Nie jesteś sama”.

„Są inni”.

Dek i Mai warknęli mi do ucha. Odepchnęłam od siebie Byrona i Granta i zaczęłam się rozglądać po okolicy. Z mroków wychynął Zee. Wychwyciłam ciche sapnięcia, ale nie przejęłam się nimi. Nie było czasu na sekrety. Raw i Aaz też wyłonili się z ciemnych załamków skał, gnając w moją stronę co sił.

- Maxine - wychrypiał Zee. - Jakies ciała nadchodzą. Za szybko.

- King przerzuca ludzi przez przestrzeń - oznajmił Jack wsłuchany w ciszę. - Ale robi to tak szybko, że Zee i chłopcy nie są w stanie ich wyśledzić. On zabija tym tych ludzi.

Pchnęłam Byrona na ziemię. Granta też próbowałam, ale się opierał. Chciał wyjąć flet.

- Przestań... - dokończyłam, bo w tej samej chwili powietrze rozdarł wybuch i zwałił mnie z nóg.

W piersi poczułam przeraźliwy ból. Zamrugalam, spoglądając jak we śnie na twarz Granta.

Wpatrywał się we mnie z przerażeniem. Cały zalany krwią. Mnóstwem krwi.

Kolejne eksplozje. Krzyki. A ja nadal spadałam. Bardzo wolno.

Na dłoni zacisnęły mi się ostre pazury. Oblepiły mnie małe ciała. Moja prawa ręka płonęła, podobnie jak miejsce na środku piersi.

Uderzyłam w murawę, ale leżałam tam tylko chwilę. Ziemia rozstąpiła się, pochłonęła mnie i zamknęła nade mną.

Rozdział 20

Zagubiłam się w ciemności, w snach, a wraz ze mną moi słodcy chłopcy. Aż przyśniło mi się, że jestem na brzegu jakiejś rzeki i że zmuszam się, aby wstać. Potem idę, mijając drzewa o pniach starszych niż oddech pierwszego człowieka. A jeszcze później biegnę.

Gnam ze wspomnieniami i marzeniami. Są jak wiosenne pączki pokonujące zimową martwość; miękkie pędy. Wyrastające z mojego umysłu, delikatne i urocze. Pamięć podsuwa mi obraz lasów. I to, że trzymam w ręku kościany łuk, a w moje rozpuszczone włosy wplecione są liście i mech. Mam na sobie kuszą lnianą sukienkę i patrzę na białego jelenia o kopytach jak gwieździste mankiety; na zwierzyńcę, na ludzi, poluję na demony.

Widziałam też demony. I różne najdziwniejsze rzeczy. Siebie jadącą na grzbiecie Zee i chłopców wielkich jak lwy. Pędzili przez kamienną pustynię, przez zgliszczą zrujnowanego miasta oblane blaskiem księżyca. A przed nami ludzie na koniach. Uciekają, żeby ratować życie. Widziałam słońce chodzące po śniegu na dwóch nogach, w zbrojach, z szablami. Widziałam małe, uskrzydłone kobiety w klatkach i statek z żaglami świecącymi jak złota nić pajęczka pod purpurowym niebem; i swoje ciało dryfujące w gwieźdny światło, usta i nos pokryte skórą. Chłopcy oddychali za mnie. W przestrzeni. Nad czerwoną planetą otoczoną chmurami.

A potem znowu znalazłam się w lesie, tym razem ślepa i ciężka. I dotykałam długiego, zakrzywionego rogu, zimnego jak skała.

Jednorożec, pomyślałam i dreszcz przebiegał przez moją dłoń, jakby tysiące małych błyskawic dziergało na niej świetliste znaki.

Usłyszałam szept jakiejś kobiety:

- Tropicielko. Nie powinnaś tu przychodzić. Nie teraz.

- Ja śnię - odszepnęłam.

- To dobrze. - Zakrzywiony róg prześliznął mi się po rękę i nagle moje palce dotknęły jedwabistej skóry. - Zatem udawaj, Tropicielko. Udawaj, że to sen i że nie tak łatwo ci opaść pomiędzy cienie Labiryntu. Udawaj, że nie jesteś czymś więcej niż tym, co widzisz.

Chyba się uśmiechnęłam, ale sen już dobiegał końca, a wszystko dokoła robiło się przejrzyste i delikatne.

- Znam cię. Byłaś kiedyś człowiekiem.

- Nigdy nie byłam człowiekiem - zaprzeczyła spokojnie kobieta. - I ty też nim nie jesteś.

Róg, szybki jak myśl, wysunął się z mojej ręki i uderzył mnie w pierś. Poczułam ból, ale jakiś taki miękki i gęsty, jak rozkwit czerwonej róży zarejestrowany na filmie w przyspieszonym tempie. A opadające płatki były krwią, a ta krew zamieniała się w słodycz na moim języku.

Aż w pewnej chwili przestała być tak słodka. Sen się urwał.

Sapnęłam i, dusząc się, rzuciłam do przodu. Zobaczyłam pokój z poruszającymi się cieniami i migoczącymi płomieniami świateł, a potem sparaliżował mnie ból i nie mogłam dłużej oddychać. Małe, ostre ręce pchnęły mnie na łóżko. I za chwilę pojawiły się większe dłonie. Szybkie i ciepłe. Przesuwały się

po moim ciele. Ktoś rozerwał mi koszulę. Byłam przemoknięta do suchej nitki. Spróbowałam otworzyć oczy, ale powieki za bardzo mi ciążyły.

- Kuli nie ma - wychrypiał Zee. - Już usunięta.
- A kości całe? - spytała jakaś kobieta niskim i napiętym głosem.
- Wyleczone.

- Ale reszta nie, co? Cholerna, przeklęta dziwka. - Ktoś przytknął mi ściereczkę tuż nad prawą piersią.
- Co ona sobie myślała?

- Za dużo krwi - mruknął Zee. - Nie mogłem pozwolić, żeby jej krew wyczuć. Nie w Labiryncie.

Kobieta nadal mamrotała coś pod nosem, ale nie przestawała mnie opatrywać. Robiła to tak zrećźnie i pewnie, że nawet gdy oblała ranę palącym płynem, nie wystraszyłam się, choć głośno krzyknęłam.

Usłyszałam trzaśnięcie drzwiami i kolejny niski głos. Młody. Na czole poczułam dotyk miękkiego materiału, a w ustach krople wody. Dek i Mai milczeli. Po chwili słyszałam już tylko ostry oddech i łomotanie własnego serca.

Później zapanowała kompletna cisza.

Nie śniłam. Wstąpiłam w ciemność i tam zostałam, a kiedy nadeszła właściwa pora, otworzyłam oczy. I już nie spałam.

Okropny ból. To pierwsza rzecz, którą zauważyłam. A najbardziej bolało, kiedy oddychałam. Staralam się więc robić to bardzo ostrożnie. Nabierałam tak mało powietrza, jak tylko się dało, jakbym rzucała małe kamyczki na spokojną, nieruchomą taflę wody.

Leżałam w łóżku zakryta kołdrą do pasa. Pod łokciami, krzyżem i szyją miałam ciepłe, twarde kamienie. Czułam to ciepło pomimo obecności chłopców na mojej skórze. Było mi dobrze.

Znajdowałam się w skromnej sypialni bez okien. W powietrzu unosił się dym papierosowy. Po mojej prawej stronie zaskrzypiała drewniana podłoga.

- Ty to lubisz utrudniać sobie życie - odezwała się jakaś kobieta.

Udało mi się lekko odwrócić głowę. Zobaczyłam długie nogi w brązowych spodniach; nogawki wetknięte w wysokie zdarte botki. Przed oczami zamigotała mi biel koszuli, częściowo zasłoniętej długim szalem i ciemnymi warkoczami. Po wytatuowanej ręce przesunął się cień. I Spojrzałam w twarz, która wyglądała jak moja, tylko że starsza, poznaczona smagnięciami wiatru i słońca. j

- Maxine, znowu - szepnęła babcia. j Patrzyłam, jak gasi papierosa na porcelanowym talerzu, ' na którym leżał zbrązowiały ogryzek jabłka, kawałek chle- i ba i jeszcze więcej petów, wysypujących się na stół. Babcia j odchrząknęła, uniosła filiżankę i przystawiła mi ją do ust. j Potrzebowałam pomocy, żeby się napić. Woda spływała mi j po brodzie, ale nie zwracałam na to uwagi. Wpatrywałam ! się w oczy babci.

- Nie spinaj się - powiedziała po dłuższej chwili. - Nigdzie się nie wybieram.

Nie odwróciłam wzroku.

- Kiedy jesteśmy?

- W 1974 roku. Minęły dwa lata od chwili, gdy znalazłaś nas w Mongolii. - Jean Kiss ostrym ruchem dłoni pokazała na pokój, najwyraźniej niezbyt szczęśliwa, że tu się znajduje. - Teraz żyjemy w Paryżu. Wynajmujemy mieszkanie od znajomego starego żołnierza.

Przypomniałam sobie mongolskie pastwiska i niebieskie niebo nad nimi. Ten obraz wrył mi się w pamięć tak samo mocno jak twarz kobiety siedzącej teraz u mojego boku. Trzy miesiące wcześniej, tuż przed moją ostatnią bitwą z Ahsen, popełniłam błąd i wybrałam się w podróż w czasie, jak się potem okazało jedną z wielu. Pierścień przeniósł mnie wtedy do babci, ale nie sądziłam, że ujrzę ją raz jeszcze.

- Dlaczego opuściliście Mongolię?

- Bo nie będę żyła wiecznie - odparła sucho. - A ten świat nie lubi niewykształconych kobiet. W Paryżu są dobrzy nauczyciele. Jolene czegoś się tu nauczy.

- Założę się, że nienawidzi tego miejsca.

- Nie wychowałam beksy - odpowiedziała, choć widziałam, że sama nie jest zadowolona z obecnego miejsca zamieszkania.

Nie wiedziałam, co mówić. I chyba babcia też nie. Leżałam więc zboląła, przyglądając się, jak ona przygląda się mnie. W milczeniu.

- Popatrz tylko. Rozmawiamy - zagadnęła w końcu. Uśmiechnęłam się.

- Podoba mi się to.

- A mnie nie bardzo. - Wstała i z tylnej kieszeni spodni wyciągnęła stary skórzany portfel. Rozłożyła go i wyjęła na nocny stolik cienkie arkusiki papieru i liście tytoniu. Skręcając papierosa, zerknęła na mnie. - Błędy można popełniać, ale nie wolno bawić się czasem.

- Nie znalazłam się tu z własnego wyboru.

- Racja. - Przypaliła papierosa zapalką. - Umierałaś i Zee znalazł dla ciebie pomoc. Przetrwanie to sprawa pierwszorzędna. Rozumiem. Ale to... - machnęła ręką - ... to jest niebezpieczne.

- Nie sądzę, żebym zdołała zmienić bieg historii. Uśmiechnęła się ponuro.

- A co z naszą historią?

Gapiałam się w przestrzeń, nie wiedząc, jak zareagować. Jean Kiss usiadła na małym drewnianym krześle, rozprostowała nogi i zaciągnęła się dymem. I nadal świdrowała mnie wzrokiem. Tak intensywnie, że zrobiło mi się nieswojo.

- Jolene jest na dole - oznajmiła nagle. - Kazałam jej obiecać, że nie będzie z tobą rozmawiała.

- Moja matka - mruknęłam.

- Moja córka - poprawiła. - Już za pierwszym razem źle zrobiłam, pozwalając ci się z nią spotkać. Dostała... obsesji na punkcie twojego istnienia.

- Przykro mi... - Nie bardzo załapałam, o co babci chodzi. - Nie zamierzałam stwarzać problemów.

- Problemów - powtórzyła, strząsając popiół na podłogę. -Szkoda że nie widziałaś wyrazu jej twarzy, kiedy cię tu sprowadzono, wykrwawiającą się na śmierć. Gdybyś zmarła na jej oczach, podejrzewam, że problemy byłyby najmniej istotne.

Nie mogłam się sprzeczać z babcią w tej kwestii. Spróbowałam usiąść, co mi się udało dopiero po dłuższych negocjacjach z bólem skręcającym ciało. Ale już nie oddychałam z tak dużym trudem, choć to niewielkie pocieszenie. Gdy spojrzałam na miejsce, gdzie powinna być rana, zobaczyłam tylko niczym nienaruszone linie tatuaży.

Jean podniosła się z krzesła i usiadła przy mnie na łóżku.

- Rany nie widać, bo zasłaniają ją tatuaże, ale nadal tam jest. Jednak zniknie za jakiś dzień lub dwa. Chłopcy potrafią się nami zająć, jeśli tylko im na to pozwolimy.

- Wiesz to z własnego doświadczenia?

- Moja matka była raz zraniona. - Uniosła mi rękę. -Musisz już iść, Maxine.

Spojrzałam jej głęboko w oczy.

- Coś się z tobą stało od naszego ostatniego spotkania. Widzę to. Wcześniej nie wydawałaś się taka... bezwzględna.

- Bezwzględna - powtórzyła, a jej twarz skurczyła się bólem, choć zaraz potem pojawiła się na niej ta sama maska oziębłości, jaką ujrzałam, gdy się ocknęłam. - Wszyscy się zmieniamy. Każdy człowiek co chwilę staje się kimś nowym. Ulegamy ciągłym przemianom.

- I w trakcie coś tracimy.

- Ale też coś zyskujemy - zapewniła, gasząc papierosa na wytatuowanej ręce. - Uzmysławiasz sobie, co jest najważniejsze, i pozwalasz, by ta wiedza tobą kierowała.

- Już to słyszałam. - Znów popatrzyłam babci głęboko w oczy. - Od matki.

Jean Kiss zamrugła.

- Czyżby?

- I od Jacka - dodałam miękko.

Znowu zamrugła, choć tym razem przypominało to raczej wzdrygnięcie.

- Pewnie nadal wpędza wszystkich w kłopoty?

- On sam ma kłopoty - odparłam ciekawa jej reakcji. -Z wielu powodów. Także dlatego, że splodził z tobą dziecko.

- Och - sapnęła, a jej oczy po raz pierwszy wyrażały bezbronność. - A ty? Czy twoje życie się mocno skomplikowało dlatego, że on się w nim pojawił?

- Nawet jeśli, mam to gdzieś - odparłam ostro. - To mój dziadek.

- Grzeczna dziewczynka. - Zamknęła oczy i się uśmiechnęła, mimo że jej dłoń zacisnęła się na pancerzu. -Nie tylko Jolene często o tobie myśli.

Ja też o tobie myślę, chciałam powiedzieć, ale świat nagle zawirował. Towarzyszył temu silny ból w mojej piersi. Zrobiło mi się niedobrze. Znow nie mogłam oddychać, mówić ani krzyżeć. Czułam się tak, jakby moją skórę wsysało w siebie tysiące mocnych odkurzaczy. Prawa ręka płonęła. Przed oczami zamigotało mi światło, a potem jakaś ciemna dłoń potrząsnęła mną, aż zaklekotały kości. I jak piłka wpadłam w próżnię. Leciałam z wielką prędkością, wrzeszcząc bezgłośnie.

Aż niespodziewanie znow odzyskałam wzrok.

I przekonałam się, że otaczają mnie skóry.

Rozdział 21

Znajdowałam się w zimnym pokoju wykutym w lodzie błyszczącym jak diamenty. Na hakach wbitych w sufit wisieli mężczyźni i kobiety. Inni stali w ściennych wnękach zasłoniętych płytami z przezroczystego lodu. Kolejne ciała na lodowych stołach spoczywały nagie i wystawione na tak mroźne powietrze, że cała parowałam, a mój oddech był biały jak mleko.

Leżałam nieruchomo na lodowej podłodze, próbując zrozumieć, co widzę. Nie mogłam. Wiedzałam, że wzrok mnie nie myli, ale moje serce nie potrafiło pomieścić tego wszystkiego. Ludzie wiszący na hakach mieli na sobie biznesowe garnitury, dresy, skórzane kurtki, dzinsy i T-shirty. Jakby wyrwano ich z codzienności i natychmiast umieszczono w lodzie. Jakieś pięćdziesiąt osób, łącznie z tymi na stołach i we wnękach. Stracone istnienia.

Lodowa przechowalnia. Mister King musi przetrzymywać gdzieś ciała do eksperymentów.

Ból nadal szarpał mi płuca i z trudem oddychałam, choć mroźne powietrze pomagało. Usiadłam powoli i syknęłam, bo nagle zebrało mi się na mdłości. Zgięłam się wpół, żeby zwymiotować. I wtedy zwróciłam uwagę na swoje dłonie. Pancierz na prawej ręce znow się zmienił. Rozrósł.

Środkowy palec był całkowicie pokryty metalem. Do bransoletki na nadgarstku biegła nowa srebrzysta żyłka. Zgięłam palce, ale niczego nie poczułam. Gdyby nie wyglądała tak dziwnie, wziąłabym pancierz za swoją drugą skórę.

Odwróciłam się na bok i walcząc z napływającym falami bólem, zdołałam wstać. Zakreśliło mi się w głowie. Pomyślałam, że te podróże w czasie to fajna rzecz, ale chyba lepiej odpocząć z dzień lub dwa przed każdą następną.

Niestety nie miałam na to czasu.

Wolno okręcałam się wokół siebie. W pomieszczeniu panowała całkowita cisza, jednak ludzie wiszący na hakach żyli. Widziałam małe obłoczki pary wydostające się z ich nozdrzy i z otwartych ust. Oczy mieli zamknięte, policzki zapadnięte. Potężne haki znikwały pod ubraniami, co pozwalało żywić nadzieję, że ci ludzie nie są na nie nabici jak świeżo złowione ryby.

Czułam ciepło Zee i reszty chłopców. Tatuaze chroniły nawet moją twarz: Dek i Mak zwinęli się symetrycznie na policzkach. Czułam ich; spali, gdy chodziłam zboląła po pokoju i szukałam drzwi.

Aaz szarpnął mnie gwałtownie za rękę. Poszłam za jego wskazówką. Jednak nie zaprowadziła mnie do wyjścia. Znalazłam się za to przed jedną z lodowych komór, w której zobaczyłam szczupłe nagie ciało, bladą twarz otoczoną ciemnymi włosami.

Killy.

Bez zastanowienia zaczęłam drapać lód i... znieruchomiałam, bo nagle przyszło mi na myśl, czy dobrze zrobię, uwalniając tę kobietę. Nie byłam w najlepszej formie i nie miałam sił, żeby zapewnić komukolwiek bezpieczeństwo.

Z drugiej strony, rozważałam gorączkowo, jeśli ją tu zostawię i coś się stanie, nigdy nie odnajdę drogi powrotnej do tego pokoju...

Tak źle i tak niedobrze.

Wbiłam czarne paznokcie w lodowatą bryłę, zaciskając zęby z powodu bólu rozchodzącego się po mojej piersi. Chwilę później Aaz i Raw rozgrzali mi dłonie, a ja przytknęłam je na płask do lodowej tafli. W powietrze wzbily się obłoki pary, a po ścianie zaczęła spływać woda. Co jakiś czas

zmieniając kąt ułożenia dłoni, wciskałam je coraz głębiej w lód, aż w pewnej chwili przebiłam się przez niego.

Pierwsze, co zauważyłam, to to, że twarz Killy nie jest pozbawiona koloru, że na policzkach są słabe rumieńce. I usta też były zaróżowione, a nie, jak się spodziewałam, posiniałe. Okazało się również, że oddycha, choć w ogóle nie zareagowała, kiedy jej dotknęłam.

Szybko zniszczyłam resztę lodowej zapory - zatrzymując się tylko raz, żeby złapać oddech. Wzięłam Chinkę w ramiona. Nie miałam jednak sił, aby przenieść ją na ziemię, więc tylko zabezpieczając jej głowę, pozwoliłam, by ciało samo osunęło się w dół. Potem stanęłam nad nim, zastanawiając się, co zrobić z tym, że Chinka nie ma ubrania. I wpadłam na pomysł, że oddam jej swoje, skoro chłopcy i tak chronią mnie przed zimnem. Szybko zrzuciłam ciuchy, pozostawiając jedynie futerał z nożami.

I dopiero kiedy zaczęłam ubierać Killy, zdałam sobie sprawę, że te rzeczy, które na nią wkładam, nie są moje. Miękkie spodnie, koszula i wełniany sweter. Żadnych butów, tylko grube skarpety. To ubrania babci. A może matki. Przyłożyłam koszulę do nosa i zaciągnęłam się jej zapachem. Wyczułam ciepło i coś jeszcze, coś nieokreślonego, jakby jakąś przyprawą, światło słoneczne. Zacisnęło mi się serce. Moja matka. To ona nosiła te rzeczy.

Egoistycznie przez chwilę żalowałam, że ubieram Killy, że tracę dla niej zapach drogich mi osób. Jednak zaraz odepchnęłam od siebie takie myśli i skupiłam się na tym, by ogrzać Chinę. Nie ruszała się, ale gdy sprawdziłam jej puls, okazało się, że jest silny. Może nawet ja miałam słabszy.

Przykucnęłam i przycisnęłam dłoń do piersi Killy, później do jej rąk i twarzy. Klepnęłam ją lekko po policzku - potem mocnej z narastającą paniką wywołaną lękiem, że zamiast uratować kobietę, niechcący zrobię jej krzywdę. Wreszcie, nie wiedząc już, co zrobić innego, prawą dłoń z pierścieniem przycisnęłam do jej czoła i pomyślałam: proszę.

Poczułam mrowienie, a za sekundę mocne szarpnięcie przemknęło w dół ramienia i sprawiło, że chłopcy zafalowali. Powieki Killy otworzyły się tak gwałtownie i dziko, że aż się wzdrygnęłam.

Ale później nic się nie wydarzyło. Skośnooka gapiała się w sufit i nie dawała żadnego znaku, że jest przytomna. Nie zaczerpnęła powietrza ani nie zaczęła się wiercić. Zero reakcji. A kiedy w końcu się odezwała, gadała zupełnie od rzeczy.

- Och, to nie w porządku. Oby nie wiewiórki.

Zmarszczyłam czoło.

- Killy?

- Jezu Chryste - wymamrotała, między jej oczami poja-I wiła się głęboka zmarszczka. - Kto tu jest ze mną, do cholery, w tym pokoju? Dewianci to my.

- Uh - stęknęłam. - Killy, słyszysz mnie?

- Tylko ty nie wrzeszczysz. - Skrzywiła się i dotknęła skroni. - Co mi zrobiłaś?

- Nic - zapewniłam, niezbyt przekonana, że mówię prawdę. - Możesz się podnieść?

- Mogę nawet zatańczyć na rurze i wspiąć się na Everest, jeśli dzięki temu ucieknę od tych umysłów. - Usiadła, jęcząc z bólu. Rozejrzała się po pokoju i jej twarz nagle zastygła w wyrazie przerażenia. Zobaczyła lód, ludzi na hakach, w lodowych komorach i na lodowych stołach. Strasznie pobladła. - Och - mruknęła. - Nie wiedziałam.

- Stanowiłaś część tej wystawy - wyjaśniłam, starając się podnieść bez zbytniego hałasu. Wyciągnęłam do Killy rękę, ale się nie poruszyła. Oczywiście, wypełnione nie oburzeniem, ale zdziwieniem i zmieszaniem, miała wlepione we mnie.

Staralam się pokonać zawstydzenie, choć wiele mnie to kosztowało. Poza Grantem nikt nigdy nie widział mnie nago. I wolałabym, żeby to się nie zmieniało. Nie znałam tej kobiety. Orientowałam się tylko, że jest medium - lub świetną oszustką - że została z nami, choć mogła uciec, że chłopcy nie wyczuwali w niej zagrożenia i że jest zakochana w księdzu.

Z drugiej strony to było dużo więcej, niż wiedziałam swoim dziadku. I babci.

- Potrzebowałaś ubrań - wyjaśniłam oschle. - Ja nie odczuwam zimna.

- Dzięki - odparła nieobecny głosem, nadal pocierając skroń. - Słyszę, że twoja skóra buczy.

- Bo tak jest. - Pociągnęłam Killy za rękę i omal nie zemdlalam z bólu.

Podniosła się szybko, choć cały czas miała zaciśnięte oczy, a gdy tylko ją puściłam, obydwoma dłońmi chwyciła się za głowę.

- To dopiero się narobiło - szepnęła. - Nie powinnam mieć tyle siły.
- Pamiętasz, co się stało? Jak się tu dostałaś?
- Nie. Ale oni złapali wszystkich poza starszym panem chłopcem.

W moim sercu zapłonęła iskra nadziei. Chwyciłam Killy za łokieć i szarpnęłam ją za sobą. Wcześniej zauważyłam miejsce, gdzie mogły się znajdować drzwi. I rzeczywiście, pomiędzy komorami w ścianie znalazłyśmy jakąś wnękę - nie prawdziwe drzwi, a zwykłe przejście z pokoju na korytarz. Rzuciłam okiem na jedną z lodowych platform. Leżała tam nieprzytomna młoda dziewczyna. Wokół było pełno młodych ludzi.

Killy zasłoniła sobie oczy.

Węże w popcornie.

Zerknęłam na nią ze zdumieniem.

- Słucham?
- Sni jej się, że ma węże w popcornie. - Zmarszczka na czole Chinki stała się głębsza. - Sama się do tego zgłosiła.

Bo myślała, że to coś fajnego.

- I? - Przy ścianach w pobliżu przejścia stały lodowe regały z białymi habitami, bluzami i golfami. Obok, w małym koszyku, piętrzyły się białe kapcie opakowane w plastik. Wzięłam każdą część garderoby, po czym zaczęłam się szybko ubierać.

- I nic - odparła cicho Killy, spoglądając na dziewczynę, która wyglądała na spokojną pomimo koszmarne snu. - Sądziła, że będzie inna. Tak wyjątkowa, że ludzie ją za to pokochają.

Nadal czułam w piersi okropny ucisk, ale albo zaczynałam się do tego przyzwyczajać, albo przestałam zwracać uwagę na ból. I dlatego zdołałam wciągnąć bluzę przez głowę, nie płacząc przy tym. Dotknęłam łokcia Chinki.

- Jeśli załatwimy sprawę jak należy, może ta dziewczyna będzie miała szansę się przekonać, że się myliła.

Z zimnej przechowalni wyszliśmy na długi, wykuty w lodzie korytarz. Pod koniec rozchodził się w dwóch przeciwnych kierunkach. Dziwne miejsce. Przypominało lodowe pałace, jakie kiedyś oglądałam na zdjęciach; albo budowle z filmów o Jamesie Bondzie. Pomyślałam o Grancie, przesyłając zarazem milczącą wiadomość chłopcom. Raw szarpnął mnie mocno za lewą rękę, Aaz lekko za prawą.

Hm. Spojrzałam na Killy. Już zaczynała drżeć.

- Słyszysz coś? - spytałam.

Pocierając ramiona, popatrzyła na mnie z wyraźnym zaskoczeniem.

- W pobliżu jest niewielu ludzi. Wyłapuję ich umysły, ale nie wyczuwam myśli ani nawet snów. Te umysły są rozproszone. Co do reszty...

Zmarszczyła brwi, zamknęła oczy i przechyliła głowę, jakby się w coś wsłuchiwała. Niecierpliwie czekałam, co powie. Czułam zarazem, że moje ciało wyrывa się, by pójść za wskazówką Rawa, ale potem zeszytniałam, bo nagle głowa Killy odskoczyła, jakby ktoś uderzył kobietę w policzek. Wyciągnęłam do Chinki rękę, lecz ona z dzikim przerażeniem cofnęła się i rzuciła biegiem przez korytarz do prawego rozgałęzienia. Pognałam za nią, choć byłam rozdarta, bo

nadal czułam w lewej dłoni silne szarpnięcia. Zakłęłam pod nosem, ale nie przerwałam pościgu.

Killy była szybka. Mnie skręcał ból i dlatego, choć starałam się dotrzymać Chince kroku, wyprzedziła mnie. Nie chciałam krzyczeć, więc zamiast tego zaczęłam rzucać w jej stronę niezbyt pochlebnyymi myślami. Obejrzała się przez ramię i zwolniła. Dogoniłam ją, zastanawiając się, jak długo będziemy miały się po tym lodowym pałacu, zanim kogoś spotkamy.

- O kogo chodzi? - spytałam.

- O Franka - szepnęła, krzywiąc się. - O Boże. Pomyślałam o Grancie i Mary. Zazgrzytałam zębami.

Wszystko w swoim czasie. Najpierw ten, kto pojawił się pierwszy. Zerknęłam na pierścień. Czy powinnam znów go użyć, żeby się przenieść w czasoprzestrzeni? Metal rozjarzył się dziwnym blaskiem, co obudziło Zee. Raw, który spał na ręce z pancerzem, też zaczął się wiercić, wywołując mrowienie w moich palcach.

Poczułam, że się zaciskają, jakby coś trzymały. Pancerz zaczął wibrować, a razem z nim chłopcy. I w tym momencie odniosłam wrażenie, że podsłuchuję czyjąś bardzo dziwaczną rozmowę.

„Ma własny umysł”, powiedział King.

„Więc powiedz mi. Czego twoim zdaniem potrzebuję”, poprosiłam pierścień w duchu.

Killy znów mnie trochę wyprzedziła. Nie mogłam jej jednak dogonić, bo zbroja zaczęła migotać jakimś rozlanym światłem. To przypominało pobłyskiwanie promieni księżycowych uwieczonych w butelce. Tyle tylko, że światło z pierścienia było jaśniejsze i zimniejsze. I wywoływało we mnie niepokonowaną ekscytację, od której serce opadło mi do żołądka. Żeby odgrodzić się od tego lśnienia, zamknęłam oczy.

Ale zaraz je otworzyłam, bo żar rozpałił mi dłoń. W rękę trzymałam miecz.

Znałam go. Już raz, trzy miesiące wcześniej, wyrósł z pancerza. Delikatny i smukły, błyszczący jakimś wewnętrznym światłem bardziej niż lód wokół mnie. Jakby w stali tkwił księżycowy blask. Rzeźbiona srebrna rękojeść doskonale pasowała do dłoni, a z gałki biegł łańcuszek łączący miecz z bransoletką na nadgarstku. Ostrze pokrywały runy. Przesunęłam po nim palcami. Posypały się iskry. Mocniej objęłam rękojeść. Palenie w dłoni narastało. Dobrze było mieć ten miecz przy sobie. Jakby stanowił naturalne przedłużenie mojego ramienia. Nic nie ważył, ale dzierżąc go, miałam wrażenie, że jestem dużo większa.

Podniosłam wzrok. Killy się zatrzymała i wbiła wzrok w miecz.

- Co to jest? - wykrztusiła.

- Nie pytaj - odparłam. - Biorę, co dostaję, i na tym koniec.

Prychnęła z oburzeniem.

- Niebezpieczni ludzie nie powinni być tacy głupi.

- Ach, komplementy - mruknełam.

Pokręciła głową, patrząc na mnie jak na kupę gnoju. A potem się odwróciła i znów zaczęła biec... do kolejnego otwartego przejścia. Miejsce, w którym się znajdowałyśmy, najwyraźniej składało się z samych lodowych sal i korytarzy - podbiegunowa świątynia; mrozący koszmar. Doszły mnie jakieś dziwne odgłosy: syczenia, gryzienia, ale kiedy zajrzałam do środka, zobaczyłam tylko kolejny pokój. Miecz mocno wibrował, a chłopcy szarpnęli mnie gwałtownie. Znowu zaczęłam biec.

I nagle w nozdrza uderzył mnie zapach krwi, a odgłos chrupania - trzaskających kości, miażdżonych przez zęby - stał się donośniejszy. Rozpoznałam ten dźwięk.

- Frank - szepnęła Killy.

Skręciłam za róg i wparowałam do jakiejś groty wykutej w kamieniu i lodzie; do wydrążonej szarej skorupy. Ze ścian sterczało coś, co przypominało ostrza siekier byle jak posklejanych ze sobą. Na samym środku znajdował się wielki dół - zaskakujący widok - jakbym w łazience odkryła całe boisko. Miał co najmniej sześć metrów głębokości. Lej dla gladiatorów lub średniowieczne więzienie. Byli w nim jacyś mężczyźni. Pochyleni, w ciemnych habitach i przykuci do lodowych ścian łańcuchami, niezbyt solidnymi. Więźniowie szarpali za nie, ale nie dlatego, że któryś chciał uciec.

Ci ludzie jedli, a raczej żarli jak świny, z podłogi, która mieniła się wieloma odcieniami czerwieni - od jaskrawej jak kolor świeżej krwi do ciemnobrunatnej jak barwa już zakrzepłej posoki. Spostrzegłam resztki krowy i kilku świń. Parujące wnętrzości zwierząt walały się pod kolanami i stopami mężczyzn. Warczeli na siebie, wbijając długie kły w trzewia padliny. Naukowcy, studenci, mężowie, ojcowie - teraz morderyc uwalani krwią. Żołądek podszedł mi do gardła.

Killy chwyciła mnie za ramię, żeby mi coś pokazać. Odwróciłam się i niedaleko nas zobaczyłam dwóch mężczyzn. Jeden z nich - ubrany cały na czarno, z głową zasłoniętą kapturem - ciągnął drugiego w stronę dołu.

Tym drugim był ojciec Lawrence. Na rękach i nogach miał ciężkie łańcuchy. Charczał i pluł i błyskał na wszystkie strony czerwonym okiem. Twarz porastało mu futro.

Zanim cokolwiek zdążyłam zrobić, Chinka już biegła do księdza. Rzuciłam się za nią, czując na sobie spojrzenia mężczyzn w dole: jak oszalałe rekiny żądne świeżego mięsa przypatrywali mi się z napięciem. Przeszedł mnie dreszcz obrzydzenia. Ból rozsadzał mi pierś, ale go zlekceważyłam i, wywijając mieczem, dopadłam do zakapturzonego faceta. Ostrze przecięło jego ramię i klatkę piersiową, tak jakby kości i mięśnie były z wody. Zaskoczona tym jeszcze mocniej naparłam na miecz. Mężczyzna w czerni, od którego zalaływało krwią i surowym mięsem, stęknął i runął do tyłu. W dwu kawałkach.

- Kurde... - Przyglądałam się, jak przepołowione ciało opada do jamy na pełzające w niej potwory.

Bestie przestały jeść i znieruchomiały gapiły się na nas. Zrobiło się strasznie cicho. Kreatury w dole nie rzuciły się na zwłoki, choć te, które stały najbliżej, zaczęły je ostrożnie obwąchiwać. Powarkując i wyjąc. Łańcuchy przykute do ścian się naprężyły.

Szybko odwróciłam się do Killy. Już odciągała ojca Lawrence[^] do wyjścia, co wyglądało trochę tak, jakby Calinecz-ka siłowała się z niedźwiedziem. Jednak ksiądz nie walczył, choć w obu oczach miał dzikość. Chciałam Chinę przed nim przestrzec, ale zamiast tego dwoma długimi susami pokonałam dzielącą nas odległość i rąbnęłam końcem miecza w łańcuchy na stopach ojca Lawrence'a. Okowy natychmiast pękły, a ksiądz błyskawicznie poderwał się na nogi.

Pod nami rozległ się trzask pękającego lodu.

- Uciekajcie - krzyknęłam.

Lawrence rzucił się do Killy z taką agresją, że przez chwilę myślałam, iż zamierza ją skrzywdzić. Ale on tylko przewiesił sobie Chinę przez ramię i skulony, prawie na czworakach, wybiegł z grotu. Nie miałam szans go dogonić. Obejrzałam się za siebie. Ciemno ubrane postaci - było ich więcej, niż mi się wydawało - wdrapywały się pod górę wyrżniętą w lodzie serpentyną. Pochylone sylwetki i wyszczerzone kły znów skojarzyły mi się z piraniami albo rekinami na dwóch nogach.

Nie uciekałam. Wbiłam pięty w podłoże i uniosłam płonący dziwnym blaskiem miecz. „Ludzie ze skradzionym życiem”, powiedziałam sobie w duchu. „Miej nad nimi litość”.

„Miej litość i zabij ich szybko”, poradziłaby mi matka. I tak postanowiłam zrobić. Wywijając mieczem jak kijem bejsbolowym, natarłam na pierwszą grupę atakujących mnie mężczyzn. Zagruchotały pękające kości, krew obryzgała mi twarz. W uszach zawibrowały odgłosy wycia. Poczulałam odór surowego mięsa.

Musiałam dać czas ojcu Lawrence'owi i Killy. I uporać się z makabrycznymi wytworami Kinga. A tych ciągle przybywało. Ślizgając się i potykając o kawałki poszarpanego ciała, cięłam wszystko, co się ruszało. Nie patrzyłam, kogo trafiam, nie rozróżniałam poszczególnych twarzy; widziałam tylko olbrzymie usta, czerwone i zaślinione. Chłopcy wrzeszczeli mi w głowie. Zęby łamały się na moim karku. Wolną ręką waliłam na oślep, darłam i rozszarpywałam tkanę czarnymi paznokciami. Ledwo oddychałam.

Aż nagle tuż przede mną roztwarła się przestrzeń i na plecach jednego z potworów spoczął jakiś cień - aura przypominająca ducha huraganu zbitego w migoczącą smugę. Potem pojawiły się kolejne cienie. Opadały niczym mroczny śnieg na głowy rozwścieczonych mężczyzn. Demony brały ludzkie ciała w posiadanie.

A ja się cieszyłam.

Demonów nie było dużo, ale dość, żeby wywołać zamieszanie. Warczące bestie zaczęły się przewracać i rzucać na siebie. Ich twarze ociekały krwią. Jeden z opętanych wyrwał się z tego chaosu i ruszył w moją stronę - na dwóch nogach, a nie na czworakach jak tamte pędzące torpedy. Jego aura wirowała dziko, a oczy... znałam te oczy.

- Tropicielko - wycharczał niskim głosem.

- Rex? Dlaczego tu jesteś?

- Stary skórnik Jack. Opowiedział nam o Grancie. - Splunął krwią na podłogę. - Więc przybyliśmy z pomocą. Wrogowie moich wrogów. Rozumiesz.

Nie rozumiałam. Cofnęłam się wpatrzona w pozostałych zombie wnikających w potwory.

- Ci żywicieli są silni. Skąd mam wiedzieć, że nie zatrzymacie sobie ich ciał?

Rex uśmiechnął się ponuro. Koszmarny widok, biorąc pod uwagę ogromną liczbę ostrych zębów w jego ustach.

- Daliśmy słowo. Więc idź, znajdź Granta. My zajmiemy się resztą.

- Nie ufam ci - wypaliłam prosto z mostu. - Nieważne, jak bardzo kochasz Granta.

Zombie zmrużył oczy.

- Wynocha stąd.

I tak zrobiłam. Kiedy wybiegłam na korytarz, ojca Lawrence i Killy już tam nie było. Nie został po nich żaden ślad, poza zarysowaniami na podłodze, ale takie widniały wszędzie, więc nie mogłam się nimi kierować.

Za sobą słyszałam wycie. W prawej ręce czułam silne szarpanie.

„Musicie sami sobie radzić”, powiedziałam w duchu, zwracając się do księdza i Chinki. Popędziłam w stronę lodowej przechowalni i dalej, bo tak prowadzili mnie chłopcy.

Bieg sprawiał mi trudność. Paliło mnie w piersi. Oddychając, strasznie rzeziłam. Dlatego po jakiejś minucie zgięłam się wpół i, starając się nie zwymiotować, zaczęłam sobie wyobrażać kamienie upadające na nieruchomą taflę wody. Wdech, wydech, wdech, wydech.

Po drodze nikogo nie spotkałam, choć słyszałam ryki i odgłosy walki: pękający lód, okrzyki bólu. Pomyślałam o ojcu Lawrencie i o Killy. O Mary. O Grancie. Zee szarpał się coraz gwałtowniej, a miecz wibrował światłem. Miałam wrażenie, że biegam w kółko, mijałam wiele wyciętych w lodzie przejść, ale żadne nie wywołało odpowiedniej reakcji chłopców.

Aż nagle korytarz się skończył, a ja znalazłam się w jakiejś pieczarze. Na samym środku zobaczyłam labirynt.

Tak jak w dyskotecie jego srebrzyste linie były wyryte w podłożu. I tak jak przedtem stała tam kobieta, tyle że w długim, białym jedwabnym płaszczu. Futrzany kaptur otaczał młodą perfekcyjną twarz.

- On czeka - poinformowała mnie Nephele.

Ruszyliśmy przed siebie, kierując się wyrytymi w lodzie liniami labiryntu. Przy każdym skrucie, gdy odrywałam wzrok od stóp i wypełnionych srebrem wrąbków w podłodze, zauważałam zmiany w otoczeniu. Kamień zastąpił lód, a od sinych ścian bił brzoskwiniowy blask.

Nagle przyszło mi do głowy, że droga do Kinga nie po-winna być aż tak skomplikowana; ale to był hołd, rytuał - I taki sam, jaki odprawiali pielgrzymi w Chartres. Bo choć awatar miał siebie za boga, nie przestał jednak czcić czegoś, co jest większe od niego. Labiryntu. Gdy dotarliśmy do samego centrum wijącego się szlaku, sala zmieniła się raz jeszcze. W głowie mi się zakręciło, na moment straciłam wzrok. Kiedy go odzyskałam, ujrzałam świątynię Mister Kinga - Króla Elfów. Kamienne ściany, stalaktyty, olbrzymie odymione kolumny. Ale nigdzie żadnych tancerzy ani muzyki. Nie rozumiałam tego

wszystkiego; jak to możliwe, że takie nierzeczywiste miejsce w ogóle istnieje? Dlaczego King, który potrafi stworzyć coś podobnego, nie jest w stanie przedostać się do Labiryntu.

Natychmiast go dostrzegłam. Spodziewałam się całej armii - karabinów, kłów i ognia - ale był sam. Miał na sobie, długi szkarłatny habit z szerokim kapturem. Z niedowierzaniem patrzyłam na jego twarz - tak idealną, jakby nie należała do człowieka. Ciemne włosy, jasna cera, niebieskie oczy. Na czole srebrny diadem. Zza pleców wystawały czarne skrzydła - olbrzymie i piękne, aż zaparło mi dech na ich widok. Nawet ja, choć dobrze znałam tę kreaturę, na moment uległam zachwytowi.

Gabriel. Antony Cribari nie miał szans.

- Moja pani. - Głos Kinga rozszedł się po sali niczym przeciągły ciepły pomruk. - Wyczułem, że przybyłaś... pomimo swoich żałosnych ran.

- Mówiłeś, że chcesz dostać mnie żywą.

- Uznałem, że śmierć to bezpieczniejsze rozwiązanie. I się nie myliłem. Jakimś sposobem, nawet teraz, niszczysz wszystko, co stworzyłem. Musiałem wezwać żołnierzy. -Wzrok awatara padł na pancerz i miecz. - Tyle kłopotu dla tak trywialnych rzeczy.

- Czasami sami stwarzamy sobie problemy. - Oparłam miecz o ramię. - Grant. Reszta. Chcę ich odzyskać.

- Albo mnie zabijesz. - Skrzydła na plecach Kinga znieruchomiały, a jego oczy zmrużyły się groźnie. - Wyłącznie Usta Światła i demony mogły odebrać życie osobnikom mojego gatunku. A teraz ty. Twoje poprzedniczki tego nie potrafiły. Tworząc was, bardzo uważaliśmy, żeby nie przekroczyć pewnej granicy. - Wzrok awatara przesunął się na coś za mną. - Prawda, Jack?

Zadrzało mi serce. Odsunęłam się w bok i żeby nie odwracać się tyłem do Kinga, odwróciłam lekko głowę.

Zobaczyłam Jacka. Nie słyszałam, kiedy nadszedł. Był wymizerowany, blady, ale w oczach miał ogień, bezbożny i dziki. Patrząc na niego, zapomniałam o oddechu. Nephelę zniknęła.

- Postępowaliśmy ostrożnie - odezwał się starszy pan, patrząc na Kinga z taką wściekłością, że nagle, w porównaniu z nim, poczułam się straszliwie mała, nie więcej niż robaczek. - Ale nic nie pozostaje takie samo. Ani moc, ani dostojeństwo, ani marzenia. Ze wszystkich istot my przede wszystkim powinniśmy to wiedzieć. King zacisnął zęby.

- Manipulowałeś jej gatunkiem.

- Kochałem - rzucił krótko Jack. - Tylko tyle.

- Więc w jaki sposób wyjaśnisz jej istnienie? - King na moment przestał udawać kogoś innego, a ja dostrzegłam przeraźliwy strach. Wilgotny, ostry, instynktowny lęk. - To żyje w jej wnętrzu. Zajrzałam temu w oczy i to coś mnie osądziło.

- Tak jak my osądzaliśmy innych? - Stary Wilk zrobił krok, potem następny, aż wysoki i emanujący ciepłem stanął przy mnie. - Jak bogowie bawiliśmy się światami, a jednak gdy stajemy twarzą w twarz z własną śmiercią, nie możemy znieść jej goryczy, mimo że sami wymyśliliśmy tę grę?

- Grę o przeżycie - szepnął skrzydlaty awatar. - Pamiętasz przecież, jak to jest zagubić się w samym sobie, bez ciała, w którym zakotwiczyłyby się nasze umysły. Pamiętasz ten obłąd. Tak jak ja czujesz, że na nas czeka. Nikt z nas nie jest bezpieczny. Więc nawet jeśli rzeczywiście bawiliśmy się bogów, to co z tego? Mam dosyć twoich ocen. Przestałeś być Najwyższym Panem Boskiej Kreacji. Zrzekłeś się praw do tego miana, gdy się przykułeś do tej bagnistej plwociny i tych skór. Wyrzekłeś się wszystkiego, a jednak ukarałeś Ahsen, mnie i innych. Za to tylko, że pragnęliśmy uciec przed obłądem. Zachować rozsądek.

- To nie tłumaczy okrucieństwa.

- Okrucieństwo jest tylko ideą. Nic nie oznacza. - King popatrzył w moją stronę. - Może pewnego dnia to zrozumiesz.

- Ona ma serce - odparł chłodno Jack. - W odróżnieniu od ciebie.

- Stary Merlin Jack. Nadal bronisz swoich rycerzy. Tych, którzy kiedyś cię zabiją. - Unosząc z gracją dół habitu, przesunął się w bok. Czubki jego olbrzymich skrzydeł ' ciągnęły się za nim po kamiennej posadzce. - Chcesz odzyskać Usta Światła, tak? I tę starą kobietę? Oboje są jednego gatunku, co zresztą wiedziałeś.

- Sprowadził ich tu Labirynt - powiedział Jack z lekkim zniecierpliwieniem. - Mówisz o sędzie i masz swój dowód. To są Pierwsi Ludzie. Nawet ty to widzisz. Labirynt ich przechował.

- Dla nas - oświadczył twardo King. - Będziemy ich potrzebowali, żeby przetrwać, kiedy demony się uwolnią. Nie została nam żadna inna broń.

- I tę także stracimy, jeśli ich zniszczysz. Nie da się sklonować duszy - stwierdził starszy pan z niesmakiem. - Nie wyhodujesz niczego poza tym, co już masz.

- Dość tego gadania. - Położyłam rękę na ramieniu swojego dziadka. - Gdzie oni są?

Mister King spojrzał na moją dłoń i jego perfekcyjna twarz wykrzywiła się w obrzydliwym grymasie.

- Oddam ci Usta Światła i co potem? Ty pragniesz satysfakcji. Jesteś wilkiem, a wilkom nie zależy na niczym innym. Pragną tylko krwi. I ty Tropicielko o niej śnisz.

Nie pamiętam chwili, w której rzuciłam się do Kinga, ale na pewno to zrobiłam, bo nagle okazało się, że stoję tuż przy nim, z mieczem przyciśniętym do jego gardła. Lewą dłonią wykręcałam mu prawe ucho. I widziałam przerwania w oczach awatara, choć gdy się odezwał, w głosie słychać było zaledwie lekkie drżenie.

- Każę ich zabić - zagroził.

Nic na to nie odpowiedziałam, tylko podsunęłam mu pod oczy ostrze. Utkwił w nie spojrzenie. Nie mógł się powstrzymać. Wodził wzrokiem od miecza do pierścienia. Na jego twarzy pojawiło się pożądanie. Przemienne, olbrzymie. Tak silne, że pewnie straciłby oddech, gdyby przestał patrzeć na miecz.

- Jesteś okrutna - szepnął i nachylił się do ostrza. Zacisnął powieki, gdy stał przecięła mu skórę. Wstrząsnął nim dreszcz, a z ust wyrwało się westchnienie wywołane bardziej uczuciem przyjemności

niż bólu. Cofnęłam miecz, a King prawie się za nim rzucił. Twarz wykrzywiła mu desperacja. - Nie - wymamrotał, cały drżąc. - Nie zabieraj...

- Bardzo go pragniesz, co? - zakpiłam, wpatrując się w straszliwy głód płonący w jego oczach; w bolesne osamotnienie i rozpacz oszpecające jego piękną skradzioną twarz.

- Pragnę wolności - wydyszał. - Uwolnij mnie z tego więzienia.

- Jesteś wolny. Jak my wszyscy.

- Wolny, by umrzeć. Labirynt mnie odrzucił. Nie raz, ale wiele razy, choć kiedyś jego podwoje otwierały się dla mnie.

- Żadne z nas nie jest w stanie bez końca podróżować tymi samymi starymi drogami - oświadczył Jack. - To, czego pragniesz...

- ...będę miał - wycharczał skrzydlaty potwór. Chwytał ostrze miecza i zacisnął dłoń tak mocno, aż zaczęła krwawić. - Odzyskam godność i szacunek. Będę taki jak kiedyś, a nie tą... rzeczą... uwięzioną w świecie, który już jest martwy. - Spojrzał na mnie rozgorączkowanym wzrokiem, z głodem i obrzydzeniem. - Daj mi to, czego potrzebuję, Tropicielko. Zrób to choćby z litości. Nie chcę tu umierać, ginąć z rąk demonów.

- A Grant? Mary? - Zadrżałam. Pancierz i miecz robiły się gorące. - Tylko mi nie opowiadaj, że ich tu zostawisz, że nigdy więcej nie wrócisz, bo sam wcześniej stwierdziłeś, że są ci potrzebni. Żeby ich mieć, zniszczysz ten świat, choć i tak już go wiele poharatałeś swoimi zabawami z ludźmi. -Z każdym słowem stawałam się coraz bardziej wściekła, każde było jak mocne walnięcie młotkiem. A potem nagle pojawił się we mnie głód, który zmieszał się z gniewem. Nie umiem powiedzieć, czy wraz z tym głodem obudziła się też zamieszkująca we mnie ciemność, ale myślę, że tak się stało. Zaczęła się miękko rozciągać pod moją skórą, obejmując swoim wibrowaniem całe ciało. - Nic dla ciebie nie zrobię - wycedziłam.

Na twarz Kinga wypłynęła desperacja. W tym samym momencie skrzydła zatrzepotały z taką mocą, że awarat zdołał mnie od siebie odepchnąć. Kiedy tylko straciłam z nim cielesny kontakt, znikł.

Jack złapał mnie za nadgarstek i bez słowa wpadliśmy w otchłań. Chwilę później wyłoniliśmy się w innej kamiennej sali. Trochę jednak przypominała tę, którą właśnie opuściliśmy. Małe, ciemne i koszmarnie zimne pomieszczenie. Na ziemi siedziała Mary. Sama. Bez Granta. Naga i przykuta do podłoża krótkimi łańcuchami. Miała zakrwawione kolana i spuchniętą, posiniałą twarz, ale oczy całkiem przytomne.

Na jej piersi widniał tatuaż. Nigdy przedtem nie widziałam Mary bez ubrania, więc teraz ze zdumieniem patrzyłam na zwinięty okrąg poplątanych linii. Rozpoznawałam te złote i błyszczące sploty. Były identyczne jak na wisiorku, który nagle pojawił się w dłoni Kinga.

- Zobacz, co znalazłem. - Awatar spojrzał na Jacka. -Na piersi Ust Światła. I na tej starej kobiecie, wyrastające z jej kości. Wiesz, co to oznacza, Wilku. Wiesz, kim ona jest. A jeśli przybyła tu razem z Ustami Światła, wiesz również, kim on jest.

Jack wbił wzrok w wisior, potem w Mary. I zadrżał.

- To nie ma żadnego znaczenia.

- Ależ ma - syknął King, trzepocząc skrzydłami. - Ze względu na wszystkie istnienia unicestwione przez ten ród i ze względu na armię, której przewodził. Ma, ponieważ to ty powinienes zniszczyć ich gatunek. I mówiłeś, że to uczyniłeś.

Jack zacisnął zęby.

- Zrobiłem tyle, ile trzeba.

King warknął, zaciskając dłoń na wisioru. Mary szarpnęła się gwałtownie - łańcuchy zabrzęczały i okaleczyły jej nadgarstki. Chciała się rzucić na awatara. Wpatrywała się w niego dzikim spojrzeniem.

- Kobieto Granta! - zawołała przejmującym głosem, przenosząc na mnie wzrok, tak samo rozpalony jak złoty tatuaż między jej obwisłymi pomarszczonymi piersiami.

W odpowiedzi poczułam palenie rękojeści miecza i szarpnięcie Zee.

Nie zważając więc na okrzyk sprzeciwu Kinga, podbiegłam do staruszki, zamachnęłam się mieczem i przecięłam łańcuchy. Mary odchyliła głowę i, odsłaniając zęby, warknęła, a potem złapała mnie za ramię. Stojący za mną King wpatrzony w staruszkę wyciągnął dłoń. Jack krzyknął coś ostro.

- Milczący w mrokach - syknęła starsza kobieta. - Od-najdź jego głos.

Zapatrzona w dzikie oczy Mary przycisnęłam miecz do piersi. Chłopcy zadrżeli we śnie. Grant, pomyślałam gorączkowo. Grant.

Sądziłam, że znów wpadnę w otchłań, ale świat się nie zmienił, choć straciłam ostrość widzenia. Za to w wyobraźni ujrzałam jakieś mroczne miejsce, zimną mogiłę; a wewnątrz, w czymś, co wyglądało jak lodowa trumna, mężczyznę. Mojego mężczyznę.

Odnosiłam wrażenie, że znajduje się blisko. Że jest wszędzie wokół mnie. Zagłębiłam się w tym doznaniu i, okręcając się powoli, próbowałam wychwycić jego źródło. I nagle po lewej stronie poczułam pociągnięcie, jakieś zakłócenie, falowanie, jakby chłopcy mnie łaskotali. Chodziło o coś za plecami Kinga.

Ale gdy spojrzałam w tamtym kierunku, zobaczyłam wyłącznie gładką kamienną ścianę. Nie wierzyłam jednak oczom. King nie opuścił dłoni. Drżąc na całym ciele, wpatrywał się we mnie intensywnie. A na niego patrzył Jack. Z piersi mojego dziadka niespodziewanie wydobyło się niskie, ciche warknięcie. Szczeknięcie wilka. Bałam się o Jacka, bo nigdy nie widziałam w jego oczach tyle nienawiści, wścieklej dzikości.

- Stary Wilku - wyszeptałam.

- Widzę - wydusił ściśniętym głosem. - Zagłębienie w przestrzeni. Tam kryje się to miejsce.

Mister King zmrużył oczy.

- Nie zdołacie mi go wydrzeć. Nie zdążycie. Odmienię jego i jego zabójcę. Tak bardzo, że staną się potworami.

- Łzesz - odparł cicho Jack.

King go zignorował. Patrzy! na mnie - z wielką determinacją. Nie wiem, czy blefował, ale strach, jaki mną owładnął, był jak najbardziej prawdziwy. Umiałam działać szybko, ale przecież widziałam, co King zrobił z ojcem Lawren-ce'em zaledwie w sekundę. Z Grantem pójdzie mu równie łatwo. I z Mary też.

Nic jednak jej nie powstrzymało. Rzuciła się na Kinga, wymachując łańcuchami, nadal przyczepionymi do nadgarstków. Metal świsnął w powietrzu jak skórzany pejcz, a postrzępione ogniwa z całą mocą walnęły Kinga w twarz. Nie pokazał po sobie bólu - nie miał zakończeń nerwowych - ale się wzdrygnął. W tej samej chwili Jack powiedział coś ostrym głosem w języku, którego nie rozumiałam. Skrzydlaty awatar złapał się za brzuch i runął w przód. Jego oczy rozwarły się szeroko ze zdumienia.

Starszy pan machnął dłonią, jakby chciał nią coś roze-drzeć, i na ścianie za plecami przeciwnika niczym kurtyna uniósł się jakiś cień. Naszym oczom ukazał się kamienny postument pokryty lodem.

King jęknął i złożył skrzydła. Z jego ramion strzeliły iskry, a potem wydobyła się z nich chmura światła - demoniczna aura, tyle że złota. I wyglądała tak, jakby szamotała się z niewidzialnymi więzami. Ręce Jacka pozostawały wyciągnięte. Palce zginały się jak szpony. Biło od niego gorąco, a niebieskie oczy zrobiły się tak jasne, błyszczące.

- Długo go nie utrzymam - syknął. - Uwolnij Granta. Tylko on potrafi zabić Kinga, gdy ten jest poza ciałem.

Zdumiona tym, co usłyszałam, czując szarpiących się na mnie chłopców, popędziłam do lodowej trumny. Mary już tam stała i waliła w szklistą bryłę końcówkami łańcuchów.

Moje dłonie rozpały się do czerwoności, a miecz w ułamku sekundy schował się z powrotem do pancerza. Wbiłam ręce w lód, aż zatrzeszczał. Mimo że oślepiła mnie para, nie zmniejszałam nacisku, tylko topiłam lód w takim tempie, że odłamywał się wielkimi kawałami. Mary rwała go gołymi rękami, jęcząc z bólu.

Wreszcie przedarłyśmy się przez grubą powłokę. Grant leżał nieruchomo z zamkniętymi oczami. Dotknęłam jego twarzy, ale to nic nie zmieniło. Spał głęboko, tak jak wcześniej Killy.

Stary Wilk, dysząc, opadł na kolana. Aura wrogiego awatara zatrzepotała. Pierścień zapłonął czerwienią, a ja w tym momencie ujrzałam przyszłość. Zobaczyłam Kinga na wolności. Martwego Jacka. Naprawdę martwego. Uwięzionego Granta, z ustami zarośniętymi skórą, tak żeby już nigdy nie mógł wydać z siebie żadnego dźwięku.

Ujrzałam to wszystko zbyt wyraźnie - wiedziałam, że to prawda. Dlatego zagubiłam się i straciłam serce. W tej samej chwili eksplodowała we mnie ciemność. Rozprzestrzeniła się niezwykle gwałtownie. Zaczęłam się bać, że moje ciało ulega przemianie. Przepłynął przeze mnie prąd, a chłopcy zaczęli wyć.

Usta Światła nigdy nie działają w pojedynkę, usłyszałam szept Mary. Dwa serca żyją.

Zrozumiałam. I doznałam wizji, krótkiej jak uderzenie serca: mężczyzna i kobieta z głosami dudniącymi siłą stoją pod złocistym niebem, po kostki zanurzone w błocie zmieszonym z krwią; a z nimi inni, milczący kompani wywijają bronią: błyszczącymi jak diamenty biczami i brzęczącymi, przezroczystymi jak kryształ mieczami. Każdy śpiewak miał swojego wojownika. I łączyła ich moc, cała rzeka mocy.

Zobaczyłam Mary, dużo młodszą; z jasnymi włosami, dużymi mięśniami, prawie czarną od opalenizny. Siedziała na skraju skalnego występu, nieruchoma i pełna godności niczym jastrząb. Miała

na sobie tylko skrawek skóry wzmocnionej stałą. Tworzył giętką pancierz okrywającą tułów i nogi. Dziura nad mostkiem odsłaniała metaliczny tatuaż.

Obok Mary stała młoda brunetka z dzieckiem w nosidelku. Jej poważne oczy wypełniał smutek, a kremowy habit pokrywały plamy z krwi i błota. Między piersiami połyskiwał wisior.

Marritine, szepnęła młoda kobieta i zrobiła dłonią w powietrzu ruch, jakby coś zdzieraała. Marritine, obiecaj, że on będzie żył.

Będzie żył, zapewniła ochryplym głosem Mary, oglądając się za siebie. Gdzieś w oddali rozległy się wrzaski. Przysięgam.

Przysięgam.

Rozpalona tą wizją zacisnęłam powieki. Rozpalona ciemnością - hartowaną światłem pancierza - przyłożyłam dłonie do piersi Granta, tuż nad sercem, żeby przekazać mu swoją siłę; przelać w jego serce ciemne światło. I choć widziałam, że otworzył oczy, nie odejmowałam dłoni. Nie mogłam. Przysięgam.

- Maxine - wychrypiał.

Jack znów krzyknął. Mary pobiegła do niego, ale ja nie popatrzyłam za nią, tylko objęłam głowę Granta lewą ręką. Prawa pozostała na jego sercu. Serca wszystkich chłopców były do wtóru mojemu sercu. I Granta.

- Hej - szepnęłam. - Czas, żebyś zaśpiewał.

Spochmurniał, ale tylko na chwilę. Ja natomiast poczułam, że coś dziwnego owija się wokół ciemnego ducha, który we mnie zamieszkuje. Przyplłyły wspomnienia. Grant, wciągając powietrze, zamknął oczy. Na jego czole pojawiła się zmarszczka bólu.

Kiedy jednak znów otworzył usta, dźwięk, jaki z nich wypłynął, nie należał do człowieka. Był prastary i pierwotny, tak jakby wewnętrzne *om* wydzierało się z jego płuc lub z serca gwiazdy. Zaczął parować gorącem. Ciepło poprzez chłopców przeciekało do mojej duszy. Zamknęłam oczy i zobaczyłam ciało Granta - rozbijało się w świetliste cząstki, stawało światłem, które razem z jego głosem powędrowało do aury awatara, aby ją uwięzić.

Poczułam dzikie wycie Kinga - teraz jednak był już tylko niezliczonymi imionami i skórami. I znowu ujrzałam ogrom przestrzeni, przygniatającej mnie swoim nieskończonym ciężarem. Zaraz jednak to odczucie ustąpiło, a ja przed oczami wyobraźni miałam pamięć Kinga - wspomnienie jego pierwszego kontaktu z ciałem, doznanie tak cudowne, obezwładniające, że to, co wcześniej było szaleństwem, zmieniło się w głód i pożądanie. Poczułam pożądanie. Żądzę. Nienawiść i moc. Nie swoją, lecz awarata.

Poczułam samotność Kinga.

Jego lęk przed bezmiarem przestrzeni i przed bezmiarem kryjącym się w nim samym.

Poczułam jego pragnienie istnienia.

A w ostatniej chwili usłyszałam szept: „To jest koniec naszego gatunku, koniec nas, koniec wszystkiego, co stworzyliśmy, naszych światów, mitów. Koniec, koniec, koniec”.

Labiryncie, zabierz mnie.

Mój pancerz rozpałił się do czerwoności. Głos Granta przybrał na sile. I esencja Kinga - jego nieśmiertelność - rozpuściła się. Zmieniła w powietrze.

Podobnie jak my chwilę później.

Rozdział 22

Obudziłam się w ciemności, ale nie byłam sama. Czyjeś serce, rozświetlając mrok, biło obok mojego. Tym samym rytmem. Oba połączone ze sobą na zawsze.

Grant, wymamrotałam z trudem.

Jestem tu, usłyszałam. Odpoczywaj, Maxine.

Odpoczywaj, wymamrotał Zee.

Odpoczywaj, szepnęła matka.

Więc odpoczywałam.

Kiedy znów otworzyłam oczy, była noc, a chłopcy nie spali. Zakryta po szyję flanelowym kocem leżałam na miękkim zapadającym się łóżku. Poduszka na moim brzuchu pachniała Grantem. Zee, Rex i Aaz spali zwinięci pod kolanami i wszyscy ssali pazury, ściskali w ramionach pluszowe misie i małe pałki bejsbolowe. Na podłodze walały się torebki po popcornie i kartoniki po hot dogach. Dek i Mai nucili melodię piosenki Madonny *Live to Tell*.

Leżałam nieruchomo, napawając się świadomością, że żyję i jestem w domu. W Seattle. W mieszkaniu Granta. Chyba po raz pierwszy czułam się tu bardziej u siebie niż w swoim samochodzie lub w jakimś hotelu. Z pokoju obok dochodziły odgłosy płynące z telewizji i szmer cichej rozmowy; brzęk naczyń, skrzypienie drewnianej podłogi. Znajome domowe dźwięki, choć zarazem obce, bo w otaczającym mnie mroku czułam się trochę odłączona od rzeczywistości. Jakbym znajdowała się w innym świecie.

I podobnie czuio się moje serce zamieszkiwane przez ciemność, przez tego wygłodniałego szalejącego ducha. Stanowił część mnie, a zarazem był zupełnie oddzielony - to on swoim osądem przeraził Kinga. Ta groźna obecność we mnie dawała się wyczuć równie łatwo jak oddech, spała pod moim sercem niczym fragment otchłani. A obok drzemało coś nowego: mała złota róża ze zwiniętymi, gorącymi płatkami. Pulsująca w rytm uderzeń serca.

Grant, pomyślałam i usłyszałam za sobą jakieś poruszenie. Ktoś przysiadł obok mnie na łóżku i dotknął ciepłą dłonią mojego policzka.

- Moja kochana, słodka dziewczynka.

- Stary Wilku... - Odwróciłam głowę, żeby spojrzeć na Jacka, zobaczyć jego bladą twarz i błyszczące oczy.

- A więc znowu żyjemy. - Uśmiechnął się lekko. Zaczęłam przeszukiwać pamięć, ale w głowie pojawiało

mi się tylko wspomnienie głosu Kinga i jego śmierci.

- Jak się tu dostaliśmy? - spytałam łamiącym się głosem. Zee wyłonił się spod koca z butelką w szponach, którą

nie wiadomo skąd wziął. Jack ją odkręcił i przystawił mi do ust. Zaczęłam pić. Woda spływała mi kącikiem ust na brodę i poduszkę.

- Powoli - powiedział cicho starszy pan. - Sprowadzałem was do domu po kolei. Byliśmy w Szwecji, w marzeniu ekscentrycznego bogacza. W jego prywatnej rezydencji, zbudowanej na wzór sławnego lodowego hotelu. Zdaje się, że właściciel został zamordowany. Znalazłem jego zdjęcia. Gruby niski facet w okularach i ze złym gustem, jeśli chodzi o dobór garniturów. Czy to coś ci przypomina?

Rzeczywiście przypominało.

- A to... drugie miejsce? Świątynia?

- Wgłębienie w przestrzeni - odparł Stary Wilk. - Dawne więzienie Kinga, w którym sam go umieściłem. Mógł do niego wracać, kiedy tylko zapragnął. Sądzę, że po tylu latach czuł się tam jak w domu.

Ogarnął mnie żal, jednak zaraz znikł.

- Dziwne, że nie chorujesz po przetransportowaniu tylu osób.

Poruszył się niespokojnie.

- Grant... napęłnił mnie energią; ona dała mi siłę.

- Och - mruknęłam. Przypominałam sobie przerażający głód, jaki widziałam w oczach Jacka w świątyni Kinga. - Pożądałeś tej energii.

Przeniósł wzrok na swoje dłonie.

- Nie powiedziałem ci o sobie wielu wstydliwych rzeczy. I zdaję sobie sprawę, że ogromnie cię frustrowałem... tymi swoimi, jak je nazywasz, zagadkami. Ale przynajmniej wiedz, że cię kocham. - Zamknął oczy. - I że kochałem twoją matkę.

A ja kocham ciebie, powiedziałam w myślach, bojąc się wypowiedzieć te słowa na głos, choć bardzo tego pragnęłam. Zmusiłam się, żeby wziąć głębszy oddech.

- Czy zrobiłeś z moją matką... coś, co ona mogła mi przekazać? Czy nas zmieniłeś?

- Nie mam pojęcia - szepnął, spoglądając na mnie wylęknionym wzrokiem. - Ale to, co łączyło mnie z twoją babcią... to, co zrobiliśmy z Jeannie... - umilkł. - Ale niczego nie żałuję. Niczego.

- Jednak dokuczają ci myśli, że powinieneś.

- Bo są pewne zasady, a ja je złamałem. Czuję się, jak nauczyciel, który zawiódł swojego ucznia.

- Babcia nie była Lolitą.

- Była jak burza - mruknął starszy pan. - Moja Jeannie.

Sposób, w jaki to powiedział, sprawił mi niepokój, lecz zarazem ogromnie się ucieszyłam, że komuś tak bardzo zależało na babci. Że ktoś kochał moją matkę.

I że mnie też kocha. Niesamowicie pragnęłam tej miłości. Chciałam, żeby Jack był moim dziadkiem.

Położyłam mu dłoń na ramieniu, a on przykrył ją swoją. Jak najbardziej ludzką, bladą, pomarszczoną.

„Najważniejsze jest serce”, tłumaczyła mi kiedyś matka. „Ciało się załamuje, gdy załamuje się serce.

Nawet pies może umrzeć z rozpacz”.
„Więc bądź silna”, kończyła. „I nie rozpaczaj po mnie”.

Gdyby żyła, porządnie bym jej nawsadzała. „Nie rozpaczaj po mnie”. Jakby to była jakaś słabość. Sama pewnie rozpaczała po swojej matce. Tylko nigdy o tym nie rozmawiałyśmy.

Ale Jack rozpacza, pomyślałam. I pewnie nie przestanie do końca życia.

- Dlaczego jesteś taki inny? - spytałam. Przypomniałam sobie Kinga w skradzionym ciele: anioła i człowieka, bóstwo i potwora; we wszystkich wcieleniach gnijący od wewnątrz, całkowicie wyzuty ze współczucia i litości.

Starszy pan uniósł chudą dłoń.

- Sama widzisz, że to ciało nie jest wieczne. Wcześniej czy później czeka je śmierć. Odradzałem się niezliczone setki razy. Wnikałem w łona ludzkich matek, tysiąca kobiet: dobrych, złych, biednych i bogatych i nigdy nie zachowywałem o tym pamięci. Wnikałem całym sobą, ukryty przed samym sobą. Dlatego że jeśli chcesz żyć jak człowiek, musisz żyć. Bezwarunkowo poddać się wydarzeniom, abyś istniał tak, jak ci było sądzone. Z chwili na chwilę, jako czysty ty, kształtowany i formowany przez los śmiertelników. Po to żebyś, gdy już sobie przypomnisz, kim jesteś, pamiętał o pokorze, współczuciu... i o miłości. - Zaciśnął dłoń w pięść i pokręcił głową. - Ten, który nazywał siebie Mister Kingiem, mój brat, nigdy tego nie rozumiał. Nie pojmował, że aby stać się prawdziwym mistrzem Boskiej Kreacji, musisz żyć życiem swoich stworzeń, pod każdym względem. Nie chodzi o jakieś tam małpowanie, o ducha poruszającego marionetką, ale o szczerą naukę, o rozwój. - Rozgoryczenie wykrzywiło starszemu panu usta. - Wielu nadal myśli tak jak King. Chcą tylko brać.

I wkrótce się tu zjawia, pomyślałam z przygnębieniem, choć wiedziałam, że jeszcze czas, żeby się nad tym zastanawiać. Usłyszałam charakterystyczne stukanie zbliżające się do drzwi sypialni i natychmiast poczułam, jak gorąco oblewa moje serce - poszarpane i zbolełe. Skrzypnęły otwierane drzwi i do pokoju wlała się złota poświata. Spróbowałam usiąść.

W progu pojawił się Grant. Zatrzymał się na chwilę, żeby na mnie spojrzeć. Był blady, ale nie tak jak wtedy, gdy leżał w lodowej trumnie. A zresztą w oczach miał błysk, jakiego nie dostrzegałam od wielu dni. I choć opierał się ciężko na lasce, to sprawiał wrażenie zdrowego i silnego. No i nawet z łóżka czułam zapach swojego szamponu na jego wilgotnych włosach. Luźne ciemne spodnie, ciemnozielona bluza, a na szyi złoty wisiołek matki.

Kiedy na mnie patrzył, poczułam płynące od niego ciepło - tak silne i realne, że nagle zaczęłam macać powietrze przed sobą, jakbym spodziewała się, że znajdę w nim coś materialnego. Grant uśmiechnął się lekko, a mnie w piersiach coś zapulsowało - echo bicia jego serca.

- Hej - powiedział, podchodząc bliżej. - Wracaj pod koc.

Za jego plecami pojawił się cień. Mary. Z potarganymi włosami i w kolejnej szalonej sukience - tym razem w ogromne, pomarańczowe koty i spiętej w talii szerokim białym pasem, takim, jakie się zakłada przy noszeniu ciężarów. Wyglądał dość staromodnie, ale za to bardzo podkreślał szczupłą talię staruszki. I choć z długą białą kamizelką zarzuconą na wierzch tworzył śmieszne i niedorzeczne zestawienie, to jednak Mary wyglądała w tym stroju doskonale. Kojarzyła mi się z wojownikiem, choć nie rozumiałam dlaczego. Może z powodu jej postawy albo oczu, które dziko błyszczały, jakby tańczyło w nich jakieś niespokojne, nieprzewidywalne światło.

- Teraz powiązani - szepnęła, przesywając mnie spojrzeniem. - Rzeki złote jak słońce.

- Powiązani - powtórzyłam i przycisnęłam dłoń do serca.

- Pomiędzy nami... - Grant usiadł na brzegu łóżka, odłożył laskę i podciągnął mi koc pod brodę.

Zza flanelowego brzegu wyjrzał Zee, a Raw i Aaz, ciągnąc za sobą pluszowe misie, wpakowali się Grantowi na kolana i zaczęli ocierać się głowami o jego ramię niczym śmiercionośne koty w zbroi z żyłek. Dek i Mai nucili niskimi głosami powitalną pieśń, która szybko przybrała melodię piosenki *Heartsów Tali, Dark Handsome Stranger*.

- ...złote światło - ciągnął Grant, wpatrując się we mnie i drapiąc małe głowy i szyje. - Stworzyłaś między nami połączenie.

- To się musiało stać - stwierdziłam, Nie potrafiłam ocenić, czy Grant jest zadowolony, czy wręcz przeciwnie.

Ale kiedy tylko skończyłam mówić, pochylił się, chwycił mnie za szyję i przyciągnął do siebie. Wstrząsnął mną gwałtowny dreszcz, a w ciemności zabłysły przeskakujące między nami iskry. Wtuliłam się w Granta mocno, pozwalając, by powiedział mi w ten sposób wszystko, czego słowa nie zdołałyby przekazać.

- Już dawno temu powinienes umrzeć, chłopcze - odezwał się Jack. - Jesteś jednak silny i masz dobry instynkt. Myślałem, że może nie będziesz potrzebował... nikogo do pomocy. A przynajmniej nie przy tych drobnych sprawach, w których wykorzystywałeś swój dar.

- Grasz w zbyt wiele gier, Stary Wilku - mruknął z niechęcią Grant. - Mogłeś mnie uprzedzić.

- Co to znaczy, że już dawno powinien umrzeć? - spytałam Jacka, choć znałam odpowiedź. Już ją widziałam. Wyczułam.

- Dwa serca silniejsze od jednego. - Mary zamknęła oczy i położyła dłoń na mostku. - Antrea też mu mogła powiedzieć.

Grant wzdrygnął się i dotknął wisiora na szyi, a ja oczami wyobraźni zobaczyłam młodą brunetkę, stojącą obok równie młodej i silnej Mary.

Matka Granta. Cała w błocie i we krwi. Myślała tylko o tym, jak zapewnić synowi bezpieczeństwo.

Wspomnienie tej wizji napawało mnie dziwnie przyjemnym uczuciem. Chciałam opowiedzieć o niej Grantowi, ale nie wiedziałam jak. Poza tym to nie było odpowiednie miejsce. Ani czas.

Jack nie wyglądał na szczególnie zadowolonego.

- Energia nie jest dostępna tylko dlatego, że ktoś jej potrzebuje. Jeśli już się pojawia, można ją manipulować, zmieniać ją, ale żeby uzyskać większe zmiany, trzeba większej mocy. A Usta Światła, gdy chcą użyć swojego daru, muszą czerpać energię z własnego wnętrza. Jeśli pobiorą jej zbyt wiele, umierają. I dlatego się wiążą - wyjaśniał starszy pan, przyglądając się mnie i Grantowi. - Żeby czerpać energię od innych.

- Czy te więzy da się zerwać, Jack? - zapytał Grant. - Czy to ją będzie bolało?

- Potrzebujesz mnie - zaprotestowałam.

- Nie mam pojęcia - odparł starszy pan. - Nikt jeszcze nie stworzył takiego połączenia jak wasze i nie wiadomo, jak ono wpłynie na każde z was. Usta Światła zawsze łączyli się z ludźmi. A Maxine... nie jest normalna.

Uszczypnęłam Granta w łokieć.

- Maxine jest tutaj.

Mary wybuchła zduszonym chichotem, ostrożnie podciągnęła rękawy kamizelki, żeby popatrzeć na świeże blizny na rękach.

- Nienormalna. Tutaj. - Zamknęła oczy i szepnęła: - Pamiętam śmierć. Byłam ostra. Ostrzejsza od sióstr. Ochraniałyśmy. Zabijałyśmy.

Morderczyni, pomyślałam. Tak nazwał ją King. Bardzo wyraźnie przypomniałam sobie wszystko, co powiedział. Również o Jacku.

Nie spojrzałam w stronę starszego pana. Za to poczułam działanie wisiora błyszczącego na szyi Granta. Zajrzałam swojemu ukochanemu w oczy. Wpatrywał się we mnie intensywnie. Delikatnie odgarnął mi włosy z czoła i pochylił się, żeby mnie pocałować.

A potem się odwrócił i spojrzał groźnie na Jacka.

- Czy jest jeszcze coś, czego nam nie zdradziłeś?

- Tak - potwierdził Stary Wilk. Patrzył na Mary dziwnie smutnym, zaniepokojonym wzrokiem. Jakby sobie właśnie przypomniał coś strasznego.

Przyglądałam się mu uważnie. Siedział w mroku na brzegu łóżka; mój dziadek, zagubiony w myślach, bojący się poruszyć.

- Jack... o co chodzi?

- Nienawidziłem go - powiedział cicho ze zdumieniem, ale też ze smutkiem. - Nienawidziłem Kinga. Nienawidziłem własnego brata, który jednak mimo wszystko był jednym z nas, a ja znałem go tak długo jak samego siebie. Nie mamy dzieci. W naszych prawdziwych formach nie możemy ich mieć. I dlatego, kiedy któreś z nas umiera, nic po nim nie pozostaje. A reszta to czuje. To tak, jakby zginęła częśćka nas. Ból po jej stracie nigdy nie przeminie. Osłabnie, ale nie zniknie. - Na usta starszego pana wypłynął ponury, gorzki uśmiech, a może raczej upiorny grymas. - Można by rzec, że nieobecność to inna forma nieśmiertelności.

- Sądziłem, że pragnąłeś jego śmierci - zauważył Grant.

- Bo pragnąłem - zgodził się Jack. - Ale wszystko ma swoją cenę.

- Przybędą inni - wychrypiał Zee, wystawiając łepkę spod koca. Raw i Aaz też usiedli i zaczęli trzeć oczy. - Nawet teraz czują, co ty czujesz.

Poprawiłam sobie poduszkę pod głową.

- Cóż, gdybyśmy nie pozbyli się Kinga, on by nas zniszczył.

- A teraz, gdy już tego dokonaliśmy - wtrącił się Grant - okazuje się, że tylko kupiliśmy sobie trochę czasu.

Czas. Czas dla więziennej Zasłony. Czas dla awatarów. Czas na życie, na walkę, na umieranie.

Zee złapał mnie za rękę i zajrzał mi głęboko w oczy.

- Jesteśmy silni - szepnął, czemu towarzyszyły pomruki Deka i Mala. - Słodka Maxine. Jesteśmy silni.

Jesteśmy silni na tyle, na ile pozwolą nam nasze serca, stwierdziła kiedyś moja matka. Grant ujął mnie za drugą dłoń i złożył na niej pocałunek, który jednak bardziej kojarzył się z błogosławieństwem niż z pieszczotą.

- Odnowiliśmy się - mruknął Jack.

Usłyszałam kroki zbliżające się do sypialni. Zee zanurkował pod koc. Raw i Aaz zniknęli. W drzwiach stanął Byron. Oblany światłem płynącym z salonu przypomniał ducha. Miał roziskrzony oczy, patrzył tylko na mnie. Uśmiechnęłam się, ale chłopak nie odpowiedział tym samym. Jego spojrzenie pozostało poważne i stare, i niezłomne.

- Dobrze się czujesz? - spytał. - Bo powinnaś coś zobaczyć.

Myślałam, że nie dam rady się ruszyć. Okazało się jednak, że nie jestem osłabiona, a tylko zmęczona. Więc, korzystając z pomocy Granta, wygrzebałam się jakoś spod koca, włożyłam spodnie i podkoszulek. Spojrzałam na swoje blade ramiona i lśniącą prawą dłoń. Pancierz znów się powiększył. Pojawiała się też trzecia nitka łącząca pierścień z bransoletką. Jednak ta, w przeciwieństwie do poprzednich, miała rozgałęzienia kończące się gdzieś w połowie dłoni.

Zerknęłam na Jacka i Granta. Obaj byli wpatrzeni w pancierz, ale żaden się nie odezwał, choć starszy pan wyglądał na zatroskanego.

- Och, i co z tego? - mruknęłam. Zacisnęłam dłoń w pięść i wstałam z łóżka.

W salonie zebrał się mały tłum. Killy i ojciec Lawrence wydawali się straszliwie wyczerpani, siedzieli blisko siebie na kanapie. Rex, znów w swoim dawnym ciele i przekrzywionej czerwonej czapce, przysiadł z drugiej strony, na oparciu. Jego aura zawirowała, gdy mnie ujrzał, ale tylko szybko skinął głową i wrócił do oglądania telewizji.

Miałam mało czasu na odczucie ulgi, że wszyscy są cali i razem. W późnowieczornych wiadomościach pokazywano ' niewyraźny filmik, jakby nakręcony aparatem z komórki. Trudno było dostrzec szczegóły, ale sceny pochodziły chyba z wnętrza jakiegoś samochodu. Siedzący w nim ludzie wrzeszczeli, bo jakiś wychudzony człowiek ubrany na czar- j no walił mocno w drzwi i szyby, aż trzeszczały. Jego usta wypełniało mnóstwo zębów. W oczach miał szaleństwo.

Po kilku nieudanych próbach dostania się do wnętrza wozu odbiegł w zastraszającym pędzie.

Gapiłam się w telewizor. Prawie nie słyszałam dziennikarzą, który śmiejąc się, nazwał faceta wampirem. Twierdził, że policja już szuka tego człowieka i że to na pewno wygłup. I dziennikarz, choć wyraźnie przerażony, znów się roześmiał.

Ja jednak się nie śmiałam. To nie żaden wygłup.

Killy zamknęła oczy.

- Zmieńcie kanał.

Ojciec Lawrence wziął pilota i tak długo wciskał guziki, aż trafił na powtórkę *Cheers*. Norm siedział przy barze, a Sam, śliniąc się, gapił się na jakąś blond laseczkę. Przyziemne, normalne, takie jakie powinno być życie.

- Zabiliśmy wszystkich - zapewnił Rex, spoglądając na mnie z niepokojem. - Nikt nie uciekł.

- King mógł wcześniej wypuścić kilku na wolność. Ot tak, dla zabawy. - Spojrzałam na Granta i Jacka. - A co z tymi, którzy byli uwięzieni w lodzie?

- Wykonałem kilka telefonów - odezwał się cicho ksiądz, pobłyskując na mnie szkarłatnym okiem. - Ktoś się nimi zajmuje. Teraz, gdy Cribari nie żyje, nie będzie problemów. Przynajmniej przez jakiś czas. - Popatrzył na mnie i na Jacka z takim niepokojem, że przeszły mnie dreszcze.

Killy odwróciła się do ojca Lawrence'a, który nie był już taki krągłutki i rubaszny jak wcześniej.

- A co z tobą? - spytała, mrużąc oczy. - Nie możesz przecież wrócić do Kościoła.

Wahając się, znowu popatrzył na Jacka i Granta, a później na mnie. Chciał coś powiedzieć, ale Chinka pokręciła głową i głośno prychnęła.

- Nie, to głupi pomysł. Lawrence westchnął.

- Nie czytaj mi w myślach, proszę.

- Z chęcią, gdybym tylko mogła - odburknęła, krzywiąc się z bólu. - Boże, moja głowa.

Ojciec Lawrence popatrzył na nią bezradnie. Zaczął wyciągać do niej rękę, ale spojrzał na nie i szybko je cofnął. A przynajmniej chciał cofnąć, lecz Killy mu na to nie pozwoliła. Chwyliła go za nadgarstki, ale już po chwili puściła, jakby parzyły. Stojący obok mnie Byron przyglądał się młodej kobiecie ciemnymi spokojnymi oczyma. Zwichrzyłam mu włosy, żeby przeniósł wzrok na mnie.

- To się dopiero zaczyna, prawda? - zapytał miękko. Moja dłoń opadła z jego głowy na ramię. Żeby nie ulec

żałowi, chciałam zapewnić chłopaka, że wszystko się ułoży. A jednak tego nie zrobiłam, choć nadal szukałam słów pocieszenia - czegokolwiek, co mogłabym mu dać. Przestałam, gdy dotknął mojej dłoni.

- Ty też nie jesteś sama - powiedział.

Zaparlo mi dech. Byron puścił moją dłoń, poczłapał do kanapy i opadł na nią między ojca Lawrence'a i Killy. Kobieta po sekundzie westchnęła i poklepała go po ręce. W telewizji nadal leciało *Cheers*.

Nagle zapragnęłam samotności, przeszłam więc do kuchni. Oparłam się o blat i patrzyłam na siedzących w salonie bliskich mi ludzi. Ja, koczownik, zaczynałam zapuszczać korzenie.

Dołączył do mnie Grant odprowadzany uważnym spojrzeniem Mary, na którą z kolei spoglądał Jack. Obserwował ją i resztę towarzystwa, przyciskając rękę do brzucha, jakby coś go tam bolało. Wyglądał bardzo staro i samotnie. Ten widok łamał mi serce. Tym bardziej że przypominał mi

babcię. Gdy siedziała w wynajętym paryskim pokoju, miała dokładnie taką samą minę jak on teraz. Zdałam sobie sprawę, że czas to tylko cienka zasłona - najcieńsza ze wszystkich - i że wcale nie jest dobrze to wiedzieć. Moja babcia i Jack nigdy się już nie spotkają. Starszy pan będzie nadal żył, tak jak żył po śmierci babci i jej córki. I jak będzie żył po mojej śmierci, kiedy przyjdzie na mnie pora. Grant przysunął się bliżej i uśmiechnął gorzko.

- Zastanawiasz się, czy dożyjesz następnego ranka? Cmoknęłam go w ramię.

- Wszystko wskazuje na to, że to możliwe. Ale mnie już do tego czasu tu nie będzie.

Wzdrygnął się, a ja w tym momencie poczułam w swoim j sercu uderzenie jego serca. A zaraz potem jego konsternację, od której zakręciło mi się w głowie. -

Złapałam go za koszulę i przyciągnęłam do siebie z tą samą palącą zachłannością, z jaką wydobywałam zmrożone ciało z lodowej mogiły. Teraz to wydawało mi się bardzo surrealistyczne - lód, ludzie ze skrzydłami i śmierć. Wszystko jak sen.

- Miałam na myśli to, że muszę wyruszyć na łowy, wytropić tego potwora - wychrypiałam, wpatrując się swojemu ukochanemu w oczy. - Ale wrócę. Nie zostawię cię. Jesteś na mnie skazany.

- Wiem - odparł lekko zduszonym głosem, gładząc kciukiem kącik moich ust. - Tylko nie byłam pewny, co ty o tym myślisz. Teraz łączy nas coś innego, Maxine.

- Naprawdę? Nie sądzę.

Zamknął oczy i przycisnął czoło do mojego czoła. Docierał do mnie odgłos telewizora i łagodny szum rozmów, ale w tej chwili wydawało mi się, że te dźwięki są z innego świata. Ja i mój mężczyzna znajdowaliśmy się we własnym labiryncie.

- Nadal nie wiem, kim jestem - wyznał szeptem Grant. -Nie chciałbym cię skrzywdzić.

- Nie kradnij mi moich kwestii - odparłam miękko i pocałowałam go w usta. - I się nie bój.

Grant uściśnął mnie mocniej, przeniósł ciężar ciała z chorej nogi na zdrową, żeby móc mnie objąć drugą ręką, i się pochylił. Wsunął dłoń w moje włosy. Dek i Mai zamruczeli.

- Nigdy nie miałem żadnego planu - powiedział tak cicho, że ledwo go słyszałam. - Posiadałem moc i jej używałem. Nie zastanawiałem się nad nią, choć wolałem myśleć, że jest bezpieczna, że nikomu nie wyrządę żadnej krzywdy - zamilkł i zajął mi w oczy. - Tak samo postąpiono z ojcem Rossem, prawda? Ja też zmieniam demony, czasami wbrew ich woli. Więc nie ma różnicy.

- Mylisz się - zaprzeczyłam. - To dwie zupełnie różne sytuacje. Nieporównywalne.

- Ale gdybym był już bardzo stary, gdybym liczył sobie miliony lat - ciągnął z uśmiechem - a może i więcej, co bym robił z tym darem? Czy stałbym się taki jak King? Czy moc zmieniania innych właśnie do tego prowadzi?

To dlatego kobiety mojego gatunku żyją tak krótko, przemknęło mi przez myśl. Bo jesteśmy podatne na wpływy, a chłopcy żyją według zasad tworzonych przez nasze serca. Bo moc powinno się przekazywać dalej, a nie zagarniać.

Spojrzałam w dół. Zza rogu szafki kuchennej wyglądał Zee. Byli z nim Raw i Aaz. Ściskali pałki bejsbolowe i ciągnęli po ziemi swoje pluszowe misie. Moi chłopcy. Słodcy i śmiercionośni.

Zee wyszczerzył do mnie kły, a ja na ten widok się roześmiałam. Potem chwyciłam w garść bluzę Granta i przyciągnęłam go do siebie jeszcze bliżej. Wspierałam się na palce i zajął mi w oczy, napawając się wibrującym między nami ciepłem, światłem w moim sercu, które zamykało w sobie ciemność.

- Jesteś dobrym człowiekiem - powiedziałam z wielkim przekonaniem. - I takim umrzesz, choć stanie się to

w bardzo odległej przyszłości. - Dotknęłam palcami jego policzka. - Być może w łóżku, w moich objęciach. Ty stara, pradawna istoto.

Nawet nie mrugnął.

- Dla tego mogę żyć.

I ja też mogę.

Podziękowania

Każda moja powieść to podróż i chciałabym podziękować wszystkim tym, którzy towarzyszyli mi w drodze.

Mojemu wspaniałemu wydawcy Kate Seaver i mojej równie wspaniałej agentce Lucienne Dwer. Wszystkim dobrym ludziom z Berkley, dzięki którym ta seria w ogóle powstała, a zwłaszcza Leslie Gelbman i Susan Allison. Dziękuję też swoim redaktorom, Bobowi i Sarze Schwagerom. Dziękuję rodzinie, która nadal trochę się podśmiewa z mojej pracy, oraz ukochanym czytelnikom wspierającym mnie na tysiące różnych sposobów.

Pragnę też podziękować Adamowi Minterowi za to, że był nieocenionym źródłem informacji o katedrze Świętego Ignacego w Szanghaju i że zawsze miał czas odpowiadać na moje pytania.

Jeśli chcielibyście Państwo dowiedzieć się więcej na temat serii z Tropicielką Kiss, zachęcam do odwiedzenia mojej strony www.marjoriemliu.com.